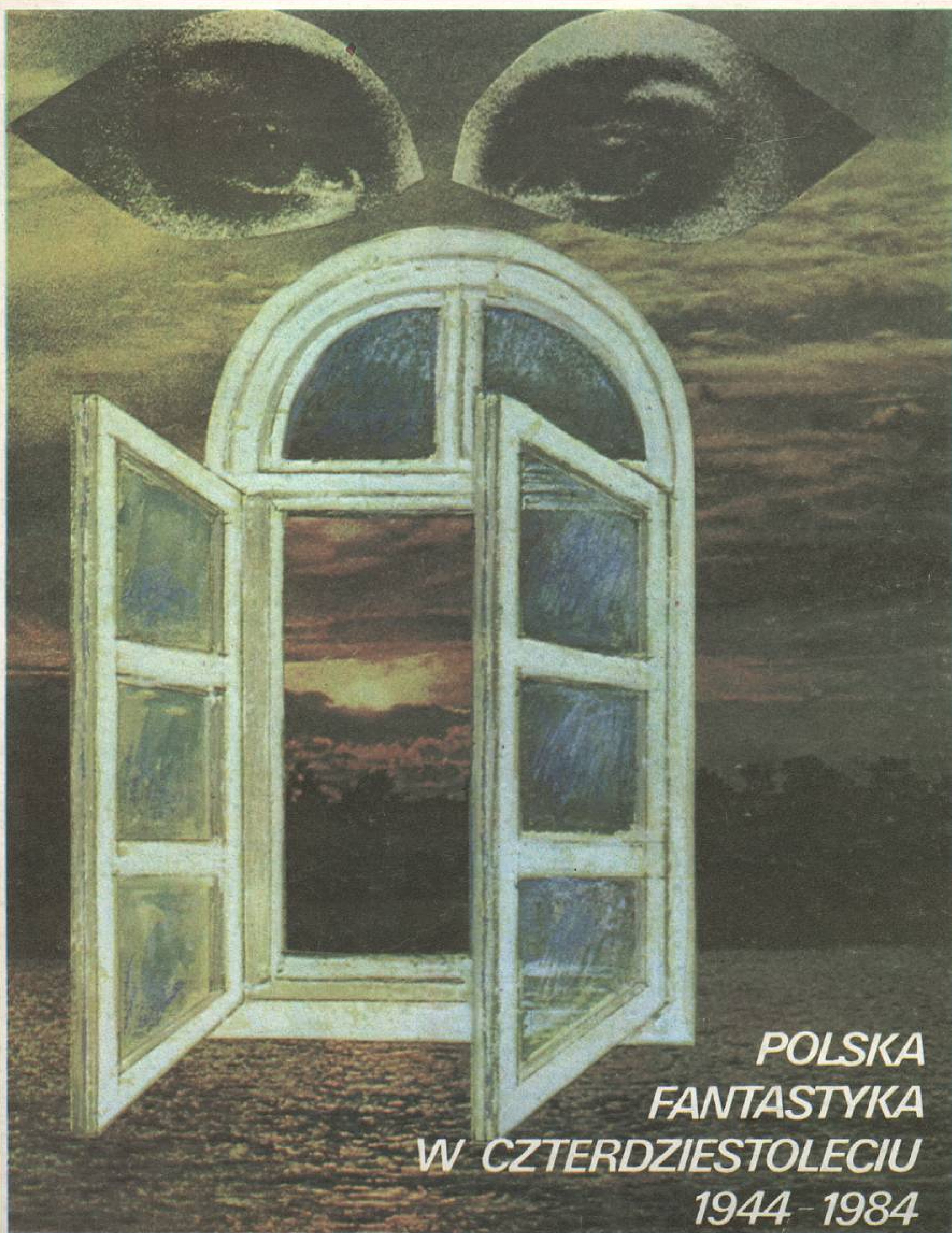
MIESIĘCZNIK

Fantastyka

7 (22) LIPIEC 1984 CENA 50 ZŁ

PL ISSN 0209-1631



POLSKA FANTASTYKA W CZTERDZIESTOLECIU

Powojenna fantastyka naukowa przeobraziła oblicze polskiej SF. Wbrew pozorom pierwszymi książkami nie były powieści Stanisława Lema. Co prawda, „Człowiek z Marsa" ukazał się już w roku 1946, ale w katowickim czasopiśmie „Nowy Świat Przygód" i po kilku latach został całkowicie zapomniany. Pierwsze książkowe wydania SF pochodzą z roku 1947. „Schron na Placu Zamkowym" (powieść o Warszawie 1980) pióra stołecznego dziennikarza **Andrzeja Ziemięckiego** wydrukowano najpierw na łamach „Kuriera Codziennego", a sam pomysł zrodził się jeszcze wcześniej, pod koniec drugiej wojny światowej. „Baczność A-R-7" (powieść o atomie) dramaturga **Kazimierza Wroczyńskiego** poznawali czytelnicy „Expressu Wieczornego". Takie były początki. Renesans polskiej SF przebiegał pod hasłem zachowania wartości instrumentalnych, dydaktycznych, popularnonaukowych. Ale takie były również oczekiwania: prognoza, ostrzeżenie, popularyzacja.

Pamiętano i o przeszłości: książkach **Bolesława Prusa, Jerzego Żuławskiego, Antoniego Słonimskiego.** Co prawda, stan świadomości krytycznej był jeszcze nader niski, lecz o przedwojennych zasługach SF przypominały wznowienia tekstów **Władysława Umińskiego.** Sylwetki prekursorów **Antoniego Langego, Sygurda Wiśniowskiego, Włodzimierza Zagórskiego** ukazywała antologia „Polskiej noweli fantastycznej" (1949) redagowana przez autora „Balu w operze" – **Juliana Tuwima.** O popularności naszej beletrystyki świadczyło głośne oskarżenie **Mieczysława Smolarskiego,** twórcy „Miasta światłości" (1924), wysunięte pod adresem „plagiatora" Aldousa Huxleya i jego „Nowego wspaniałego świata" (1932).

Lata pięćdziesiąte w polskiej SF wyznaczają nieprzerwaną dominację prozy **Stanisława Lema.** Książkowy debiut tego autora („Astronauci", 1951) postawił wszystkich przed faktem dokonanym, ale dziś, z perspektywy kilku dziesięcioleci, nie chce się wierzyć z jaką trudnością przychodziło utwierdzić nową formułę literacką w świadomości krytyków i odbiorców. Rzadko która powieść była wówczas tak ostro i wszechstronnie recenzowana. W obronie Lema zabierali głos: **A. Tylewicz, A. Hollanek, A. Trepka, A. Kijowski, L. Grzeniewski.** Wkrótce i sam autor „Astronautów", zbulwersowany sądami „znawców", zabrał się do wyjaśniania celów fantastyki naukowej stale doskonaląc swój warsztat pisarski. I tak, porzucał Lem kolejno założenia romansu utopijno-przygodowego („Obłok Magellana", 1959), prozy socjologicznej i psychologicznej („Pamiętnik znaleziony w wannie", 1961, „Solaris", 1961), wykorzystywał osiągnięcia nowoczesnej groteski, motywy baśni („Dzienniki gwiazdowe", 1957; „Księga robotów", 1961, „Cyberiada", 1965), konstrukcje eseju filozoficznego („Głos Pana", 1968), kryminalnej odmiany SF („Śledztwo", 1959, „Katar", 1976). Jego utwory zapewniły mu miejsce w czołówce światowej SF obok G. Ballarda, U. Le Guin, A. Clarke'a, I. Asimova, a wysokie nakłady tłumaczeń sprawiły, że po kilkunastu latach stał się Lem „ambasadorem" polskiej literatury ustępując pola jedynie... Henrykowi Sienkiewiczowi. Tego faktu nie sposób przemilczeć, zatrzeć w zbiorowej pamięci kultury.

Lem należy do pokolenia Kolumbów, które wydało Krzysztofa Baczyńskiego, Romana Bratnego, Tadeusza Borowskiego, Mirona Białoszewskiego, Tadeusza Różewicza. Jeśli pamiętać o biografii polskiego fantasty, przestanie nas dziwić, że w jego prozie pojawiają się nieustanne świadectwa przeżyć okupacyjnych, motywy rozrachunkowe, a słynna „ucieczka od literatury" wydaje się nie tyle efektem rozczarowań wobec wszechmożności SF, ile próbą poszerzenia jej ambicji poznawczych.

Razem z autorem „Solaris" tworzą inni nestorzy polskiej fantastyki naukowej: **Adam Hollanek, Krzysztof Boruń, Andrzej Trepka.** Dwaj ostatni, współzałożyciele „Polskiego Towarzystwa Cybernetycznego", debiutują trylogią: „Zagubiona przyszłość" (1954), „Proxima" (1956), „Kosmiczni bracia" (1959), aby po latach pisać już na własny rachunek zdobywając coraz większe uznanie czytelników. Krytyczno–literackie refleksje Krzysztofa Borunia stanowią nawet pewną przeciwwagę wobec nadmiernie wygórowanych, futurologicznych wymagań Lema. Adam Hollanek, filolog, dziennikarz, popularyzator nauki debiutuje jedną z ciekawszych antyutopii 40-lecia – „Katastrofą na »Słońcu Antarktydy«" (1958), on też próbuje pośrednictwa między powieścią kryminalną i scientyficzną („Zbrodnia wielkiego człowieka", 1960), aby po latach dopracować się formuły literackiej wykraczającej poza rygorystyczne motywacje naukowe („Olśnienie", „Kochać bez skóry").

Wypowiedzi Stanisława Lema, jego surowe werdykty krytyczne paraliżują innych prozaików, prowadząc do mało znaczących naśladownictw. Z tego schematu wyłamują się czasem utwory poznańskiego poety **Edwarda Morskiego** i **Witolda Zegalskiego** związanego z literacką grupą „Swantewit". Dopiero jednak u schyłku lat 50-tych debiutują przedstawiciele następnego pokolenia, rówieśnicy Nowaka, Brylla, Grochowiaka. Dzieje się to pośrednio za sprawą **Zbigniewa Przyrowskiego** zwanego „Gernsbackiem polskiej SF", który w tym trudnym, pełnym nadziei okresie wprowadza fantastykę na łamy „Młodego Technika". Tam też pojawiają się opowiadania warszawskiego cybernetyka **Konrada Fiałkowskiego,** późniejszego współzałożyciela „The World SF Association of Professionals", autora „Kosmodromu" (1975), „Włókna Claperiusa" (1969), powieści „Homo divisus" (1979). W „Młodym Techniku" gości **Janusz Zajdel** ujawniający spore zdolności warsztatowe, który zaczyna od lekkich, dowcipnych tekstów socjologicznych, aby po latach rozbudzić namiętności czytelników odważną alegorią spod znaku „Limes inferior" (1982). Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych debiutują również – z wyraźnym opóźnieniem – **Stefan Weinfeld, Andrzej Ostoja** i **Henryk Gajewski.** Rok 1960 przynosi pierwsze wypowiedzi **Czesława Chruszczewskiego,** poznańskiego działacza i popularyzatora SF, twórcy kilkuset opowiadań, powieści, scenariuszy filmowych i telewizyjnych („Fotel na autostradzie", 1960; „Rok 10 000", 1973; „Fenomen Kosmosu", 1975). Niektórzy krytycy twierdzą, że autor „Magicznych schodów" stworzył poetycką odmianę SF, inni z wyraźną rezerwą odnoszą się do jego prób literackich, ale warto pamiętać, że przed kilkunastu laty zaliczano Chruszczewskiego do grona czołowych prozaików SF. W tym samym czasie startowali pisarze „Orientacji Hybrydy" (K. Gąsiorowski, E. Stachura, Z. Jerzyna, Z. Bordowicz), a swoją „przygodę z fantastyką" rozpoczynali autorzy starszej generacji: **J. Dobraczyński, S. Mrożek, J. Jesionowski, H. Malewska, Z. Grzybowska, K. Truchanowski** i **T. Parnicki** (ten ostatni, jako twórca intelektualnej powieści historyczno-fantastycznej).

Koniec lat sześćdziesiątych, wraz z nową sytuacją w literaturze polskiej (debiuty J. Kornhausera, W. Jaworskiego i in.), kryzysem dawnych wartości i pogłębionym wizerunkiem świata przynosi wystąpienie autorów „Nowej Fali": **Andrzeja Czechowskiego, Macieja Parowskiego, Andrzeja Stoffa i Zbigniewa Dworaka.** Już wkrótce dołączą do nich następni: **Wiktor Żwikiewicz, Czesław Białczyński** i **Jacek Sawaszkiewicz.** Teoretyk fizyki – Andrzej Czechowski doprowadza do perfekcji groteskową odmianę SF („Przybysze", 1967). Andrzej Stoff, wykładowca akademicki z Torunia, pisze bardzo oszczędnie rozważając etyczne konsekwencje forsownego postępu technicznego. Maciej Parowski, dziennikarz i krytyk filmowy, debiutujący na łamach czasopism społeczno–kulturalnych, okaże się wkrótce jednym z ciekawszych prozaików swej generacji, a jego książka z roku 1981 („Twarzą ku ziemi") będzie otwartym rozrachunkiem z pokoleniowych przeżyć, mitów i rozczarowań. Wiktor Żwikiewicz – geodeta z Bydgoszczy, autor niezwykle dojrzały, a jednocześnie tak trudny w ocenie krytycznej, wyłamuje się z kręgu literatury popularnej niebywałą świeżością wizji, plastyką obrazów, barokowym spiętrzeniem form i co ważniejsze – refleksjami o charakterze autotematycznym („Druga jesień", 1982).

Rok 1968 to również spóźniony debiut **Adama Wiśniewskiego-Snerga,** który wkracza do polskiej fantastyki jako autor „Robota" (1973), powieści traktującej o „przeklętych problemach filozoficznych", przyjętej z euforią przez krytyków i czytelników gatunku. O skali tego entuzjazmu może świadczyć fakt, że w jednym z krajowych plebiscytów SF książka Wiśniewskiego-Snerga została uznana za najwartościowszą w historii 30-lecia, a o „następcy Lema" pisali w superlatywach: **L. Mazlarski, L. Bugajski** i **L. Bajerowicz.** Kolejne powieści („Według łotra", 1978; „Nagi cel", 1980) nie wywołały już zbiorowych zachwytów, ale stały na równie wysokim poziomie i nic nie straciły ze swej aktualności.

W roku 1971 pojawia się pierwsza książka katowickiego orientalisty **Bohdana Peteckiego** („W połowie drogi"), należącego do najbardziej popularnych autorów 40-lecia (w sumie 16 pozycji prozatorskich, m.in. „Strefy zerowe", 1972; „Tylko cisza", 1974; „Operacja wieczność", 1975).

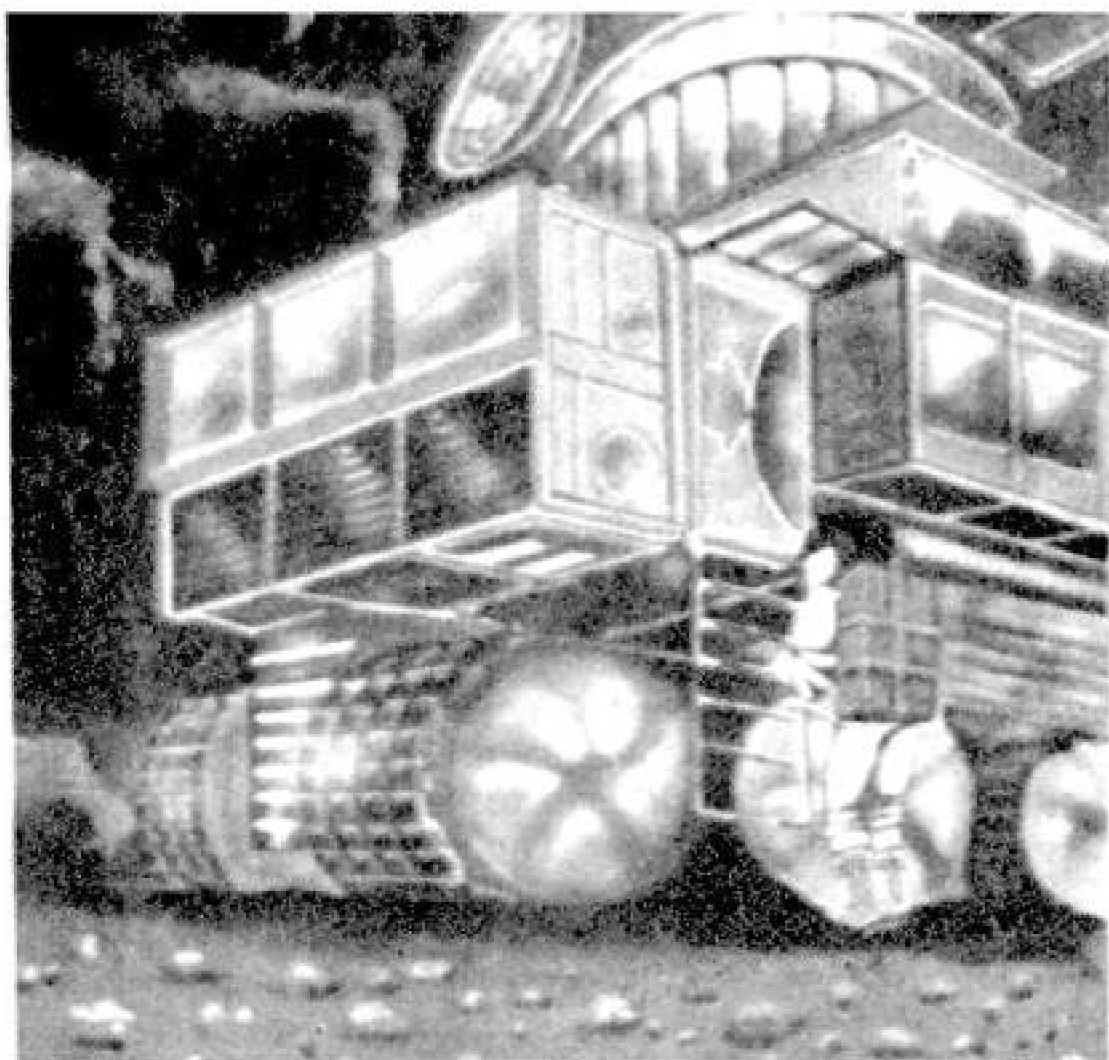
Przełom lat 60-tych i 70-tych to duży postęp w polskiej krytyce gatunku. W roku 1969 ukazuje się dysertacja doktorska **Ryszarda Handkego** – „Polska proza fantastyczno-naukowa. Problemy poetyki", a w rok później „Fantastyka i futurologia" Stanisława Lema. Niemal równolegle powstają artykuły **Jana Trzynadlowskiego** i **Witolda Ostrowskiego.** O Żuławskim piszą: **Helena Karwacka** i **Anna Gorenlowa**, o Adamie Mickiewiczu – **Stefania Skwarczyńska** o Stefanie Grabińskim – **Artur Hutnikiewicz.** Losy powojennej fantastyki omawiają: **Juliusz Garztecki** i **Tadeusz Gosk.** Fantastyką naukową interesują się krytycy tej miary, co **J. Z. Lichański, P. Kuncewicz, W. Sadkowski,** a nawet autor „Zmiany warty" – **Jan Błoński** i warszawski historyk literatury, pedagog uniwersytecki – **Andrzej Lam.** Warto jednak pamiętać, że są to omówienia nadzwyczaj surowe: na „nobilitację" zasługują jedynie teksty Stanisława Lema, a o recenzjach popularnych antologii w takich czasopismach, jak „Nurt", „Kultura", czy „Życie Literackie" nie ma jeszcze co marzyć.

Istotną zmianę przynosi dopiero połowa następnej dekady. Postępująca industrializacja, przeobrażenia świadomości społecznej pobudzają do konfrontacji marzeń z aktualnym status quo, wymuszają kolejne debiuty literackie. Fantastyka naukowa przybiera formy instytucjonalne: powstają pierwsze kluby zrzeszające pisarzy, sympatyków SF (dopiero jednak w roku 1981 zostaje założone „Polskie Stowarzyszenie Miłośników SF"). Proza młodych nie unika opisu rzeczywistości, ale jest równie odległa od intelektualnego i językowego pogłębienia problemów, które w nurcie głównym literatury Polski Ludowej zaowocują wkrótce zjawiskiem „rewolucji artystycznej" (J. Anderman, J. Łoziński, R. Schubert). Na łamach poznańskiego „Nurtu" debiutuje **Mieczysław Kurpisz,** współtwórca grupy „Fikcje" (1975), a w warszawskim „Nowym Wyrazie" (1977) współzałożyciele „OKMFiSF": **Marek Oramus, Jacek Rodek, Darosław Toruń, Andrzej Wójcik, Andrzej Krzepkowski** i **Jan Maszczyszyn.** To właśnie spośród nich rekrutują się najbardziej znani przedstawiciele „generacji '75": Marek Oramus – autor „Sennych zwycięzców" (1982) i Andrzej Krzepkowski mający w swym dorobku kilka pozycji wydawniczych („Obojętne planety", 1978; „Śpiew kryształu", 1982; „Kreks", 1982). Science fiction zostaje wprowadzona na łamy czasopism popularnonaukowych i społeczno-kulturalnych: „Problemów", „Perspektyw", „Nowego Wyrazu", „Tygodnika Demokratycznego", „Argumentów", „Przeglądu Technicznego". Rozszerza się liczba antologii i serii wydawniczych (do ważniejszych należy almanach „Kroki w nieznane" redagowany przez **Lecha Jęczmyka).** Fantastykę naukową drukuje z dużym sukcesem Wydawnictwo Poznańskie, Literackie, Czytelnik, Nasza Księgarnia, Śląsk i MON, a także KAW (w tym ostatnim od roku 1982 ukazuje się „antologia młodych" – „Spotkanie w przestworzach"). Swoje książki wydają za granicą: Krzysztof Boruń, Adam Hollanek, Konrad Fiałkowski, Janusz Zajdel i Adam Wiśniewski-Snerg. Badania krytyczne kontynuują literaturoznawcy z ośrodków uniwersyteckich: **Andrzej Zgorzelski,** autor fundamentalnej pracy „Fantastyka – utopia – science fiction" (1980), **Antoni Smuszkiewicz,** twórca popularnego zarysu historii polskiej SF („Zaczarowana gra", 1982), **Ewa Balcerzak** – biografistka Lema, **Piotr Krywak, Andrzej Stoff,** a także niżej podpisany, parający się teorią i historią gatunku od połowy lat siedemdziesiątych. Szkice i artykuły pojawiają się na łamach „Przeglądu Humanistycznego", „Ruchu Literackiego", „Nurtu", „Odry", „Miesięcznika Literackiego," a niektóre hasła przenikają do słowników, encyklopedii i podręczników uniwersyteckich. Rośnie liczba profesjonalnych krytyków SF w osobach: **Leszka Bugajskiego** („Spotkania drugiego stopnia", 1983), **Marka Englendera, Andrzeja Ziembickiego, Zbigniewa Lekiewicza, Anny Purskiej, Jerzego Siewierskiego, Barbary Okólskiej, Doroty Walasek.**

Jakościowo nową sytuację stwarza powstanie „Fantastyki" (1982), pierwszego specjalistycznego miesięcznika poświęconego sprawom beletrystyki fantastycznej. Ocena jego działalności nie do nas będzie należeć, choć nie ulega wątpliwości, że to ogólnopolskie forum literackie ujawniło już wiele talentów, pozwoliło spopularyzować historię polskiej SF, przerzucić mosty pomiędzy przeszłością a teraźniejszością.

Jeśli w tym krótkim bilansie 40-lecia pominąłem nazwiska niektórych pisarzy i krytyków – niech nie czują się urażeni. Autorów-profesjonalistów jest dziś około pięćdziesięciu, a liczbę wydawanych corocznie książek i przekładów naprawdę trudno policzyć (ostatnio ok. 70 pozycji). Ta statystyka świadczy dobitnie o niebywałym wzroście zainteresowania fantastyką naukową i pozwala z wyraźnym optymizmem wnioskować o jej przyszłości.

Andrzej Niewiadowski



14

Rozległa wiedza autora i talent pisarski złożyły się na niezwykle sugestywny obraz Księżyca, widziany oczami bohatera wędrującego przez Mare Crisium. Z opowiadania przebija tęsknota, obecna w tak wielu utworach SF, za pierwszym kontaktem z rozumem i cywilizacją innymi niż te, które zrodziła nasza planeta.
Arthur C. Clarke – „Wartownik"



Jacy byliśmy 40 lat temu, a raczej jacy byli ci Polacy, którzy zabrali się zaraz po straszliwych zniszczeniach wojennych do odbudowy kraju. Z zakasanymi rękawami. Bo maszyn do dyspozycji było wówczas niewiele. Za to była fantazja, energia i rzecz chyba najważniejsza – wielka chęć uczenia się, zdobywania wiedzy. Tę pasję awansu intelektualnego i kulturalnego, która bardzo szybko zdobyła w naszym kraju szanse urzeczywistnienia, postawiłbym na pierwszym miejscu, na głównym miejscu w obrazie Polaka z pierwszych lat po wyzwoleniu. Myślę, że cecha ta nie zanikła i w następnych latach.

Przecież ogromna, ciągle rosnąca fala kształcenia się, dokształcania, czytelnictwa, która zmiatała i zmiata książki z lad i spod lat księgarskich, jest w naszej kulturze zjawiskiem dominującym. Nawet w dobie obecnego kryzysu sukcesy takiego negatywu jak czarny rynek książki – świadczą o tym, że w żadnym wypadku z awansu intelektualnego, ze zdobyczy kultury współczesny Polak nie rezygnuje. Powodzenie fantastyki naukowej, która wiąże w jakiś sposób marzenia z naukową rzeczywistością, to także signum polskiego mierzenia sił na zamiary, a marzeń na naukowe możliwości.

Wszyscy obserwujący świat w ciągu owych ubiegłych czterdziestu lat są świadkami ogromnych przemian, jakie wokół nas zachodzą. Zmienia się sytuacja także nauki oraz sama tak popularna fantastyka. Tematy jej się wymykają. Nauka szybko i zarazem bezlitośnie materializuje fantastyczne pomysły i marzenia. W przestrzeni kosmicznej coraz więcej pojazdów i ludzi. Ileż ze swego romantyzmu utracił Księżyc odkąd odwiedzili go pierwsi kosmonauci. Ostatnio zaś wyczytałem inne, druzgocące dla SF stwierdzenia nauki. Niestety, to ona, nauka, to jej osiągnięcia robią z wielu kosmicznych pomysłów rzeczywistość. A światowa rzeczywistość ze swoim wyścigiem nie tylko techniki, ale i zbrojeń, ze wszystkim, co przenosi ziemskie ambicje i ambicyjki w tereny dawnych marzeń, często nas rozczarowuje.

Legendarna Atlantyda, *„tajemniczy ląd, który miał przed tysiącami lat pogrążyć się w falach morskich, od dawna pobudzał wyobraźnię zarówno pisarzy jak i badaczy".* Dogłębne, dosłowne i w przenośni, studia tych ostatnich, polegające na szczegółowym poznawaniu budowy geologicznej dna oceanu Atlantyckiego, przyniosły rewelacje wręcz unicestwiające wszelkie dotychczasowe spekulacje.

Koniec legendy o Atlantydzie. Przynajmniej koniec takiej legendy, która przyjmowała za prawdopodobne, że istniał jakiś ląd, a na nim ciekawa, bogata cywilizacja i wszystko to jak w biblijnym potopie zatopiły fale.

W rejonach oceanicznych podejrzanych o tego rodzaju katastrofę, jak udowodniono niezbicie: *„w ciągu całej geologicznej historii Atlantyku nie występowały żadne ruchy obniżające. Ocean powstał w wyniku stałego rozszerzania się gigantycznej szczeliny* (w skorupie ziemskiej). *Stopniowo odpływała na zachód Ameryka Południowa od Afryki, a na półkuli północnej Ameryka Północna od Euroazji. Z dna gigantycznej szczeliny wypływała z głębin ziemi lawa, tworząc stopniowo potężny łańcuch górski... Jak wykazały badania zboczy podwodnych gór Atlantyku i osadów dennych u ich podnóża – nie występują tam najmniejsze ślady struktur pochodzenia lądowego... Również wyspy Środkowego Atlantyku – Azory, Kanaryjskie, Zielonego Przylądka, podnoszą się do góry, a nie opadają".* Żadnej katastrofy być nie mogło. Gdzie szukać legendarnej Atlantydy? Jak wyjaśnić wiele zjawisk, które jej rzekome istnienie miało powodować? Na przykład podobieństwa cywilizacji i kultur oddalonych od siebie lądów?

Bardzo mnie uderzyła ta wiadomość o zmierzchu legendy. Burzy się jak gdyby stary, pełen romantyzmu świat, zastępuje bogate obrazy, tak mocno przecież od pokoleń wrośnięte w człowieczą wyobraźnię, aby w zamian za to dać pełną pytań nową zagadkę.

Wyrosła niewątpliwie z fantazji nauka, inną drogą więc kroczy, a raczej pędzi, niż wyobraźnia ludzka. Od wielu już lat, odkąd chirurgia rozpoczęła w miejsce starych zużytych serc wszczepiać świeże (z różnym zresztą powodzeniem) mit o wyjątkowości tego organu, organu, który stał się symbolem najlepszych ludzkich emocji, począł się chylić ku upadkowi. W dawnej poezji o sprawy serca – z użyciem tego wyrazu symbolu potykamy się na każdym kroku. To trwa jeszcze, ale już z mniejszą siłą niż dawniej. Wkrótce jednakże symbol ulegnie zupełnemu wyświechtaniu. W dodatku stanie się bezsensowny. Czy można bowiem wyobrazić sobie jako symbol coś, co staje się po prostu zwyczajną częścią zamienną?

Wyobraźnia nasza, fantazja musi więc szukać sobie nowych pojęć i nowych symboli, szukać tego, co nauce trudno będzie zbanalizować. Tym tłumaczy się chyba także między innymi nasz fin-de-siècle'owy przeskok do jak gdyby nowego gatunku fantastyki, który obecnie poczyna robić światową karierę – do fantasy.

Jest to baśń, w której wszystkie chwyty, nawet antynaukowe, bywają dozwolone. Więcej, powiedziałbym, że ta nowa baśń wyraźnie stwarza jakąś fikcyjną niby-naukę dla wsparcia swoich niewiarygodnych przygód, na przykład w podróżach prędkości przekraczają graniczną szybkość rozchodzenia się promieniowania świetlnego. I rzecz ciekawa, zaraz po tych niby to antynaukowych próbach fantastyki, albo obok nich, pojawiają się poszukiwania i pierwsze wzmianki w naukowych czasopismach o autentycznych odkryciach i teoriach pozostających jak gdyby w sprzeczności z fizyką, w której światło jest głównym i ostatecznym miernikiem czasu i przestrzeni. A więc zachowana została kolejność zdarzeń, którą zawsze podkreślają kosmonauci, gdy pyta się, co ich pchnęło w ryzyko odkryć międzyplanetarnych. Mówią: *„Najpierw czytaliśmy fantastykę, a potem zostaliśmy kosmonautami".* I dodają: *„Bez literatury SF bylibyśmy zwykłymi inżynierami".*

Podobnie jest – pozwólcie, że wrócę do sprawy, od której rozpocząłem ten felieton – z nami, z naszym narodem. Łączy nas wszystkich: tych co jeszcze pamiętają tamte, powojenne bezpośrednio lata odbudowy i tych, którzy ich już nie mogą pamiętać, z młodszych pokoleń – taka sama pasja zdobywania wiedzy, awansu duchowego, intelektualnego. I może to nas różni od wielu innych. Czyni z nas nie tylko zwykłych „zjadaczy chleba".

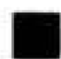
10, 9, 8, 7, 6, 5, 4, 3, 2, 1, 0...

Adam Hollanek

■

MIESIĘCZNIK literacki **fantastyka**

02-784 Warszawa-Ursynów, ul. Służby Polsce 2
tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy)



Redakcja: Adam Hollanek (red. nacz.), Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. działu publicystyki kulturalnej), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Wiktor Malski (sekr. red.), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Krzysztof Szolginia (z-ca sekr. red.), Anna Szubka, Jarosław J. Toruń.

Opracowanie graficzne: Andrzej Brzezicki i Marek Zalejski.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 24-72-91 do 93.

Terminy przyjmowania prenumeraty: do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny, do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: P. Z. Graf. RSW Łódź.

Nr indeksu 35839. Zam. 1725/84 r. T-70. Nakład 140 000 egz.

LĄDOWANIE XVII

Ankieta część prawdy powie

Był to nasz pierwszy sondaż gustów czytelniczych ubrany w formę ankiety. Pragnęliśmy zdobyć nieco dokładniejszą orientację w gąszczu różnorodnych, nieraz bardzo sprzecznych, próśb i dezyderatów wyrażanych w kierowanej do nas korespondencji. Zdawaliśmy sobie sprawę, że rozpisana przez nas ankieta nie może dać pełnej odpowiedzi na wszystkie nasze pytania i nie zamknie dyskusji nad zawartością numerów „Fantastyki”. Odczytując jej wyniki, należy brać bowiem pod uwagę, że wiele osób, które zdecydowały się na wysłanie nam odpowiedzi, kierowało się nie tylko tym, co obserwowało w naszych numerach, lecz również ogólną sytuacją SF w krajowym ruchu wydawniczym. A ponieważ ruch ten opiera się na różnych systemach wydawania książek, jedne wydaje w dużych nakładach, choć bywają to np. rzeczy debiutanckie, a inne w mniejszych, mimo że dotyczy to autorów krajowych czy zagranicznych najbardziej poszukiwanych. Dobór autorów bywa w wielu wypadkach wynikiem osobistych kontaktów wydawców czy tłumaczy z autorami. W sumie dużo przypadkowości, co może czasem zawrócić w głowie miłośnikom literatury fantastycznej. Trzeba jednak przyznać, że wybór utworów i autorów, jakiego dokonali w ankiecie świadczy na ogół o ich niezłej orientacji w wartościach prezentowanej w kraju SF i o dobrym smaku. Zresztą Czytelnicy sami ocenią wyniki ankiety. Jest ona w jakiejś mierze wypadkową ich własnych sądów. Prosimy o listy w tej sprawie. W odpowiedzi na pytania ankietowe, ogłoszone w numerze 7/83, nadeszło 379 listów.

I. Kto nas czyta

	do 14 lat	14–20 l.	20–40 l.	ponad 40 l.
chłopcy i mężczyźni	23	158	164	4
dziewczęta i kobiety	–	16	12	2

Na 379 respondentów – 92 % to chłopcy i mężczyźni. Respondenci do 20 roku życia stanowili około 52 %, a powyżej 20 lat – około 48 %. Do najstarszych zalicza się ponad 60-letni emeryt – z zawodu socjolog.

II. Gdzie mieszkają

Aż 86 % naszych respondentów mieszka w dużych i średnich miastach, a tylko 14 % w małych miasteczkach i na wsi. Tę proporcję, a raczej dysproporcję między czytelnictwem „Fantastyki” w wielkich i małych ośrodkach, należy przyjąć z pewną rezerwą, wynikającą z działalności kolportażowej „Ruchu”. Po prostu niewielki w stosunku do zapotrzebowania nakład pisma jest rozprowadzany przede wszystkim w wielkich miastach. Do małych miasteczek i na wieś docierają tylko nieliczne egzemplarze.

III. Jak wykształceni

uczniowie szkół podstawowych – 21 (6%)
uczniowie szkół średnich –137 (36%)
studenci – 79 (21%)
pracujący (wykształcenie techniczne) – 104 (27%)
pracujący (wykształcenie humanistyczne) – 38 (10%)

Tak więc większość naszych respondentów (63%) to osoby uczące się. Wśród pracujących przeważają inżynierowie, technicy i robotnicy różnych specjalności, nauczyciele, lekarze, prawnicy, ekonomiści i oficerowie służby czynnej.

IV. Co lubią

Najczęściej czytywane pozycje w „Fantastyce” to: 1 – powieści (325 głosów), 2 – opowiadania (307), 3 – recenzje i wywiady (196), 4 – komiks (94), 5 – nauka (78), 6 – słownik polskich autorów fantastyki (51), 7 – pożółkłe kartki (48), 8 – „Lądowanie” (29).

Obliczyliśmy, że około 80% respondentów czyta zawsze i w pierwszej kolejności – powieści, opowiadania i recenzje. W ogóle Czytelnicy domagają się – i powtarza się to uparcie w listach po ankiecie – ograniczenia innych pozycji niż związane z literaturą.

V. Krótkie czy długie

W odpowiedzi na pytanie co lubię – utwory i artykuły krótkie, średnie, czy długie (w odcinkach) – padło:

- 92 % głosów na utwory średnie (opowiadania!),
- 68 % na utwory krótkie (artykuły!),
- 52 % na powieści w odcinkach.

VI. Najpopularniejsi autorzy

A. Polscy

Respondenci proponowali najczęściej po kilka nazwisk na pierwsze, drugie i trzecie miejsce. Na liście, którą podajemy, uwzględniliśmy jedynie głosy na nazwiska autorów typowanych na miejsce pierwsze.

Bezapelacyjną większością głosów (132) na czoło całej tabeli wysuwa się Stanisław Lem. Za nim uplasował się Janusz Zajdel (91 głosów). Nazwiska pozostałych autorów podajemy w kolejności alfabetycznej, ponieważ otrzymali oni mniej głosów, a różnice punktów były między nimi minimalne. Cała zaś pierwsza dziesiątka wygląda następująco: 1. Lem, 2. Zajdel, 3–10. Baraniecki, Fiałkowski, Hollanek, Krzepkowski, Oramus, Parowski, Petecki, Wiśniewski-Snerg.

B. Zagraniczni

1. Dick (123 głosy), 2. Strugaccy (97), 3. Asimov (29), 4–6. Aldiss, Harrison, Mc App (po 22), 7. Zelazny (21), 8. Bułyczow (20), 9. Clarke (12), 10. Bradbury (11).

VIII. Najpopularniejsza powieść (drukowana w „Fantastyce”)

1. Aleja Potępienia (74 głosy), 2. Zapomnij o Ziemi (73), 3. Świat czarownic (37), 4–5. Pieśń dla Lyanny, Przełęcz (po 23), 6. Żuk w mrowisku (16), 7. Houston, Houston... (10).

Wydaje się, że lista ta ilustruje doskonale różnorodność gustów czytelniczych. Pozycje przygodowo-rozrywkowe pomieszano z pozycjami zawierającymi spory ładunek intelektualny. Jednakże Czytelnicy wyraźnie opowiadają się (i jedni, i drudzy) za powieściami o wartkiej akcji i cenią sam sposób pisania. Wszystkie bowiem wymienione powieści cechuje bardzo dobre, lub co najmniej dobre, rzemiosło pisarskie.

VIII. Najlepsze opowiadanie (drukowane w „Fantastyce”)

A. Polskie

1. Karigoro godz. 18 (31 głosów), 2. Głowa Kasandry (26), 3. Posłaniec (14), 4. Mistrz (13), 5. Pomóż swojej gwieździe (12), 6. Opowiedz mi o spadających gwiazdach (10), 7–9. Umarł w butach, Zabawa w strzelanego, Zakład zamknięty (po 8), 10. Zadziwiający przypadek fascynacji (7).

B. Zagraniczne:

1. Wojna moja miłość (37 głosów), 2. Fundacja (34), 3. Uczeń domokrążcy (30), 4. Planeta burz (29), 5. Duch V (28), 6. Shambleau (21), 7. Ziemia Ozyrysa (20), 8. Ostatnia runda (14),). Podróż (13), 10. Sługa miasta (10).

Spora liczba respondentów oceniała osobno kilka pozycji krajowych i zagranicznych, które niezależnie od tego, co zamieszcza lub o czym pisze „Fantastyka”, wzbudziły spore zainteresowanie. Były to pozycje krajowych autorów takich, jak: Lem (Solaris i Dzienniki gwiazdowe), Zajdel (Limes inferior), Fiałkowski (Homo divisus), Wiśniewski-Snerg (Robot). A jeśli chodzi o autorów zagranicznych: Dick (Słoneczna loteria i Ubik), Aldiss (Cieplarnia), Wyndham (Dzień Tryfidów), Śniegow (Dalekie szlaki), Strugaccy (Piknik na skraju drogi).

IX. Co się nie podoba

Oczywiście, pragnęliśmy się dowiedzieć, co chętnie Czytelnicy usunęliby lub ograniczyli na łamach „Fantastyki”. Na 379 respondentów uwagi na ten temat miało 299 osób, to jest 79%. Pozostali twierdzili natomiast, że wszystko co ukazuje się w piśmie w pełni akceptują. Oto uwagi powtarzające się najczęściej. Kontrowersje wzbudzał komiks, racje jego istnienia lub nieistnienia, jego poziom. Zwolennicy i przeciwnicy występowali mniej więcej w stosunku 1:1. Krytykowano także druk powieści w odcinkach za jej „wycinankowość” i w związku z tym trudności w czytaniu. Narzekano na niepunktualne ukazywanie się pisma, ubogą szatę graficzną, jakkolwiek wiele osób wykazywało zrozumienie dla naszych kłopotów z poligrafią. Utyskiwano na trudności bezpośredniej komunikacji ze względu na duże wyprzedzenie, z jakim musimy przygotowywać numery.

X. Postulaty i propozycje

Czytelnicy żądali lub prosili o: 1. Stałą rubrykę filmową, a także i muzyczną. 2. Słownik pisarzy zagranicznych, z fotografiami autorów. 3. Więcej wywiadów z pisarzami polskimi. 4. Poezję. 5. Humor. 6. Więcej utworów z gatunku space opera i fantasy. 7. Genezę gatunków literatury fantastycznej. 8. Aktualne wiadomości wydawnicze. 9. Więcej opowiadań, a także powieści autorów krajowych, zwłaszcza tych najpopularniejszych.

Wszyscy respondenci: pismo ogromnie potrzebne, poszukiwane, ciekawe i różnorodne, dlatego też trzeba zwiększyć: (a) nakład, (b) objętość.

Sporo tego. Warto na zakończenie ankiety dać, na razie krótką i lapidarną, odpowiedź jej uczestnikom, zwłaszcza na ich dezyderaty. Niektóre Wasze propozycje już postaraliśmy się spełnić. Rozpoczęliśmy stały cykl wywiadów z autorami polskimi. Na pierwszy ogień poszli Zajdel i Żwikiewicz, będziemy rozmawiać z Boruniem i Fiałkowskim. Zapowiadamy również rozmowy ze Snergiem, Trepką i wieloma innymi. Pragniemy, aby rozmowy z pisarzami polskimi stały się naszą stałą pozycją. Poezję na łamy, zgodnie z żądaniami wielu Czytelników, już wprowadziliśmy. Przygotowujemy numery poświęcone fantasy. Zwrócimy się do autorów krajowych z prośbą o przygotowanie specjalnych utworów nowelistycznych dla „Fantastyki”. Ta najpopularniejsza na świecie forma jest u nas w kraju nieco zaniedbana na korzyść powieści, którą – jak twierdzą wydawcy – łatwiej sprzedać. Reszta postulatów w dyskusji. Mimo że nieustannie walczymy o zwiększenie nakładu i objętości, na razie na skutek sytuacji w papiernictwie i poligrafii, niewiele zdołamy zrobić.

Wszystkim uczestnikom ankiety serdecznie dziękujemy. Wkrótce rozlosujemy nagrody książkowe. Może jeszcze w tym roku rozpiszemy następną ankietę. Nie mogąc, ze względu na długie procesy przygotowywania numeru w drukarniach, nawiązywać bardziej bezpośrednich, szybkich kontaktów z Czytelnikami, będziemy stale dbali o sondaż Waszej opinii.

Redaktor

List od Clearysów

Connie Willis

(A Letter From the Clearys)

Na poczcie był list od Clearysów. Włożyłam go do torby razem z czasopismem pani Talbot i wyszłam odwiązać Stitcha.
Rozciągnął swoją smycz jak tylko się dało i siedział za rogiem, na wpół przyduszony, przyglądając się drozdowi. Stitch nigdy nie szczeka, nawet na ptaki. Nawet nie pisnął, kiedy ojciec zszywał mu łapę. Po prostu siedział na ganku, tak jak go znaleźliśmy, drżąc i wyciągając łapę, żeby ojciec mógł ją obejrzeć. Pani Talbot mówi, że żaden z niego stróż domu, ale ja się cieszę, że nie szczeka. Rusty szczekał bez przerwy i co mu z tego przyszło?
Musiałam zaciągnąć Stitcha z powrotem za róg, żeby odwiązać smycz. Wymagało to trochę wysiłku, bo drozd naprawdę mu się spodobał.
– To znak, że nadchodzi wiosna, co mały? – powiedziałam, próbując rozluźnić węzeł. Nie udało mi się, ale za to złamałam paznokieć. Wspaniale. Mama znów będzie się gniewała.
Moje ręce są w opłakanym stanie. Tej zimy ze sto razy oparzyłam sobie wierzch dłoni o ten nasz głupi piec. Jedno miejsce, tuż nad nadgarstkiem, parzę sobie ciągle, tak że nie zdąży się nawet zagoić. Piec jest za mały i kiedy próbuję wpakować do niego zbyt długi kawałek drewna, za każdym razem dotykam tym samym miejscem do drzwiczek. A mój głupi brat nigdy nie tnie odpowiednich kawałków. Prosiłam go i prosiłam, żeby ciął krótsze, ale on nie zwraca uwagi na to, co mówię.
Poprosiłam mamę, żeby mu kazała ciąć krótsze kawałki, ale nic nie powiedziała. Ona nigdy nie krytykuje Dawida. Jej zdaniem nic, co on zrobi nie może być złe tylko dlatego, że ma dwadzieścia trzy lata i był żonaty.
– On specjalnie tak robi – powiedziałam jej. – Ma nadzieję, że poparzę się na śmierć.
– Paranoja to częsty przypadek wśród czternastoletnich dziewczynek – odpowiedziała mama. Zawsze tak mówi. Doprowadza mnie to do takiej wściekłości, że mam ochotę ją zabić. – Nie robi tego specjalnie. Po prostu musisz bardziej uważać kiedy dokładasz do pieca. – Ale przez cały czas trzymała moją rękę i patrzyła na nie gojącą się ranę, jakby to była bomba zegarowa.
– Potrzebny jest nam większy piec – powiedziałam i wyrwałam rękę. Naprawdę potrzebny jest większy. Tata odłączył kominek i wstawił piec, gdy przestały przychodzić rachunki za gaz. Jest on taki mały, bo mama nie chciała, żeby zajmował za dużo miejsca w pokoju. Poza tym mieliśmy go używać tylko wieczorami.
Nie będziemy mieli nowego. Oni wszyscy są zbyt zajęci tą idiotyczną szklarnią. Może wiosna zacznie się wcześniej i moja ręka będzie miała większe szanse na zagojenie się. W zeszłym roku śnieg trzymał do połowy czerwca, a teraz mamy dopiero marzec. Drozd Stitcha odmrozi sobie ogonek, jeśli nie odleci na południe. Tata mówi, że zeszła zima była wyjątkowa, w tym roku pogoda z powrotem będzie taka jak przedtem, ale sam w to nie wierzy, bo inaczej nie budowałby szklarni.
Jak tylko wypuściłam smycz z ręki, Stitch wrócił grzecznie za róg i usiadł, czekając aż przestanę ssać palec i odwiążę go.
– Lepiej będzie jak się pospieszymy – powiedziałam. – Mama się wścieknie.
Miałam iść do sklepu po nasiona pomidorów, ale słońce było już dosyć nisko, a do domu miałam pół godziny drogi. Jeśli wrócę do domu po zmierzchu, wyślą mnie do łóżka bez kolacji, a wtedy nie będę przy czytaniu listu. Poza tym, jeśli nie pójdę do sklepu dzisiaj, będą musieli wysłać mnie tam jutro i nie będę musiała pracować w tej głupiej szklarni.
Czasami mam ochotę wysadzić ją w powietrze. Wszędzie pełno trocin i błota, a Dawid upuścił kawałek plastyku na piec i śmierdziało jak diabli. Ale nikt oprócz mnie nie zauważa bałaganu, zbyt są pochłonięci opowiadaniem jak wspaniale będzie mieć własne kawony i kukurydzę, i pomidory w lecie.
Nie wydaje mi się, żeby udało się lepiej niż w zeszłym roku. Wyrosła jedynie sałata i kartofle. Sałata była niewiele większa od mojego małego palca, a kartofle twarde jak kamienie. Pani Talbot mówiła, że to z powodu wysokości, ale tata powiedział, że to ta dziwaczna pogoda i warstwa granitu, która przechodzi przez glebę. Poszedł do małej biblioteki na tyłach sklepu, przyniósł książkę o szklarniach i zaczął wszystko przerabiać, a teraz nawet pani Talbot ma bzika na tym punkcie.
– Paranoja to częsty przypadek na tej wysokości – powiedziałam im któregoś dnia, ale byli zbyt zajęci przycinaniem listewek i przypinaniem plastyku, żeby zwrócić na mnie uwagę.
Stitch biegł przede mną, ciągnąc smycz i jak tylko przeszliśmy szosę, zdjęłam mu obrożę. On nigdy nie ucieka tak jak Rusty. Poza tym zawsze pcha się na drogę i jeśli trzymam go na smyczy zawsze wyciąga mnie na sam środek, a potem mam przeprawę z tatą o zostawianie śladów. Więc teraz ja trzymam się zamarzniętych brzegów drogi, a on biegnie sam, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby coś obwąchać i kiedy zostaje w tyle, gwiżdżę na niego i od razu mnie dogania.
Szłam szybko. Robiło się zimno, a miałam tylko sweter. Zatrzymałam się na szczycie wzgórza i gwizdnęłam na Stitcha. Musieliśmy przejść jeszcze milę. Z miejsca, w którym stałam widziałam szczyt Pike. Może tata ma rację, że idzie wiosna. Na szczycie nie było już prawie śniegu, a spalona część wyglądała na jaśniejszą niż rok temu, tak jakby znowu pojawiły się tam drzewa.
W zeszłym roku o tej porze cały szczyt był zupełnie biały. Pamiętam dobrze, bo to właśnie wtedy tata, Dawid i pan Talbot poszli na polowanie. Codziennie padał śnieg, a ich nie było przez prawie miesiąc. Mama niemal zwariowała. Ciągle wychodziła na drogę, wyglądać czy idą, chociaż leżały ze dwa metry śniegu i zostawiała ślady wielkie jak Królowa Śniegu. Brała ze sobą Rusty'ego, mimo że nie cierpiał śniegu, tak jak Stitch nie cierpi ciemności. Brała też ze sobą strzelbę. Któregoś dnia potknęła się o gałąź i upadła w śnieg. Zwichnęła sobie nogę w kostce i niemal zamarzła nim dotarła do domu. Miałam ochotę powiedzieć „paranoja to częsty przypadek wśród matek", ale wtrąciła się pani Talbot, stwierdzając, że następnym razem ja będę musiała z nią pójść i że tak właśnie kończą się samotne wędrówki, na przykład moje wyprawy na pocztę. Powiedziałam, że sama wiem co mam robić, ale mama kazała mi być grzeczną dla pani Talbot i dodała, że pani Talbot ma rację i muszę iść z nią następnym razem.
Nie czekała aż noga wyzdrowieje. Zabandażowała ją i poszłyśmy już następnego dnia. Przez całą drogę nie powiedziała ani słowa, tylko tak kulała w śniegu. Nie podniosła nawet głowy, aż dotarłyśmy do drogi. Śnieg przestał padać i chmury podniosły się na tyle, że można było zobaczyć szczyt. Widok przypominał biało-czarne zdjęcie: szare niebo, czarne drzewa i biała góra. Szczyt był całkowicie pokryty śniegiem. Drogi wcale nie było widać.
Mieliśmy iść na wycieczkę na tę górę razem z Clearysami.
Kiedy wróciłyśmy do domu powiedziałam:
– Dwa lata temu Clearysowie nie przyjechali tak jak obiecali.
Mama zdjęła rękawiczki i stała przy piecu, otrzepując je z kawałków lodu.
– Rzeczywiście tak było, Lynn – powiedziała.
Śnieg spadał z mojego palta na piec i syczał, topniejąc.
– Nie o to mi chodzi. Mieli przyjechać w pierwszym tygodniu czerwca. Zaraz jak Rick skończył szkołę. Więc co się stało? Zmienili plany?
– Nie wiem – odpowiedziała zdejmując czapkę i otrząsając włosy. Grzywkę miała zupełnie mokrą.
– Może napisali do was – wtrąciła pani Talbot – a na poczcie zgubili list.
– To nie ma znaczenia – powiedziała mama.
– Mnie się wydaje, że musieli napisać – dodałam.
– Może listonosz wrzucił list do złej skrzynki – upierała się pani Talbot.
– To nie ma znaczenia – powtórzyła mama i poszła powiesić płaszcz na sznurze w kuchni. Nie chciała rozmawiać na ten temat. Kiedy tata wrócił do domu, zapytałam go o Clearysów, ale nie zwrócił uwagi na moje pytanie, zajęty opowiadaniem o wyprawie.
Stitch nie przybiegł na moje wołanie. Zagwizdałam jeszcze raz i wróciłam po niego. Znalazłam go dopiero u podnóża pagórka.
– Chodź – powiedziałam i już miałam się odwrócić, kiedy spostrzegłam dlaczego do mnie nie przybiegł. Zaplątał się w jeden z urwanych przewodów elektrycznych. Drut owinął się wokół jego nóg, tak jak czasem smycz i im bardziej się szamotał, chcąc się uwolnić, tym mocniej zaciskał pęta.
Tkwił dokładnie pośrodku drogi. Stałam na jej brzegu, kombinując jak się do niego dostać nie zostawiając śladów. Na szczycie wzgórza droga była zamarznięta, ale tu, na dole, śnieg stopniał i woda płynęła nią strumieniami. Postawiłam jedną nogę na błocie, ale trampek zanurzył się dobre półtora centymetra, więc cofnęłam stopę, zatarłam ślad ręką i wytarłam rękę w dżinsy. Zastanawiałam się co zrobić. Ojciec ma bzika na punkcie śladów, tak jak mama na punkcie moich rąk, ale gorszego jeszcze jeśli chodzi

o moje powroty po zmierzchu. Jak nie wrócę na czas, może nawet zabronić mi chodzenia na pocztę.
Stitch wydawał z siebie dźwięki przypominające szczekanie. Omotał sobie szyję drutem i dusił się.
– Dobra – powiedziałam. – Idę.
Skoczyłam najdalej jak mogłam do jednego ze strumieni i brnęłam w stronę Stitcha, oglądając się, by sprawdzić czy woda zmywa moje ślady.
Wyplątałam Stitcha i odrzuciłam koniec drutu na drogę.
– Ty głupku – powiedziałam. – Teraz pospiesz się!
Ruszyłam biegiem na brzeg drogi i dalej na wzgórze. W butach chlupotała woda. Stitch przebiegł kawałek i zatrzymał się, żeby obwąchać drzewo.
– Chodź! – ponagliłam go. – Robi się ciemno. Ciemno!
Ruszył jak strzała, wyprzedzając mnie. Boi się ciemności. Wiem, że z psami tak nie jest. Ale Stitch naprawdę się boi. Zwykle mówię mu: „paranoja powoduje dużą śmiertelność wśród psów", ale tym razem chciałam, żeby pospieszył się zanim stopy zaczną mi zamarzać. Zaczęłam biec i dogoniłam go.
Stitch stanął przy drodze prowadzącej do domu Talbotów. Nasz dom był zaledwie o ćwierć mili od tego miejsca, po drugiej stronie wzgórza. Nasz dom stoi jakby na dnie studni, utworzonej przez wzgórza. Tak głęboko i tak schowany, że nikt nie podejrzewałby, że tam jest. Nad wzgórzem Talbotów nie widać nawet dymu z naszego komina. Można przejść skrótem przez posiadłość Talbotów i las do naszych bocznych drzwi, ale już tamtędy nie chodzę.



M. Stryjecki

– Ciemno, Stitch – postraszyłam go i znowu ruszyłam biegiem. Stitch biegł tuż przy mojej nodze.
Zanim dotarłam do naszej drogi, szczyt już się zaróżowił. Stitch zdążył obsiusiać świerk ze sto razy zanim zdołałam zaciągnąć drzewo z powrotem w poprzek drogi. To naprawdę wielkie drzewo. Ostatniego lata tata i Dawid ścięli je i ułożyli tak, żeby wyglądało, jakby upadło w poprzek drogi. Zakrywa zupełnie miejsce, w którym dojazd do naszego domu łączy się z drogą, ale pień jest poszarpany i podrapałam sobie rękę dokładnie w tym samym miejscu co zawsze. Wspaniale.
Upewniłam się, że nie zostawiliśmy ze Stitchem żadnych śladów na drodze (poza znakami, które on zawsze zostawia – jakiś pies mógłby nas znaleźć bez trudu, pewnie w ten sposób Stitch pojawił się u nas – poczuł Rusty'ego), a potem szybko schowałam się za wzgórzem. Nie tylko Stitch czuje się nieswojo po zmierzchu. A poza tym bolały mnie nogi. Stitch naprawdę dostał bzika. Nie przestał biec nawet wtedy, gdy już było widać dom.
Przed domem był Dawid. Niósł naręcze drewna. Wystarczyło, że na nie spojrzałam i już wiedziałam, że kawałki są za długie.
– Wracasz w ostatniej chwili, co? – odezwał się. – Znalazłaś nasiona pomidorów?
– Nie – odpowiedziałam. – Ale przyniosłam wam coś innego. Każdemu coś przyniosłam.
Weszłam do środka. Tata rozwijał plastyk na podłodze w pokoju. Pomagała mu pani Talbot. Mama trzymała rozkładany stolik, czekając aż skończą, żeby go rozstawić przed piecem do kolacji. Nikt nawet nie podniósł głowy. Zdjęłam plecak i wyciągnęłam pismo pani Talbot i list.
– Na poczcie był list – powiedziałam. – Od Clearysów.
Wszyscy spojrzeli na mnie.
– Gdzie go znalazłaś? – zapytał tata.
– Na podłodze, wśród różnych papierów. Szukałam pisma dla pani Talbot.
Mama oparła stolik o kanapę i usiadła. Pani Talbot nie wiedziała o co chodzi.
– Clearysowie byli naszymi najlepszymi przyjaciółmi – wyjaśniłam. – Z Illinois. Mieli do nas przyjechać dwa lata temu. Mieliśmy iść na wycieczkę na szczyt.
Wszedł Dawid trzaskając drzwiami. Spojrzał na siedzącą na kanapie mamę, na tatę i panią Talbot, którzy stali jak jakieś posągi, trzymając plastyk.
– Co się stało? – zapytał.
– Lynn mówi, że znalazła list od Clearysów – powiedział tata.
Dawid rzucił drewno na palenisko. Jedno polano upadło na dywan i potoczyło się aż pod nogi mamy. Żadne z nich nie schyliło się, żeby je podnieść.
– Przeczytać go na głos? – zapytałam, patrząc na panią Talbot. Ciągle jeszcze trzymałam jej pismo. Otworzyłam kopertę i wyjęłam list.
– Kochana Janice i Todd i dzieciaki – przeczytałam. – Co słychać na wspaniałym Zachodzie? Nie możemy się już doczekać przyjazdu do was, ale chyba nie damy rady przyjechać tak wcześnie jak myśleliśmy. Jak się mają Carla, Dawid i mały? Ciekawa jestem jak wygląda mały Dawid. Czy już chodzi? Babcia Janice pewnie szaleje z radości.
Dawid stał przy kominku. Oparł o niego ręce i schował głowę w ramiona.
– Przepraszam, że piszę dopiero teraz, ale takie było zamieszanie z powodu egzaminów Ricka i myślałam, że wcześniej przyjedziemy. Ale wygląda na to, że będziemy musieli zmienić plany. Rick postanowił wstąpić do armii. Próbowaliśmy z Richardem mu to wyperswadować, ale tylko pogorszyliśmy sprawę. Nie możemy go nawet namówić, żeby to odłożył na potem, po wyprawie do Colorado. Mówi, że przez cały czas staralibyśmy się przekonać go i chyba ma rację. Tak się o niego martwię. Wojsko! Rick mówi, że za bardzo się przejmuję i to też jest prawda, ale co będzie jak wybuchnie wojna?
Mama schyliła się, podniosła polano, które Dawid upuścił i położyła je obok siebie na kanapie.
– Jeśli wam to odpowiada, zaczekamy aż Rick będzie miał za sobą pierwszy tydzień w lipcu i potem wszyscy przyjedziemy. Napiszcie, czy się zgadzacie. Przepraszam, że w ostatniej chwili zmieniam plany, ale spójrzcie na to inaczej: będziecie mieli jeszcze cały miesiąc, żeby przygotować się do wspinaczki. Nie wiem jak wy, ale mnie przyda się ten czas na poprawienie kondycji.
Pani Talbot puściła plastyk. Tym razem nie wylądował na piecu, ale bardzo blisko i zaczął się zwijać od ciepła. Tata tylko stał i patrzył. Nawet się nie ruszył, żeby go podnieść.
– Jak się mają dziewczynki? Sonia rośnie jak na drożdżach. Ostro trenuje w tym roku i przynosi do domu medale i brudne, przepocone skarpety. Gdybyś widziała jej kolana! Ciągle zabandażowane. Już chciałam z nią iść do lekarza. Mówi, że tłucze je sobie przy biegu przez płotki, a jej trenerka twierdzi, że nie ma się czym martwić, ale ja się martwię. One w ogóle się nie goją. Czy masz takie problemy z Lynn i Melissą? Wiem, wiem. Za bardzo się przejmuję. Z Sonią jest wszystko w porządku. I z Rickiem też. Nic złego się nie stanie i zobaczymy się w lipcu. Ucałowania. Clearysowie. P. S. Czy ktoś spadł kiedyś ze szczytu Pike?
Nikt nic nie mówił. Złożyłam list i wsunęłam go z powrotem do koperty.
– Powinnam była do nich napisać – odezwała się mama. – Powinnam była im powiedzieć, żeby przyjechali od razu. Byliby tutaj z nami.
– I pewnie weszlibyśmy na szczyt i zobaczylibyśmy jak wszystko zmienia się w dym i my też – powiedział Dawid podnosząc głowę. Roześmiał się, załamał mu się głos. – Myślę, że powinniśmy być zadowoleni, że nie przyjechali.
– Zadowoleni? – powiedziała mama. Pocierała rękami o dżinsy. – Sądzę, że powinniśmy być zadowoleni, że Carla tego dnia zabrała Melissę i dziecko do Colorado Springs i mieliśmy mniej żołądków do zapchania. – Tarła tak mocno, jakby chciała zrobić w dżinsach dziurę. – Sądzę, że powinniśmy być zadowoleni, że ci złodzieje zastrzelili pana Talbot.
– Nie – odezwał się tata. – Ale powinniśmy się cieszyć, że nas wszystkich nie wystrzelali. Powinniśmy być zadowoleni, że zabrali tylko puszki i zostawili nasiona. Powinniśmy być zadowoleni, że nie dotarł tu pożar. Powinniśmy być zadowoleni...
– Że nadal dostajemy listy? – przerwał mu Dawid. – Czy z tego też powinniśmy się cieszyć? – Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.
– Kiedy nie było od nich wiadomości, powinnam była zadzwonić – odezwała się mama.
Tata ciągle patrzył na zmarnowany plastyk. Podałam mu list. – Co z tym zrobić? – zapytałam.
– Myślę, że już spełnił swoje zadanie – powiedział. Zgniótł go, wrzucił do pieca i zatrzasnął drzwiczki. Nawet się nie oparzył.
– Chodź, pomożesz mi w szklarni, Lynn.
Na dworze było zupełnie ciemno i coraz zimniej. Moje trampki zaczęły sztywnieć. Trzymając latarkę w ręku, tata naciągał plastyk na drewniane ramy. Spinałam plastyk co dwa centymetry. Kiedy skończyliśmy jedną ramę, zapytałam czy mogę iść założyć inne buty.
– Przyniosłaś nasiona pomidorów? – powiedział, jakby nie słyszał mojego pytania. – Czy nie miałaś czasu, bo szukałaś listu?


M. Zalejski

– Nie szukałam go – odpowiedziałam. – Po prostu znalazłam. Myślałam, że będziecie zadowoleni, kiedy dostaniecie list i dowiecie się co się stało z Clearysami.
Tata naciągał plastyk na następną ramę, tak mocno, że porobiły się zmarszczki.
– Już wiedzieliśmy – powiedział.
Podał mi latarkę i wziął zszywacz.
– Chcesz, żebym ci powiedział? – mówił dalej. Chcesz, żebym ci powiedział co się z nimi stało? Dobrze. Sądzę, że byli wystarczająco blisko Chicago, żeby wyparować, kiedy spadły bomby. Jeśli tak było, to mieli szczęście. Bo w pobliżu Chicago nie ma gór. Więc inaczej dostaliby się w burzę ogniową, albo umarli od poparzeń czy promieniowania, albo zabiliby ich złodzieje.
– Albo ich własna rodzina – powiedziałam.
– Albo ich własna rodzina. – Przyłożył zszywacz do drewna i nacisnął guzik. – Mam swoją teorię tego, co się stało dwa lata temu – mówił. Przesunął zszywacz. – Nie sądzę, żeby to zaczęli Rosjanie; ani Stany Zjednoczone. Myślę, że jakaś mała grupa terrorystów, a może nawet tylko jedna osoba. Wydaje mi się, że nie zdawali sobie sprawy z tego, co może się stać, kiedy rzucili tę bombę. Byli po prostu tak rozzłoszczeni, rozżaleni i przerażeni sytuacją, że nie wytrzymali i zaatakowali. Rzucając bombę. – Skończył jedną stronę ramy i wyprostował się, żeby przypiąć drugi bok. – Co myślisz o tej teorii, Lynn?
– Mówiłam ci – powiedziałam. – Znalazłam ten list, kiedy szukałam pisma pani Talbot.
Odwrócił się i wycelował we mnie zszywacz.
– Niezależnie od tego, po co to zrobili, to ich wina, że cały świat zwalił im się na głowy. I czy chcieli, czy nie – musieli pogodzić się z konsekwencjami.
– Jeśli przeżyli. Jeśli ich nie zabili.
– Nie mogę pozwolić, żebyś chodziła na pocztę. To zbyt niebezpieczne.
– A co będzie z pismami dla pani Talbot?
– Idź dorzucić do ognia – powiedział.
Poszłam do domu. Dawid wrócił i znowu stał przy kominku, wpatrując się w ścianę. Mama rozstawiła stolik i krzesła przed kominkiem. Pani Talbot kroiła w kuchni kartofle, a płakała tak, jakby kroiła cebulę.
Ogień prawie zgasł. Wsadziłam do pieca kilka zgniecionych kartek, żeby go rozpalić. Błysnęły błękitno-zielone płomienie. Dorzuciłam kilka szyszek i kilka patyków. Jedna szyszka stoczyła się na bok i leżała w popiele. Sięgnęłam po nią i dotknęłam ręką rozgrzanych drzwiczek.
Dokładnie w tym samym miejscu. Wspaniale. Na miejscu starego strupa będzie bąbel i wszystko zacznie się od nowa. I oczywiście mama stała tuż obok z garnkiem kartoflanki. Postawiła go na piecu i schwyciła moją rękę, jakby to był dowód przestępstwa. Nic nie powiedziała. Po prostu stała tak trzymając ją i mrugając oczami.
– Oparzyłam się – powiedziałam. – Zwyczajnie się oparzyłam. Dotknęła strupa jakby bała się, że się czymś zarazi.
– To oparzenie! – krzyknęłam wyrywając rękę i pakując kretyńskie polana Dawida do pieca. – To nie choroba popromienna. To oparzenie!
– Czy wiesz, gdzie jest tata, Lynn? – zapytała.
– Z tyłu, na ganku – odpowiedziałam – buduje swoją kretyńską szklarnię.
– Poszedł gdzieś. Zabrał Stitcha.
– Nie mógł zabrać Stitcha – zaprzeczyłam. – Stitch boi się ciemności. – Milczała. – Czy wiesz jak ciemno jest tam, na dworze?
– Tak – odezwała się i wyjrzała przez okno. – Wiem jak jest ciemno.
Zdjęłam kurtkę z wieszaka i ruszyłam do drzwi. Dawid złapał mnie za rękę.
– Gdzie idziesz, do diabła?
Wyrwałam mu się.
– Poszukam Stitcha. On boi się ciemności.
– Jest za ciemno. Zgubisz się.
– No to co? Bezpieczniej niż tutaj – powiedziałam i zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem.
Złapał mnie, zanim doszłam do składu drewna.
– Puść mnie. Idę sobie stąd. Poszukam jakichś innych ludzi.
– Nie ma innych ludzi! Na Boga, w zeszłym roku doszliśmy aż do South Park. Nikogo nie spotkaliśmy. Nawet bandytów. A co będzie jak trafisz na nich, na złodziei, którzy zastrzelili pana Talbot?
– No co będzie? W najgorszym razie zastrzelą mnie. Już kiedyś do mnie strzelano.
– Zachowujesz się jak wariatka. Wiesz o tym, prawda? – powiedział. – Przyszłaś jak gdyby nigdy nic. Tym cholernym listem trafiłaś każdego w bolące miejsce!
– Trafiłam! – krzyknęłam, byłam tak wściekła, że bałam się, że się rozpłaczę. – Trafiłam! A co było rok temu? Do kogo wtedy chcieliście trafić?
– To twoja wina, że szłaś skrótem – uspokajał mnie Dawid. – Tata mówił ci, żebyś tamtędy nie chodziła.
– A czy to powód, żeby do mnie strzelać? Czy to powód, żeby zabić Rusty'ego?
Dawid ściskał moją rękę tak mocno, że myślałam, że przetnie ją na dwie części.
– Złodzieje mieli ze sobą psa. Znaleźliśmy jego ślady przy Talbocie. Kiedy szłaś tamtędy i usłyszeliśmy szczekanie psa, myśleliśmy, że to złodzieje. – Spojrzał na mnie. – Mama ma rację. Paranoja zabija. W zeszłym roku wszyscy zachowywaliśmy się jak wariaci. Myślę, że ciągle jesteśmy trochę zwariowani. A teraz ty przynosisz ten list, przypominasz wszystkim co się stało, kogo straciliśmy... – Puścił moją rękę.
– Mówiłam już, że znalazłam ten list, kiedy szukałam pisma. Myślałam, że ucieszycie się, że go znalazłam.
– Taak – powiedział. – Tak myślałaś.
Wszedł do domu, a ja zostałam tam jeszcze długo, czekając na tatę i Stitcha. Kiedy wreszcie weszłam, nikt nawet nie spojrzał. Mama jeszcze stała przy oknie. Nad jej głową zobaczyłam gwiazdę. Pani Talbot przestała płakać i nakrywała do stołu. Mama nalała zupę i usiedliśmy. Kiedy zaczęliśmy jeść wszedł tata.
Był z nim Stitch. Tata przyniósł wszystkie pisma.
– Przepraszam, pani Talbot – powiedział. – Jeśli pani chce, to położę je pod schodami i Lynn będzie pani przynosiła jedno co jakiś czas.
– To nieważne – odpowiedziała. – Nie mam już ochoty ich czytać.
Tata położył pisma na kanapie i usiadł przy stole. Mama nalała mu zupy.
– Mam nasiona – powiedział. – Nasiona pomidorów zmokły, ale kukurydza i dynia są dobre. – Spojrzał na mnie. – Musiałem zabić deskami drzwi poczty, Lynn. Rozumiesz mnie, prawda? Rozumiesz, że nie mogę ci już pozwalać tam chodzić? To zbyt niebezpieczne.
– Mówiłam ci – powtórzyłam. – Znalazłam go. Kiedy szukałam pisma.
– Ogień gaśnie – powiedział.
Kiedy zastrzelili Rusty'ego, przez miesiąc nie pozwalali mi nigdzie chodzić, bojąc się, że mnie zastrzelą jak będę wracała do domu, chociaż obiecałam, że będę chodziła dłuższą drogą. Ale potem pojawił się Stitch i nic się nie działo, więc znowu mogłam wychodzić. Do końca lata chodziłam codziennie, a potem kiedy mi pozwolili. Wszystkie listy przejrzałam pewnie ze sto razy zanim znalazłam ten od Clearysów. Pani Talbot miała rację. List był nie w naszej skrzynce.

Przełożyła **Anna Miklińska**

Gallegher grał ze słuchu – byłoby to zupełnie naturalne, gdyby był muzykiem, ale Gallegher był uczonym. Zapijaczonym i narwanym, ale dobrym. Chciał być eksperymentującym technikiem i byłby w tym prawdopodobnie wybitny, ponieważ chwilami miał przebłyski geniuszu. Niestety, brakło mu funduszy na tak wyspecjalizowane studia i dlatego Gallegher, z zawodu konserwator integratorów, utrzymywał swoje laboratorium jedynie jako hobby. Było to najkoszmarniej wyglądające laboratorium w całych sześciu stanach. Dziesięć miesięcy spędził budując urządzenie, które nazwał organami alkoholowymi. Mógł, leżąc na wygodnej, miękkiej kanapie i naciskając guziki wstrzykiwać do swego wygarbowanego gardła trunki cudownej jakości, różnorodności i ilości. Ponieważ jednak zbudował organy w przewlekłym stanie upojenia alkoholowego, nie pamiętał naturalnie zasady ich budowy. W pewnym sensie należało tego żałować.

nała jest możliwa. Przypuśćmy, że został wynaleziony nowy rodzaj broni i przypuśćmy, przykładowo, że znajduje się ona w schowku na Rakietodromie Pasażerskim w Newark.
– Hmmm?
– Ja tak tylko teoretyzuję. Sejf numer 79, kombinacja szyfrowa trzydzieści-coś-tam-osiem. Te drobne szczegóły zawsze pomagają w unaocznieniu sobie teorii, nieprawdaż?
– Pan chce powiedzieć...
– Naturalnie gdyby nasz morderca dorwał się do tej teoretycznej broni i się nią posłużył, byłby na tyle sprytny, żeby mieć w pogotowiu skrytkę pocztową pod adresem... powiedzmy: Sejf 40, Brooklyn Port. Mógłby wrzucić broń do skrytki, zapieczętować ją i pozbyć się obciążającego dowodu na pasie transmisyjnym najbliższego urządzenia pocztowego. Ale to wszystko oczywiście teoria. Przykro mi bardzo, że nie mogę panu pomóc. Honorarium

Idealna skrytka

Henry Kuttner

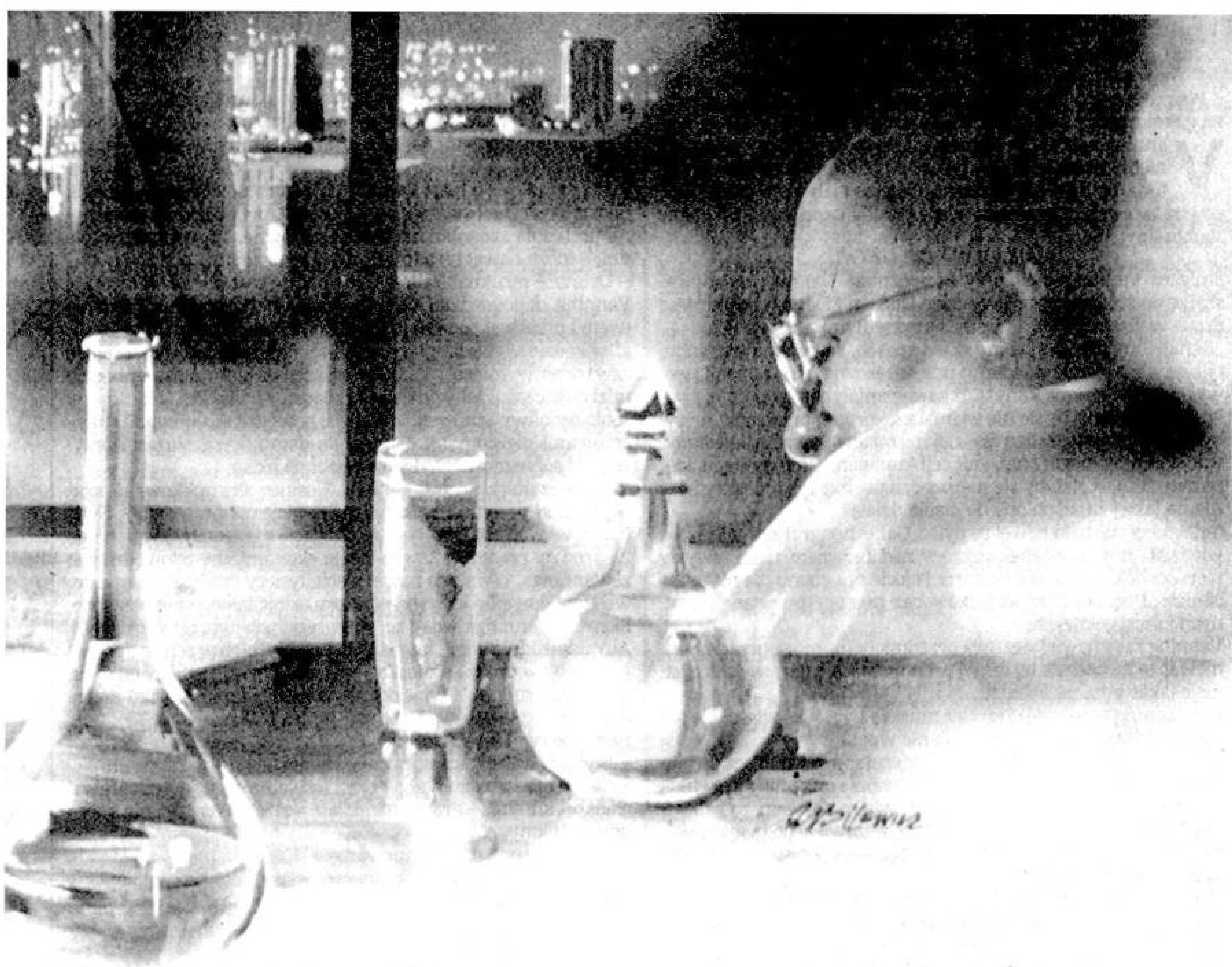
(Time Locker)

W laboratorium było wszystkiego po trochu, większość rzeczy zupełnie ni przypiął, ni przyłatał. Reostaty miały maleńkie spódniczki jak baletnice i puste uśmiechy na glinianych twarzach. Prądnica rzucała się w oczy nazwą „Monstrum", a nieco mniejsza – etykietą głoszącą „Bełkotka". W szklanej retorcie siedział porcelanowy królik i tylko Gallegher wiedział, jak on tam się znalazł. Zaraz za drzwiami warował ohydny pies z żelaza, pierwotnie przeznaczony na ozdobę wiktoriańskich trawników czy może wrót piekielnych. Obecnie jego puste oczodoły służyły za uchwyty do probówek.
– Ale jak ty to robisz? – spytał Vanning.
Gallegher, którego wychudzona postać spoczywała rozciągnięta pod organami alkoholowymi, wstrzyknął sobie do ust podwójne martini.
– Hę?
– Słyszałeś przecież. Mógłbym ci zapewnić wspaniałą posadę, gdybyś potrafił robić użytek z tego swojego zwariowanego łba albo przynajmniej zaczął o siebie dbać.
– Próbowałem – mruknął Gallegher. – Nic z tego. Nie mogę pracować, kiedy się skupię. Chyba, że robię coś mechanicznego. Moja podświadomość musi mieć bardzo wysoki iloraz inteligencji.
Vanning, przysadzisty, niewysoki mężczyzna z pobliźnioną, śniadą twarzą, uderzał obcasami w Monstrum. Czasami Gallegher go martwił. Ten człowiek naprawdę nie zdawał sobie sprawy ze swoich możliwości ani z tego, jak wiele mogły one znaczyć dla Horace'a Vanninga, eksperta handlowego. „Handel" był naturalnie czymś całkowicie legalnym, ale współczesne, skomplikowane stosunki ekonomiczne pozostawiały wiele furtek, w które człowiek inteligentny mógł się wcisnąć. Prawdę powiedziawszy, Vanning zajmował się pokątnym doradztwem. Było to zajęcie popłatne. Gruntowna znajomość prawa należała w tych czasach do rzadkości. Przepisy stanowiły taki gąszcz, że studiowanie prawa wymagało wieloletniego przygotowania. Ale Vanning miał wspaniale wyszkolony personel, ogromną bibliotekę zawierającą wszelkie możliwe przepisy, decyzje i dane i za przyzwoite honorarium mógł powiedzieć na przykład doktorowi Crippenowi, jak bezpiecznie uniknąć płacenia podatku. Bardziej szemrane interesy załatwiał ściśle poufnie, bez żadnych pomocników. Na przykład sprawa takiej neurostrzelby...
Gallegher wynalazł tę wybitną broń nie zdając sobie nawet sprawy z jej znaczenia. Pewnego wieczoru, kiedy nawaliła mu spawarka, sklecił ją po prostu łącząc do kupy poszczególne części przylepcem. Gallegher dał to urządzenie Vanningowi, ale Vanning nie trzymał strzelby długo. Zarobił już tysiące kredytów pożyczając ją potencjalnym mordercom, przysparzając tym niemało kłopotu policji.
Na przykład przychodził do niego człowiek z branży i mówił:
– Słyszałem, że pan potrafi pomóc, nawet jeśli komuś grozi wyrok za morderstwo. Gdybym tak na przykład...
– Wolnego! Nie mogę do czegoś takiego przykładać ręki.
– Hmmm. Ale...
– Teoretycznie rzecz biorąc, przypuszczam, że zbrodnia dosko-

za rozmowę – trzy tysiące kredytów. Recepcjonistka przyjmie od pana czek.
Wyrok skazujący byłby w takim przypadku niemożliwy. Precedens: orzeczenie sądu 875-M, Policja Illinois, sprawa Dubsona z oskarżenia publicznego. Przyczyna śmierci musi zostać stwierdzona. Należy wziąć pod uwagę ewentualność wypadku. Jak stwierdził sędzia sądu najwyższego Duckett podczas procesu Sanderson contra Sanderson, gdzie chodziło o śmierć teściowej oskarżonej...
Bezwzględnie prokurator ze swoim sztabem biegłych toksykologów musi się zgodzić, że...
Krótko mówiąc, Wysoki Sądzie, zgłaszam wniosek o umorzenie sprawy z braku dowodów i niemożliwości wyjaśnienia przyczyn śmierci...
Do Galleghera nigdy nawet nie dotarło, że jego neurostrzelba jest tak niebezpieczną bronią. Ale Vanning nawiedzał jego niechlujne laboratorium zachłannie śledząc wyniki naukowych igraszek przyjaciela. Nie jeden raz zyskał w ten sposób jakieś pożyteczne urządzenia. Kłopot polegał jednak na tym, że Gallegher nie chciał pracować!
Łyknął jeszcze raz martini, potrząsnął głową i podniósł swoje chude ciało. Mrugając podszedł leniwie do zawalonego różnymi rupieciami stołu laboratoryjnego i zaczął się bawić kawałkami drutu.
– Co robisz?
– Nie wiem. Bawię się. Bo tak to właśnie jest. Po prostu składam różne rzeczy do kupy i czasami coś z tego wychodzi... Tyle, że nigdy nie wiem co. Tss. – Gallegher zostawił druty i wrócił na kanapę. – A, do diabła z tym wszystkim.
Dziwadło, pomyślał Vanning. Gallegher był facetem z gruntu amoralnym, zupełnie nie na miejscu w tym skomplikowanym świecie. Z przewrotnym rozbawieniem patrzył na świat ze swego osobistego punktu obserwacyjnego niemal zupełnie obojętnie. No i robił różne rzeczy...
Ale wyłącznie dla własnej przyjemności. Vanning westchnął i rozejrzał się po laboratorium – jego pedantyczna dusza cierpiała męki na widok tego pobojowiska. Machinalnie schylił się po leżący na podłodze zmięty fartuch i poszukał wzrokiem jakiegoś haczyka. Oczywiście nic takiego nie znalazł. Gallegher, który cierpiał na brak metali przewodzących, już dawno powyrywał ze ścian wszystkie haki i wykorzystał na różne sposoby.
Tak zwany uczony z półprzymkniętymi oczyma zrobił sobie klina. Vanning podszedł do stojącej w kącie metalowej szafki i otworzył ją. Nie było tam żadnych wieszaków, więc poskładał porządnie fartuch i położył go na dnie. Potem wrócił na swoje stanowisko na Monstrum.
– Napijesz się? – spytał Gallegher.
Vanning potrząsnął głową.
– Nie, dziękuję. Mam jutro sprawę.
– Zawsze jest jeszcze tiamina. Paskudztwo. Ja pracuję znacznie lepiej jak mam mózg obłożony poduszkami pneumatycznymi.
– A ja nie.



– To tylko kwestia wprawy – mruknął Gallegher – do której może dojść każdy, jeśli tylko... Na co się tak gapisz?
– Ta szafka... – powiedział Vanning marszcząc czoło ze zdziwieniem. – Zaraz, co to takiego... – Wstał. Metalowe drzwi pozostały nie domknięte i właśnie się otworzyły. A po fartuchu, który Vanning umieścił w metalowej przegródce, nie było śladu.
– To farba – wyjaśnił sennie Gallegher. – Coś w rodzaju impregnacji. Zbombardowałem wnętrze tej szafki promieniami gamma. Ale nie nadaje się do niczego.
Vanning podszedł i przesunął świetlówkę, żeby móc lepiej widzieć. Szafka nie była pusta, jak myślał w pierwszej chwili. Nie było w niej już wprawdzie fartucha, ale za to znajdowała się maleńka banieczka, czegoś... bladozielonego i z grubsza biorąc kulistego.
– Czy ona rozpuszcza różne rzeczy? – zapytał wytrzeszczając oczy.
– Aha. Wyciągnij to, to zobaczysz.
Vanning nie bardzo się kwapił z wsadzeniem ręki do środka. Znalazłą długie uchwyty do probówek i wydłubał nimi kulkę. Była to... Szybko odwrócił głowę. Bolały go oczy. Zielona kulka zmieniała kolor, kształt i wielkość, aż przybrała postać nieforemnego pełzającego ruchu. Nagle uchwyty zrobiły się zadziwiająco ciężkie.
I nic dziwnego. Vanning trzymał w nich fartuch.
– O, takie właśnie płata figle – wyjaśnił obojętnie Gallegher.
– Musi być po temu jakiś powód. Te rzeczy, które wkładam do szafki, robią się małe. Ale jak je wyjmę, wracają do normalnych rozmiarów. Może mógłbym ją sprzedać jakiemuś magikowi – powiedział z powątpiewaniem.
Vanning usiadł mnąc w palcach fartuch i przyglądając się metalowej szafce. Był to lśniącoczarny prostopadłościan o wymiarach mniej więcej 3 x 3 x 5 stóp, w środku wyłożony czymś, co przypominało szarawą farbę, położoną na wtrysk.
– Jak tyś to zrobił?
– Co? Sam nie wiem. Tak mi jakoś samo wyszło. – Gallegher popijał swoją mieszankę piorunującą. – Może to sprawa rozciągliwości wymiarów. Moja impregnacja mogła zmienić zależności czasoprzestrzenne wewnątrz szafki. Ciekawe, co to może znaczyć – mruknął na stronie. – Słowa mnie czasami przerażają.
Vanning pomyślał o analogu sześcianu.
– To znaczy... chcesz powiedzieć, że ta szafka jest większa wewnątrz niż na zewnątrz.
– Paradoks, najrozkoszniejszy pod słońcem paradoks! Wyjaśnij mi to. Przypuszczam, że jej wnętrze w ogóle nie znajduje się w tym kontinuum czasoprzestrzennym. No, spróbuj tam włożyć ten stół, to zobaczysz. – Gallegher nie zrobił najmniejszego wysiłku, by wstać, machnął tylko ręką w kierunku wyżej wzmiankowanego sprzętu.
– Masz rację. Ten stół jest większy od szafki.
– No jest. Spróbuj go wsunąć po kawałeczku. Najpierw tym rogiem. Śmiało.
Vanning przez chwilę zmagał się ze stołem. Mimo niskiego wzrostu był silny, jak zwykle ludzie krępi.
– Połóż szafkę, będzie ci łatwiej.
– Ja... uch... Okay, co dalej?
– No i wmanewruj do środka stół.
Vanning spojrzał zezem na przyjaciela, wzruszył ramionami i spróbował wypełnić jego polecenie. Oczywiście stół nie chciał wejść do szafki. Wszedł tylko róg, a reszta naturalnie utknęła, kołysząc się niepewnie.
– No i?
– Poczekaj.
Stół poruszył się. I powoli osiadł na dnie. Vanningowi opadła szczęka, kiedy patrzył jak stopniowo wpełza do szafki łagodnym ruchem tonącego w wodzie, niezbyt ciężkiego przedmiotu. Nic go jednak nie wsysało, po prostu jak gdyby się roztapiał. Nie zmienione było tylko to, co wystawało na zewnątrz, ale po trochu zapadało się wszystko.
Vanning wychylił się. Smuga ruchu raziła go w oczy. Wewnątrz szafki było coś... co zmieniało kontury, kurczyło się, aż przybrało postać kolczastej nieregularnej piramidy w kolorze ciemnej czerwieni.
W najszerszym miejscu, po przekątnej, nie miała ona nawet czterech cali.
– Nie wierzę w to – powiedział.
Gallegher uśmiechnął się.
– Jak to książę Wellington powiedział do młodego oficera, była to bardzo mała butelka, sir.
– Zaraz, chwileczkę. Jak ja do diabła mogłem wpakować ośmiostopowy stół do pięciostopowej szafki?
– Dzięki Newtonowi – rzekł Gallegher. – Siła ciężkości. Napełnij probówkę wodą, to ci pokażę.
– Poczekaj... No, już. I co teraz?
– Do pełna nalałeś? Dobrze. W szufladzie z napisem „Bezpieczniki" znajdziesz kostki cukru. Połóż kostkę cukru na wierzchu probówki, tak, żeby jednym rogiem dotykała wody.



A. Bilewicz

Vanning zastosował się do polecenia.
- No i co?
- Co widzisz?
- Nic. Cukier nasiąka wodą i rozpuszcza się.
- No właśnie - powiedział Gallegher z naciskiem. Vanning spojrzał na niego w zadumie i odwrócił się do probówki. Kostka cukru powoli rozpuszczała się i znikała. Po chwili już jej nie było.
- Powietrze i woda to zupełnie inne warunki fizyczne. W powietrzu kostka cukru może istnieć jako kostka cukru. W wodzie tylko jako roztwór. Ten jej róg, który sięga wody, podlega warunkom właściwym wodzie. Zmienia się więc w sensie fizycznym, choć nie w chemicznym. Resztę załatwia siła ciężkości.
- Mów jaśniej.
- Analogia jest wystarczająco jasna, ty głupku. Woda to jakby szczególne warunki panujące wewnątrz szafki. A cukier to stół. No i teraz: cukier wchłonął wodę i stopniowo ją przeniknął; siła ciężkości wciągnęła rozpuszczającą się kostkę do probówki. Rozumiesz?
- Chyba tak. Stół wchłonął... wchłonął czynnik znajdujący się wewnątrz szafki, tak? Czynnik, który sprawił, że stół się skurczył...
- *In partis*, nie *in toto*. Po kawałeczku. Możesz przecież wpakować ludzkie ciało do niewielkiego pojemnika z kwasem siarkowym, też po kawałku.
- Och - powiedział Vanning spoglądając spode łba na szafkę.
- A czy możesz ten stół wyciągnąć z powrotem?
- Sam to zrób. Po prostu wsadź tam rękę i wyjmij go.
- Wsadzić tam rękę? Nie mam najmniejszej ochoty narazić jej na to, że się rozpuści!
- Nie bój się. Ten proces nie jest natychmiastowy. Sam widziałeś. Zanim zmiana się zacznie, musi upłynąć kilka minut. Możesz sięgnąć ręką do szafki bez obawy o jakiekolwiek przykre skutki, pod warunkiem, że nie będziesz trzymał tam ręki dłużej, niż jakąś minutę. Zaraz ci pokażę. - Gallegher podniósł się leniwie, rozejrzał dokoła i wziął pustą butelkę, a następnie włożył ją do szafki.
Zmiana rzeczywiście nie była natychmiastowa. Dokonywała się powoli - butla zmieniała kształt i wielkość po trochu, aż wreszcie przypominała zniekształcony sześcian wielkości mniej więcej kostki cukru. Gallegher wyjął go i położył na podłodze.
Sześcian zaczął rosnąć. Aż na powrót przyjął postać butli.
- A teraz stół. Uważaj.
Gallegher wyjął niewielką piramidkę, która po chwili wróciła do swojej pierwotnej postaci.
- Widzisz? Założę się, że jakieś przedsiębiorstwo zajmujące się składowaniem wiele by za to dało. Można by tam pomieścić wszystkie meble z całego Brooklynu, ale byłyby kłopoty z wyjmowaniem poszczególnych rzeczy. Zmiany natury fizycznej, rozumiesz...
- Trzeba by mieć plan - rzucił Vanning w roztargnieniu. - Sporządzić rysunki znajdujących się wewnątrz przedmiotów i poznaczać je.
- Umysł prawniczy - zauważył Gallegher. - Napiłbym się czegoś. Wrócił na kanapę i zamknął syfon w śmiertelnym uścisku.
- Dam ci za tę szafkę sześć kredytów - zaproponował Vanning.
- Jest twoja. Zresztą i tak zajmuje mi za dużo miejsca. Szkoda, że jej samej nie mogę włożyć do środka. - Uczony zaśmiał się swobodnie. - To zabawne.
- Tak uważasz? - rzekł Vanning. - Proszę bardzo. - Wyjął z portfela kupony kredytowe. - Gdzie mam położyć forsę?
- Wsadź do Monstrum. Ono pełni rolę mojego banku... Dzięki.
- No tak... Wiesz co, wyjaśnij mi trochę bliżej tę sztuczkę z kostką cukru. Bo to przecież nie sama siła ciężkości wciąga kostkę do probówki, prawda? Czy to przypadkiem woda nie przenika cukru...
- Masz rację. Osmoza. Nie. Osmoza ma coś wspólnego z jajkami. Czy może to jest owulacja? Przewodnictwo, konwencja, absorpcja! Szkoda, że nie studiowałem fizyki, znałbym wtedy właściwe słowa. A tak - jestem kompletny osioł. - Gallegher pociągnął z syfonu.
- Absorpcja - Vanning spoglądał spode łba. - To nie tylko na tym polega, że cukier wchłania wodę. To... to... w tym szczególnym przypadku... stół jak gdyby nasiąkł warunkami panującymi wewnątrz szafki.
- Jak gąbka albo bibuła.
- Co, stół?
- Ja - odparł zwięźle Gallegher i pogrążył się w pełnej zadowolenia ciszy, przerywanej jedynie od czasu do czasu bulgotaniem, kiedy akurat wlewał sobie do przepitego gardła alkohol. Venning westchnął i odwrócił się do szafki. Zanim ją uniósł w swoich muskularnych ramionach, starannie zamknął drzwiczki na klucz.
- Idziesz? No to dobranoc. Wszystkiego dobrego... wszystkiego dobrego...
- Dobranoc.

– Wszyst-kie-go do-bre-go! – zakończył Gallegher z melancholijną rytmicznością, układając się do snu.

Vanning westchnął ponownie i wyszedł w nocny chłód. Na niebie lśniły gwiazdy, tylko na południu przyćmiewała je łuna Dolnego Manhattanu. Płonące białym światłem wieżowce tworzyły poszarpany wzór. Wielki neon podnosił zalety Vambuliny:

VAMBULINA CIĘ OŻYWI.

Śmigacz Vanninga stał przy krawężniku. Vanning załadował szafkę do środka i ruszył w stronę Hudson Floatway, najkrótszą drogą w kierunku śródmieścia. Przyszedł mu na myśl Poe. „Skradziony list" ukrywany w ten sposób, że leżał na wierzchu, tyle że wielokrotnie składany i przeadresowywany, zmienił swój wygląd zewnętrzny. Rany! Cóż za wspaniały sejf byłby z tej szafki. Żaden złodziej by się nie włamał z tej prostej przyczyny, że nie byłaby zamknięta. Żaden złodziej nie miałby powodu się włamywać. Vanning mógłby napełnić sejf kuponami kredytowymi, które natychmiast stałyby się nierozpoznawalne. Idealna skrytka.

Ale na jakiej zasadzie ona do diabła działa?

Galleghera nie było nawet co pytać. Gallegher grał ze słuchu. Nie wiedział, że pierwiosnek rosnący nad brzegiem rzeki, zwykły pierwiosnek to *Primula vulgaris*. Pojęcie sylogizmu dla niego nie istniało. Dochodził do wniosków bez pomocy przesłanek ogólnych i szczegółowych.

Vanning zastanawiał się. Dwa przedmioty nie mogą przecież zajmować jednocześnie tej samej przestrzeni. A zatem w szafce istnieje jakaś inna przestrzeń...

Ale Vanning zgadywał. Przecież musiała być jakaś właściwie odpowiedź. Vanning jeszcze na nią nie wpadł.

Tymczasem jechał do śródmieścia, kierując swój śmigacz do biurowca, gdzie zajmował całe piętro. Wwiózł szafkę na górę windą towarową. Nie umieścił jej jednak w swoim prywatnym gabinecie. Byłaby to niepotrzebna ostentacja. Wstawił ją do magazynku, nasuwając na nią częściowo szafę biurową. Po co pracownicy mają używać właśnie tej szafki.

Vanning zrobił krok do tyłu i zaczął się zastanawiać. A może...

Rozległ się cichy dzwonek. Zamyślony, nie usłyszał go w pierwszej chwili. Kiedy dzwonek przeniknął do jego świadomości, Vanning poszedł do gabinetu i wcisnął guzik wideofonu. Szara, surowa, brodata twarz mecenasa Hattona wypełniła ekran.

– Dzień dobry – powiedział Vanning.

Hatton skinął głową.

– Usiłowałem pana złapać w domu. Ale nie zdołałem, więc dzwonię do biura...

– Nie sądziłem, że zadzwoni pan teraz. Sprawa jest jutro. Czy nie uważa pan, że trochę za późno na dyskusję?

– Ale Dugan i Synowie chcieli, żebym z panem porozmawiał. Odradzałem im to zresztą.

– Hm?

Hatton ściągnął gęste, ciemne brwi.

– Ja skarżę, jak pan wie. Jest bardzo dużo dowodów przeciwko MacIlsonowi.

– Tak pan mówi, ale sprzeniewierzenie jest niesłychanie trudne do udowodnienia.

– Czy ma pan jakieś zastrzeżenia przeciwko skopolaminie?

– Naturalnie – odparł Vanning. – Nie będzie pan stosował wobec mojego klienta wykrywacza kłamstw!

– To spowoduje uprzedzenie ze strony przysięgłych.

– Ależ nie. Ze względów natury medycznej. Skopolamina działa fatalnie na MacIlsona. Mam na to zaświadczenie.

– Fatalnie to właściwe słowo! – Ton Hattona zabrzmiał ostro. – Pański klient zdefraudował te obligacje i mogę to udowodnić.

– Wartość dwudziestu pięciu tysięcy kredytów, tak? Duża strata dla Dugana i Synów. A co pan sądzi o hipotetycznej sprawie, którą przedstawiłem? Powiedzmy, że dwadzieścia tysięcy się znajdzie...

– Czy to prywatna linia? Nie jesteśmy nagrywani?

– Naturalnie. O, proszę, tu jest wyłącznik. – Vanning podniósł do góry sznur z metalową końcówką. – Ściśle *sub rosa*.

– To dobrze – odrzekł mecenas Hatton. – Wobec tego mogę panu swobodnie powiedzieć, że pan jest zwykły kanciarz...

– Phi!

– Stary kawał. Z taaaką brodą. MacIlson zwędził pięć kawałków w obligacjach wymienialnych na kredyty; rewidenci już to sprawdzają. A potem przychodzi do pana i pan go namawia, żeby wziął jeszcze dwadzieścia tysięcy i zaproponował, że je odda o ile Dugan i Synowie nie będą skarżyć. No i dzielicie się tymi pięcioma tysiącami. Co w nieruchomościach wcale nie jest tak mało.

– Do niczego takiego się nie przyznaję.

– Jasne, że nie. Nawet w rozmowie na linii prywatnej. Ale to się rozumie samo przez się. Tylko że numer jest stary i moi klienci nie zamierzają się z panem cackać, oddają sprawę do sądu.

– Zadzwonił pan tylko po to, żeby mi to powiedzieć?

– Nie, chcę po prostu wyjaśnić z panem sprawę przysięgłych. Czy zgadza się pan na użycie skopolaminy w stosunku do nich?

– W porządku – odparł Vanning. Nie interesowali go przysięgli. Będzie wygrywał subtelności prawne. Z przysięgłymi poddanymi próbie na skopolaminę szanse są równe. To oszczędzi wiele dni, a może nawet tygodni sporów i szarpaniny.

– Dobrze – mruknął Hatton. – Nie będzie co z pana zbierać.

Vanning odpowiedział umiarkowanie ordynarnym przekleństwem i przerwał połączenie. Świadomość czekającej go pyskówki w sądzie wyparła z jego myśli szafkę działającą na zasadzie czwartego wymiaru i Vanning wyszedł z biura. Później będzie miał dość czasu, żeby dokładniej zbadać możliwości, jakie krył w sobie osobliwy schowek. Nie chciał sobie teraz zaprzątać głowy sprawami nieistotnymi. Poszedł do domu, kazał służącej przyrządzić sobie mocnego drinka i padł na łóżko.

A nazajutrz wygrał sprawę. Stosując skomplikowane kruczki prawne i wykorzystując niejasne precedensy. Swój wywód oparł na tym, że obligacje nie zostały wymienione na kredyty rządowe. Zawiłe tabele ekonomiczne udowodniły to za Vanninga. Wymiana nawet pięciu tysięcy kredytów spowodowałaby falowanie krzywej wykresu, a nic takiego nie nastąpiło. Eksperci Vanninga wdali się w niesamowite wprost szczegóły. Aby udowodnić winę, trzeba było pokazać albo w sensie dosłownym, albo w drodze wnioskowania, że obligacje istniały od dwudziestego grudnia, a więc od daty ostatniej kontroli. Jako precedens posłużyła sprawa Donovan contra Jones.

Hatton zerwał się z miejsca.

– Wysoki Sądzie, Jones przyznał się później do defraudacji!

– Co nie ma żadnego wpływu na pierwotną decyzję – odparował gładko Vanning. – Prawo nie działa wstecz. Werdykt nie został udowodniony.

– Proszę obronę o kontynuowanie.

Obrona kontynuowała wznosząc wspaniale skomplikowany gmach kazuistycznej logiki.

Hatton szalał.

– Wysoki Sądzie, ja...

– Jeśli mój czcigodny przeciwnik przedstawi choćby jedną obligację – dosłownie jedną spośród wyżej wymienionych – poddaję się.

Przewodniczący sądu miał ironiczną minę.

– Istotnie, jeśli taki dowód zostanie przedstawiony, oskarżony znajdzie się w więzieniu natychmiast po ogłoszeniu wyroku. Pan o tym dobrze wie, panie Vanning. Proszę kontynuować.

– Chętnie. A więc według mojej koncepcji owe obligacje nigdy nie istniały. Stanowiły one wynik błędu w liczeniu.

– Błąd w obliczeniach dokonywanych kalkulatorem Pedersona?

– Takie błędy się zdarzają, jak zaraz udowodnię. Chciałbym wezwać mojego następnego świadka...

Świadek, obliczeniowiec, nie prowokowany pytaniami, wyjaśnił, jak to kalkulator Pedersona może się mylić. Podawał przykłady. Hatton złapał go na jednym z nich.

– Protestuję, Wysoki Sądzie. W Rodezji, jak wszyscy wiedzą, zlokalizowano obiekty ważnej dziedziny przemysłu o charakterze eksperymentalnym. Świadek nie sprecyzował, o jaką produkcję chodzi w tej konkretnej fabryce. Czy przypadkiem nie dlatego, że Zjednoczone Zakłady Hendersona zajmują się głównie rudami radioaktywnymi?

– Świadek jest proszony o udzielenie odpowiedzi.

– Nie mogę. W moich dokumentach nie ma takiej informacji.

– Dość znaczna luka – warknął Hatton. – Radioaktywność uszkadza delikatny mechanizm kalkulatora Pedersona. Ale w biurach firmy Dugan i Synowie nie ma ani radu, ani produktów jego rozkładu.

Wstał Vanning.

– Chciałbym zapytać, czy biura te były ostatnio wykadzane.

– Były. Jest to wymóg prawny.

– Użyto pewnego typu gazowego chloru?

– Tak.

– Chciałbym wezwać mojego następnego świadka.

Następny świadek, fizyk, a zarazem pracownik Instytutu Ultraradowego, wyjaśnił, że promieniowanie gamma wpływa silnie na chlor powodując jonizację. Żywe organizmy mogą asymilować produkty rozkładu radu i dalej je przekazywać. Niektórzy klienci firmy Dugan i Synowie byli poddani działaniu radioaktywnemu...

– To śmieszne, Wysoki Sądzie! Czyste teoretyzowanie...

Vanning robił wrażenie urażonego.

– Powołuję się na casus Dangerfield i Austro Products, Kalifornia, 1963. Przepis stanowi, że wątpliwości tłumaczy się na korzyść oskarżonego. Ja zmierzam po prostu do tego, że kalkulator

Pedersona, którym liczono obligacje, mógł być wadliwy. Jeśli tak było rzeczywiście, to obligacje nie istniały, a zatem mój klient jest niewinny.
– Proszę kontynuować – powiedział sędzia, żałując, że nie jest Jeffriesem i nie może posłać całej tej cholernej bandy na szafot. Prawoznawstwo powinno się opierać na prawdzie, zamiast stanowić trójwymiarową grę w szachy. Ale jest to oczywiście naturalna konsekwencja zawiłości politycznych i ekonomicznych nowoczesnej cywilizacji. Już wtedy było wiadomo, że Vanning wygra sprawę.
No i wygrał. Przysięgli byli zmuszeni uznać racje obrony. W ostatnim desperackim zrywie Hatton zgłosił wniosek formalny i zażądał skopolaminy, ale jego wniosek został obalony. Vanning mrugnął do swojego przeciwnika i zamknął teczkę.
Wrócił do swojego biura. O szesnastej trzydzieści zaczęły się kłopoty. Ledwie sekretarka zdążyła zapowiedzieć niejakiego pana MacIlsona, kiedy została odepchnięta przez szczupłego ciemnego mężczyznę w średnim wieku taszczącego zamszową walizkę gigantycznych rozmiarów.
– Vanning, musiałem się z tobą zobaczyć!...
Wzrok adwokata spochmurniał. Wstał zza biurka i skinieniem głowy odprawił sekretarkę. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, zapytał obcesowo:
– Co ty tu robisz? Powiedziałem ci, żebyś się trzymał ode mnie z daleka. Co masz w tej walizie?
– Obligacje – wyjaśnił MacIlson niepewnym głosem. – Coś nie wyszło...
– Szalony idioto! Żeby przynosić tutaj te obligacje... – Jednym skokiem Vanning znalazł się przy drzwiach i zamknął je starannie na klucz. – Czy nie rozumiesz, że jak tylko Hatton położy na nich łapy, natychmiast znajdziesz się z powrotem za kratkami? A mnie odbiorą prawo wykonywania zawodu?! Wynoś się z tym w tej chwili!
– Ale wysłuchaj mnie, dobrze? Poszedłem z tymi obligacjami do Zjednoczenia Finansowego, tak jak mi powiedziałeś, ale... ale tam już czekał na mnie policjant. Na szczęście w porę go zobaczyłem. Gdyby mnie złapał...
Vanning westchnął głęboko.
– Miałeś przecież zostawić te obligacje na dwa miesiące w skrytce na stacji kolei podziemnej...
MacIlson wyciągnął z kieszeni biuletyn.
– Ale rząd ogłosił zamrożenie akcji rudowych i obligacji. W ciągu tygodnia sprawa wejdzie w życie. Nie mogłem w tej sytuacji czekać, pieniądze byłyby zamrożone nie wiadomo na jak długo.
– Pokaż no ten biuletyn. – Vanning przyjrzał mu się i zaklął cicho. – Skąd to wziąłeś?
– Kupiłem od chłopaka przed więzieniem. Chciałem sprawdzić bieżące notowania rudy.
– Mhm, rozumiem. A nie przyszło ci do głowy, że ten biuletyn może być sfałszowany?
MacIlsonowi opadła szczęka.
– Sfałszowany?
– Właśnie. Hatton się domyślił, że chcę cię wyciągnąć z pudła, i miał to w pogotowiu. A ty kupiłeś ten numer. Dostarczyłeś policji dowodów, a mnie postawiłeś w ładnej sytuacji.
– A... ale...
Vanning skrzywił się.
– A jak sądzisz, dlaczego widziałeś tego glinę w Zjednoczeniu Finansowym? Przecież mogli cię capnąć w każdej chwili. Ale oni woleli wystraszyć cię na tyle, żebyś przyszedł do mnie, bo wtedy pieką dwie pieczenie przy jednym ogniu! Dla ciebie paka, a ja się mogę pożegnać z prawem wykonywania zawodu. Cholera!
MacIlson oblizał usta.
– Czy nie mógłbym wyjść tylnymi drzwiami?
– Przez kordon policji, który tam niewątpliwie czeka? Bzdura! Nie bądź gorszym durniem, niż musisz!
– A czy... a czy ty nie możesz tego schować?
– Niby gdzie? Przecież prześwietlą moje biurko promieniami rentgena. Nie, ja po prostu... – Vanning urwał. – Hmmm, ukryć je mówisz... U k r y ć...
Odwrócił się na pięcie do dyktografu.
– Panna Harton? Mam ważną konferencję. Proszę mi nie przeszkadzać pod żadnym pozorem. Gdyby pani ktokolwiek wręczył nakaz rewizji, proszę zażądać potwierdzenia przez centralę. Jasne? Okay.
W MacIlsona wstąpiła nadzieja.
– Czy... wszystko jest w porządku?
– Och, zamknij się! – warknął Vanning. – Zaczekaj tu na mnie, zaraz wracam. – Ruszył ku bocznym drzwiom i zniknął. – W zdumiewająco krótkim czasie wrócił taszcząc metalową szafkę. – Pomóż mi... uff... tu, w tym kącie. A teraz się wynoś.
– Ale...
– Spływaj – polecił Vanning. – Sam wiem, co mam robić. Nic nie mów. Aresztują cię, ale bez dowodów nie mogą cię trzymać. Przyjdź, jak tylko cię wypuszczą. – Pchnął MacIlsona w kierunku drzwi, otworzył je i wyrzucił gościa. – Wrócił do szafki i zajrzał do środka. Była pusta. Z całą pewnością.
Zamszowa walizka...
Dysząc ciężko Vanning wtaszczył ją do szafki. Zajęło mu to trochę czasu, ponieważ waliza była od niej większa. W końcu jednak odetchnął widząc, jak kurczy się i zmienia kształt, aż wreszcie, mała i zdeformowana, zaczyna przypominać wydłużone jajko w kolorze miedzianej centówki.
– Fiu, fiu! – powiedział Vanning, a następnie przysunął się i przyjrzał bliżej. Wewnątrz szafki coś się poruszyło. Zobaczył groteskowe stworzenie, nie wyższe niż cztery cale. Było to coś zdumiewającego – składało się z samych sześcianów i kątów, było jaskrawozielone i najwyraźniej żywe.
Ktoś zapukał do drzwi.
Maleńkie stworzenie męczyło się nad miedzianym jajkiem. Jak mrówka usiłowało je unieść i przemieścić. Vanninga zatkało; sięgnął do szafki. Stworzenie czwartego wymiaru zrobiło unik. Ale nie dość szybko. Vanning opuścił dłoń i poczuł w niej szamotaninę. Zacisnął pięść.
Ruch zamarł. Vanning wypuścił martwe stworzenie i pospiesznie wyjął rękę.
Drzwi drżały pod ciosami pięści.
Zamknął szafkę i zawołał:
– Chwileczkę!
– Wyłamujcie – ktoś polecił.
Ale nie było takiej potrzeby. Vanning przybrał bolesny uśmiech i otworzył drzwi. Wszedł Hatton w towarzystwie tęgiego policjanta.
– Mamy MacIlsona – powiedział.
– Och? Dlaczego?
Zamiast odpowiedzi Hatton dał znak ręką. Policjanci zaczęli przeszukiwać pokój. Vanning wzruszył ramionami.
– Chybaście się zanadto pospieszyli – powiedział. – Włamanie i wejście...
– Mamy nakaz!
– A pod jakim zarzutem?
– Chodzi oczywiście o obligacje – głos Hattona był znużony. – Nie wiem, gdzie pan ukrył tę walizkę, ale ją znajdziemy.
– Jaką walizkę? – chciał koniecznie wiedzieć Vanning.
– Tę, którą miał MacIlson, kiedy tu wchodził. Tę samą, której nie miał wychodząc.
– Zabawa – rzekł smutno Vanning – skończona. Poddaję się.
– Hę?
– A jeśli wam powiem, co zrobiłem z walizką, to czy przemówicie za mną?
– No... jasne. A gdzie...
– Zjadłem ją – rzekł Vanning kładąc się na kanapie i szykując do drzemki. Hatton posłał mu przeciągłe, pełne nienawiści spojrzenie.
Policjanci przeszli obok szafki rzuciwszy okiem do środka. Promienie rentgena nie ujawniły nic w ścianach, podłodze, suficie ani w meblach. Pozostałe pomieszczenia biurowe zostały również przeszukane. Vanning przyklaskiwał żmudnemu zajęciu.
Wreszcie Hatton się poddał. Wyczerpał wszystkie możliwości.
– Jutro składam doniesienie – obiecał mu Vanning. – A co do MacIlsona, skorzystam z zasady h a b e a s c o r p u s.
– Idź do diabła – burknął Hatton.
– A teraz do widzenia panom.
Vanning zaczekał, aż nieproszeni goście się wyniosą. A następnie chichocząc z cicha podszedł do szafki i otworzył drzwi.
Jajko miedzianego koloru zniknęło. Vanning macał w środku, ale bezskutecznie.
Doniosłość tego faktu początkowo do niego nie docierała. Obrócił szafkę frontem do okna i zajrzał ponownie, ale z tym samym skutkiem. Szafka była pusta.
Dwadzieścia pięć tysięcy kredytów w obligacjach rudowych przepadło.
Na Vanninga uderzyły siódme poty. Złapał metalowy sejf i zaczął nim potrząsać. Ale to nie pomogło. Przeniósł go w przeciwległy róg pokoju, a sam wrócił na poprzednie miejsce i ze żmudną drobiazgowością zaczął oglądać podłogę.
– Chol...
Czyżby Hatton?
To niemożliwe. Vanning nie spuścił szafki z oka ani na moment aż do chwili wyjścia policji. Jeden z policjantów otworzył drzwi, zajrzał do środka i zamknął je z powrotem. Od tamtej pory szafka była bez przerwy zamknięta.
Obligacje zniknęły.
Tak samo, jak i dziwne stworzenie, które Vanning zgniótł w ręce.
A wszystko to razem znaczyło, że... że co?
Podszedł szybko do wideofonu i wywołał Galleghera.

– Co takiego, hm? Och. Co chcesz? – wychudzona twarz uczonego, jeszcze mizerniejsza z powodu zmęczenia, ukazała się na ekranie. – Mam kaca, a skończyła mi się tiamina. No, jak twoja sprawa?
– Posłuchaj – rzekł Vanning nagląco. – Włożyłem coś do tej twojej cholernej szafki i straciłem.
– Szafkę? Zabawne.
– Nie. To, co do niej włożyłem... walizkę.
Gallegher w zamyśleniu potrząsnął głową.
– Nigdy nie wiadomo, no nie? Pamiętam, jak kiedyś zrobiłem...
– Do diabła z tym. Muszę odzyskać walizkę!
– Klejnot rodzinny? – zapytał Gallegher.
– Nie. Tam były pieniądze.
– Czy nie uważasz, że to trochę lekkomyślne z twojej strony? Od roku 1949 żaden bank nie splajtował. Nigdy nie przypuszczałem, Vanning, że jesteś skąpiec. Chciałeś mieć stale forsę przy sobie, żebyś mógł ją pieścić swoimi chciwymi łapskami co?
– Jesteś pijany.
– Usiłuję być – sprostował Gallegher. – Ale z wiekiem nabawiłem się straszliwej odporności na alkohol. Okropnie dużo czasu mi to teraz zabiera. Przez twój telefon jestem dwa i pół drinka do tyłu. Muszę sobie sprawić przedłużacz do organów, żebym mógł jednocześnie rozmawiać i pić.
Vanning cały czas bełkotał w słuchawkę.
– Moja walizka! Co się z nią stało? Muszę ją odzyskać.
– No cóż, ja jej nie mam.
– A czy nie możesz wykombinować, gdzie ona jest?
– Nie mam pojęcia. Podaj mi szczegóły. Zobaczę, co się da zrobić.
Vanning zastosował się do polecenia, korygując swoją relację na tyle, na ile kazała mu ostrożność.
– Okay – powiedział na koniec Gallegher, dość niechętnie. – Nienawidzę wysnuwania teorii, ale w drodze wyjątku... moja diagnoza będzie cię kosztowała pięćdziesiąt kredytów.
– Co takiego? Posłuchaj...
– Pięćdziesiąt kredytów – powtórzył Gallegher nieustępliwie. – Albo nie będzie diagnozy.
– A skąd ja mogę wiedzieć, że dzięki niej odzyskam walizkę?
– Trzeba się liczyć z tym, że mi się nie uda. Ale jednocześnie jest szansa... Muszę iść do Mechanistry i skorzystać z ich maszyn. A oni sobie słono liczą. Ale potrzebne mi będą kalkulatory o mocy czterdziestu mózgów.
– Okay, okay – mruknął Vanning. – Idź do nich. Zależy mi na tej walizce jak diabli.
– Interesuje mnie ten chrabąszcz, którego rozdusiłeś. Mówiąc szczerze, to jedyny powód, dla którego w ogóle zajmuję się twoją sprawą. Życie w czwartym wymiarze... – ciągnął Gallegher mrucząc pod nosem. Jego twarz zniknęła z ekranu. Po chwili Vanning przerwał połączenie.
Jeszcze raz przeszukał szafkę nie znajdując w niej nic. Zamszowa walizka musiała się jakoś ulotnić. Niech to diabli!
Dumając nad swymi kłopotami Vanning włożył płaszcz i poszedł do Manhattan Roof na zakrapianą winem kolację. Było mu siebie żal.

Nazajutrz jego rozczulenie nad sobą jeszcze wzrosło. Próbował się skontaktować z Gallegherem, ale nikt się tam nie zgłaszał, więc po prostu zabijał czas. Około południa wpadł MacIlson. Był roztrzęsiony.
– Nie spieszyło ci się specjalnie z wyciągnięciem mnie z pudła – rzucił na wstępie. – No i co dalej? Masz coś do picia?
– Po co ci picie – mruknął Vanning. – Sądząc z tego, jak wyglądasz, już się napiłeś. Jedź na Florydę i czekaj, aż się to wszystko przewali.
– Mam dosyć czekania. Jadę do Ameryki Południowej. Potrzebuję forsy.
– Poczekaj, aż będzie można zrealizować obligacje.
– Biorę obligacje. Połowę. Tak jak się umawialiśmy.
Oczy Vanninga zwęziły się.
– I wleziesz prosto w łapy policji. Jak dwa a dwa cztery.
MacIlson był wyraźnie nieswój.
– Przyznam, że popełniłem głupi błąd. Ale tym razem nie... tym razem będę mądrzejszy.
– To znaczy zaczekasz.
– W helikopterze na dachu czeka mój przyjaciel. Podrzucę mu obligacje, a potem spokojnie sobie wyjadę. Policja nic przy mnie nie znajdzie.
– Powiedziałem: nie – powtórzył Vanning. – Sprawa jest zbyt ryzykowna.
– Ryzykowna jest teraz. Jeżeli znajdą obligacje...
– Nie znajdą.
– Gdzie je schowałeś?
– To moja sprawa.
MacIlson rzucił nerwowe spojrzenie spode łba.
– Być może. Ale są w tym budynku. Wczoraj przed przyjściem glin nie mogłeś ich stąd nigdzie przeszwarcować. Nie kuś losu. Czy szukali rentgenem?
– Aha.
– Słyszałem, że Hatton z całą bandą ekspertów bada plany budynku. Znajdzie twój sejf. Ja stąd w każdym razie znikam, zanim do tego dojdzie.
Vanning pomachał ręką.
– Jesteś histeryk. Przecież cię wyciągnąłem, prawda? Mimo, że o mały włos spieprzyłbyś całą sprawę.
– To prawda – przyznał MacIlson pociągając się za wargę. – Ale ja... – zaczął obgryzać paznokcie. – Cholera, przecież ja siedzę na kraterze wulkanu i pod sobą mam jeszcze gniazdo termitów. Nie będę tu sterczał i czekał, aż znajdą obligacje! A od Ameryki Południowej, dokąd się teraz wybieram, nie mogą chyba zażądać ekstradycji.
– Musisz czekać – powtórzył stanowczo Vanning. – To jest twoja jedyna szansa.
Nagle w ręku MacIlsona błysnęła spluwa.
– Dawaj połowę obligacji. I to już. Nie wierzę ci ani trochę. Myślisz, że będziesz mnie zwodził w nieskończoność? No, do cholery, dajesz forsę czy nie!?
– Nie – odparł Vanning.
– Ja nie żartuję.
– Wiem, że nie żartujesz. Ale ja nie mam tych obligacji.
– Jak to nie masz?
– Czy słyszałeś kiedy o możliwościach, jakie stwarza czwarty wymiar? – zapytał Vanning nie spuszczając z MacIlsona czujnego spojrzenia. – Schowałem walizkę do specjalnego tajnego sejfu. Ale nie mogę go otworzyć przed upływem określonej liczby godzin.
– Mhm... – zadumał się MacIlson. – A kiedy...
– Jutro.
– W porządku. To znaczy, że wtedy będziesz miał dla mnie te obligacje, tak?
– O ile przy tym obstajesz. Ale radziłbym ci zmienić zdanie. Byłoby to dla ciebie bezpieczniejsze.
Zamiast odpowiedzi MacIlson uśmiechnął się tylko przez ramię wychodząc. Vanning dłuższy czas siedział bez ruchu. Był przestraszony nie na żarty.
Problem polegał na tym, że MacIlson był typem skłonnym do stanów maniakalno-depresyjnych. Mógł rzeczywiście zabić. W tej chwili był w silnym stresie – jako człowiek ścigany i nie mający nic do stracenia. No cóż... Należałoby przedsięwziąć środki ostrożności.
Vanning raz jeszcze zadzwonił do Galleghera, ale i tym razem nikt się nie odezwał. Nagrał dla niego wiadomość na taśmę i znów ostrożnie zajrzał do szafki. Była pusta.

Wieczorem Vanning odwiedził Galleghera w jego laboratorium. Uczony robił wrażenie i pijanego i zmęczonego. Machnął niedbale ręką w kierunku stołu zasłanego skrawkami papieru.
– Ale mi zabiłeś klina! Gdybym znał zasady działania tego urządzenia, to bałbym się je dotknąć. Siadaj. I napij się. Masz te pięćdziesiąt kredytów?
Vanning w milczeniu wręczył Gallegherowi kupony. Gallegher wsunął je do Monstrum.
– Dobrze. A teraz... – usadowił się na kanapie. – Teraz zabieramy się do rozwiązywania zagadki za pięćdziesiąt kredytów.
– Czy ja mogę odzyskać walizkę?
– Nie – odparł stanowczo Gallegher. – A przynajmniej ja nie widzę takiej możliwości. Ona się znajduje w innym fragmencie czasoprzestrzeni.
– Ale co to znaczy?
– To znaczy, że ta szafka działa trochę jak teleskop, tyle że nie wyłącznie w sferze wizualnej. Stanowi coś w rodzaju okna. Możesz przez nie sięgnąć albo wyjrzeć. Jest to wyjście do t e r a z plus X.
Vanning spojrzał spode łba.
– Nic mi do tej pory nie mówiłeś.
– Wszystko, co do tej pory na ten temat wiem, to tylko teoria i obawiam się, że nic więcej nie będzie. Posłuchaj: na początku się myliłem. Przedmioty wkładane do szafki nie pojawiały się w innej przestrzeni, ponieważ musiałaby istnieć stała przestrzenna. To znaczy wcale by się nie zmniejszały. Rozmiar to rozmiar. Fakt przeniesienia sześcianu o boku jednego cala na Marsa nie zmniejszyłby go ani nie powiększył.
– A co z gęstością środowiska? Czy przedmiot nie uległby zmiażdżeniu?
– Jasne, i pozostałby zmiażdżony. Po wyjęciu z szafki nie powróciłby do swojego poprzedniego rozmiaru ani kształtu. X plus Y nigdy nie równa się XY. Ale X razy Y...

– Równa się co?
– I tu jest właśnie pies pogrzebany – Gallegher rozpoczął wykład. – Rzeczy, które wkładaliśmy do szafki, wędrowały w czas. Ich szybkość czasowa nie ulegała zmianie, czego nie można powiedzieć o warunkach przestrzennych. Dwie rzeczy nie mogą znajdować się jednocześnie w tym samym miejscu. Ergo twoja walizka została wysłana w inny czas: t e r a z plus X. A co oznacza w tym wypadku X, nie mam zielonego pojęcia, chociaż podejrzewam, że kilka milionów lat.
Vanning był oszołomiony.
– To znaczy, że walizka jest w przyszłości odległej o milion lat?
– Nie wiem, jak daleko, ale przypuszczam, że bardzo. Brak mi danych do rozwiązania tego równania. Wnioskowałem głównie przez indukcję, ale wyniki są zwariowane jak diabli. Einstein byłby tym zachwycony. Moja teoria pokazuje, że wszechświat jednocześnie kurczy się i rozciąga.
– Ale co to ma wspólnego...
– Ruch jest względny – ciągnął nieubłaganie Gallegher. – To zasada podstawowa. Oczywiście, że wszechświat się rozciąga, rozchodzi się jak gaz, ale jednocześnie jego części składowe się kurczą. To znaczy one nie rosną dosłownie rzecz biorąc, rozumiesz, w każdym razie nie słońca ani nie atomy. One po prostu się oddalają od punktu centralnego. Pędzą we wszystkich możliwych kierunkach... zaraz... o czym to ja mówiłem? Aha, po prostu kurczy się wszechświat jako jednostka.
– No to się kurczy. Ale gdzie jest moja walizka?
– Mówiłem ci już. W przyszłości. Doszedłem do tego w drodze rozumowania indukcyjnego. Jest to cudownie proste i logiczne. I zupełnie niemożliwe do udowodnienia. Sto, tysiąc, milion lat temu Ziemia – tak jak i wszechświat – była większa niż teraz. I dalej się kurczy. Kiedyś, w przyszłości, będzie o połowę mniejsza. Tyle że my tego nie zauważymy, ponieważ i wszechświat będzie proporcjonalnie mniejszy.
Gallegher sennie ciągnął dalej.
– Włożyliśmy do szafki stół, który wyłonił się gdzieś w przyszłości. Bo ta szafka, jak ci już mówiłem, to jest jak gdyby okno w inny czas. I na stół oddziałały warunki typowe dla tego czasu. Stół skurczył się po tym, jak mu daliśmy kilka sekund na wchłonięcie entropii, a może zresztą czegoś tam innego. Czy ja miałem na myśli entropię? Allach jeden wie. No, trudno.
– Zamienił się w piramidę.
– Bo pewnie temu procesowi również towarzyszy geometryczne zniekształcenie. A może to po prostu złudzenie optyczne. Może nie potrafimy odpowiednio nastawić wzroku. Wątpię, czy w przyszłości rzeczy będą tak naprawdę wyglądały inaczej – poza tym, że będą mniejsze – ale my korzystamy teraz z okna w czwarty wymiar. Fałda czasowa. To tak, jakbyśmy patrzyli przez pryzmat. Zmiana wielkości jest rzeczywista, ale kształt i kolor wydają się inne jedynie naszym oczom patrzącym przez pryzmat czwartego wymiaru.
– Czyli moja walizka znajduje się w przyszłości, tak? Ale dlaczego zniknęła z szafki?
– A co z tym małym stworzonkiem, które zgniotłeś? Może miało kumpli? Mogli być niewidzialni, poza bardzo wąskim... jak je tam nazwać... polem widzenia. Pomyśl: kiedyś w przyszłości – za sto, tysiąc czy milion lat walizka zjawia się ni z tego ni z owego nie wiadomo skąd? Jeden z naszych potomków przeprowadza dochodzenie, a ty go nagle zabijasz. Przychodzą jego kumple i zabierają walizkę, wynoszą ją poza obręb szafki. Jeśli chodzi o przestrzeń, walizka może być gdziekolwiek, natomiast element czasu jest wielkością nieznaną. T e r a z plus X. Na tym właśnie polega działanie tego sejfu. No i co ty na to?
– Do diabła! – wybuchnął Vanning. – I to jest wszystko, co masz mi do powiedzenia? Czy mam tę walizkę spisać na straty?
– Aha. Chyba, że sam chcesz się tam po nią wgramolić. Ale Bóg jeden wie, gdzie byś się znalazł. W przeciągu kilku tysięcy lat proporcje składników powietrza prawdopodobnie by się zmieniły. A może byłyby i inne zmiany.
– Nie jestem taki głupi.

No i proszę. Obligacje zniknęły bez nadziei na to, że się odnajdą. Vanning byłby się nawet pogodził ze stratą, gdyby miał pewność, że ubezpieczenie nie wpadnie w ręce policji, ale pozostawał jeszcze problem MacIlsona, zwłaszcza po tym, jak kula drasnęła okno z glasolexu w biurze Vanninga.
Spotkanie z MacIlsonem nie przyniosło pomyślnego rezultatu, ponieważ defraudant był przekonany, że Vanning chce go nabrać. Kiedy Vanning wyrzucał go siłą, miotał przekleństwa i groźby: pójdzie na policję, przyzna się...
A niech idzie. Nie ma żadnego dowodu. Niech go wszyscy diabli. Dla pewności jednak Vanning postanowił wsadzić do pudła swojego byłego klienta.
Nic z tego jednak nie wyszło. MacIlson dał w zęby facetowi, który przyniósł wezwanie na policję i uciekł. A teraz, podejrzewał Vanning, czaił się gdzieś po kątach, uzbrojony i gotów go stuknąć. Tak bywa z typami skłonnymi do stanów maniakalno-depresyjnych.
Vanning zażądał dwóch tajniaków do ochrony, z czego czerpał złośliwą satysfakcję. Wobec zagrożenia życia miał do tego prawo. Do chwili kiedy MacIlsona nie uszkodliwią, Vanning będzie korzystał z ochrony. A zadbał o to, żeby tę ochronę stanowili dwaj najtężsi goryle z całej manhattańskiej policji. Przy okazji stwierdził, że polecono im węszyć w sprawie zamszowej walizki.
Vanning zadzwonił do Hattona i uśmiechnął się do ekranu.
– No co, są jakieś sukcesy?
– Co pan ma na myśli?
– Moich goryli. A pańskich kapusiów. Nie znajdą obligacji, Hatton. Lepiej niech ich pan odwoła. Czy dwa zadania na raz to nie za dużo dla tych biedaków?
– Wystarczy, że się wywiążą z jednego. Że znajdą dowód rzeczowy. A jeżeli MacIlson rozwali panu łeb, nie zmartwię się specjalnie.
– Zobaczymy się w sądzie – powiedział Vanning. – Pan oskarża Watsona, tak?
– Tak. A pan rezygnuje ze skopolaminy, tak?
– W stosunku do przysięgłych? Jasne. Mam sprawę wygraną.
– Tak się panu przynajmniej wydaje – rzekł Hatton i wyłączył się.
Vanning chichocząc włożył płaszcz, wziął swoich goryli i udał się do sądu. Nie było ani śladu MacIlsona...
Sprawę wygrał, tak jak się spodziewał. Wrócił do biura, wysłuchał kilku nieistotnych spraw, jakie miała mu do zakomunikowania dziewczyna obsługująca centralkę i poszedł do swojego prywatnego apartamentu. Kiedy otworzył drzwi, zobaczył w rogu pokoju na dywanie zamszową walizkę.
Zatrzymał się oniemiały z ręką na zasuwie. Za sobą słyszał ciężkie kroki facetów z obstawy. Powiedział przez ramię „chwileczkę" i dał nura do pomieszczeń służbowych zatrzaskując za sobą drzwi. Doleciał go jeszcze koniec zdumionego pytania.
Walizka. Miał ją przed sobą niewątpliwie. Tak jak niewątpliwie za sobą miał dwóch tajniaków, którzy po krótkiej naradzie zaczęli walić w drzwi usiłując je wyłamać.
Vanning zzieleniał. Zrobił niepewny krok do przodu i zobaczył szafkę w rogu, w którym ją wtedy postawił. Idealna skrytka...
Otóż to. Jeśli włoży tam walizkę stanie się ona nierozpoznawalna. Nawet gdyby znów miała zniknąć, to nieważne. Ważne, żeby się pozbyć, i to natychmiast, dowodu obciążającego.
Drzwi zatrzęsły się w zawiasach. Vanning podbiegł chyłkiem do walizki i uniósł ją z podłogi. Kątem oka zobaczył ruch. W powietrzu nad nim pojawiła się ręka. Była to ręka olbrzyma z nieskazitelnie białym mankietem, który rozpływał się gdzieś w powietrzu. Ogromne palce sięgały w dół...
Vanning wrzasnął i odskoczył. Ale był nie dość szybki. Ręka dosięgała go i Vanning zaczął się bezsilnie tłuc o dłoń, która następnie zamknęła się w pięść. Kiedy pięść się otworzyła wypadło z niej to, co pozostało z rozduszonego Vanninga, plamiąc dywan. Ręka cofnęła się w nicość. Wyważone drzwi wpadły do środka i dwaj tajniacy potykając się o nie wtargnęli do pokoju.
Wkrótce potem przyszedł Hatton ze swoimi ludźmi. Niewiele zresztą mogli zrobić poza posprzątaniem. Zamszowa walizka, zawierająca dwadzieścia pięć tysięcy kredytów w obligacjach została wyniesiona w bezpieczniejsze miejsce. Ciało Vanninga pozbierano nie bez trudności i odstawiono do kostnicy. Fotografowie błyskali fleszami. Eksperci od daktyloskopii rozpylali proszek, ludzie od rentgena uwijali się ze swoim sprzętem. Wszystko zostało załatwione szybko i sprawnie – w ciągu godziny biuro było puste i zapieczętowane.
Tak więc nie było świadków pojawienia się gigantycznej ręki, która wyłoniła się znikąd, pomacała dokoła, jakby czegoś szukała i po chwili znikła...
Jedyną osobą, która mogłaby rzucić na tę sprawę jakieś światło był Gallegher, ale jego uwagi, wypowiedziane w samotności laboratorium, były skierowane do Monstrum.
– Aha, to dlatego ten stół laboratoryjny zmaterializował się tu wczoraj na kilka minut. Hmmm... T e r a z plus X równa się mniej więcej tydzień. Dlaczegóżby nie? Wszystko jest względne. Nigdy nie przypuszczałem, że wszechświat kurczy się w tak szybkim tempie!
Wyciągnął się wygodnie na kanapie i wstrzyknął sobie do ust podwójne martini.
– Tak, to jest to – mruknął po chwili. – Phi! Vanning to chyba jedyny facet na świecie, który znalazł się w połowie przyszłego tygodnia i... zginął! Chyba się zaleję.
I zalał się.

Przełożyła **Zofia Uhrynowska-Hanasz**

O autorze: patrz „Fantastyka" nr 9/83.

Arthur C. Clarke *(The Sentinel*

Wartownik

Przy najbliższej pełni Księżyca, gdy będzie on wysoko na południu, przyjrzyjcie się uważnie prawemu skrajowi jego tarczy. Następnie, wzdłuż jej krawędzi, przesuńcie wzrok wyżej. Tam, gdzie na zegarku jest cyfra „2", ujrzycie nieduży ciemny owal. Łatwo go dostrzeże każdy człowiek o normalnym wzroku. Jest to wielka, otoczona górami równina, jedna z najpiękniejszych na Księżycu, zwana Mare Crisium – Morzem Kryzysów. Ma trzysta mil średnicy, otaczające ją góry są wspaniałe, lecz nie była jeszcze zbadana zanim nie dotarliśmy do niej w końcu lata 1996 roku.

Była to duża ekspedycja. Mieliśmy dwa ciężkie transportowce, którymi przyleciały nasze zapasy i wyposażenie z odległej o pięćset mil głównej bazy księżycowej na Mare Serenitatis, oraz trzy małe rakiety transportu krótkodystansowego nad terenami nieprzejezdnymi dla naszych pojazdów naziemnych. Na szczęście większa część Mare Crisium jest zupełnie płaska. Nie ma tam wielkich rozpadlin, częstych i niebezpiecznych w innych okolicach, bardzo zaś mało jest jakichkolwiek gór i kraterów. Mogliśmy więc przewidywać, że nasze potężne traktory gąsienicowe bez trudności dowiozą nas gdzie zechcemy.

Byłem geologiem, a jeśli jesteście pedantami – selenologiem, i kierowałem grupą badawczą południowej połaci Mare Crisium. Przebyliśmy w ciągu tygodnia sto mil, trzymając się podnóży gór wzdłuż brzegów prastarego morza sprzed około miliarda lat. Gdy na Ziemi rodziło się życie, tutaj już umierało. Wody, zstępując do pustego serca Księżyca, opadały wzdłuż ścian urwisk zdumiewających ogromem. Ląd, po którym posuwaliśmy się leżał kiedyś pół mili pod nieruchomą powierzchnią oceanu. Teraz jedynym śladem wilgoci był szron, znajdowany niekiedy w głębi jaskiń, dokąd nigdy nie sięgały palące promienie słońca.

W drogę wyruszyliśmy na początku długiego księżycowego wieczoru; do zapadnięcia nocy mieliśmy cały ziemski tydzień. Kilka razy dziennie wychodziliśmy z pojazdów w skafandrach na poszukiwanie ciekawych minerałów lub by ustawić drogowskazy dla przyszłych podróżników. Normalna procedura bez szczególnych wydarzeń. Badania Księżyca nie są ani ryzykowne, ani nawet wybitnie interesujące. W naszych hermetyzowanych traktorach mogliśmy wygodnie mieszkać przez cały miesiąc, gdyby zaś zdarzyły się kłopoty – zażądać przez radio pomocy i czekać spokojnie na przylot rakiety ratunkowej. Oczywiście wywołałoby to okropne gderanie na temat marnowania paliwa rakietowego; traktory nadawały więc SOS tylko w wypadkach prawdziwego niebezpieczeństwa.

Powiedziałem przed chwilą, że księżycowe wyprawy badawcze nie są szczególnie interesujące. To oczywiście nieprawda. Te nieprawdopodobne góry, o ileż dziksze od łagodnych wzgórz Ziemi, nie mogą znudzić nikogo. Okrążając cyple i przylądki dawno nie istniejącego morza, nigdy nie wiedzieliśmy, jakie nowe wspaniałości pojawią się przed nami. Cały południowy łuk Mare Crisium był niegdyś potężną deltą, którą spływały do oceanu tuziny rzek, zasilanych zapewne ulewnymi deszczami, które musiały smagać zbocza gór podczas krótkiej, wulkanicznej epoki młodości Księżyca. Każde ze starodawnych rzecznych łożysk wiodło ku wyżynom, wzywając do wspinaczki. Ale mieliśmy przed sobą jeszcze sto mil drogi i tylko mogliśmy tęsknie spoglądać tam, gdzie będą się wspinać inni.

W traktorze posługiwaliśmy się czasem ziemskim. Dokładnie o 22:00 nadawało się do bazy raport dzienny i mogliśmy zamykać sklepik. Na zewnątrz, pod słońcem stojącym niemal w zenicie nadal płonęły skały, ale dla nas była to już noc. Budziliśmy się po ośmiu godzinach. Jeden z nas brał się za gotowanie śniadania, słychać było głośne brzęczenie elektrycznych golarek, ktoś włączał program radiowy z Ziemi na krótkich falach. A gdy po kabinie zaczynał się rozchodzić zapach smażonego bekonu, nieraz trudno było uwierzyć, że nie jesteśmy na Ziemi; wszystko było tak zwyczajne i swojskie, prócz uczucia zmniejszonego ciężaru i nienaturalnie zwolnionego spadania każdego przedmiotu.

Wypadała moja kolejka przygotowania śniadania w służącym za kambuz kącie głównej kabiny. Pamiętam po tylu latach ten moment bardzo żywo, bo radio właśnie grało jedną z moich ulubionych melodii, starą walijską piosenkę „Dawid z Białych Skał". Nasz kierowca wyszedł już w skafandrze na zewnątrz, by skontrolować gąsienice. Mój asystent Louis Garnett był na górze w przedziale kierowcy, wpisując do dziennika pokładowego spóźnione dane z dnia wczorajszego.

Stojąc nad patelnią niczym jakaś ziemska pani domu i czekając, aż kiełbaski się przyrumienią, błądziłem leniwie spojrzeniem po zboczach gór zamykających nasz południowy horyzont, a na wschodzie i zachodzie skrywających się pod krzywizną powierzchni Księżyca. Choć zdawało się, że od traktora dzieli je mila albo dwie, wiedziałem, że do najbliższej jest ich dwadzieścia. Oczywiście na Księżycu odległość nie zaciera szczegółów, nie ma tej niemal nieuchwytnej mgiełki zmiękczającej i często zmieniającej zarysy wszystkich odległych przedmiotów na Ziemi.

Te góry miały dziesięć tysięcy stóp. Pięły się wzwyż tak stromo, jakby jakiś podziemny wybuch wypchnął je w górę poprzez stopioną powierzchnię Księżyca. Nawet ich najbliższe podnóża były zasłonięte silnie zakrzywioną powierzchnią równiny, bo Księżyc jest bardzo małą planetką. Od mego punktu widzenia do horyzontu były mniej więcej dwie mile.

Podniosłem wzrok ku szczytom, na które nie wspiął się jeszcze żaden człowiek. Zanim narodziło się życie na Ziemi, one już widziały tutaj jak opadające oceany w posępnym milczeniu zstępują do grobów, grzebiąc wraz z sobą nadzieje i obietnice poranka tej planety. Światło słoneczne oblewało bastiony gór, odblask raził oczy, choć tuż nad nimi gwiazdy błyszczały nieruchomo na niebie czarniejszym, niż w zimową ziemską noc.

Odwracając się, kątem oka pochwyciłem metaliczny błysk wysoko na grzbiecie wielkiego półwyspu, o trzydzieści mil na zachód wcinającego się w morze. Był to bezwymiarowy punkt światła, podobny do gwiazdy zerwanej z nieba ostrzem któregoś z tych okrutnych szczytów. Pomyślałem, że słońce odbija się prosto w oczy od gładkiej powierzchni jakiejś skały. Takie zjawiska nie należały do rzadkości. W drugiej kwadrze Księżyca obserwatorzy z Ziemi mogą czasem ujrzeć, jak wielkie łańcuchy górskie na Oceanus Procellarum płoną niebieskobiałym blaskiem. Światło słoneczne odbija się od ich zboczy, rzucając błyski światła z planety na planetę. Ale byłem ciekaw, jaka to skała może świecić tak jasno w górze. Wspiąłem się do wieżyczki obserwacyjnej i skierowałem nasz czterocalowy teleskop wprost na wschód.

Nie ujrzałem prawie nic, ale było tego dość, by się zaniepokoić. Szczyty gór, ostre i wyraźne w polu widzenia, leżały, zdawałoby się, ledwie o pół mili. To jednak, co zwróciło moją uwagę, ciągle było zbyt małe, by je zidentyfikować. A przecież zdawało się mieć jakąś nieuchwytną symetrię; wierzchołek zaś góry, na którym spoczywało, był dziwnie płaski. Długo wysyłałem wzrok patrząc na tę błyszczącą zagadkę, aż wreszcie zapach spalenizny dolatujący z kambuza uświadomił mi, że nasze kiełbaski śniadaniowe odbyły podróż długości ćwierci miliona mil nadaremnie.

Przez cały ranek posuwaliśmy się przez Mare Crisium. Góry na zachodzie piętrzyły się coraz wyżej. Wychodziliśmy w skafandrach po okazy geologiczne, ale nawet wówczas trwała dyskusja przez radio. Jest absolutnie pewne – dowodzili mi koledzy – że na Księżycu nie istniało życie rozumne. Nigdy i w żadnej formie. Jedyne istoty żywe kiedykolwiek tu istniejące to parę prymitywnych roślin i ich nieco mniej zdegenerowani przodkowie. Wiedziałem o tym tak samo dobrze jak wszyscy, ale zdarzają się sytuacje, gdy naukowiec musi porzucić obawę, że wyjdzie na durnia.

– Słuchajcie – powiedziałem w końcu – pójdę tam choćby dla spokoju mego sumienia. Ta góra ma poniżej dwunastu tysięcy stóp. Czyli, przeliczając na grawitację ziemską, ledwie dwa tysiące. Wycieczka potrwa dwadzieścia godzin. Tak czy inaczej zawsze miałem ochotę pójść w te górki, a właśnie mam doskonały pretekst.
– Jeśli nie złamiesz karku – powiedział Garnett. – Gdy wrócimy do bazy staniesz się pośmiewiskiem całej ekspedycji. A górę prawdopodobnie nazwą Szaleństwem Wilsona.
– Nie złamię karku – odpowiedziałem zdecydowanie. – Kto pierwszy wszedł na Pico i na Helikon?
– Czy nie byłeś wtedy odrobinę młodszy? – spytał łagodnie Louis.
– Tym bardziej – odparłem z godnością – mam powód, by iść teraz.

Tego wieczoru wcześnie poszliśmy spać, podjechawszy traktorem na pół mili od przylądka. Garnett miał rano wyjść ze mną. Był dobrym alpinistą i nie jeden raz towarzyszył mi w takich wyczynach. Nasz kierowca był wyraźnie zadowolony, że zostawiamy go, by opiekował się maszyną.
Na pierwszy rzut oka urwiska wydawały się nie do przebycia. Ale na planecie, gdzie wszystko waży jedną szóstą tego, co na Ziemi, wspinaczka jest łatwa dla każdego, kto nie ma lęku przestrzeni. Jedynym niebezpieczeństwem alpinizmu księżycowego może być tylko nadmierna pewność siebie. Upadek zaś z wysokości sześciuset stóp na Księżycu może zabić równie skutecznie, jak ze stu na Ziemi.
Pierwszy postój zrobiliśmy na szerokiej półce skalnej, około czte-



M. Zalejski

rystu stóp nad poziomem równiny. Byłem z tego zadowolony, bo nienawykłe do wysiłku kończyny zesztywniały mi pomimo niezbyt trudnego wejścia. Z tej wysokości nasz traktor wyglądał jak mały metalowy owad. Nadaliśmy do kierowcy sprawozdanie z przebiegu wspinaczki.

Horyzont oddalał się z godziny na godzinę i widać było coraz większą połać równiny. Siegaliśmy wzrokiem już na pięćdziesiąt mil w głąb morza, widać było nawet szczyty gór na przeciwległym, oddalonym o sto mil jego brzegu. Tylko nieliczne z wielkich równin księżycowych są tak gładkie, jak Mare Crisium. Mogliśmy sobie niemal wyobrazić, że o dwie mile pod nami leży nie morze skał, lecz wody. Złudzenie psuła tylko grupa kraterów nisko nad horyzontem.

Grzbiet góry nadal zasłaniał przed nami cel wyprawy i posuwaliśmy się korzystając z mapy i biorąc Ziemię za punkt orientacyjny. Jej wielki srebrny sierp w pierwszej kwadrze stał niemal dokładnie na wschód od nas. Wkrótce słońce i gwiazdy powolnym ruchem przesuną się po niebie i znikną nam z pola widzenia, ale Ziemia zawsze pozostanie na swym miejscu, rosnąc lub malejąc przez wszystkie kwadry w miarę, jak płynąć będą lata i pory roku. Za dziesięć dni stanie się olśniewającym kręgiem, o północy zalewając te skały blaskiem pięćdziesięciokrotnie jaśniejszym od ziemskiej pełni Księżyca. Ale z gór musimy zejść na długo przed nocą – lub pozostać w nich na zawsze.

Temperatura wewnątrz skafandrów była przyjemna; układy chłodzenia skutecznie walczyły z żarem palącego słońca i odprowadzały nadmiar ciepła naszych zmęczonych ciał. Odzywaliśmy się rzadko, tyle tylko, ile potrzeba dla przekazania wskazówek co do wspinaczki i omówienia najlepszego planu wejścia. Nie wiem co myślał Garnett. Zapewne to, że dał się wciągnąć w najbardziej bezsensowną wyprawę swego życia. Niemal się z nim zgadzałem, ale radość wspinaczki, świadomość, że nikt i nigdy nie szedł tędy przed nami oraz dobry humor wywołany coraz szerszymi krajobrazami, były dla mnie zupełnie wystarczającą nagrodą.

Nie przypominam sobie, by widok ściany skalnej, której niedawno przyglądałem się przez teleskop z odległości trzydziestu mil, podniecił mnie w szczególny sposób. O pięćdziesiąt stóp wyżej kończyła się ona poziomą płaszczyzną, na niej zaś czekało to, co zwabiło mnie przez jałową pustkę. Prawie na pewno był to zaledwie wielki głaz, rozbity przed wiekami uderzeniem meteorytu, o powierzchni przełomu nadal błyszczącej w tej niezmiennej i niezmąconej ciszy.

Na ścianie nie było uchwytów dla rąk, musieliśmy więc użyć kotwicy. Do mych zmęczonych ramion zdawały się napływać nowe siły gdy zakręciłem nad głową trójzębną kotwiczką i posłałem ją w górę, ku gwiazdom. Za pierwszym razem nie zahaczyła się i gdy pociągnęliśmy za linkę, powoli opadła w dół. Za trzecią próbą pazury chwyciły i nawet nasz łączny ciężar nie ruszył jej z miejsca.

Garnett spojrzał na mnie z niepokojem. Domyślałem się, że wolałby wejść pierwszy, ale uśmiechnąłem się tylko do niego przez szybę hełmu i potrząsnąłem głową. Powoli, bez pośpiechu zacząłem ostatni etap wspinaczki.

Nawet w skafandrze kosmicznym ważyłem tutaj ledwie czterdzieści funtów, wciągnąłem się więc na rękach bez pomocy nóg. Na krawędzi zatrzymałem się i pomachałem towarzyszowi. A potem przetoczyłem się przez krawędź i stanąłem na nogi, patrząc przed siebie.

Musicie zrozumieć, że aż do tej chwili byłem prawie pewien, że nie zastanę tutaj nic dziwnego czy niezwyczajnego. Prawie – ale niezupełnie. I ta właśnie dręcząca wątpliwość popędzała mnie naprzód. No cóż, wątpliwości już nie było. Natomiast udręki dopiero się zaczynały.

Stałem na platformie o średnicy zaledwie stu stóp. Kiedyś była gładka – zbyt gładka, by mogła być naturalną – ale padające meteoryty od niepamiętnych czasów paliły żarem i ryły jej powierzchnię. Wycięto ją jako podstawę dla błyszczącej, z grubsza piramidalnej struktury, dwa razy wyższej od człowieka, osadzonej w skale jak gigantyczny wielościenny klejnot.

W ciągu tych kilku pierwszych sekund nie odczuwałem chyba żadnej emocji. A potem – wielkie, nagłe wzruszenie i nieopisana radość. Bo kochałem Księżyc, a teraz już miałem dowód, że pnące mchy na kraterach Arystarcha i Eratostenesa nie były jedyną formą życia, jaką wydał na świat w czasach swej młodości. A więc, mimo wszystko, istniała kiedyś cywilizacja księżycowa, a ja byłem jej pierwszym odkrywcą. Nie martwiło mnie, że z opóźnieniem stu milionów lat; ważne było to, że odkryłem w ogóle.

Mój mózg zaczął teraz normalnie funkcjonować, analizować i zadawać pytania. Czy był to budynek, miejsce kultu czy coś bez nazwy w moim języku? Jeśli budynek, czemu wzniesiono go w tak skrajnie niedostępnym miejscu? Czy mogłaby to być świątynia? Wyobraziłem sobie kapłanów nieznanego kultu, zanoszących do swych bogów błagania o ratunek, gdy życie uchodziło wraz z umierającymi oceanami, a przecież błagających nadaremnie.

Zrobiłem kilkanaście kroków, by z bliska przyjrzeć się tej rzeczy, ale wstrzymała mnie nagle obudzona ostrożność. Miałem trochę wiadomości z archeologii, starałem się więc odgadnąć, jaki mógł być poziom rozwoju cywilizacji, która zrównała wierzchołek


M. Zalejski

gory i zbudowała lustrzane powierzchnie, których blask ciągle mnie oślepiał.

Egipcjanie – myślałem – mogliby tego dokonać, gdyby ich robotnicy dysponowali niezwykłym materiałem, którego używali ci o ileż starożytniejsi architekci. Niewielki rozmiar konstrukcji nie nasuwał myśli, by była ona dziełem gatunku bardziej rozwiniętego, niż mój własny. Myśl, że na Księżycu w ogóle istniał rozum, była ciągle zbyt wielka do pojęcia, a ludzka duma nie pozwoliła mi na wyciągnięcie ostatecznych, upokarzających wniosków.

I wtedy zobaczyłem coś, od czego włosy zjeżyły mi się na głowie. Coś tak błahego i niewinnego, że wielu nie zwróciłoby na to w ogóle uwagi. Wspomniałem już, że platformę pokrywały ślady uderzeń meteorytów, leżała też na niej parucalowa warstwa pyłu kosmicznego, który zawsze pokrywa powierzchnię każdej planety, gdzie nie wieją wiatry, które by go rozniosły. Ale pył i blizny meteorytowe urywały się nagle na obwodzie wielkiego koła otaczającego małą piramidkę, jakby niewidzialna ściana chroniła ją od zniszczenia przez działanie czasu i powolne, lecz nieustanne bombardowanie z kosmosu.

Usłyszałem wrzask w słuchawkach i zrozumiałem, że to Garnett wzywa mnie od dłuższego czasu. Zrobiłem kilka niepewnych kroków nad brzeg urwiska i nie mogąc wydobyć głosu, skinąłem by do mnie dołączył. I znów zawróciłem do koła w warstwie pyłu. Podniosłem kawałek skały i lekko rzuciłem w kierunku błyszczącej zagadki. Nie zdziwiłbym się, gdyby kamyk znikł w niewidzialnej zaporze. Ale zdawało się, że trafił w gładką, półkulistą powierzchnię i powoli osunął się na ziemię.

Wiedziałem już, że patrzę na coś, z czym moja rasa w starożytności nie mogłaby się zmierzyć. Nie była to budowla, lecz maszyna, chroniąca się siłami rzucającymi wyzwanie Wieczności. Jakiekolwiek były natury, działały nadal i może podszedłem już zbyt blisko. Pomyślałem o wszystkich rodzajach promieniowania, które człowiek ujarzmił i oswoił w minionym stuleciu. Zdałem sobie sprawę, że jeśli wkroczyłem na śmiercionośny, bezdźwięczny obszar działania nieekranowego reaktora atomowego, jestem nieodwołalnie skazany.

Pamiętam, że zwróciłem się wówczas do Garnetta, który podszedł i stanął koło mnie nieruchomo. Wyglądało, jakby zupełnie nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności. Nie przeszkadzałem mu i by uporządkować myśli odszedłem na brzeg urwiska. Głęboko pode mną leżało Mare Crisium – zaiste Morze Kryzysów! – dla większości ludzi obce i dziwne, lecz dla mnie uspokajająco znajome. Podniosłem wzrok ku sierpowi Ziemi stojącej w orszaku gwiazd i myślałem, co skrywały jej obłoki w okresie, gdy tutaj nieznani budowniczowie ukończyli pracę. Czy był to okres karboński z parującymi dżunglami, nagie wybrzeża, na które musiały wypełznąć pierwsze stwory ziemnowodne, by podbić stały ląd, czy też było to jeszcze wcześniej, w czasie długiej samotności zanim pojawiło się życie?

Nie pytajcie mnie, czemu wcześniej nie odgadłem prawdy – prawdy, która teraz wydaje się tak oczywista. W pierwszym podnieceniu mym odkryciem, przyjąłem za oczywiste, że ta kryształowa zjawa została wybudowana przez rasę z odległej przeszłości Księżyca. Ale nagle z przemożną siłą ogarnęło mnie przekonanie, że była ona tak obca Księżycowi jak ja sam.

Przez dwadzieścia lat nie odkryliśmy na Księżycu innych śladów życia, niż parę zdegenerowanych roślin. Żadna cywilizacja księżycowa nie mogła pozostawić żadnego śladu swego istnienia.

Znów spojrzałem na błyszczącą piramidę i wydała mi się bardziej obca, niż cokolwiek mającego związek z Księżycem. I nagle poczułem, że trzęsę się od idiotycznego, histerycznego śmiechu wywołanego podnieceniem i przemęczeniem – bo wyobraziłem sobie, że piramidka odezwała się do mnie: „Przepraszam, ale ja także jestem nietutejsza".

Dwadzieścia lat zużyliśmy, aby rozbić tę niewidzialną kopułę i dostać się do wnętrza krystalicznych ścian. Czego nie mogliśmy zrozumieć, roztrzaskaliśmy na koniec dziką siłą atomowej energii. Potem obejrzałem szczątki tej cudnej, błyszczącej rzeczy, którą znalazłem wysoko na szczycie góry. Nie mają żadnego sensu. Mechanizmy – o ile w ogóle były to mechanizmy – piramidy były produktem technologii leżącej daleko poza horyzontami naszych możliwości, być może technologii sił parapsychicznych.

Tajemnica dręczy nas tym bardziej dziś, gdy dosięgliśmy innych planet i wiemy, że tylko Ziemia mogła kiedykolwiek być siedzibą rozumnego życia. Żadna z zaginionych cywilizacji naszej planety też nie mogła zbudować tej maszyny, bo grubość pokładu pyłu meteorytowego na platformie pozwoliła nam określić jej wiek. Wykonano ją zanim życie zrodziło się z ziemskich mórz.

Gdy nasz świat liczył połowę swego obecnego wieku, c o ś przybyło z gwiazd, przemknęło przez system słoneczny, pozostawiło dowód swego pobytu i znów uleciało w dalszą drogę. Maszyna, zanim ją zniszczyliśmy, realizowała zamiary swych twórców. A jakie one były, mogę się tylko domyślać.

W naszej galaktyce krąży prawie sto miliardów gwiazd i dawno temu, inne rasy na planetach innych słońc, wspięły się na szczyty, które myśmy osiągnęli, a potem minęły je. Pomyślcie o ich pradawnych cywilizacjach z zarania Stworzenia, o panach wszechświata tak młodego, że życie ledwie się zrodziło na garstce planet. Nie potrafimy sobie nawet wyobrazić ich samotności, samotności bogów, którzy badają nieskończoność i nie znajdują nikogo, kto mógłby dzielić ich myśli.

Musieli przeszukiwać gwiazdozbiory jak my planety. Wszędzie znajdowali światy – puste lub zapełnione bezmózgimi, pełzającymi stworami. Taką też była nasza Ziemia, z niebem zaciągniętym dymami wulkanów, gdy pierwszy statek ludów zarania wynurzył się z otchłani poza orbitą Plutona. Minął zlodowaciałe planety zewnętrzne, wiedząc, że życie nie jest zapisane w ich przeznaczeniu. Zatrzymał się wśród wewnętrznych, grzejących się w ogniu Słońca i oczekujących na początek swych dziejów.

Wędrowcy musieli ujrzeć Ziemię, krążącą bezpiecznie w wąskiej strefie między ogniem i lodem i odgadnąć, że jest to najulubieńsze ze wszystkich dzieci Słońca. Tu w odległej przyszłości będzie istnieć rozum. Lecz na podróżników czekały jeszcze niezliczone gwiazdy, tutaj być może już nigdy nie wrócą.

Zostawili więc wartownika, jednego z miliardów jakie rozsieli w kosmosie, czuwających nad wszystkimi planetami niosącymi obietnicę życia. Był latarnią, cierpliwie przez wieki sygnalizującą fakt, że nikt jej nie odkrył.

Teraz być może rozumiecie, czemu piramidę umieszczono na Księżycu, a nie na Ziemi. Nie obchodziły jej budowniczych rasy, ledwie silące się, by wyjść ze stanu dzikości. Zainteresują się naszą cywilizacją wówczas dopiero, gdy dowiedziemy naszej zdolności przetrwania – przez wyjście w przestrzeń kosmiczną z naszej kolebki, Ziemi. Każdy rozumny gatunek musi wcześniej czy później podjąć to wyzwanie. Wyzwanie podwójne, bo zależne zarówno od opanowania energii atomowej, jak od dokonania ostatecznego wyboru między życiem a śmiercią.

Gdy przetrwaliśmy ten kryzys, znalezienie piramidy i otwarcie jej siłą było tylko kwestią czasu. Teraz jej sygnały zamilkły. Ci zaś, których jest to zadaniem, zwrócą uwagę ku Ziemi. Może zechcą dopomóc naszej niemowlęcej cywilizacji. Ale muszą być już bardzo, bardzo starzy, a starzy często bywają szaleńczo zazdrośni o młodych.

Nie umiem już patrzeć na Drogę Mleczną nie myśląc o tym, z której z tych gęstych chmur gwiezdnych nadchodzą ku nam wysłannicy. Jeśli wybaczycie mi tak trywialną analogię, stłukliśmy szybę w sygnalizatorze pożarowym i teraz już nic nie możemy zrobić. Tylko czekać.

Nie sądzę, byśmy mieli czekać długo.

Przełożył Jerzy Wilczyński

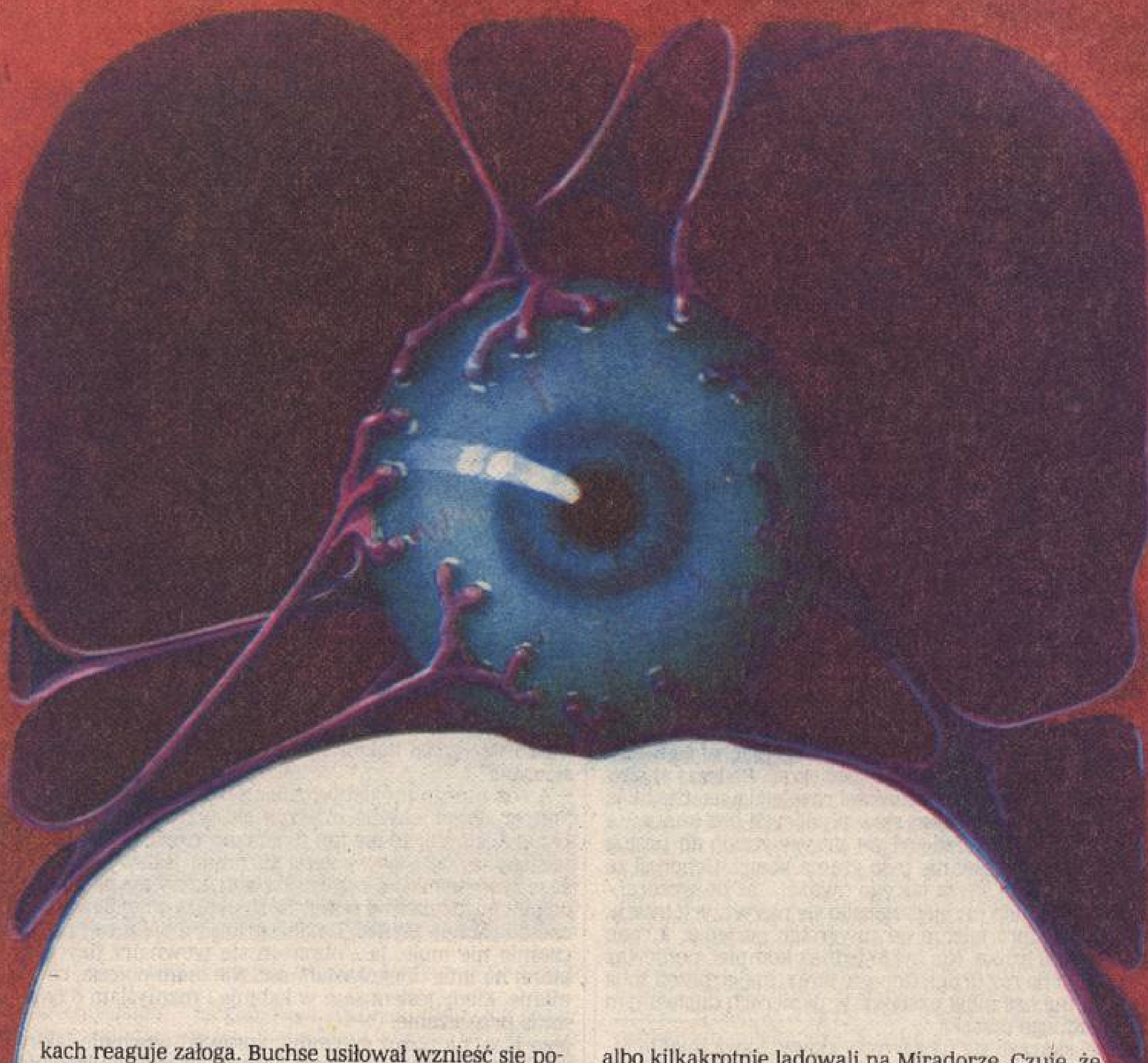
O autorze: patrz „Fantastyka" nr 3/84.

Yonyer jako ostatni stanął u drzwi gainetu. Doktor Buchse wpuścił go do środka, ale dla pewności zlustrował jeszcze wnetrze małej poczekalni. Nikogo. Zamknął ostrożnie drzwi i z ulgą zasiadł za biurkiem.
– A zatem – zaczął – cierpi pan na dokuczliwą nostalgię.
Sformułowanie „a zatem", fakt że go użył, zirytowały go. Wpatrywał się w ścianę obok nogi biurka; lakier złuszczał się i opadał płatami. Nostalgia. Prawie prychnął. Im człowiek starszy, tym mniej odporny na banały. Ten równie dobrze pasuje do Yonyera, udającego pacjenta, jak i do wszechmogącego doktora Buchse, który posiadł moc uzdrawiania z tęsknoty.
Yonyer spojrzał na niego jak na wariata.
– Nie mówiłem panu, doktorze, że już wyrosły. One dopiero kiełkują. Czuję je pod skórą. Jestem przekonany, że gdybym mógł dotknąć tych miejsc, wyczułbym niewielkie zgrubienie. Nic więcej.
Usiłował dosięgnąć łopatek wykręconą ręką, ale bez rezultatu.
– Dlaczego pan do mnie przyszedł? – spytał oschle doktor Buchse. Dobrze wiedział, że żadnych zgrubień nie ma.
– A do kogo miałem pójść? Do księdza?
– Miałem na myśli kwestię, czy owo kiełkowanie sprawia panu przykrość. Jak pan to odczuwa – jako dolegliwość? Czy to – bo ja

Marek Oramus

Tlatocetl

– No więc? Co panu dolega? – spytał Buchse starając się nie okazać rezygnacji.
– Rosną mi skrzydła. – Yonyer popatrywał na doktora spode łba. Siedział na brzeżku krzesła, wychylony, jakby zaraz chciał zerwać się i uciec. W całej jego postawie było coś takiego, że Buchse przestraszył się, że mógłby go spłoszyć. Praca lekarza na dalekobieżnym patrolowcu sprowadza się – poza opatrywaniem nagłych urazów – do roli niańki. Trzeba umieć słuchać, rozmawiać, okazywać zainteresowanie, kiwać głową, zaglądać w głąb rozdartych dusz – i pocieszać, pocieszać, pocieszać. Podczas służby przychodzi taki dzień, kiedy osobowości rozklejają się, trzeba je zbierać do kupy, scalać spoiwem słów płynących bez końca – a kto uleczy lekarza? Buchse zdążył się przyzwyczaić do posług rutynowych. W tym co robił nie było grama poezji. Uchodził za dobrego fachowca i sam się za takiego uważał... aż do wczoraj.
Wieczorem, w godzinach przyjęć, zgłosiło się pierwszych trzech. W nocy zbudził doktora telefon od czwartego pacjenta, a rano stawiła się następna trójka. Nie był to jednak komplet, ponieważ Vahvatil przyszedł po raz drugi. Dopiero teraz, mając przed sobą Yonyera, doktor Buchse mógł postawić w papierach czerwonym flamastrem ostatniego ptaszka.
Vahvatil i Mezei skarżyli się na zawroty głowy. Śliwa miał halucynacje, Szapałow rozdwojenie jaźni, Moiceanu cierpiał na zanik pamięci i manię prześladowczą jednocześnie, a Dobrowolski wykazywał objawy choroby morskiej. Epidemia, mamrotał Buchse. Nie pokazywali się całymi latami, aż zaczynał odstawać od towarzystwa i zarządzając przymusowe badania usiłował dowieść własnej niezbędności na statku. Dopiero teraz... jak trwoga, to do Buchsego. Oprócz uczucia satysfakcji, którego Buchse wstydził się i które w sobie zwalczał, pojawiła się iskierka emocji: co za wirus zmógł załogę „Ritornella"? Doktor był przekonany, że istnieje wspólny mianownik spisanych dokładnie dolegliwości. Wszak jeszcze pół roku, skąd, miesiąc temu, ludzie i maszyny spisywali się znakomicie. Do pewnego momentu wszystko szło jak z płatka. Tyle że w tym czasie lądowali na Miradorze.
– Mógłby pan zdjąć koszulę?
Yonyer ściągnął ją bez słowa, a doktor Buchse wstał ostrożnie i stojąc nieco z boku spojrzał na plecy pacjenta. O jego nostalgii dowiedział się od Śliwy. Plecy były gładkie, lekko pałąkowate, ale ponad wszelką wątpliwość pozbawione skrzydeł. Doktor wziął ze stołu flamaster.
– Niech pan postara się sprecyzować, z których miejsc one wyrastają – musiał trochę uważać na swój głos, było mu ni to do śmiechu, ni do płaczu, bał się urazić Yonyera i utracić jego zaufanie. – Ile ich jest?
– Para.
Kiedy Buchse zbliżył koniec flamastra do skóry, Yonyer poruszył się. Zrobił to nieświadomie, przez mięśnie pod skórą przeleciał jakby skurcz. Lokalne uwrażliwienie? Mógł to być przypadek, bo kiedy doktor powtórnie zbliżył flamaster, objaw się nie powtórzył.
Buchse wodził końcówką flamastra po skórze, a Yonyer instruował go: wyżej, w dół, w lewo, do kręgosłupa. W ten sposób naniesione zostały dwa czerwone punkty, położone mniej więcej symetrycznie w obrębie łopatek. Doktor cofnął się o krok i trudził wyobraźnię nad rozwiązaniem zaczepienia skrzydeł w tym miejscu, gdy nagle przyszła mu do głowy pewna wątpliwość.
– Cholera, wypisany – rzucił flamaster na stół i wziął inny. – Bardzo pana przepraszam, ale musimy powtórzyć.
Tym razem punkty wypadły pół centymetra dalej, w kierunku dźwigaczy łopatki. Buchse dałby głowę, że po następnej powtórce odkryłby kolejne przesunięcie. Usiadł przy biurku.
– Niech pan opowie, jakie one są – zachęcił. Lekkim uśmiechem próbował dodać pacjentowi animuszu.
wiem? – boli, drażni, doskwiera?
– Boli – nie. Ani specjalnie nie drażni. – Yonyer zastanawiał się przez chwilę. – Czasem odbieram ten proces jako ledwo wyczuwalną, szalenie ulotną, ale jednak przyjemność. Widzi pan, w tym jest coś takiego, że bez przerwy angażuje uwagę. Jak pan ma zdrowe zęby, nie zdaje pan sobie sprawy z istnienia prawej dolnej szóstki, dopóki pan o niej nie pomyśli. Chyba że pana rozboli...
– Dobrze – uciął doktor Buchse – a skąd pan wie, że to akurat skrzydła?
– A cóż innego mogłoby rosnąć w tym miejscu? – obruszył się Yonyer. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. – Rzecz w tym, panie doktorze, że nie jest to główna zmiana, a w każdym razie nie jedyna, która się we mnie dokonuje. Jeśli wyobrazi pan sobie, że przywykłem do pewnego kształtu, który ma pan przed sobą, to od pewnego czasu od granic tej struktury odlepiła się zewnętrzna część i zaczęła płynąć. Doktorze, to są moje ręce i nogi, a jednocześnie nie moje. Ja... obracam się wewnątrz fizycznej formy, której na imię człekokształtność. Nie mam pojęcia, co z tego wyniknie. Kiedy jestem sam w kabinie i rozmyślam o tym, ogarnia mnie przerażenie.
Jego głos, na pozór spokojny, sprawiał wrażenie jakby Yonyer całą siłą woli ukrywał swój dramat. Buchse oblizał suche wargi.
– Dawno pan zauważył objawy?
– Jakieś trzy, cztery dni temu. Ale myślę, że to się działo już wcześniej.
Buchse kiwnął głową na znak, że uważa tak samo. Wręczył Yonyerowi fiolkę pastylek na uspokojenie i nakazał szczegółową samoobserwację. Patrzył jak wstaje z krzesełka i zmierza ku drzwiom – w gruncie rzeczy ani trochę nie pocieszony.
– Jeszcze jedno – zatrzymał go w pół drogi – pan schodził na powierzchnię Miradora?
– Owszem, dwukrotnie. Wszyscy schodzili – dodał tonem zdziwienia.
– Niektórzy pana koledzy twierdzą, że nie opuszczali lądowników.
– Niech im pan nie wierzy – rzekł obojętnie. Po chwili treść sugestii lepiej dotarła do niego. – Ciekaw jestem, kto tak twierdzi. – Ożywił się. – Pewnie Vahvatil albo Śliwa, co?
– Co według pana chcieliby ukryć zatajając swój pobyt? – zainteresował się Buchse.
– Na Miradora wystarczyło posłać na dobrą sprawę same zasobniki towarowe. Ludzie byli tam doskonale zbędni. A jednak posypali się z orbity jak ulęgałki. Rozumie pan?
– Nie.
Yonyer spojrzał na niego z roztargnieniem, a jednak Buchsemu wydało się, że kpiąco. Położył rękę na gładkiej metalowej powierzchni.
– Żegnam, doktorze. Dwa razy dziennie, mówił pan? Po posiłkach?
Po jego odejściu Buchse pogrążył się w rozmyślaniach. Był przekonany, że z całego „Ritornella" on jeden nie uległ zafascynowaniu Miradorem. Owszem, spędził dwie albo trzy godzinki pod tym niebem tak niepodobnym do ziemskiego, ale cały czas w skafandrze i blisko lądownika. O dziwo, nieprzyjemne sensacje trapiące towarzyszy wyprawy jakoś go omijały. Oczekiwał ich, zwłaszcza po porannej nawałnicy. Teraz, późnym popołudniem, kiedy nadal nic się nie działo, zakiełkowała w nim nieśmiała nadzieja, że tajemniczy wirus go oszczędził.
O co chodziło w tym wszystkim? Po rozmowie z Yonyerem Buchse był niemal pewien, że o przemyt. Zapewne maszyny odkopały coś ciekawego – ruiny, grobowce, może skarbiec – załoga chwyciła cynk i zareagowała tak, jak zwykle w podobnych przypad-



kach reaguje załoga. Buchse usiłował wznieść się ponad tę ich nieposkromioną łapczywość, choć myśl, że tamci dobiją do stacji macierzystej blisko Ziemi jako milionerzy, on zaś po raz kolejny nie będzie miał nic – nie dawała mu spokoju. Pomyślał, że pomimo tylu wypowiedzianych do nich słów nie zdołał sobie zaskarbić ani cząstki prawdziwego zaufania. Na tym statku nie miał ani jednego oddanego przyjaciela. Włączył wideofon i wywołał sygnał kabiny Dobrowolskiego. Długo nikt nie odbierał; wreszcie ekran wypełnił się pyzatą twarzą kapitana. Gościł na niej wyraz udręczenia i niepokoju.

– Ach, to pan, doktorze – powiedział bez cienia entuzjazmu. – Witam. Dobrze, że pan dzwoni.

– Dlaczego?

– Co – dlaczego?

– Dlaczego dobrze?

– Wie pan, jak to się mówi przez grzeczność – Dobrowolski roześmiał się sztucznie. – Nie, nie, ja naprawdę tak myślę. Trochę odstajemy od siebie na tym statku, nie sądzi pan? Żadnego życia towarzyskiego. Śpimy, trochę pracujemy, a na resztę czasu zamykamy się po kabinach.

– Zwłaszcza od czasu opuszczenia Miradora – skwitował Buchse. – Jak się pan czuje?

– Trochę tego... lepiej. Te pana środki chyba mi pomogły. Tylko głowa...

Gęba Dobrowolskiego wypełniała ekran, tak jakby kapitan celowo pragnął ograniczyć pole widzenia kamery.

– Panie kapitanie – powiedział cierpko Buchse – chciałbym się z panem naradzić. Sytuacja na statku jest poważna.

– Co pan przez to rozumie?

– Ludzie skarżą się na dziwne niedomagania. Sto procent stanu osobowego to chorzy. Niektórzy z nich raz albo kilkakrotnie lądowali na Miradorze. Czuję, że między tymi faktami istnieje jakiś związek.

– A pan? Pan także wylądował na Miradorze! I nic panu nie jest!

– Ale nie opuszczałem lądownika – skłamał na zimno Buchse. W gruncie rzeczy nikt nie mógł wiedzieć o jego spacerze. – Co się tyczy tego, że nic mi nie dolega, to trzeba koniecznie uzupełnić pańską uwagę: na razie.

– Co pan proponuje? – spytała oschle twarz z ekranu.

– Panie kapitanie, zachodzi podejrzenie infekcji. Do części mieszkalnej mogły zostać zawleczone jakieś wirusy. Chciałbym pana prosić o pomoc w ustaleniu, jaką ewentualnie drogą się tu dostały.

– Chce pan powiedzieć, doktorze, że z Miradora, tu na statek... nie, to nonsens. Jak – na skafandrach? Potrójna sterylizacja nie przepuści nawet form utajonych...

– Może istnieje inna droga?

– Szczerze mówiąc nie wyobrażam jej sobie – powiedział niepewnie Dobrowolski. – No bo którędy? Przebicie z paliwowni? Wykluczone. Ale trzeba sprawdzić. Zaraz wydam odpowiednie rozkazy.

– Komu je pan wyda? – zapytał trzeźwo Buchse. – Chorym? – Zaczynał mieć dość tej zabawy w kotka i myszkę. – Panie kapitanie, wprawdzie nie mam żadnych dowodów, ale przypuszczam, że nastąpił niekontrolowany przerzut masy do części mieszkalnej „Ritornella".

Na twarzy Dobrowolskiego zmieszanie walczyło o lepsze z zaskoczeniem. Wreszcie ekranowa podobizna zastygła w coś w rodzaju greckiej maski: grube, wykrzywione rysy, półotwarte usta.

– Chce pan powiedzieć... ha, ha! – zaśmiała się maska. – A to nawet dobre! Bardzo, bardzo ciekawe. Jak pan to wymyślił?

P. Osiński

– Panie kapitanie, zwracam się do pana z całą powagą i w pełni odpowiedzialności za słowo. Może dojść do tragedii. Pamięta pan powrót grupy Villarda?
Tamten statek nadleciał z głębin kosmosu, wiedziony nieomylnie przez komputer. Nikt z ludzi nie odpowiadał na wezwania Ziemi. Kiedy odblokowano właz, stłoczone mikroby wprost eksplodowały. Po załodze nie znaleziono nawet resztek. Ziemia miała dwadzieścia lat roboty, zanim poradziła sobie ze skażeniem na orbicie. Nastąpiło po tym niebywałe zaostrzenie procedur wyjścia, a zwłaszcza powrotu na obiekty pilotowane. Tego typu procedura obowiązywała również na „Ritornellu": całkowity zakaz umieszczania w części mieszkalnej i maszynowni przedmiotów pozaziemskiego pochodzenia.
Twarz Dobrowolskiego przybrała zafrasowany wygląd.
– Jakbyśmy zrobili rewizję w kabinach? – wykrztusił wreszcie. – Takie małe odwiedziny u każdego, co? No, jak się pan zapatruje na ten pomysł? Powołamy się na wyższą konieczność...
– Mnie proszę do tego nie mieszać – przerwał mu Buchse.
– Jak to? – zdenerwował się Dobrowolski – Przecież pan gotów ręczyć za rezultat!
– Tu nie o mnie chodzi, a o pana. Wiadomość o rewizji szybko się rozniesie. Sądzi pan, że znajdą się ludzie, którzy zechcą pod panem latać po czymś takim?
Dobrowolski ruszał miarowo żuchwą, bardzo niezadowolony. Nawet nie próbował ukryć swego stanu.
– Panie kapitanie – rzekł Buchse – spodziewałem się od pana pomocy, a pan usiłuje mnie zwodzić. Przepraszam, musiałem to powiedzieć. Stawka może się okazać zbyt wysoka na dobieranie słów.
– Przecież to tylko pańskie domysły! – wybuchnął tamten. – Pobrał pan chociaż krew? Ma pan poważne powody, jak przypuszczam, żeby mnie molestować!
Buchse wziął głębszy oddech. – Panie kapitanie – rzekł spokojnie – i ja, i pan pragnęlibyśmy uniknąć losu ludzi Villarda. Lepszy fałszywy alarm niż godzina zwłoki, która może się okazać na wagę czyjegoś życia. – Zrobił krótką przerwę, ale dowódca nie zareagował. – Przepraszam za to, co teraz powiem, ale naprawdę nie widzę innego wyjścia. Jeżeli ma pan tam u siebie jakieś eksponaty z Miradora, proszę mi je udostępnić do badań.
– Wypraszam sobie podobne insynuacje! Pan nie ma prawa oskarżać mnie, dowódcy tego statku! Mam za sobą wiele lat nienagannej służby, nagrody, odznaczenia, dwa tysiące parseków na koncie! Latałem poza układ kiedy pan jeszcze nosił koszulę w zębach!
– Panie kapitanie – przerwał mu Buchse z uśmiechem – źle pan odczytuje moje intencje. O nic pana nie oskarżam. Nie obchodzi mnie, co pan tam trzyma – jeśli rzeczywiście pan coś trzyma – ale zaklinam pana: proszę mi pozwolić na wykonanie przynajmniej kilku testów. Od tego może zależeć życie – również pańskie.
Dobrowolski milczał ponuro.
– Dlaczego ja? Dlaczego przyczepił się pan właśnie do mnie? – Zmarszczył twarz jak dziecko, które zaraz wybuchnie płaczem, ale w jego głosie przebijała prawdziwa wściekłość. – Dlaczego nie zaproponował pan tego Vahvatilowi, Śliwie, każdemu innemu – tylko akurat mnie. No, dlaczego?
– Na proste pytanie prosta odpowiedź. Bo pan odpowiada za statek. Panu jako dowódcy najbardziej zależy na pomyślnym powrocie „Ritornella".
– Niech szlag trafi pańskie komunały! – zaklął Dobrowolski. Zreflektował się i nieco złagodził ton. – Doktorze, proszę o trochę czasu do namysłu. Nie takie to proste, jak mi się zdawało. Odezwę się do pana.
Buchse czekał przy milczącym wideofonie. Krew, myślał. U wszystkich przebadanych dotąd próby dały rezultat negatywny. Pozostał jeszcze Yonyer. Wcisnął jego numer.
– Yonyer, proszę się do mnie zgłosić. Jak najszybciej. Zapomniałem pobrać panu krew.
Odpowiedział mu jakby charkot. Buchse podniósł głowę – dotąd nie patrzył na ekran, przerzucając wyniki prób. Przez mgnienie oka dostrzegł, że Yonyer walczy z jakimś stworzeniem czy przedmiotem wielkości sporego jeża, po którym przelatywały kolorowe plamy. Spojrzał w stronę kamery i zajęczał; wzrok miał nieprzytomny. Przez cały czas manipulował przedmiotem poza zasięgiem obiektywu, a po chwili opadł na podłogę i w ogóle znikł z ekranu.
– Yonyer! – Buchse aż zerwał się z miejsca. – Co z panem? Trzeba panu po

mocniej zacisnął powieki. Laserowa igła na wskroś przewierciła jego mózg. Na moment stracił poczucie miejsca, oszołomiony wewnętrznym rozbłyskiem.
Minęło jeszcze parenaście sekund, zanim głowa Yonyera zaczęła opornie wpasowywać się w ekran. Na jego twarzy malowały się oznaki zawstydzenia.
– Serdeczne dzięki za troskę, doktorze. Nic mi nie jest. Po zażyciu pastylki wiruję trochę słabiej. Tak. Coś pan wspominał o krwi... aha! Pobrać! Zaraz tam będę.
– A ten przedmiot? – spytał bezlitośnie Buchse.
– Przedmiot? Jaki przedmiot? – spojrzał pod nogi i natychmiast udał, że rozumie. – E, to nic takiego. Takie tam świecidełka. Nudzi się człowiek, więc od czasu do czasu z paru tranzystorów i kości sklei się to i owo. Ale nic szczególnego... właściwie nie ma o czym... nie warto wspominać. Tyle że materiały z „Ritornella"... nie powie pan kapitanowi? Mógłby napisać raport... po co mi to? Więc nie? Sztama? Rozumiem – sztama. Już! Ja – u pana. Już!

II Powodem dla którego „Ritornell" wtoczył się na orbitę wokół Miradora, było zjawisko znudzenia materii, udręka układów zamkniętych składających się na organizm każdego statku. Szczególnie daje się we znaki na starszych jednostkach, a także podczas bardzo długich wypraw. Po pewnym czasie, zależnym od stanu urządzeń, sposobów konserwacji, częstości ładowania czynnikami obiegowymi, od typu tych obiektów – dochodzi do „zatkania" systemów. Przejawia się to w skokowej obniżce sprawności, która postępuje lawinowo i obejmuje coraz to inne węzły sieci oplatającej statek.
Ale statek wypełniony znudzoną materią posiada przedziwny wpływ na zamieszkujących go ludzi. Znienacka ustaje codzienna krzątanina, zaczynają się przestoje, bezcelowe dysputy, jakieś poszukiwania dokładnie zbędne, nastrój ospałości dosięga i obezwładnia każdego, jakby to właśnie mechaniczny olbrzym dyktował załodze rytm życia, nie odwrotnie. Nic dziwnego: ludzie są przedłużeniem martwych systemów, żyją z nimi w symbiozie i zrozumiałe, że ulegają temu, co tamte poraża.
Zdecydowano, że tabletki na apatię statku i jego załogi znajdują się na Miradorze.
O samej planecie nie wiedzieli nic pewnego. Krążyła w centrum ekosfery swojej gwiazdy, kipiała życiem, ale inteligentnych form nie wykształciła. Pokryta głównie przez lasy, parna, gorąca – sprawiała wrażenie kotła, do którego można się pakować wyłącznie przez głupotę.
A jednak polecieli tam, wbrew rozsądkowi, wszyscy po kolei. Od dnia, kiedy odrzucano w przestrzeń cały znudzony balast zbiorników, a na ekranach zagościł białawy jak rozdęta prezerwatywa balon Miradora, z ludzi jakby opadły niewidzialne pęta.
Tam, na dole, świat przypominał tandetną dekorację do przyszłościowego filmu. Nad gruntem unosiły się białawe opary, a wielgachne liście kołysały się dostojnie w gęstym powietrzu, spływając nieustannie wilgocią – to mgła, skroplona na niewielkiej wysokości, wracała w postaci mżawki. Jakość transmisji docierającej na „Ritornella" pozostawiała wiele do życzenia, opar przesłaniał szczegóły krajobrazu, a mżawka zalepiała obiektywy kamer. Zupełnie jakby projektanci tej scenografii zamierzali jak najwięcej ukryć przed dociekliwością przybyszów.
Ale Vahvatilowi i Śliwie mgła kompletnie nie przeszkadzała. Ledwo ją dostrzegali: sprawnie rozstawili agregaty i już czwartego dnia po wylądowaniu pola siłowe wżarły się w miąższ gleby i do pojemników zaczęły płynąć pierwsze tony żwiru. Na podczerwonych fotografiach Miradora w miejscu eksploatacji zapłonął blady ognik; regularnie co sześć godzin okolicę rozświetlał upiorny blask startującej rakiety.
Ten ledwo ustalony rytm niemal od razu został zakłócony. Piąta z kolei przesyłka nie dotarła do ładowni „Ritornella". Vahvatil i Śliwa wstrzymali prace. Połączyli się z dowódcą i zażądali posiłków w osobie Yonyera.
– Dlaczego właśnie Yonyer? – zapytał podejrzliwie kapitan doktor habilitowany inżynier Dobrowolski. – Dobra, niech leci. Nic tu po nim. – Wiedział już, że automaty natrafiły na zagrzebane w warstwach żwirowatej gleby kamienne bloki. Dobrowolski zastanawiał się, czy nie powinien towarzyszyć Yonyerowi, aby osobiście nadzorować penetrację znaleziska. Po namyśle postanowił zostać. Z góry miał lepszy przegląd sytuacji. – Niech leci – powtórzył tonem dobrego wujaszka, rozdającego cukierki.
Yonyer, który nic nie wiedział o ostatnich rewelacjach, bynajmniej nie palił się do opuszczania „Ritornella". Kazali lecieć – leciał. Jak każą wrócić – wróci.
Vahvatil i Śliwa mieli oczekiwać go w kabinie lądownika, ale po wylądowaniu nikt się nie odezwał na powitanie. Czekać? Alarmować „Ritornella"? A może wyjść na spacer? Ostatni pomysł najbardziej przypadł Yonyerowi do gustu. W pół drogi do śluzy złapał go sygnał.
– Śliwa z tej strony – powiedział Śliwa. – Dawno siadłeś?
– Ledwo zdążyłem ostygnąć. Gdzie Vahvatil? Rozdzieliliście się?
– Beno śpi. Ja też dopiero co... cholera, gdzieś tu schowałem piwo... – słychać było szelesty i postukiwania, przerywane przekleństwami. – O, jest. Wiesz, mieliśmy tu trochę roboty. Skończyliśmy sześć godzin temu.
– Masz na myśli ładowanie tego piachu? – zapytał na wszelki wypadek Yonyer.
Śliwa zaśmiał się z wyższością.
– Piach – powtórzył – Piach. Słuchaj no, Yonyer. Od samego początku piach gówno nas obchodzi. Musisz się z tym pogodzić. Co innego mieliśmy na myśli, gdyśmy bajerowali tego starego pierdołę, że koniecznie musi cię do nas przysłać. Nie sprawiaj nam zawodu.
– O co chodzi? – spytał Yonyer bez entuzjazmu.
– Najlepiej jakbyś tu wpadł. Zaraz dam ci namiar – przez chwilę było cicho, potem na monitorze komputera zapaliły się jakieś liczby. – Beno śpi... przespaliśmy te sześć godzin, ja właściwie też nie mam ochoty ruszać się z łóżka. Dla nas dwóch Mirador to skończona śpiewka. Tak że najlepiej by było...
Yonyer przeszedł do pojazdu, zjechał po chybotliwej płycie na stały grunt i rozejrzał się wokół nakrywającej go przezroczystej kopuły. Kożuchy białej pleśni opatuliły łazik. Gdyby miał trafić o własnych siłach, wolałby wrzucić wsteczny i wtoczyć się z po-

wrotem. Ale komputer już wyświetlał topografię i łazik nie pytając o zgodę ruszył.
Jazda była nudna: równo jak po stole, widok przez szyby też nie rewelacyjny. Niekiedy z mgły wyłaniały się zarysy olbrzymich ścian, jakieś kratownice, estakady... Łazik omijał agregaty i systemy transportowe; Yonyer nie dostrzegł żadnych oznak utrzymywania urządzeń w ruchu. Interesować się tym? Dobrowolski nie wysyłał go na kontrolę, właściwie trudno było wyczuć, o co chodziło staremu. Wzruszył ramionami.
Niespodziewanie przed samym nosem łazika wyrósł lądownik Śliwy i Vahvatila.
– Jestem – zakomunikował Yonyer.
– Wyłaź i chodź tutaj.
W śluzie panował bałagan, skafandry zawieszone byle jak, z rękawami wywleczonymi na drugą stronę, jakby doprowadzenie ich do porządku po zdjęciu wymagało niebotycznego wysiłku. Yonyer pomyślał, co w takim razie zobaczyłby w magazynie próbek i narzędziowni. W kabinie Vahvatil, zwrócony do ściany, dawał aż nazbyt jasno do zrozumienia, że przybycie gościa mało go obchodziło. Śliwa, chudy facet o zmierzwionych włosach, siedział na łóżku z bosymi stopami opuszczonymi na podłogę, brudny podkoszulek zwisał z niego jak potwierdzenie ostatecznej klęski. Drapał się bezceremonialnie po kościstej piersi. Twarzy nie golił chyba od opuszczenia „Ritornella".
– Cześć – powiedział. – Co nic nie mówisz? Zatkało cię?
– Ładnie tu u was – oświadczył Yonyer i zasiadł na rozkładanym krzesełku. Woń nie pranych skarpetek i przepoconych łachów unosiła się między ścianami pomieszczenia. – Co z nim? – pokazał brodą na sąsiednie łóżko. – Chory?
– Beno obudził się na chwilę, powiedziałem mu, że jesteś. Kazał mi wprowadzić cię w sprawy i zaraz się wyłączył – popatrzył w stronę kumpla niemalże z czułością. – Niech śpi na zdrowie. Napracowało się chłopisko przez ostatnie dni.
Nos Yonyera wyczuł bez trudu kwaśny odór przetrawionego alkoholu.
– Skąd macie gorzałę? – syptał. – Nalej lufę.
Śliwa uśmiechał się jak ktoś, kto zna dobry dowcip i zaraz go opowie, gdy nalewał ze sporego pojemnika jasny płyn do szklanki.
– Rośnie tu takie jedno zielsko – zamrugał szelmowsko oczami. – Gdy mu upuścić trochę soku... poddać lekkiej obróbce... Mówią nie bez słuszności, że tylko z kamienia nie utoczysz...
– Nicponie – powiedział Yonyer, żeby coś powiedzieć. Rozejrzał się z roztargnieniem. – A właściwie po co ściągaliście mnie z góry?
– Jest robota – zapalił się Śliwa. – Trzeba zejść ze sto pięćdziesiąt metrów pod ziemię i coś przynieść.
– Sami nie możecie?
– Myśmy już... – zaczął Śliwa.
– I dlatego jesteście tacy wypluci?
Śliwa puścił zaczepkę mimo uszu.
– Nasze warunki są takie – zaczął uroczyście. – Z tego co wyniesiesz połowa dla ciebie, połowa dla nas. Dzielimy się równo po zhandlowaniu towaru na Ziemi. Do tego czasu towar pozostaje u ciebie, a my mamy do niego dostęp na każde życzenie. Przerzut na Ziemię kombinujemy wspólnie, kto pierwszy złapie kontakt, ten wszystko załatwia. Masz pytania?
– Wyłącznie – roześmiał się Yonyer. Wyobraź sobie, że ja nic nie wiem.
– To dobrze. Im mniej będziesz wiedział, tym lepiej. Maszyneria dogrzebała się czegoś, co wygląda na ruiny, a trochę na grobowce... ale raczej to drugie. Mieliśmy to szczęście, że byliśmy na miejscu – umilkł i przełknął ślinę, zapatrzony w przeszłe wydarzenia. – Wleźliśmy tam. Korytarze – ciemne; błądzenie bez planu, kołowanie, kombinowanie – mamy to za sobą. W pewnym momencie pojawiają się halucynacje – wtedy trzeba pruć do wyjścia. Jak by ci to wytłumaczyć... niby nie ma konkretnego zagrożenia, a jednak czujesz śmiertelne niebezpieczeństwo. Taki paraliż mózgu. I panika. Ani ja, ani Beno nie daliśmy sobie z tym rady. Może tobie się uda.
– Tacyście pewni, że przystąpię do spółki?
– Jasne, że nie. Ale tak sobie kombinowaliśmy w wolnych chwilach. Pomyśl, chłopie – ile ty właściwie masz lat? Wiecznie nie będziesz latał, trzeba by wreszcie upić trochę z kielicha rozkoszy, nazywanego życiem. Przecież lada dzień capnie cię starość i schowa do worka z gnatami – tylko od ciebie zależy, czy będziesz klepał biedę w podrzędnym pensjonaciku rządowym, czy rozwalał się jak panisko we własnej willi. Tak sobie kombinowaliśmy: czy ten Yonyer wygląda na faceta z jajami, czy na skończonego jołopa. No to słucham.
– Kamień by się wzruszył – powiedział Yonyer – ale mnie brakuje czegoś w tym przemówieniu. Po pierwsze: danych, po drugie: gwarancji.
Śliwa pokręcił głową: – Nie licz na więcej. Pierwszy krok musisz wykonać na ślepo. Za to potem sypniemy ci bitami. Postaw się w naszej sytuacji: gdybyśmy od razu wypaplali ci wszystko, stalibyśmy się doskonale zbędni. Wypiąłbyś się na nas i zaczął działać na własną rękę.
– A skąd ja mam na przykład wiedzieć, czy po dostarczeniu towaru do odbiorcy nie wystrychniecie mnie na dudka? Dacie słowo harcerskie?
– Omówimy to szczegółowo na statku. Będzie dosyć czasu. Według mnie to my powinniśmy czuć się zagrożeni, skoro towar będzie w twoich rękach.
– W porządku. Przypuśćmy jednak, że odmówię współpracy.
– Pozwolimy ci bezpiecznie odlecieć, byleś trzymał jęzor za zębami.
– A jeśli się zgodzę?
– Trzymasz z nami na ustalonych warunkach, bez możliwości wycofania się.
– No, możliwość rezygnacji istnieje zawsze...
– Utrata swojej części to minimalna cena dla niezdecydowanych.
– No, no – Yonyer aż gwizdnął. – Minimalna... a maksymalna?
Śliwa wzruszył ramionami:
– Wyglądasz na rozsądnego faceta. Mam nadzieję, że wyobraźnia jest twoją mocną stroną.
– Czy zamierzacie ściągnąć z orbity następnych poszukiwaczy?
Pytanie najwyraźniej zaskoczyło Śliwę. Tego nie ustalali, pomyślał Yonyer. Pewnie, że ściągną kogo się da. Więcej towaru znaczy więcej szmalu. Lepiej mieć kilka willi niż jedną. Albo pałac. Hordy dziwek lepsze od własnej żony. Z drugiej strony – może chcą zachować tajemnicę? Chociaż... czy na „Ritornellu" jest to w ogóle możliwe?
– To zależy – rzekł Śliwa – od efektu, jaki przyniosą twoje poszukiwania. Tak, myślę że ściągniemy jeszcze kogoś. Zwłaszcza jeśli nam odmówisz. Chociaż ja tam wierzę w twój rozsądek. Nasza zasada: małe ryzyko, duży zysk. No co – trzymasz z nami? Opowiemy ci to co wiemy, dowieziemy na samo miejsce i zapewnimy asekurację. Będziesz miał pewność, że wrócisz cało i nie z pustymi rękoma – roześmiał się nerwowo. – Krótko mówiąc, zadbamy o ciebie odpowiednio. To jak?
– Musiałbym się zastanowić... – zaczął Yonyer. – Po prostu mam wątpliwości, czy opłaci się skórka za wyprawkę. Czy nieziemskie skarby nie przyśniły wam się w nocy.
– Mogę cię zapewnić – wysyczał Śliwa. Cisnął w stronę Yonyera niewielki lśniący przedmiot. Ten złapał go i obejrzał. Była to figurka, mieszcząca się w dłoni, przedstawiająca chyba jakieś podobne do kota zwierzątko o gorejących oczach. Z bliska głowa stworzenia traciła kocie cechy i wydawała się raczej odpowiednio wymodelowaną, rogatą poduchą. Krawędzie figurki były ostre, jakby wyrżnięto ją maszynowo z większego bloku, a jednak wodząc po nich palcem nie traciło się przeświadczenia, że właściwa część posążka została jakimś sposobem zatopiona w szkle, niezmiernie delikatnym, przez które światło przechodziło nie załamując się i bez pochłaniania. Dodatkowo wzdłuż ciała zwierzątka smużyły się poprzecznie świetliste pręgi. W ich pojawianiu się i rysunku nie było żadnej prostej regularności, a jednak czuło się ich wewnętrzną muzykę, która frapowała i uspokajała. Z trudem oderwał wzrok od pełgających wzorów. Pomyślał, że figurka nie sprawia radości, ale i nie przygnębia, bez wątpienia jednak między nią a obserwatorem wytwarzała się owa specyficzna więź, właściwa tylko największym dziełom sztuki.
– Przekonałeś mnie – powiedział zmęczonym głosem, zwracając Śliwie posążek. Wydało mu się w ostatniej chwili, że wyczuwa bijące od tego okrucha materii, ledwo uchwytne ciepło. – Przyłączam się do was.
– Gratuluję szybkiej decyzji – odezwał się z drugiego łóżka Beno Vahvatil. W jego oczach nie było śladu rozespania. Odrzucił przykrycie, był niemal kompletnie ubrany. W poprzek ciała miał przełożony promiennik, który oparł teraz o podłogę i powiedział wyciągając dłoń: – Cześć, wspólniku. Witaj na gościnnym Miradorze. Nie gniewaj się o to – stuknął kolbą miotacza o wykładzinę – jak pobędziesz tu dłużej, sam zrozumiesz, że musieliśmy się jakoś zabezpieczyć.

III

Po ścianach wibrowały cienie, ale tylko wtedy, kiedy Yonyer odwracał wzrok. Co pewien czas to z jednej, to z drugiej strony otwierały się czarne gardła rozwidleń; nie mógł odegnać myśli, że u każdego wylotu ktoś na niego czyha. Słyszał własny oddech i czuł walenie tętna: dwa znajome rytmy, absurdalne w swej panice, bo przecież Śliwa i Vahvatil zapewniali, że nie ma żadnego zagrożenia. Wlókł za sobą płaszcz ciemności, która – wydawało się – z trudem toleruje intruza we własnym królestwie. Przystawał, żeby przyjrzeć się ścianom. Na stałej wysokości biegł kuty ornament, jak gdyby ktoś idący przed nim odciskał w skale prostokątne pieczęcie – czterdzieści wieków wcześniej. Trudno było określić, co przedstawiał rysunek płaskorzeźb, kontury zaokrągliły się, wessane przez kamień. Przestał zwracać na nie uwagę, lecz kiedy – dużo dalej i dużo później – oświetlił ornament ponownie, dałby głowę, że przedstawiał co innego.
Przemknęło mu przez myśl, że warto by odczytać ten komunikat – jeśli to był komunikat – a później poczuł coś w rodzaju żalu, że tak niewiele czasu mogą poświęcić tutejszym dziwom, że nikt z nich nie spojrzy na katakumby oczami fachowca.
Korytarz wiódł coraz wyraźniej w dół, pojawiły się liczne pęknięcia i szczeliny, w których swobodnie mieściła się dłoń. Najwyraźniej zbliżał się do gorzej zachowanej części ruin. W poprzek ornamentu biegły białawe zacieki soli. Zauważył wreszcie pierwsze freski, starte i zniszczone. Nie dociekł, co przedstawiały – świecąc z bliska nie potrafił ogarnąć całości. Od skarbonek dzie-

Ciąg dalszy na stronie 45

XXIV

Rand postąpił cztery kroki do przodu, by podnieść upuszczoną przez Blaine'a latarkę. Wyprostował się, zapalił reflektor i skierował snop białego światła na maszynę gwiezdną. W jasnym blasku latarki można było dostrzec złociste drobiny pyłu tańczące wewnątrz niematerialnego korpusu maszyny.

– Tak – powtórzył Rand. – Zrobione niesłychanie zgrabnie. Nie mam najmniejszego pojęcia w jaki sposób ani po co to zrobiłeś. Lecz o maszynę zadbałeś wyjątkowo dobrze.

Po chwili zgasił latarkę. Stali w milczeniu, otuleni mrokiem. Tylko ich sylwetki rysowały się łagodnie w delikatnym poblasku księżycowego światła, wpadającym przez okno.

– Sądzę, że Fishhook podziękuje ci za to, coś zrobił z tą maszyną.

– Odwal się – ostro odburknął Blaine. – Doskonale wiesz, że nie dla Fishhooka to zrobiłem.

– To nieważne – odparł łagodnie Rand. – Ważne, że tutaj zbiegły się nasze interesy. Nie możemy stracić tej maszyny. Nie możemy również pozwolić, by wpadła w niewłaściwe ręce. To oczywiście rozumiesz?

– Doskonale – odrzekł krótko Blaine.

– Spodziewałem się kłopotów – zaznaczył Rand. – Wiesz, jak Fishhook stara się, by żadnych kłopotów nie było. Zwłaszcza, jeśli takie kłopoty mogą wyniknąć tutaj, poza Fishhookiem, w świecie zewnętrznym.

– Nie było żadnych kłopotów, których mógłby obawiać się Fishhook.

– I chwała Bogu. Miło mi to słyszeć. A ty, Shep? Jak sobie radzisz?

– Dziękuję, nie najgorzej.

– To dobrze. To bardzo dobrze – uradował się Kirby. – Bardzo mnie to cieszy. Teraz jednak już pora opuścić tę budę.

Blaine usłyszał szuranie jego kroków po podłodze; Rand zbliżał się do okna. Tam przystanął.

– Ty pierwszy – odezwał się. – Pójdę za tobą. I bardzo cię proszę, Shep – jak przyjaciel przyjaciela – nie próbuj uciekać.

– Bądź spokojny. Nie zamierzam – odrzekł Blaine i szybko prześliznął się przez okno.

Pomyślał, że mógł rzeczywiście próbować ucieczki. Lecz to byłoby nierozsądne, gdyż Rand bez wątpienia był uzbrojony, a dla takiego speca jak on, światło księżyca wystarczałoby w zupełności. Ale bardziej jeszcze niż to od próby ucieczki powstrzymywała go myśl, że na odgłos strzałów do akcji mogłaby się włączyć Harriet. Zdekonspirowałaby się, a on, Blaine, straciłby ostatniego sprzymierzeńca, posiadającego u Fishhooka czyste konto. Modlił się więc tylko w myślach, by dziewczyna pozostała tam, gdzie jest, w ukryciu, w kępie wierzb. Spostrzeże z pewnością, co się dzieje i już coś wymyśli.

Ona jest moją ostatnią deską ratunku – powiedział do siebie.

Stał przy oknie na zewnątrz wozowni czekając, aż Rand wygramoli się przez wąskie okienko.

Mężczyzna zeskoczył w końcu na ziemię i niezwykle szybko odwrócił się w kierunku Blaine'a.

Trochę za szybko, jak myśliwy – pomyślał Blaine.

Rand widząc czekającego spokojnie Blaine'a odetchnął. Zaśmiał się z cicha.

– Bardzo zręczna sztuczka, Shep – rzekł. – Doskonałe wykonanie. W wolnej chwili musisz mi to dokładnie wyjaśnić. Ukraść maszynę gwiezdną nie jest prostą rzeczą.

Blaine'a aż zatkało ze zdumienia. Szybko pochylił twarz, by Rand nie dostrzegł w blasku księżyca wyrazu zdumienia malującego się na jego twarzy.

Rand wyciągnął rękę i przyjacielskim gestem wziął go za łokieć.

– Tam jest samochód – wykonał niewidoczny w ciemności ruch głową. – Tam, po prawej stronie na szosie.

Szli w milczeniu przedzierając się przez zeschłe badyle szeleszczące przy każdym ruchu. W seledynowym blasku księżyca krajobraz nie był już tak mroczny i beznadziejny. Po prawej stronie ciemną masą uśpionych domów rozciągało się miasto, sprawiając wrażenie czarnych kanciastych pagórków. Bezlistne drzewa majaczyły na wschodniej stronie nieba, niczym odwrócone do góry włosiem malarskie pędzle. Na zachodzie i północy rozciągały się bezkresne połacie płaskiej prerii, posrebrzonej w tej chwili światłem księżyca.

Poniżej, przy szosie, czerniała mroczną plamą kępa wierzb. Blaine rzucił tam szybkie spojrzenie, lecz nie dostrzegł najmniejszego lśnienia księżycowego światła odbitego od metalowej, chromowanej karoserii samochodu, w którym miała czekać Harriet. Po chwili ponownie skierował tam ukradkowe spojrzenie i tym razem był już pewien. W kępie wierzb nie było auta. Harriet zniknęła.

Mądra dziewczyna – pochwalił ją w myślach Blaine. Potrafi szybko myśleć i podejmować natychmiastowe decyzje. Zdążyła uciec, gdy posłyszała warkot nadjeżdżającego auta Randa. Uciekła natychmiast, gdyż nie wiedziała przecież, czy nadjeżdżające auto nie pozostanie w tym miejscu do rana.

– Gdzie mieszkasz w Belmont? – przerwał milczenie Rand.

– Nigdzie – wzruszył ramionami Blaine.

– Złe miasto – krótko podsumował Rand. – Oni tu bardzo serio traktują te swoje opowieści o wiedźmach i wilkołakach. Gliny zatrzymywały mnie dwukrotnie, każąc się gdzieś ukryć. Twierdzili bardzo stanowczo, że to dla mego własnego dobra.

– Oni wszyscy są teraz zdenerwowani i rozemocjonowani – wtrącił Blaine. – Pojawił się bowiem w Belmont Lambert Finn.

– No, proszę – beztrosko wykrzyknął Rand. – Nasz stary przyjaciel.

– Nie mój – zastrzegł natychmiast Blaine. – Nigdy go nawet nie widziałem na oczy.

– Przemiły gość – sapnął Rand. – Niezwykle ujmujący, czarujący człowiek.

– Niewiele o nim wiem. Tyle, co słyszałem od innych.

Rand chrząknął tylko w odpowiedzi.

– Myślę, że skoro nie masz tu żadnego stałego lokum, najlepiej będzie, gdy zatrzymasz się w Punkcie. Ajent z pewnością znajdzie miejsce do spania. I nie będę zdziwiony, jeśli wygrzebie w dodatku jakąś butelczynę. Mam cholerną ochotę na kilka szklaneczek.

– Mnie wystarczy jedna – obojętnym tonem odparł Blaine.

W tej chwili nie było sensu walczyć. Nie było sensu uciekać. Trzeba pójść z Randem do tego ajenta – myślał Blaine. Tam dopiero czekać na sprzyjającą okazję.

Na razie próbują się tylko nawzajem wytrącić z równowagi. Rand – jego, a on – Randa. Zdawał sobie doskonale sprawę, że jest to śmiertelna gra, choć prowadzona w sposób nadzwyczaj układny i dyplomatyczny.

Przez chwilę zastanawiał się, czy powinien tak bardzo przejmować się ostatnimi wydarzeniami. Ostatecznie Fishhook nie jest tak bardzo złym miejscem. Nawet jeśli wyślą go do Baja California, lub innego – podobnego – miejsca odosobnienia, czyż nie będzie to o niebo lepsze od wszystkiego czego doświadczył dotychczas i losu, jaki może go czekać w tym miasteczku nad Missouri.

Dotarli do zaparkowanego przy drodze auta i Blaine zaczekał chwilę, aż Rand zajmie miejsce za kierownicą. Potem sam wsunął się do środka. Zaszumiał silnik i samochód z wygaszonymi światłami zewnętrznymi ruszył do przodu. Rand skierował maszynę na środek autostrady.

– Policja niewiele może nam zrobić – odezwał się półgłosem Rand. – Co najwyżej zamknąć do rana. Sądzę jednak, że najlepiej jest ich po prostu unikać.

– Masz rację – skinął głową Blaine.

Rand omijając centralne ulice miasteczka kluczył wąskimi uliczkami i przecznicami.

– Jesteśmy na miejscu – sapnął w końcu parkując auto przy krawężniku i wyłączył motor. – No, teraz najwyższa pora na drinka.

Weszli w mroczną sień, a następnie w podwórko. Stanęli przed tylnymi drzwiami Punktu. Rand zapukał. Drzwi uchyliły się i dwaj przybysze wśliznęli się na zaplecze Punktu Handlowego. Większą część pomieszczenia zajmował magazyn i tylko jeden z rogów został zaanektowany dla celów mieszkalnych i towarzyskich. Znajdowało się tam pojedyncze łóżko, kuchenka i stół. Ponadto był tam jeszcze kominek z ustawionymi wokół wygodnymi, przepaścistymi fotelami.

normalnych ludzi, pełną tych, których marzeniem jest gnicie przez wieki całe w tym jednym zakątku kosmosu, bez marzeń o gwiazdach, bez wiedzy o wszechświecie. Jak człowiek przybity na stałe do fotela wkopanego w ziemię, w maleńkim, dogorywającym miasteczku.

Bez nowo kooptowanych dewiatów sam Fishhook w przeciągu nadchodzącego stulecia zachwieje się w swych posadach. I zginie. Gdyż dewiaci żyjący na innych planetach będą zabierać mu sprzed nosa tych, których tak rozpaczliwie będzie potrzebował.

Owe sto lat to dla ludzkiej rasy zaledwie mgnienie oka; dla rasy człowieka, która na innych planetach bezpiecznie będzie budować swe życie i kulturę takie, jakich odmówiono jej na Ziemi.

Ruszył przez pusty plac kierując się w stronę wzgórz. Musi opuścić miasto, zanim przybędą tutaj samochody.

Wiedział, że znów jest sam, że znów toczy samotną walkę. Lecz tym razem samotność tak nie doskwierała. Miał cel. Miał zadanie, które – uświadamiał to sobie z odcieniem dumy – samodzielnie i z mozołem wykuł w trudnej walce.

Złożył ręce na piersiach chroniąc w ten sposób dłonie przed zimnem niesionym przez wiatr. Przyspieszył nieco kroku. Ma jeszcze dużo do zrobienia. Bardzo dużo.

Kątem oka dojrzał naraz podejrzany ruch w cieniu rosnących po lewej stronie drzew. Zatrzymał się gwałtownie wkładając jednocześnie dłoń do kieszeni kurtki i zaciskając palce na rękojeści broni.

Od ciemnej kępy drzew oderwał się jakiś cień i zbliżał w jego stronę. Wolno. Jakby z wahaniem. Niepewnie.

– Shep?

– Anita! – krzyknął ze ściśniętym gardłem. – Ty maleńka idiotko! Anita!

Ruszyła biegiem, wynurzyła się z ciemności i już była w jego ramionach.

– Nie mogłam odejść – szeptała. – Nie mogłam. Nie mogłam cię zostawić. Wiedziałam, że wrócisz.

Przytulił ją do siebie z całych sił. Uniosła w górę twarz. On pochylił nisko głowę. Ich usta zetknęły się. I naraz wszystko przestało się liczyć. Wszystko było nieważne. Nie istniał świat. Nie istniał kosmos. W nieskończonym wszechświecie byli tylko oni dwoje. Była krew i łzy, pałające blaskiem gwiazdy i zawodzący pośród wzgórz porywisty wiatr. I oni dwoje. Więcej nic.

I jeszcze był potępieńczy skowyt hamujących na szosie aut.

– Uciekajmy! – wykrzyknął jej w ucho Blaine. – Uciekajmy!

– Jak wiatr!

Biegli.

– Tam, na wzgórze – krzyknęła Anita wskazując kierunek. – Zostawiłam tam samochód. Przygotowałam go przed zapadnięciem zmroku.

W połowie zbocza przystanęli i jak zahipnotyzowani spoglądali za siebie, w dół.

Pierwsze płomienie pożaru ukazały się nad pogrążonym w ciemności miasteczkiem, a ciszę rozdarł wydobywający się z setek gardeł jęk zawodu. Rozległ się suchy trzask wystrzału, potem drugi, trzeci.

– Strzelają do cieni – roześmiała się dziko Anita. – Tam już nikogo nie ma. Nawet psy i koty dzieciaki pozabierały ze sobą.

Ale w innych miasteczkach i osiedlach, w wielu innych miejscach jest coś więcej niż cienie – pomyślał Blaine. Tam też jest pożoga i dymiące lufy karabinów. Pętle zaciskane na szyjach i zakrwawione noże. Słychać tupot uciekających stóp i posępne wycie pośród wzgórz.

– Anito – spytał – Anito, czy rzeczywiście istnieją wilkołaki?

– Istnieją. Spójrz tam, w dół.

I to była prawda. Ciemnota umysłów i bezmyślność. Okrucieństwo, głupota i nietolerancja. To były właśnie wilkołaki tego świata.

Blaine i Anita w milczeniu odwrócili się i zaczęli mozolnie piąć się pod górę.

W dole, za nimi, rósł płomień nienawiści. Ogromniejący, goretszy. Ale wysoko, ponad szczytami wzgórz, odległe gwiazdy lśniły obiecująco jasnym, przyzywającym do siebie światłem.

KONIEC

– Musisz, słyszysz. Musisz im towarzyszyć. Ty należysz do nich.
– Być może kiedyś – odparł zamyślony Blaine. – Może kiedyś. Ale nie teraz. Za kilka lat... Jeszcze mam tutaj wiele do zrobienia. Pozostało tu wielu dewiatów; przerażonych, tropionych, ukrywających się. Tylko ja mogę im pomóc. Muszę ich wszystkich odnaleźć. Muszę ich uratować.... Tylu, ilu zdołam.
– Życia ci nie starczy – roześmiała się gorzko Harriet. – A gdyby nawet, to i tak nie przeżyjesz. Jesteś głównym celem, a ludzie Finna nie spoczną...
– Oczywiście, w ostateczności ucieknę. Nie jestem bohaterem, Harriet. Przeciwnie. Szczerze mówiąc jestem tchórzem.
– Przyrzekasz, że w razie czego uciekniesz? – spytała z naciskiem.
– Daję ci słowo, Harriet. Przysięgam. Ale ty mi w zamian obiecaj, że wrócisz do Fishhooka. Tam dopiero będziesz bezpieczna. Pojedziesz stąd prosto do Pierre, na lotnisko.
Bez słowa odwróciła się i wsiadła do samochodu. Włączyła silnik. Wyjrzała przez okno.
– A ty? Przecież ty również będziesz potrzebował samochodu.
– W Hamilton mogę mieć ich tyle, ile dusza zapragnie – roześmiał się wykonując ręką szeroki gest. – Oni ich nie zabrali ze sobą.
Dziewczyna wyprostowała się na fotelu. Oparła dłonie na kierownicy.
– Jeszcze jedno – przerwał ciszę Blaine. – Co się z tobą działo, gdy byłem w wozowni?
Roześmiała się ostro, drapieżnie.
– Gdy tylko nadjechał Rand, ruszyłam po pomoc. Chciałam zadzwonić do Pierre. Po ludzi, którzy by pomogli.
– Ale?
– Ale zaczepiła mnie policja i wsadziła do pudła. Wypuścili dopiero rano. Was już nie było. Od tego czasu szukałam cię.
– Dzielna dziewucha z ciebie – mruknął i w tym momencie dotarł do niego odległy dźwięk wielu motorów samochodowych. Warkot narastał, przybliżał się. Blaine zesztywniał.
– Szybko – syknął. – Wyłącz światła i ruszaj natychmiast. Tamtędy, w poprzek wzgórza. Trafisz na starą szosę prowadzącą na północ.
– Ale co się stało, Shep?
– Nie słyszysz? To warkot samochodów. Nadchodzi obława. Już wiedzą, że Finn nie żyje.
– A ty, Shep?
– O mnie się nie martw. No, już jedź!
– Zobaczymy się?
– Odjeżdżaj, Harriet! Nie ma czasu. I dziękuję. Dziękuję za wszystko. Pozdrów Charline.
– Do zobaczenia, Shep – powiedziała jeszcze i auto ruszyło. Zatoczyło pętlę wokół placu i odjechało w kierunku majaczących na tle rozgwieżdżonego nieba wzgórz.
Dobrze zrobiła – mruknął do siebie z zadowoleniem, gdy auto z Harriet zniknęło już w ciemności. Z pewnością ktoś, kto jedzie tymi dzikimi górami, tak daleko od Fishhooka, nie powinien mieć żadnych kłopotów.
Żegnaj Harriet. Pozdrów Charline. Czemu jej tak powiedziałem? – zastanawiał się chwilę Blaine. Chyba dlatego, że chciał w ten sposób pożegnać ostatecznie tamto, stare życie. Było to jego ostatnie pozdrowienie dla przeszłości, która minęła już bezpowrotnie. Słowa te były jak ostatnie wyciągnięcie ręki, ostatnie muśnięcie palcami czegoś, co bezpowrotnie odchodziło. Charline może sobie dalej wydawać swoje absurdalne, bezsensowne przyjęcia, na których spotykać się będą najbardziej dziwaczni, nie zapraszani wcale goście. Ale Fishhook jest już martwy. Jest martwy mimo swej pozornej wspaniałości i potęgi. I tego Blaine naprawdę żałował. Żałował tych wspomnień z czasów, kiedy Fishhook właśnie stanowił największą, najbardziej fascynującą przygodę ludzkości.
Blaine stał samotnie na pustym placu i wsłuchiwał się w narastający jazgot aut. Daleko, na zachodzie widział już lekką łunę ich reflektorów. Lodowaty podmuch wiatru dobiegł znad rzeki targając nogawkami jego spodni, powodując ostry dreszcz ciała.
Na całym świecie – pomyślał Blaine. Na całym świecie dzisiejszej nocy słychać będzie taki sam ryk silników, pisk opon, tupot stóp umykających w popłochu ludzi.
Włożył dłoń do kieszeni i namacał palcami chłodną kolbę rewolweru, który zabrał z torebki Harriet. Palce odruchowo zacisnęły się na pękatej kolbie. Ale pistolet nie był żadnym wyjściem. Droga wiodła nie tędy.
Należy wybrać inną. Długą i ciernistą, najeżoną trudnościami i niebezpieczeństwem. Normaków trzeba stopniowo izolować, dławić ich własną miernotą, dać im czego pragną: zostawić im planetę pełną

W kącie obok drzwi, którymi dostali się do środka, stała wielka, podobna kształtem do pudła konstrukcja. Blaine, choć nigdy nie widział takiego urządzenia, domyślił się, że jest to właśnie owo przesławne transo – transmitor materii, który zapewniał bezbłędne funkcjonowanie gęstej sieci Punktów Handlowych rozciągniętej wokół całej kuli ziemskiej. Przez transo mógł być w każdej chwili dostarczony dowolny towar, żądany przez któregokolwiek z tysięcy ajentów Fishhooka.
To właśnie transo miał na myśli Dalton tam, na przyjęciu u Charline, gdy wspominał o nowych metodach transportu, które, wedle jego słów, wyeliminowałyby wszystkie przedsiębiorstwa transportowe na świecie. Pod warunkiem, oczywiście, że Fishhook zdecyduje się udostępnić transo do użytku publicznego.
– Siadaj sobie wygodnie, Shep – odezwał się Rand wskazując fotele. – Grant zaraz pójdzie po flaszkę. Mam nadzieję, że masz jakąś na składzie, co, Grant? – zwrócił twarz w stronę zarządcy Punktu.
– Dobrze wiesz, że zawsze mam coś takiego pod ręką – zarechotał ponuro ajent. – Jak inaczej mógłbym żyć w takim miejscu, jak to?
Blaine rozsiadł się w fotelu przy ogniu, a Rand zajął miejsce naprzeciwko.
– Ostatnio piliśmy wspólnie u mnie, w biurze – przypomniał Rand. – Teraz sobie odnowimy naszą przyjaźń, co, Shep?
Blaine'owi krew gorącą falą uderzyła do głowy. Poczuł jak narasta w nim napięcie i uczucie osaczenia. Opanował się jednak na tyle, że obojętnie wzruszył tylko ramionami.
– Wiesz, jak niewiele miałem wówczas czasu – odparł prawie pogodnym tonem. – Tylko dziewięć minut. Tyle mi wówczas zostało.
– Mylisz się, Shep. Miałeś ich dokładnie dwanaście. Przy wywoływaniu twoich taśm, chłopcy pracowali nieco wolniej.
– A Freddy? Któż by pomyślał, że pracuje dla was?
– Byłbyś zaskoczony, gdybyś znał wszystkich, którzy pracują dla mnie – wzruszył ramionami Rand.
Siedzieli pozornie rozluźnieni, przy płonących drwach i czekali na butelkę, po którą poszedł Grant. Dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem.
– Czemu nic nie mówisz, Shep? – spytał w końcu Rand. – Nie wiem, o co pytać. Nie potrafię nic wymyśleć. Twoje tarapaty zaczęły się bardzo daleko stąd, w Plejadach... Ale mimo to w jakiś sposób dograłeś sprawę do końca...
– Dograłem sprawę do końca?
– Tak, do końca. Wyjątkowo zresztą ci się to udało. Wiedzieliśmy, że zetknąłeś się tam z jakąś formą życia i natychmiast posłaliśmy innych. Ta istota, z którą się spotkałeś wciąż jeszcze tkwiła w tym swoim miejscu. Gapiła się na naszych ludzi. I to wszystko. Próbowaliśmy nawiązać z nią jakiś kontakt, ale ona pozostawała zupełnie niema. Udawała, że ich nie słyszy, nie dostrzega. To jest zupełnie niezrozumiałe dla...
– Braterstwo – odparł chichocząc z cicha Blaine. – Zawarliśmy braterstwo. Ale ty i tak tego nie zrozumiesz.
– Sądzę, że jednak zrozumiałbym – oczy Randa pociemniały. – Jak bardzo stałeś się obcy, Shep?
– Spróbuj, to zobaczysz.
– O nie, wielkie dzięki – wzdrygnął się Rand. – Szedłem twoim tropem. Na początku wysłałem Freddy'ego... Wszystko jednak okazało się być bardziej dziwaczne i tajemnicze niż mogliśmy nawet przypuścić.
– No i co dalej zamierzasz?
– Żebym to ja sam wiedział.
Do pokoju wszedł ajent dźwigając dwie szklanki i butelkę.
– A twoja szklanka, Grant? – spytał Rand obrzucając mężczyznę bacznym spojrzeniem.
– Zostało mi jeszcze trochę roboty – odparł zapytany. – Więc jeśli nie macie nic przeciwko temu...
– Oczywiście, że nic. Pędź do swych zajęć, Grant. Ale jeszcze jedno...
– Tak, sir?
– Chciałbym, żeby pan Blaine spędził tu noc.
– Nie ma najmniejszych przeszkód. Ale muszę od razu zastrzec, że wygód żadnych tu nie ma...
– To nie problem... – wtrącił Blaine.
– Zaproponowałbym panu własne łóżko. Ale uczciwie mówię, że to marny interes...
– Nie mam najmniejszego zamiaru pozbawiać pana łóżka – roześmiał się Blaine.
– Naprawdę będzie panu dużo wygodniej, gdy pościelę na ziemi. Tak będzie lepiej, słowo honoru.
– Ach, cokolwiek – machnął ręką Blaine. – Będę wdzięczny za cokolwiek.

Rand wziął butelkę, przez chwilę czytał etykietkę, a następnie odkorkował.

- Koce przyniosę trochę później. I tak nie wybiera się pan teraz spać? - Grant spoglądał na butelkę połyskującą w dłoniach Randa.

- Oczywiście, że możesz potem, Grant. Dziękuję - mruknął przez zęby Rand mocując się z opornym korkiem.

Mężczyzna wyszedł. Chwilę potem trzasnęły jakieś drzwi w głębi domu i zapadła cisza. Rand otworzył wreszcie butelkę i rozlał trunek do szklanek. Spojrzał badawczo na Blaine'a.

- Oczywiście nie musisz tu zostawać, jeśli nie chcesz.

- Naprawdę nie muszę?

- Wracam do Fishhooka przez transo. Jeśli chcesz, wracaj ze mną.

Blaine milczał i Rand podał mu pełną szklankę.

- No i co powiesz, Shep? - pierwszy przerwał ciszę Rand.

- Upraszczasz chyba sprawę - roześmiał się Blaine. - Chyba zbyt upraszczasz.

- Możliwe - odparł Rand, rozpierając się wygodniej w fotelu i podnosząc szklankę do ust.

- Mogę zrozumieć tę historię z obcym, z tym, że stałeś się obcy - odezwał się po chwili milczenia. - To w końcu ryzyko zawodowe każdego badacza. Ale maszyna gwiezdna? Jak tego dokonałeś? Byłeś w spółce ze Stone'em, oczywiście?

- Wiesz, że Stone nie żyje?

- Nie, nie słyszałem o tym - odparł Rand z odcieniem powątpiewania w głosie.

Trochę pod wpływem tonu Randa, trochę intuicyjnie Blaine pojął, że Kirby wcale o to nie dba, czy Stone żyje czy nie, czy Finn jest w mieście czy gdzieś indziej na prowincji. Było mu to najwidoczniej zupełnie obojętne. A nawet więcej. Wyglądało na to, że Rand jest zadowolony z obrotu sprawy, tak ze śmierci Stone'a, jak i z działalności Finna. Gdyż monopol Fishhooka opierał się w gruncie rzeczy na świecie niedewiatów, na tych milionach ludzi zmuszonych do spoglądania z nadzieją w stronę koncernu, bo tylko ten mógł zapewnić im kontakty i handel z gwiazdami. A więc Fishhook i reprezentujący jego interesy Rand, mogli wręcz być zainteresowani - Blaine uświadomił to sobie nagle - tym, aby krucjata głoszona przez Finna toczyła się nieuchronnie do końca.

Lecz jeśli tak jest rzeczywiście, to śmiertelny cios Stone'owi mógł zadać wcale nie Finn, lecz Fishhook.

Blaine wzdrygnął się na tę myśl. Ale tkwiła mu ona w mózgu. Nie dawała spokoju. Nurtowała. Drażniła. Sytuacja naraz okazała się o wiele, wiele bardziej skomplikowana. Wykraczała daleko poza wojnę między Stone'em a Finnem.

Najlepszym wyjściem w tej sytuacji byłoby zupełne wyparcie się jakichkolwiek związków z tą nieszczęsną maszyną gwiezdną - myślał gorączkowo Blaine. Być może powinien był to zrobić już wcześniej, jeszcze w wozowni. Lecz gdyby teraz wyznał Randowi jak rzecz się miała naprawdę, że z całą aferą zetknął się zaledwie kilka godzin temu, to - raz - że może w oczywisty sposób stracić całą swoją przewagę która stanowi jego wartość przetargową, a - dwa - że Rand i tak mu nie uwierzy. Bo to przecież nie kto inny, lecz Blaine towarzyszył Rileyowi w transporcie maszyny prawie od samego Meksyku.

- Dużo czasu zajęła ci pogoń za mną - ostrożnie odezwał się Blaine. - Albo straciłeś trochę swych umiejętności. A może tylko igrałeś ze mną?

- Szczerze ci wyznam, Shep, że prawie udało ci się wymknąć - rzekł Rand marszcząc brwi, jakby sobie coś przypomniał. - Mieliśmy cię już w tym miasteczku, gdzie o mało nie zostałeś powieszony...

- Byłeś tam wówczas?

- Osobiście, nie. Ale mój człowiek.

- I pozwolilibyście, aby mnie zlinczowano?

- Powiem ci szczerze, że nasze zdania były podzielone. Lecz ty sam najlepiej rozwiązałeś sytuację - Rand spojrzał badawczo na Blaine'a.

- Ale gdybym...

- Sądzę, że najprawdopodobniej zostałbyś powieszony. Byliśmy przekonani, że sami zdołamy odzyskać skradzioną maszynę.

Ze złością uderzył szklanką w blat stołu.

- To był diabelski pomysł wlec tę maszynę tym starym trupem. Cokolwiek...

- To proste - odparł spokojnie Blaine. - Powinieneś to zrozumieć. Jeśli już kradniesz rzecz tak drogocenną, to robisz wszystko, łapiesz każdą nadarzającą się okazję, każdy sposób jest dobry, by zabrać ją najdalej i jak najszybciej.

- Szatański sposób - mruknął z mimowolnym podziwem Rand.

Spostrzegł, że Blaine śmieje się i natychmiast oddał mu uśmiech.

- Chciałam go zabić! - krzyknęła. - Chciałam go zastrzelić!

- To już nie ma znaczenia. Nie żyje.

Kątem oka dostrzegł, że obrzuciła go szybkim spojrzeniem.

- Ty!?

- Można to i tak określić.

- Shep, gdybyś ty go nie zabił, to on ciebie...

- W porządku - odparł. - Zabiłem go.

I nie było to wcale kłamstwo. Nieistotne czyja ręka pozbawiła życia Lamberta Finna. Tak naprawdę zabił go Shepherd Blaine.

- Ja miałem przynajmniej powód - odezwał się. - Ale ty?

- On zabił Godfreya. Mnie to wystarczyło.

- Kochałaś Godfreya.

- Tak... chyba tak. To był wielki człowiek, Shep.

- Wiem jaki był. Przyjaźniliśmy się.

- Oh, Shep! Oh, Boże! - Harriet straciła nagle cały swój spokój. Wybuchnęła stłumionym płaczem.

- Ale tamtej nocy... - Blaine obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem.

- Tamtej nocy nie było miejsca na łzy. Nie ma zresztą nigdy czasu na łzy - krzyknęła.

- I wiedziałaś o tym wszystkim...

- Od dawna. Od samego początku. To było moje zadanie.

Wyjechali z miasta i skręcili w lewo, kierując się w stronę Hamilton. Słońce już zaszło, zapadł zmierzch i po wschodniej stronie nieba, ponad prerią, lśniła jasno pierwsza gwiazda.

- A teraz? Co teraz? - spytał cicho.

- Muszę to napisać. Napisać najlepiej jak zdołam.

- Chcesz opisać - mruknął w zamyśleniu Blaine. - Ale czy ci to puszczą?

- Nie wiem. Ale muszę napisać. Chyba to sam rozumiesz. Pojadę do Nowego Jorku...

- Mylisz się - odparł twardo Blaine - Nie do żadnego Nowego Jorku ale do Fishhooka. I nie samochodem. Z najbliższego lotniska...

- Jak to...

- Dlatego, że to zbyt niebezpieczne. Niebezpieczne dla kogoś, kto jest dewiatem. Nawet tak słabym telepatą jak ty. Tylko w Meksyku, u Fishhooka będziesz bezpieczna.

- Nie mogę tego zrobić, Shep. Ja...

- Posłuchaj mnie, Harriet. Finn zamierzał wykorzystać noc Halloween do masowego wytępienia dewiatów. Dotarłem do niektórych i oni próbowali powstrzymać innych od wzięcia udziału w tych zabawach. Częściowo im się to udało. A cokolwiek ma się wydarzyć, wydarzy się właśnie dzisiejszej nocy. On chciał w ten sposób podburzyć opinię publiczną, wywrzeć silniejszą presję na ludzi i zaostrzyć postępowanie w stosunku do dewiatów. Oczywiście, nie obyłoby się to bez gwałtów, aktów przemocy, a nawet zabójstw. Lecz nie miałoby to wielkich rozmiarów. Taki był plan Finna. Ale teraz, wraz z jego śmiercią...

- Zetrą nas z powierzchni ziemi - dokończyła jego myśl Harriet.

- Tak - skinął głową Blaine. - Istnieje jednak sposób...

- I ty, wiedząc o tym zamordowałeś Finna?

- Posłuchaj Harriet. Ja go nie zabiłem. Poszedłem do niego, by zawrzeć z nim układ. Wynalazłem sposób, by zabrać wszystkich dewiatów z Ziemi. Chciałem mu obiecać, że uwolnię od nich Ziemię. W zamian chciałem wytargować nieco czasu. Niedużo. Tydzień lub dwa...

- A jednak zabiłeś go.

- Być może. Powiem ci to lepiej myślami. Więc gdy już będziesz pisać, napiszesz również o tym.

XXXIV

Hamilton było pogrążone w ciszy i ciemności.

Blaine zatrzymał samochód na placu i wysiadł.

Okna domów były ciemne, panowała cisza i z oddali tylko dobiegał miękki, stłumiony szum rzeki.

- Już ich nie ma - odezwał się cicho Blaine.

Harriet, która również wysiadła z auta, przystanęła obok Blaine'a.

- No cóż - odparła. - Dosiądź i ty swego rumaka.

Blaine potrząsnął przecząco głową.

Ciało miał skręcone jakby ktoś z niewiarygodną siłą ujął Finna jedną ręką za kark, a drugą za stopy i przekręcił w przeciwnych kierunkach. Rysy twarzy stężały w upiornym grymasie, jakby człowiek ów w ostatnich chwilach życia ujrzał ogień piekielny i poczuł smród palonych przez całą wieczność ciał. W świetle płonącej na biurku lampy, jego ciemne ubranie lśniło w jakiś niesłychanie obleśny sposób. A na dywanie, wokół jego głowy i klatki piersiowej rozlewała się szeroka ciemna plama. Lecz najbardziej przerażający widok stanowiła szyja Finna, rozcięta szeroko okropnym cięciem noża.

Strażnik stał cały czas w tym samym miejscu, a z gardła wydobywał mu się ni to jęk, ni szloch.

Blaine, który zbliżył się do zwłok, dostrzegł, że trup trzyma w dłoni narzędzie, które zadało śmierć: w zaciśniętych kurczowo palcach pobłyskiwała błękitną stalą staroświecka brzytwa, wykradziona prawdopodobnie z jakiegoś muzeum.

I jednocześnie Blaine wiedział, że jego plany zawiodły. Nie było już mowy o jakimkolwiek zawieszeniu broni, o pojednaniu. Lambert Finn był w tej chwili ponad to.

Finn należał do ludzi surowych, zarówno dla innych, jak i dla samego siebie. Droga, którą wybrał, śmierć, którą sobie zadał stanowiła chyba najtrudniejszą decyzję, jaką podjął w swym życiu.

Lecz mimo to - myślał Blaine patrząc chłodnymi oczyma na rozdarte gardło trupa - gra nie była warta świeczki, nie była warta tak drastycznego, tak okrutnego czynu jak owa brzytwa wysuwająca się teraz z bezwładnych palców.

Tylko człowiek przepełniony nienawiścią mógł tego dokonać, człowiek chory umysłowo, opętany nienawiścią do samego siebie, czujący wstręt do tego, kim się stał.

Nieczysty. Nieczysty i skażony obcą świadomością wepchniętą w jego czaszkę. To rzeczywiście mogło człowieka takiego jak Finn pchnąć w objęcia śmierci. Kapryśny fanatyk opętany ideą, która mogła zrodzić się tylko w jego chorym mózgu, ideą stanu doskonałego, nie potrafił żyć z obcą, tajemniczą świadomością wepchniętą pod jego czaszkę.

Blaine odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. W korytarzu spotkał słaniającego się na nogach, mamroczącego coś pod nosem, sinobladego strażnika.

- Niech pan tu zostanie - odezwał się ostrym, nie znoszącym sprzeciwu tonem, Blaine. - Zawiadomię gliny.

Strażnik spojrzał Blaine'owi w twarz. W oczach lśniły mu ogniki szaleństwa. Pocierał lekko palcami brodę.

- Mój Boże - wyszeptał. - Czy widział pan kiedykolwiek...

- Proszę tu siadać i czekać na mnie - Blaine lekko pchnął go w kierunku krzesła. - Za chwilę wrócę.

Lecz wiedział, że nie wróci. Dewiaci już teraz muszą opuścić Ziemię. A do tego potrzeba czasu. Sporo tego czasu minie, nim strażnik otrząśnie się. Ten czas jest jedyną rezerwą, jaką dysponuje Blaine.

Gdy strażnik wróci do siebie, gdy rozniesie się wieść o Finnie, otworzą się bramy piekła.

Boże, czuwaj nad dewiatem, którego pochwycą dzisiejszej nocy - zbielałymi wargami szepnął Blaine.

Przebiegł szybko korytarz i zbiegł po schodach. Zdecydowanym krokiem przeszedł hol i sięgnął ręką do klamki wyjściowych drzwi. W tej samej chwili ktoś inny pchnął je mocno z drugiej strony i do środka wbiegła kobieta. Po kamiennej posadzce głośno potoczyła się torebka, która wypadła jej z ręki. Blaine wyciągnął dłoń zatrzymując gwałtownie kobietę.

- HARRIET! NATYCHMIAST STĄD UCIEKAJ! UCIEKAJ!

- ALEŻ MOJA TOREBKA!

- Błyskawicznie schylił się i podniósł zgubiony przez nią przedmiot. Prostując się, dostrzegł w otwartej torebce ciemny, ciężki przedmiot. Chwycił go natychmiast drugą dłonią i schował do kieszeni kurtki.

Zdezorientowana Harriet zakręciła się w miejscu, ale czujny Blaine chwycił ją za łokieć, zmuszając do szybkiego marszu. Wyszli na zewnątrz.

Dotarli do jego samochodu. Szybko otworzył drzwiczki i wepchnął dziewczynę do środka.

- ALEŻ SHEP! TAM OBOK MAM ZAPARKOWANY SAMOCHÓD...

- NIE MAMY CHWILI DO STRACENIA. MUSIMY ZNIKAĆ STĄD JAK NAJSZYBCIEJ.

Potykając się obiegł wokół samochód i usiadł za kierownicą. Zwolnił hamulce i wyprowadził pojazd na ulicę. W tłoku posuwali się o wiele wolniej, niż Blaine by sobie tego życzył. Skierował pojazd w stronę autostrady mijając po drodze zgliszcza Punktu Handlowego.

Na autostradzie dopiero spostrzegł, że wciąż na ramieniu trzyma torbę Harriet. Oddał ją dziewczynie.

- Po co ci była potrzebna spluwa? - spytał nie patrząc na nią.

- Posłuchaj mnie, Shep - odezwał się, nachylając ku Blaine'owi. - Wyznaj mi wszystko. Zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi. I sądzę, że nadal nimi jesteśmy.

- Co chcesz wiedzieć?

- Coś zrobił z tą maszyną? Gdzieś ją zabrał?

- Tak, zabrałem ją - Blaine uśmiechnął się blado kiwając głową.

- I możesz ją sprowadzić z powrotem?

- Nie. Daję ci słowo honoru, że tego nie mogę zrobić. Byłem... No dobrze, powiem ci. To miała być kpina z kogoś.

- Ze mnie, tak?

- Nie, nie z ciebie. Z Lamberta Finna.

- Nie lubisz go, prawda?

- Nigdy w życiu nie widziałem go na oczy.

Rand bez słowa sięgnął po butelkę i ponownie napełnił szklanki. Podniósł swoją do ust i wypił duszkiem połowę.

- Muszę cię opuścić - odezwał się spoglądając na zegarek. - Jedno z tych sławnych przyjęć u Charline, rozumiesz. Za nic w świecie nie chciałbym go stracić. Jesteś pewien, że chcesz tu pozostać? Charline byłaby zachwycona widząc ciebie.

- Nie, jednak zostanę. Przekaż pozdrowienia Freddy'emu - w głosie Blaine'a zabrzmiała nieskrywana drwina. Rand udał, że jej nie dostrzegł.

- Freddy już u nas nie pracuje.

Blaine dźwignął się z fotela i towarzyszył Randowi do transo. Rand otworzył drzwi urządzenia, które wnętrze do złudzenia przypominało zwykły dźwig towarowy.

- Fatalnie, że nie potrafimy zastosować tego do wypraw gwiezdnych - rzekł przekraczając próg transo.

- Jestem święcie przekonany, że pracujecie nad tym.

- Oczywiście. Ale nie potrafimy rozwiązać kwestii urządzeń stabilizujących.

Rand wyciągnął rękę w stronę Blaine'a.

- No, to bywaj, Shep. Do zobaczenia.

- Po co, skoro nie mogę ci w niczym pomóc? Żegnaj, Kirby - odparł Blaine.

Rand uśmiechnął się tylko i bez słowa znikł wewnątrz urządzenia. Zamknął za sobą drzwi. Nie było żadnych oznak - dźwięku, kolorowych świateł rozbłyskujących wszystkimi kolorami tęczy - które wskazywałyby, że maszyna zaczęła działać.

Lecz Blaine miał pewność, że Kirby Rand był już ponownie u Fishhooka. Odwrócił się od transo i powrócił na swoje miejsce w fotelu przy kominku.

Otworzyły się drzwi wiodące w głąb sklepu i do pokoju wkroczył Grant. Niósł złożone na ramieniu futro.

- Mam coś takiego - odezwał się wskazując trzymany na ręku przedmiot. - Zapomniałem o tym. Czyż to nie cudo? - dodał zdejmując futro z ramienia i rozprostowując je.

To nie było futro. To coś przypominało je tylko do złudzenia. Przy bliższych oględzinach sprawiało wrażenie bardziej jedwabiu niż futra. W jego włosach było coś, co powodowało, że w blasku ognia lśniło świetlistymi błyskami, jakby ktoś wysypał na materię drobniutki pył diamentowy. Było złociście żółte w czarne pasy.

- Mam je od paru lat - wyjaśniał Grant. - Kiedyś pojawił się tutaj klient biwakujący nad rzeką. Zamówił to cudo. Z jego zdobyciem miał Fishhook nieco zachodu. Ale w końcu przesłał... sam pan wie, jak sprawnie potrafi działać Fishhook.

- Tak, wiem - krótko odparł Blaine.

- No więc przysłali to, lecz facet już się więcej nie pojawił. A futro było tak piękne, że nie potrafiłem się z nim rozstać. Zostawiłem więc na składzie, mając nadzieję, że je kiedyś sprzedam. Ale nie sprzedałem. Jest ono za drogie na kieszeń któregokolwiek z mieszkańców tego zawszonego miasteczka.

- Ale co to w ogóle jest? - zainteresował się Blaine.

- Najcieplejsze, najlżejsze i najdelikatniejsze futro w całym znanym wszechświecie - pochwalił się Grant. - Używają tego podczas biwaków. Lepsze niż najlepszy śpiwór.

- Doprawdy, nie miałbym serca używać tego - odparł Blaine, spoglądając z podziwem na materiał. - Wystarczy mi zwykły koc...

- Musi pan - nalegał Grant. - To będzie dla mnie zaszczyt, sir. Moje mieszkanie jest tak ubogie, że aż mi wstyd. A o ile mogę się domyśleć, pan zazwyczaj sypia w luksusach.

- No dobrze. Dziękuję - wybuchnął śmiechem Blaine wyciągając rękę po futro.

Grant podał mu je i Blaine z podziwem ważył je w ręku. Nie mieściło mu się w głowie, by tak obszerny płat materii mógł ważyć tak niewiele.

– Proszę mi wybaczyć, ale mam jeszcze trochę pracy – odezwał się Grant. – Pójdę więc skończyć swe zajęcia, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Położyć się może pan, gdzie tylko chce.

– Dobrze – skinął głową Blaine. – Skończę drinka i idę spać. Może pan jednak napije się teraz ze mną jednego szybkiego?

– Nie, dziękuję. Później. Zawsze przed snem walę sobie głębszego.

– W takim razie zostawię butelkę na stole.

– Dobranoc, sir. Zobaczymy się rano.

Blaine powrócił na fotel kładąc na kolanach futro. Gładził je dłońmi podziwiając jego miękkość i przedziwne ciepło, które sprawiało wrażenie, że nie jest to martwy przedmiot, lecz żywa istota. Niespiesznie popijał trunek i myślał o Randzie.

Rand był niewątpliwie najbardziej niebezpiecznym człowiekiem na Ziemi; wbrew nawet temu co o Finnie mówił Stone. Rand był człowiekiem ze stali, człowiekiem-buldogiem, który raz poczuwszy trop już do końca go nie straci. Żaden z wrogów Fishhooka, którego śladem wyruszył Rand nie wychodził obronną ręką.

Nie obstawał wcale, by Blaine wracał z nim razem do Meksyku. Propozycje Randa w tym względzie były mniej niż zdawkowe. Zupełnie jakby kwestia ta nie miała żadnego znaczenia, jakby w ogóle ten problem nie istniał. Odmowa Blaine'a zdawała się wcale Randa nie urażać. Nawet nie sugerował użycia siły. Lecz w tym akurat punkcie Blaine doskonale pojmował rozterkę Randa. Rand nie miał żadnych gwarancji, że interwencja taka odniosłaby pozytywny skutek. Wręcz przeciwnie; Rand, śledząc Blaine'a poprzez swoich ludzi, był zorientowany w fantastycznych i tajemniczych możliwościach przeciwnika i po prostu bał się. Zwyczajnie bał.

Tak więc, zachowując ostrożność i czujność, pokrywał wszystko nonszalancją. Ale nie był w stanie oszukać tym Blaine'a. Ten wiedział, że Rand jest człowiekiem, który się nie cofnie. Ugnie się, lecz nie da za wygraną. Był przekonany, że tamten ukrywa coś w zanadrzu; ale co, tego już nie potrafił przewidzieć.

Nie wątpił w jedno: zastawiono na niego pułapkę. To było więcej niż pewne.

Siedział nieruchomo w fotelu i gładził futro pociągając ze szklanki alkohol. Zastanawiał się, czy powinien pozostać na noc w Punkcie. Czy natychmiastowa ucieczka nie byłaby optymalnym rozwiązaniem. Lecz z drugiej strony, prawdopodobnie na to właśnie liczy chytry i podstępny Rand. Być może na tym polega pułapka, że zastawiono ją na zewnątrz. Najprawdopodobniej ten pokój właśnie i Punkt Handlowy są dla Blaine'a tej nocy najbezpieczniejszym miejscem.

Blaine potrzebował schronienia. Natomiast wcale nie musiał spać. Wręcz przeciwnie, sytuacja zdaje się wymagać, by dzisiejszej nocy czuwał. Położy się więc na ziemi, otuli ciasno futrem i będzie symulował sen, obserwując jednocześnie Granta. Bo tylko on może uruchomić ewentualną pułapkę.

Odstawił na stół pustą szklankę, obok innej, nie dopitej przez Randa. Postawił tam również butelkę, tworząc mimowolnie całkiem zgrabną, pijacką kompozycję. Wziął futro pod pachę i zbliżył się do kominka. Pogrzebaczem ruszył głownie ożywiając zamierające płomienie.

Postanowił ułożyć się przy ogniu, by padający z paleniska blask oświetlał resztę pokoju.

Rozłożył ostrożnie futro na ziemi po czym zdjął kurtkę i buty. Marynarkę złożył w zgrabną kostkę, aby użyć jej w charakterze poduszki. Położył się. Błam był rozkosznie miękki i elastyczny; jak materac, choć nie posiadał jego grubości. Blaine okręcił się futrem, a ono przylgnęło szczelnie do jego ciała niczym śpiwór. Czuł się cudownie, jak nigdy od czasu, gdy jako dziecko, podczas najzimniejszych, zimowych nocy, wtulał twarz w poduszkę przykrytą ciepłą, puchową kołdrą.

Leżał tak, wpatrując się w ciemność zalegającą pomieszczenie magazynu. Wodził wzrokiem pośród mrocznych zarysów zgromadzonych tu pak, beczek, beli i pudeł. Panowała cisza przerywana tylko od czasu do czasu trzaskaniem pękającego w ogniu drewna. Powoli zaczynała docierać do niego charakterystyczna woń przepełniająca pomieszczenie: niemożliwy do określenia zapach towarów zupełnie na Ziemi obcych. Nie był to silny, drażniący zapach czegoś egzotycznego; zapach, który budziłby dreszcz strachu czy emocji. Była to skomplikowana mieszanina przypraw pochodzących z innych światów, artykułów przemysłowych, żywności, drewna i wielu, wielu innych przedmiotów sprowadzanych tu z najodleglejszych gwiazd. Blaine zdawał sobie sprawę, że wszystko to stanowi zaledwie maleńką cząstkę tego, co Fishhook zdobywa we wszechświecie. To tylko najbardziej elementarne, podstawowe towary, przeznaczone na handel.

Specjały dostarczane do Punktów Handlowych za pośrednictwem transo, stanowiły jedynie fragment

Odwrócił się i rozpoczął wspinaczkę po schodach, czując jednocześnie jak biegnący po plecach dreszcz emocji jeży mu włosy na głowie i wywołuje gęsią skórkę. Rozpoczynał niebezpieczną grę. Stawką w niej mogło być nawet jego życie.

Ale musi zaryzykować.

Chodnik pokrywający kamienne stopnie schodów skutecznie głuszył jego kroki. Posuwał się w zupełnej ciszy mącąc ją jedynie głośnym, podekscytowanym oddechem.

Gdy stanął na drugim piętrze rozejrzał się uważnie w obie strony korytarza. Nic się tu nie zmieniło od czasu jego poprzedniej bytności, a strażnik tkwił na swoim zwykłym miejscu. Słysząc kroki Blaine'a odwrócił się w jego stronę i czekał. Gdy Blaine się zbliżył, odezwał się pierwszy.

– Niestety, nie mogę teraz pana wpuścić. Finn zabronił wpuszczać kogokolwiek. Śpi.

– Słyszałem, że ma wielkie kłopoty – odparł, zniżając głos Blaine.

– Kłopoty! – parsknął stłumionym głosem strażnik. I nachylając się w stronę Blaine'a, dodał konfidencjonalnym szeptem:

– Nigdy nie widziałem człowieka w takim stanie. Co się mogło stać?

– Dobre sobie! Czary! To wszystko te cholerne czary.

– Tak, zapewne – odparł z lekkim wahaniem w głosie ochroniarz. – Ale był zupełnie normalny, gdy przyszedł pan po raz pierwszy. Potem panowie wyszli razem. Gdy wrócił, też był zupełnie normalny.

– No właśnie. Nie zauważyłem wówczas w nim żadnych oznak świadczących o tym, że ma kłopoty.

– Przecież mówię panu wyraźnie. Gdy wrócił, był jeszcze całkiem normalny. To się stało godzinę czy dwie później. A w tym czasie już nikt tam nie wchodził. Dopiero ja zajrzałem by spytać, czy czegoś nie potrzebuje. Siedział bez ruchu za biurkiem i wpatrywał się w drzwi tak strasznym wzrokiem, że aż się przestraszyłem. Mówiłem do niego, ale on wcale mnie nie słyszał. Nawet mnie nie zauważył.

– Może był tak głęboko zamyślony.

– Ba, ja też tak myślałem. Ale potem przyszedł następny dzień. Wczorajszy. Przed tą starą wozownią zebrał się tłum mieszkańców miasta i ci dziennikarze, do których miał przemawiać Finn. Kiedy weszli do środka, gdzie przechowywano maszynę gwiezdną...

– Nie byłem tam osobiście, ale słyszałem o wszystkim – pokiwał głową Blaine. – To musiał być rzeczywiście szok.

– Myślałem, że padnie trupem na miejscu. Zrobił się purpurowy na twarzy...

– A co by pan powiedział, gdybyśmy tak zajrzeli do niego razem? – spytał Blaine, przerywając potok wymowy strażnika. – Jeśli śpi, wycofamy się na palcach. Ale może się już obudził. Mam do niego bardzo ważną sprawę.

– Dobra, czemu nie? – strażnik niespodziewanie łatwo zgodził się na propozycję Blaine'a. – Wizyta przyjaciela może mu nawet sprawić przyjemność.

A więc był to dzień wypłaty – pomyślał Blaine. Dzień łapówki. Finn nic nie wspomniał o mnie. Nie odważył się. Pozwolił, aby wszyscy uważali mnie za jego przyjaciela. To zresztą zrozumiałe. Chroniąc mnie, chronił jednocześnie samego siebie. To dlatego nie urządził obławy, dlatego nie wywrócił Hamilton do góry nogami w poszukiwaniu mnie. Jego milczenie było łapówką dla kogoś, kto poznał jego straszną tajemnicę. Milczenie to haracz dla szantażysty, którym w przekonaniu Finna był Blaine.

Był to dzień wypłaty albo... pułapka.

Czuł, jak tężeją mu wszystkie mięśnie, jak rośnie w nim napięcie, które starał się za wszelką cenę zdusić w sobie.

Strażnik dźwignął się z krzesła i sięgnął po klucze.

– Hej, proszę chwileczkę zaczekać – rzekł Blaine. – Zapomniał pan sprawdzić czy nie mam broni.

– Nie ma potrzeby – strażnik wyszczerzył zęby. – Poprzednim razem był pan czysty. Wyszliście wtedy razem, pod rękę. Zresztą Finn powiedział mi potem, że jest pan jego starym przyjacielem, którego nie widział od lat.

Otworzył kluczem zamek i nacisnął klamkę.

– Pójdę pierwszy i zobaczę, czy nie śpi – mruknął.

Otworzył delikatnie drzwi i wszedł na palcach do przedpokoju. Blaine postępował tuż za nim. Strażnik prawie natychmiast stanął tak gwałtownie, że Blaine nie zdążył zatrzymać się i z impetem wpadł na jego szerokie plecy.

Ochroniarz wydał z siebie stłumiony jęk.

Blaine silnym ruchem ramienia odsunął go ze swej drogi i wszedł do pokoju.

Na ziemi, w strasznej, nienaturalnej pozycji, leżał Finn.

Ziemi i nie znali pomysłów i koncepcji pochodzących z innych światów, nawet o nich nie słyszeli. A teraz po raz pierwszy bezpośrednio z czymś takim się zetknęli. Jemu, oswojonemu z obcym, nie wydawało się to tak potworne jak im. Wiele rzeczy pochodzących z gwiazd mogło, z punktu widzenia Ziemian, budzić największą grozę i obrzydzenie, lecz obiektywnie - z punktu widzenia obcego umysłu - stanowiło fakt całkiem normalny. Dla mieszkańców Hamilton było to po prostu szokująco odmienne.

- CZY ONI WYKORZYSTAJĄ TO? - spytał Blaine.

- PODSŁUCHAŁAM CIĘ, MŁODY CZŁOWIEKU - wtrąciła się chuda kobieta. - SPOSÓB JEST WSTRĘTNY, PRZYZNAJĘ, ALE UŻYJEMY GO. CÓŻ NAM INNEGO POZOSTAJE?

- MOŻECIE POZOSTAĆ NA ZIEMI.

- ZASTOSUJEMY TO! - powtórzyła zdecydowanie kobieta.

- I POWIADOMICIE INNYCH.

- POSTARAMY SIĘ. ZROBIMY TO NAJLEPIEJ, JAK POTRAFIMY.

Ludzie zaczęli się w milczeniu rozchodzić. Zaszokowani i zawstydzeni.

- A TY? - spytał Anite Blaine.

Odwróciła się powoli, stając do niego przodem, patrząc mu w twarz.

- MUSIAŁEŚ TO ZROBIĆ, SHEP. INNEGO WYJŚCIA NIE BYŁO. ALE NAWET SOBIE NIE WYOBRAŻASZ, JAK TO NIMI WSTRZĄSNĘŁO.

- NIE WYOBRAŻAM SOBIE. ZBYT DUŻO OBCOWAŁEM Z OBCYMI RZECZAMI, BY ZROZUMIEĆ W PEŁNI CZYJĄŚ NIECHĘĆ I ODRAZĘ DO NICH. POZA TYM SAM JESTEM CZĘŚCIOWO OBCY. NIE JESTEM CAŁKOWICIE CZŁOWIEKIEM...

- CICHO, NIC NIE MÓW - szepnęła, zbliżając twarz do jego twarzy. - DOBRZE WIEM, KIM JESTEŚ.

- JESTEŚ O TYM PRZEKONANA, ANITO?

- CAŁKOWICIE.

Wyciągnął ręce i przytulił ją do siebie. Zaglądając jej w twarz, zobaczył, że uśmiecha się miękko przez łzy.

- Muszę już iść - odezwał się nienaturalnie grubym głosem. - Pozostało mi jeszcze coś niecoś do zrobienia.

- Lambert Finn?

Pokiwał milcząco głową.

- Nie rób tego. Nie możesz tego zrobić.

- Myślimy o czym innym - odparł. - Chociaż, Bóg świadkiem, chciałem to zrobić. Chciałem go zabić. Ale teraz już nie chcę.

- Ale czy to... to bezpieczne... byś tam wracał?

- Nie wiem. To się okaże. Ale musimy zyskać trochę czasu. A tylko ja mogę go od Finna wytargować. Jestem jedynym człowiekiem, którego się boi.

- Gdybyś potrzebował samochodu...

- Bardzo mi się przyda.

- Opuścimy Ziemię zaraz po zapadnięciu zmierzchu. Czy wrócisz do tego czasu?

- Nie wiem - odparł otwarcie.

- Czy wrócisz, by polecieć z nami? Czy wrócisz by nas poprowadzić?

- Anito, zrozum. Nie mogę niczego obiecać. Nie wymagaj tego ode mnie.

- A jeśli odlecimy bez ciebie, czy przybędziesz do nas?

Bezradnie wzruszył ramionami.

Na to pytanie nie potrafił dać odpowiedzi.

XXXIII

Sala recepcyjna hotelu była pogrążona w ciszy i niemal pusta. Jeden gość drzemał w fotelu, drugi czytał przy stoliku gazetę. Za biurkiem tkwił znudzony recepcjonista i gapiąc się bezmyślnie przez okno, wyginał sobie lewą dłonią końce palców prawej ręki.

Blaine szybko przeszedł hall i wkroczył w krótki korytarzyk wiodący w stronę schodów. Chłopak obsługujący windę tkwił w plecionym fotelu obok otwartej kabiny. Na widok Blaine'a wyraźnie się ożywił.

- Na górę, sir? - spytał wstając.

- Daj sobie spokój, bracie. Pójdę piechotą.

tego, co koncern sprowadzał z gwiazd. Był to tylko ułamek, cząstka, to tylko, czego potrzebował przeciętny człowiek.

W posiadaniu Fishhooka istniało bowiem dużo więcej różnych, stokroć istotniejszych rzeczy - pomysłów, wiedzy - zdobytych w otchłaniach kosmosu. W uniwersytetach podległych Fishhookowi naukowcy ze wszystkich stron świata przesiewali tę wiedzę, wiązali ze sobą i zgłębiali, czasami wykorzystywali ją w praktyce, częściej odkładali, by w przyszłości - bliższej lub dalszej - wiedza owa i pomysły mogły zaowocować; wymodelować i ukierunkować rozwój ludzkiej rasy.

Znajdowały się tam przedmioty i wiedza ujawniane ogółowi. Lecz były również liczne fakty i dokumenty ściśle tajne, udostępniane tylko najbardziej zaufanym osobom.

Gdyż Fishhook nie mógł - tak w interesie ludzkości, jak i we własnym - udostępniać ogółowi wszystkiego, co udało mu się zdobyć. Istniały bowiem zupełnie obce, nowe kategorie problemów, systemów filozoficznych, czy - jak to można inaczej określić - pomysłów, które pochodziły z innych i zupełnie odmiennych systemów i struktur społecznych. Dlatego najczęściej w ogóle były nieprzydatne Człowiekowi. Były absolutnie obce i nie mogły zostać zaakceptowane przez ludzi i ludzki system wartości. Były jeszcze inne. Te mogły ewentualnie znaleźć zastosowanie w ludzkim świecie, lecz przed ich udostępnieniem należało je najpierw wszechstronnie rozpatrzeć i dostosować do obowiązujących wzorców kulturowych. I były te trzecie: możliwe do przyjęcia przez Człowieka, lecz ze względu na swe nowatorstwo czy rewolucyjność musiały jeszcze swoje odleżeć przez co najmniej sto lat, czekając aż ludzkość dorośnie do ich praktycznego zastosowania.

W tym właśnie musiało się mieścić coś, o czym myślał Stone, przystępując do realizacji swych zamierzeń złamania monopolu Fishhooka, by dać ludziom paranormalnym spoza magicznego kręgu koncernu jakąś schedę, należną im z racji ich zdolności.

W tym punkcie Blaine zgadzał się ze Stone'em w zupełności. Bo nie było w porządku, że wszystkie zdobycze zdolności paranormalnych, które miały skupiać się pod ścisłą kontrolą Fishhooka, który podczas stuletniego z górą istnienia stracił wiele ze swej żarliwej i bezinteresownej służby ogółowi ludzkiemu, przechodzą na tory komercjalizmu w skali dotychczas nie notowanej.

Bo jakkolwiek by na to patrzeć, zdolności paranormalne należały do Człowieka jako takiego, a nie do grupy ludzi, nie do potężnych korporacji czy odkrywców i spadkobierców. Zdolności paranormalne są domeną całego gatunku ludzkiego, domeną Człowieka w ogóle. Są to zjawiska jak najbardziej naturalne. Może tylko bardziej skomplikowane i nie tak jednoznaczne jak inne zjawiska przyrody: wiatr, deszcz czy śnieg.

Za Blaine'em z głośnym trzaskiem załamały się przepalone polana i upadły w żar. Blaine odwrócił się, by spojrzeć w ich stronę.

Próbował się tylko odwrócić...

Ale nie mógł tego zrobić.

To było okropne.

Futro w jakiś przedziwny sposób skrępowało go zbyt mocno.

Starał się, rozpierając ramiona, wyswobodzić ciało ze splotów krępującej materii. Choć natężał całe swe siły, nie zdołał nawet poruszyć rękami.

Przeciwnie - przy każdej kolejnej próbie, futro zaciskało się mocniej i mocniej.

Przerażony do najwyższych granic próbował usiąść.

Nie mógł.

Futro krępowało go łagodnie, ale z zadziwiającą siłą.

Był obezwładniony, oplątany niczym najmocniejszą liną, a futro - sam nie wiedział kiedy - stało się niczym kaftan bezpieczeństwa.

Strach gorącą śliną podpełzł do gardła. Czoło zalewał pot spływając na oczy grubymi kroplami.

Był w pułapce.

W pułapce, której tak bardzo starał się uniknąć.

W pułapce, przed którą tak rozpaczliwie się bronił.

Z własnej i nieprzymuszonej woli, choć całkiem nieświadomie, wpadł w pułapkę, a ta się zatrzasnęła.

XXV

Rand przy pożegnaniu powiedział: „Do zobaczenia". Brzmiało to sympatycznie, przyjaźnie i naturalnie. Lecz musiało to tak właśnie brzmieć. Rand wiedział już z góry jak potoczą się dalsze wypadki, gdyż to on właśnie zaaranżował tę pułapkę z futrem. A była to rzeczywiście genialna metoda zwabienia w pułapkę człowieka, który wiedząc, że na niego polują, miał się na baczności.

Blaine leżał nieruchomo na podłodze skrępowany futrem. To nie było futro, rzecz jasna. Była to jedna z tych rzeczy, o których Blaine przed chwilą rozmyślał. Jeden z owych tajemniczych przedmiotów, przechowywanych w największym sekrecie przez Fishhooka, w przewidywaniu, iż znajdzie się kiedyś takie czy inne dla niego zastosowanie.

I znalazło się – pomyślał Blaine myszkując jednocześnie gorączkowo w pamięci. Nie potrafił jednak sobie przypomnieć o czymś takim jak to futro-pułapka. Żaden z badaczy nie natknął się na coś podobnego. Był to zapewne rodzaj pasożyta, pozornie martwego aż do chwili zetknięcia się z czymś żywym i ciepłym. I oto teraz Blaine znajduje się we władaniu owego pasożyta, który w każdej chwili mógł z nim zrobić wszystko, to co zwykł był robić w takich przypadkach. Nawet zeżreć Blaine'a. Blaine był zupełnie bezradny, a każda próba wydobycia się ze splotów potwora kończyła się tym, że stwór przystępował natychmiast do kontrakcji, wzmagając uścisk.

Niemniej Blaine, spoczywając bez ruchu, poszukiwał rozpaczliwie sposobu wywinięcia się z matni. I zobaczył naraz owo miejsce: mroczną planetę o powierzchni pokrytej splątaną gęstwą dżungli, zamieszkałą przez groźne, dziwaczne istoty. Było to przerażające miejsce, wypełnione nieustanną, krwawą walką istot o odrażającym – jakby zrodzonym w sennym koszmarze – wyglądzie. Blaine widział to wszystko jak zza mgły wspomnień z niesłychanie odległych czasów. Ale wspomnienia owe nie pochodziły wcale z pamięci i świadomości człowieka z tej prostej przyczyny, iż nigdy na tej planecie nie był. Ani on, ani żaden z badaczy Fishhooka.

Obraz rósł, stawał się coraz klarowniejszy, coraz jaśniejszy: jakby ktoś w jego mózgu operował obiektywem wyostrzając widzenie, doprowadzając je do ostatecznej perfekcji. Mógł już dostrzec mrożące, dreszcz budzące szczegóły życia jakiegoś przerażającego potwora; mieszkańca owej dzikiej planety porośniętej dżunglą. Stwór był wielki i obrzydliwy. Wlókł swe cielsko pełznąc po ziemi gnany dzikim i bezrozumnym instynktem, kierowany prymitywną nienawiścią i głodem.

Blaine leżał porażony strasznym widokiem miejsca, gdyż było ono tak bardzo realne, jakby tam sam osobiście przebywał; jakby połowa Blaine'a spoczywała wciąż skrępowana przy kominku, podczas gdy druga jego część przebywała tam, w tej obrzydliwej dżungli.

Wydało mu się nagle, że słyszy hałas, a raczej, że usłyszała go ta jego część, która przebywała na planecie. Część ta spojrzała też natychmiast w górę skąd dobiegł dźwięk. Piętrzyło się tam coś, co mogło być drzewem, jakkolwiek było zbyt splątane i kolczaste, by nim rzeczywiście być. Tam właśnie ujrzał zwisające z niby-gałęzi futro, lśniące owym diamentowym blaskiem. Sprawiało takie wrażenie, jakby zaraz miało spaść na Blaine'a.

Wrzasnął – a może mu się tylko wydawało, że wrzasnął – i planeta wraz z jej obrzydliwymi mieszkańcami zniknęła za mgłą. Zupełnie, jakby dłoń sterująca soczewką w jego mózgu rozstroiła ostrość obiektywu.

W tej samej chwili odnalazł się – już całkowicie Blaine – przy kominku w magazynie Punktu Handlowego, gdzie w mrocznym kącie majaczyło transo. Jednocześnie otworzyły się drzwi i stanął w nich Grant.

Przestąpił próg i dokładnie zamknął drzwi. Stał w milczeniu, ogromny i flegmatyczny, spoglądając nieruchomym wzrokiem na leżącego.

– Panie Blaine – odezwał się po chwili. – Panie Blaine, czy pan śpi?

Blaine milczał.

– Ma pan otwarte oczy. Czy coś się stało?

– Nie, nic – mruknął niewyraźnie Blaine. – Tak sobie leżę i myślę.

– O czymś przyjemnym, panie Blaine?

– Tak, o niezwykle miłych rzeczach.

Grant kocim, bezszelestnym krokiem zbliżył się do stołu i sięgnął po butelkę. Odkorkował, podniósł do ust i zaczął pić prosto z niej. Po chwili odstawił ją ponownie na stół.

– Panie Blaine – znów zwrócił się do spoczywającego na ziemi. – Proszę wstać. Usiądziemy sobie przy stole, pogadamy, popijemy. Bardzo rzadko rozmawiam z ludźmi. Klienci, którzy przychodzą coś kupić, jeśli odzywają się, to tyle tylko ile muszą.

– Nie, dzięki – odparł Blaine. – Mnie tutaj dobrze.

Grant podszedł do kominka i usiadł w jednym z foteli.

– Popełnił pan błąd nie wracając z Randem – odezwał się odwracając twarz w kierunku Blaine'a. – Fishhook to wspaniałe miejsce.

– Ma pan słuszność – odparł automatycznie Blaine, nie wysilając się nawet, by pojąć znaczenie słów wypowiedzianych przez ajenta.

lnym. Maszyny spełniały zaledwie rolę protezy, wspomagały niedostatecznie rozwinięte umysły. Teraz już nie potrzebujemy protez.

Z tłumu wysunęła się kobieta o wychudzonej twarzy.

– Niech pan na chwilę przerwie swoją przemowę – rzekła patrząc przenikliwie na Blaine'a. – Pan powiedział, że istnieje planeta...

– Tak, jest taka planeta.

– I może nas pan tam zabrać.

– Nie muszę. Możecie się tam dostać o własnych siłach.

– Pan jest jednym z nas, młody człowieku. Ma pan uczciwą twarz. Pan nas nie okłamuje?

– Nie, słowo honoru, że nie – roześmiał się Blaine.

– A więc proszę powiedzieć, jak się tam dostać. Na tę planetę.

– Czy można zabrać ze sobą dobytek? – wykrzyknął ktoś z tłumu.

– Nie za dużo – potrząsnął głową Blaine. – Matka może zabrać dziecko trzymając je na rękach. Można załadować plecak i założyć sobie na plecy. Można powiesić torbę na ramieniu. Można wziąć widły czy siekierę.

– Ale przecież musimy się zastanowić nad wszystkim – zabrał głos jakiś mężczyzna z tłumu. – Musimy ustalić, co zabrać. Przecież będziemy tam potrzebowali wielu rzeczy. Żywności, ziarna na siew, ubrania, narzędzi...

– Możecie w każdej chwili wrócić po więcej – przerwał mu Blaine. – To żaden problem.

– W takim razie, na co pan czeka? – odezwała się chuda kobieta. – Czemu pan nie mówi nam, jak się tam dostać sir?

– Jeszcze tylko jedno – przerwał jej gestem dłoni Blaine. – Czy są tutaj dalekosiężni telepaci?

– Jestem jedną z nich – odezwała się chuda kobieta. – Ja i ta tutaj Myrtle. Jim, tam w tłumie, oraz...

– Musicie więc potem informacje przekazać innym, ilu tylko zdołacie. A ci z kolei niech przekazują wieść dalej. Musimy uchylić te wrota, dać możność ratunku i ocalenia tak wielu ludzim, ilu tylko będzie możliwe.

– Proszę się o to nie martwić. Niech pan tylko powie jak tego dokonać.

Pośród zebranych przeszedł szmer i tłum otoczył naraz Blaine'a i Anitę zwartym pierścieniem.

– No, dobrze – sapnął Blaine. – Zaczynam projekcję.

Czuł, jak jego świadomość zespala się ze świadomością tych ludzi, jak oni i on stają się jednym, wspólnym umysłem, wspólną świadomością.

Tutaj, w tym kręgu, wiele umysłów stało się naraz jednym. Jedna wielka, zespolona świadomość przepełniona ludzkim ciepłem i życzliwością, miłością jednego człowieka do drugiego, do innych, do wszystkich. I było to jak delikatny i upojny zarazem zapach wiosennego bzu i wieczornej mgły nadciągającej od rzeki, tysięczne barwy jesieni, gdy wzgórza stoją w złocistym ogniu pożółkłych liści, gdy w powietrzu snują się sennie pasma babiego lata. Był tam trzask smolnych szczap płonących na kominku i senne pomrukiwanie psa wylegującego się w cieple ognia. Ciche zawodzenie jesiennego wiatru dobiegające spod okapu komina. Był klimat dziecięcego świata i domu rodzinnego, serdecznej przyjaźni, cudownych poranków i cichej zadumy wieczoru, dźwięk dzwonów kościelnych niesiony wiatrem ponad szczytami wzgórz.

Mógłby tak stać długo wsłuchany w te odgłosy, ale odepchnął je. Musi działać.

– TUTAJ MACIE WSZELKIE KOORDYNATY KOSMOGRAFICZNE PLANETY, NA KTÓRĄ ODEJDZIECIE – przekazał im.

Podał im to wszystko dwukrotnie, aby mogli sobie dokładnie wyryć w świadomości, żeby nie popełnili żadnego błędu.

– TERAZ POWIEM WAM, JAK DOKONAĆ SKOKU.

I wrzucił im wprost w umysły ową obrzydliwą wiedzę i czekał, aż się z nią oswoją. A następnie, krok za krokiem, uczył ich metody i techniki skoku, chociaż było to już właściwie zbędne, bo jeśli ktoś raz nabył samą wiedzę, wszystko inne stawało się jasne samo przez się.

I znów, jak za pierwszym razem, powtórzył im projekcję dwukrotnie.

Wtedy ucisk ich umysłów zelżał, a on cofnął się, stając obok Anity. Rozejrzał się po twarzach spoglądających nań w pełnym przerażenia zdumieniu.

– CO SIĘ DZIEJE? – spytał Anitę zaniepokojony.

– TO BYŁO PO PROSTU KOSZMARNE – wzdrygnęła się dziewczyna.

– OCZYWIŚCIE, ALE WIDZIAŁEM WIELE GORSZYCH RZECZY.

Bo to rzeczywiście było okropne i w tym tkwiło źródło odrazy tych ludzi do wiedzy, którą im Blaine udostępnił. To prawda; on widział wiele gorszych rzeczy, ale oni nie. Oni przeżyli swe życie tutaj, na

Miał jeszcze jedną rzecz do spełnienia. Pójdzie i to zrobi. A potem nic już nie będzie miało znaczenia. Ani dla niego, ani dla nikogo.

- Shep!

Udał, że nie słyszy. Oddalał się szybkim krokiem.

- Shep!

Zatrzymał się i obejrzał za siebie.

Z milczącego tłumu wysunęła się Anita.

- Nie! - rzekł twardo, z zaciętością w głosie.

- Shep, ależ są jeszcze inni, nie tylko ta czwórka - rzekła dobitnie dziewczyna. - Cała reszta nas. My cię wysłuchamy.

Rzeczywiście. Anita miała cholerną rację.

Prócz tych czterech byli jeszcze inni.

Anita i cała reszta zgromadzonych ludzi. Kobiety i dzieci. Wszyscy ci bezimienni, pozbawieni znaczenia i autorytetu, jaki posiadała tamta czwórka stojących nieruchomo na schodach mężczyzn. To tamci go skrzywdzili. Tamci, mający autorytet. Nie ci, wmieszani w tłum. To tylko powaga tamtej czwórki i jej wielkie o sobie mniemanie spowodowały, że mężczyźni ci przestali już być ludźmi, że stali się - podobnie jak Fishhook - zimni, bezlitośni, nieczuli.

Ale co winni są ci żałośni, przestraszeni; pozbawieni wszelkiej nadziei dewiaci tłoczący się na placu. Cóż oni są winni? Ze względu na nich Blaine powinien jednak odrzucić dumę i zapomnieć o obeldze.

- Nie udało ci się - powiedziała znów Anita. - Przykre, ale my od samego początku nie wierzyliśmy w powodzenie twych zamierzeń. Spróbowałeś, a nam to wystarczy.

Blaine popatrzył niemo na tłum, postąpił krok do przodu, w stronę dziewczyny.

- Ależ nie, wręcz przeciwnie. Udało mi się nadspodziewanie dobrze.

Tłum zafalował i poprzedzany przez Anitę postąpił kilka kroków do przodu. Zatrzymał się, lecz Anita szła dalej. Stanęła przed Blaine'em.

- Gdzie byłeś? - spytała cichym, niskim głosem. - Część z nas wyległa nad rzekę. Znaleźliśmy puste i uszkodzone czółno.

Blaine wyciągnął rękę, położył dłoń na jej ramieniu i delikatnie popchnął dziewczynę tak, by stanęła obok niego.

- Powiem ci. Ale za chwilę. Co to są za ludzie? - wykonał głową ruch w kierunku milczącego zgromadzenia.

- Dewiaci - odrzekła z prostotą dziewczyna. - Przerażeni ludzie, którzy stracili już wszelkie nadzieje.

Tłum, który w czasie tej wymiany zdań zbliżył się na odległość dwunastu stóp przystanął, a na jego czoło wysunął się jakiś mężczyzna.

- Pan jest człowiekiem Fishhooka?

- Byłem człowiekiem Fishhooka - sprostował Blaine. - Ale już nie jestem.

- Jak Finn?

- Tak, jak Finn - warknął Blaine, czując znów podchodzący mu do gardła gniew.

- Jak również i Stone - krzyknęła Anita. - Stone też był człowiekiem Fishhooka.

- Boicie się mnie - rzekł stłumionym głosem Blaine, opanowując narastającą w nim złość. - Boicie się mnie, boicie się Finna, boicie się całego świata. Ale ja odkryłem miejsce, w którym nie będzie strachu. Odkryłem nowy świat i, jeśli tylko chcecie, jest on wasz.

- O jakim świecie pan mówi? Czy ma pan na myśli jedną z tych obcych planet?

- Świat taki sam jak Ziemia, a nawet lepszy. Właśnie powracam stamtąd...

- Ależ pan przyszedł z gór. Widzieliśmy wszyscy jak pan...

- Zamknijcie gęby, durnie! - wrzasnęła Anita. - Dajcie mu powiedzieć.

- Odkryłem sposób - kontynuował Blaine - odkryłem lub wykradłem - nazwijcie to sobie jak chcecie - sposób, by każdy człowiek mógł osiągnąć gwiazdy. Bez maszyny gwiezdnej, bez Fishhooka. Może się tam dostać nie tylko umysłem, ale razem z ciałem. Tam właśnie byłem ostatniej nocy i stamtąd wróciłem dzisiaj rano. Nie potrzeba żadnej maszyny, musicie tylko pojąć o co chodzi.

- Ale skąd możemy mieć pewność...

- Znikąd. Musicie mi uwierzyć i zaryzykować - odparł zimno Blaine.

- Ależ nawet Fishhook...

- Od ostatniej nocy Fishhook stał się zbędny. Nie potrzebujemy już dłużej jego usług. Sami możemy osiągnąć najdalsze nawet gwiazdy. Nie potrzebujecie żadnych maszyn. Potrzebujecie wyłącznie swych umysłów. Jest to największe i najwspanialsze zwycięstwo ludzi obdarzonych umysłem paranorma-

W tej chwili bowiem dotarła do niego świadomość, skąd czerpał przed chwilą wspomnienia o obcej, przerażającej planecie. Były one zawarte pośród bezliku informacji zdobytych od Różowej Istoty. On osobiście nigdy na tej planecie nie był, ale ona tak.

We wspomnieniach tych mieściło się dużo, dużo więcej niż same dźwięki i obrazy odległej planety. Były tam wszelkie parametry i współrzędne kosmograficzne tego świata, jak również komplet danych o istniejącym tam życiu. Te ostatnie jednak - nie uporządkowane jeszcze, nie posegregowane - nie tworzyły spójnej i klarownej całości. Blaine, sam nie wiedząc czemu, zaczął zbierać i układać te właśnie okruchy porozbijanej, rozproszonej wiedzy.

Grant rozparł się w fotelu, a na twarzy igrał mu głupawy uśmieszek.

- No dobrze. A jak się pan czuje, panie Blaine? - indagował dalej.

- Powiem ci, jak cię dostanę w swoje ręce - odwarknął Blaine.

Grant dźwignął się z fotela i obchodząc przesadnie szerokim łukiem miejsce, gdzie leżał Blaine, podszedł do stołu. Podniósł butelkę i pociągnął z niej parę łyków.

- Nigdy nie będziesz mnie miał w swych łapach - zaśmiał się chrapliwie. - Nigdy, bo za chwilę wsadzę cię w transo i wyekspediuję do Fishhooka.

Ponownie łyknął z flaszy i odstawił ją na stół.

- Nie wiem coś takiego przeskrobał - mruknął. - Nie wiem, czego oni chcą od ciebie. Ja po prostu wypełniam polecenia.

Znów odruchowo wzniósł butelkę, lecz rozmyślił się i odstawił ją na środek stołu. Zbliżył się do Blaine'a stając nad nim w szerokim rozkroku.

Kolejny obraz: tym razem innej jeszcze planety. Jakiś przedmiot posuwał się szybko przed siebie po czymś, co na pierwszy rzut oka kojarzyło się ze zwykłą ziemską drogą. Takiego tworu Blaine nigdy jeszcze nie widział. Choć mieszkaniec obcej planety podobny był do kaktusa, z pewnością nie był kaktusem ani żadną rośliną. Lecz ani owe kaktusopodobne stworzenie, ani niby-droga nie stanowiły najistotniejszego elementu tego obrazu. Istotne było to, że za tym tworem, trop w trop, sunęło skokami pół tuzina takich samych futer jak to, które krępowało Blaine'a.

Psy gończe - błysnęło Blaine'owi w głowie. Kaktus jest myśliwym, a futra jego psami. Może jest traperem, a one jego sidłami?

Futra, których ojczyzną była tamta pokryta dżunglą planeta, zostały być może sprowadzone tutaj przez jakiegoś kosmicznego handlarza - przedstawiciela rasy odpornej na promieniowanie kosmiczne, rasy, która była w stanie podróżować w przestrzeni międzygwiezdnej.

Z tej właśnie planety zostały sprowadzone przez Fishhooka te futra - pomyślał z nagłą furią Blaine.

Jednocześnie, wraz z obrazem, w mózgu człowieka zabrzmiał tajemniczy dźwięk - coś w rodzaju zdania w obcym języku, prawdopodobnie w mowie kaktusa. Brzmiało ono niesłychanie dziwnie i obco i Blaine nie rozumiał go, lecz gdy Grant pochylił się nad nim z wyciągniętymi rękoma, by przenieść jego ciało do transo, Blaine całą mocą swego gardła wykrzyknął to właśnie zdanie.

Futro rozluźniło się natychmiast, a Blaine błyskawicznie poturlał się przed siebie zbijając z nóg oniemiałego Granta. Ten, z rykiem wściekłości, upadł na podłogę uderzając o nią twarzą. Blaine odpełzł szybko na czworakach do stołu i tam poderwał się na nogi.

Grant powstał równie szybko. Z rozbitego nosa krew ciekła mu grubymi kroplami, a knykcie dłoni były silnie obdarte ze skóry. Postąpił w stronę Blaine'a. Na umazanej krwią twarzy malował mu się okropny grymas podwójnego strachu: lęku przed człowiekiem, który zdołał wyswobodzić się ze splotów futra i strachu przed gniewem mocodawców, których rozkazu nie wypełnił.

Sprężył się cały chowając głowę w potężne ramiona i z wyciągniętymi rękoma, jak oszalały byk, szarżował na Blaine'a. Był wielki i silny, powodowała nim skrajna desperacja, a nie mając już nic do stracenia, nie dbał o nic, co czyniło go w dwójnasób niebezpiecznym.

Blaine odskoczył w bok. Niedostatecznie szybko. Ogromna garść Granta zdążyła dosięgnąć go i zacisnąć się na jego koszuli. Blaine szarpnął gwałtownie ciałem do tyłu. Rozległ się trzask pękającego materiału i kawał koszuli pozostał w zaciśniętym kułaku Granta. Ten ponowił atak. Tym razem Blaine'owi udało się w porę wyłapać nadlatujący cios ogromnej pięści przeciwnika. Jedną ręką chwycił Granta za nadgarstek, a drugą wymierzył uderzenie w twarz. Cios był bardzo mocny. Grant zachwiał się, a Blaine poczuł przeszywający ból biegnący od łokcia w dół.

Niepomny jednak na nic, trzasnął po raz drugi i trzeci. Walił już bez opamiętania, do całkowitego zdrętwienia bijącej ręki. Ciosy wstrząsały masywnym ciałem Granta, miotały nim; Blaine wciąż bił bezlitośnie.

Bił na zimno, z wyrachowaniem, z dziką pasją. Nie był to gniew, nie był to strach czy zadowolenie z zadawanego przeciwnikowi bólu. To była konieczność. Było to jedyne wyjście: zniszczyć Granta, bo w przeciwnym razie on zniszczy Blaine'a.

Zaskoczył Granta pierwszym ciosem. I nie mógł już tej przewagi utracić, nie wolno mu było przestać bić dopóty, dopóki Grant trzyma się na nogach, póki jest jeszcze przytomny. Bo gdyby Grant doszedł do siebie, poradzi sobie bez trudu z o wiele słabszym fizycznie Blaine'em. Jedno celne uderzenie jego wielkiej pięści zupełnie by wystarczyło.

Grant zataczał się jak pijany pod gradem niezbyt mocnych może, ale bolesnych i celnych uderzeń Blaine'a, chwiał na nogach, chaotycznie wymachiwał rękami. A Blaine bił. Bił wciąż.

Kolejny cios smagnął głowę Granta. Ta bezwładnie odskoczyła do tyłu, oczy bitego zmętniały, a ciało zwiotczało; zupełnie jakby ten cios właśnie pozbawił Granta wszystkich kości i mięśni. Ogromny mężczyzna, jak pusty, wiotki worek, osunął się na ziemię i pozostał tam na kształt szmacianej lalki, z której wypruto trociny.

Blaine opuścił swobodnie ręce. Oddychał ciężko, spazmatycznie jak ryba wyjęta z wody, łapał powietrze. Czuł w dłoniach piekący, nieznośny ból poharatanych knykciów i nadgarstków oraz nadwerężowych stawów i ścięgien.

Oszołomił go fakt, że potrafił dokonać tego, że potrafił swoimi małymi pięściami zetrzeć na krwawą miazgę, ogromnego, brutalnego mężczyznę, jakim był Grant.

Udało mu się pierwszym ciosem zyskać przewagę i już jej nie stracić. To wszystko. Był to po prostu łut szczęścia, uśmiech losu. Ale to, że poradził sobie uprzednio z krępującym go futrem? Czy to również przypadek?

Znał odpowiedź doskonale: posiadał w mózgu niezwykłe informacje, wepchnięte tam w chwili, gdy stworzenie z odległej o pięć tysięcy lat świetlnych planety wymieniło z nim swoją świadomość. Owo zdanie w obcym języku było zapewne rozkazem dla stworzenia-futra, by uwolniło ofiarę ze swych splotów. Kiedyś, podczas jednej ze swych kosmicznych włóczęg, Różowa Istota wchłonęła w siebie cały zasób wiedzy o kaktusopodobnych stworzeniach, a więc i ów pozornie błahy szczegół, jak zdanie-rozkaz dla futra. I oto niepozorna, niewiele znacząca informacja miała dla Blaine'a wartość nieobliczalną - wartość jego życia.

Stał i spoglądał zamyślonym wzrokiem na nieruchome ciało Granta spoczywające u jego stóp.

Musi stąd oczywiście uciekać. Uciekać jak najszybciej. W każdej chwili w drzwiach transo może ukazać się ktoś od Fishhooka, zaniepokojony faktem, że tak długo Grant nie przysyła skrępowanego więźnia.

Muszę znów uciekać - pomyślał z bezbrzeżną goryczą Blaine. Ucieczka to jedyna rzecz, którą potrafi robić. Robi to dobrze, doskonale wręcz. Ucieka już tydzień, a końca tej ucieczki nie widać. Zdawał sobie sprawę, że któregoś dnia będzie musiał jej zaprzestać. Będzie musiał zatrzymać się po to choćby, aby uratować szacunek dla samego siebie; jeśli nie będzie już nic więcej do ratowania.

Lecz chwila ta jeszcze nie nadeszła. Tej nocy musi ponownie podjąć ucieczkę. Ale teraz nie będzie to już droga donikąd. Ma konkretny cel.

Odwracając się do stołu po butelkę, kopnął z pasją falujące lekko na ziemi futro, które miękkim, płynnym ruchem przeleciało w powietrzu lądując w rogu obok kominka.

Szybkim ruchem zgarnął ze stołu flaszkę i raźnym krokiem ruszył w stronę stosu towarów magazynowanych w pomieszczeniu. Znalazł belę jakiegoś materiału i przekonawszy się, że jest zupełnie sucha i miękka, nasączył ją resztką alkoholu z butelki. Pustą flaszkę odrzucił za siebie w ciemny kąt magazynu.

Wrócił do kominka i małą szufelką nabrał rozpalonych węgli, które wysypał z kolei na nasączony alkoholem materiał. Cisnął łopatkę w ślad za butelką i odstąpił dwa kroki wstecz.

Bela zajęła się zrazu małymi, błękitnymi płomykami. Ogień rósł, potężniał.

Za pięć minut miejsce to przemieni się w istne piekło płomieni, których nic już nie zdoła ugasić. Płomienie roztopią transo zamykając agentom Fishhooka jedyną drogę szybkiego dotarcia tutaj.

Schylił się i dźwignąwszy Granta za kołnierz, powlókł go po podłodze w stronę drzwi. Otworzył je łokciem i wypchnął ciało na zewnątrz.

Grant jęknął i próbował się podźwignąć na kolana. Stanął niepewnie na czworakach, lecz po chwili jego ciało zwiotczało i mężczyzna ponownie opadł bezwładnie na ziemię. Blaine dźwignął go odciągając nieco dalej, na bezpieczną odległość od pożogi. Tam też zostawił pobitego. Grant mamrotał coś do siebie niewyraźnie; poruszał niemrawo nogami i rękoma. Był jednak zbyt osłabiony, by podnieść się o własnych siłach z ziemi.

nie są oznaką czarów czy hochsztaplerstwa, lecz naturalną koleją rzeczy w procesie rozwoju rasy ludzkiej, darem otrzymanym z łaski Boga. Nadejdzie dzień, w którym znikną wszystkie granice i bariery - społeczne i ekonomiczne - dzielące dewiatów od zwykłych ludzi. Jeżeli oczywiście istnieć jeszcze będą ludzie o niewykształconych zdolnościach paranormalnych. Wówczas też zniknie Fishhook, a nawet - być może, sama Ziemia stanie się zbędna, a światem Człowieka staną się Gwiazdy.

Bo on, Blaine, znalazł wreszcie rozwiązanie. Wcale nie musiał iść do Pierre, by je odkryć. Został zmuszony (być może właśnie przez ów Palec Boży) do tego, by znaleźć rozwiązanie.

Sposób, który odkrył, jest stokroć lepszy od metody, którą wybrał Stone, takiej techniki nie posiadał nawet sam Fishhook. Odkrycie Blaine'a przyniosło w konsekwencji największy jak dotąd triumf Człowieka: Człowiek stał się absolutnym władcą siebie i wszechświata.

Stok się skończył i Blaine stanął u stóp wzgórza. Dalej prosta już ścieżka wiodła do samego Hamilton. Na niebie przewalało się jeszcze kilkanaście ciemnych, postrzępionych chmur, a ścieżkę pokrywały duże, błotniste kałuże i grudy rozmiękłej ziemi. Mimo że słońce lśniło pełnym blaskiem, wiatr niósł ze sobą przenikliwy, dojmujący chłód.

Gdy Blaine wkroczył między zabudowania miasteczka, przed sobą, w perspektywie ulicy dojrzał zgromadzony na placu przed sklepem tłum. Ludzi zebrało się nadspodziewanie dużo, wylegli chyba wszyscy mieszkańcy Hamilton.

U wylotu ulicy na plac zatrzymał się. Tłum zafalował, umilkł i zamarł w bezruchu. Blaine starał się dojrzeć w tłumie twarz Anity, ale nie odnalazł jej.

Na stopniach tego samego sklepu stała ta sama, co poprzednim razem, czwórka mężczyzn.

Przed nimi to zatrzymał się Blaine.

- Dzień dobry - odezwał się pierwszy.

- Słyszeliśmy jak pan nadchodzi - mruknął w odpowiedzi Andrews.

- Nie udało mi się dotrzeć do Pierre. Spodziewałem się uzyskać tam pomoc. Ale burza zaskoczyła mnie na rzece.

- Zablokowali nam linie telefoniczne - wtrącił Jackson. - Ale w zamian użyliśmy dalekosiężnej telepatii i zdołaliśmy nawiązać kontakt z paroma skupiskami naszych. Obiecali posłać tę wiadomość dalej. Ale nie wiemy, jak daleko dotarli.

- Ani czy w ogóle im się to udało - dodał Andrews.

- Czy wasi telepaci mogą nawiązać z nimi ponownie kontakt?

Andrews twierdząco skinął głową.

- Poza tym nikt z ludzi Finna nie pojawił się u nas - głuchym tonem odezwał się Jackson. - To nas najbardziej niepokoi. Finn popadł w kłopoty...

- Powinni już tu dawno być idąc pańskim tropem - dodał Andrews. - Powinni już tu dawno być i przewrócić Hamilton do góry nogami.

- Być może wcale im na mnie nie zależy - odparł beztrosko Blaine.

- Albo pan jest kimś innym, niż się podaje - zimno, mrużąc drapieżnie oczy dodał Jackson.

Tego już było za wiele.

- To idźcie wszyscy do diabła i niech was piekło pochłonie! - ryknął Blaine tracąc wszelką miarę. - To ja dla was mało życia nie straciłem... Niech was piekło pochłonie, a ludzie zeżrą! Sami sobie radźcie! Sami się ratujcie!

Przepełniony gniewem i żalem, odwrócił się na pięcie i ruszył szybkim krokiem w kierunku, z którego przed chwilą nadszedł.

Nie walczył przecież dla siebie. On się tutaj zupełnie nie liczył. Walczył dla nich. Bo Stone, bo Rand i Harriet, bo stary kapłan, który podążał za nim przez pół kontynentu; dla nich właśnie, dla nich podjął ową trudną i ryzykowną grę. A także dlatego, że w nim samym coś się złamało, coś nowego się narodziło, coś, czego nie znał, a nie umiał jeszcze zdefiniować, nie podejrzewał dotąd nawet istnienia tego. Było w tym jakieś szalone i zwariowane marzycielstwo, wstręt do brudu i zbydlęcenia, głębokie poczucie zwykłej sprawiedliwości, nienawiść do bigotów i wypranych z wszelkich uczuć, zimnych jak stal, reformatorów.

Przyszedł do tej cholernej wiochy z darem, z królewskim darem. Spieszył się, by podzielić się nim z innymi niczego w zamian nie pragnąc. A oni stoją i ubliżają mu, podważają jego dobrą wolę i uczciwość.

A więc niech ich piekło pochłonie.

Ciężko walczył. Jak ciężko, wie tylko on sam. Wie, ile przecierpiał, ile poniósł ofiar. Niech sobie radzą sami.

REPORTER ALFRED JAAS JEST PRZYPADKOWYM ŚWIADKIEM ZUCHWAŁEGO NAPADU NA ZIEMSKI BANK PRZESZCZEPÓW. PRZY OKAZJI PO RAZ PIERWSZY WIDZI STATEK LEGENDARNEGO „CZŁOWIEKA BEZ TWARZY". POSTANAWIA ROZWIKŁAĆ TAJEMNICĘ TARLEY'A, LECZ SZEF WYSYŁA GO NA WENUS DO OBŁĄKANEGO DYPLOMATY STOWMENA. JAAS ZNOWU TRAFIA NA ŚLAD TARLEY'A, ALE DOSTAJE NOWE ZADANIE: ZROBIĆ REPORTAŻ O BANDZIE PRZEMYTNIKÓW POWIETRZA.
















CZEŚĆ, AL! JESTEŚ MI COŚ WINIEN!
KOCHANIE, NAJPIERW OBOWIĄZEK, POTEM PRZYJEMNOŚĆ. ALE MOŻE ODROBIMY TO DZIŚ WIECZOREM.
A-PRESS


WSKAKUJ! ZAWIOZĘ CIĘ NA NOWY STATEK.


TU MASZ KSIĄŻECZKĘ CZEKOWĄ.
FIUU!


TYM MAM LECIEĆ?!
TA PCHEŁKA JEST DWA RAZY LEPSZA, NIŻ POLICYJNE PATROLOWCE.


TO ZABAWIMY SIĘ NA KOSZT FIRMY. NIGDY NIE MYŚLAŁEM, ŻE TEN STARY KUTWA DA MI TAKI KREDYT.


ZA PÓŁ GODZINY BĘDZIEMY NA MARSIE. NA POCZĄTEK OBEJDZIEMY WSZYSTKIE KNAJPY W VONDERGAARD. TU MASZ SPIS W UKŁADZIE ALFABETYCZNYM...
ZWARIOWAŁAŚ? PRAWIE TRZYDZIEŚCI KNAJP W CIĄGU JEDNEJ NOCY?
Z.KASPRZAK 83


ZAREZERWOWAŁAM CI POKÓJ OBOK SWOJEGO...
UWAŻASZ, ŻE PO TAKIEJ RUNDZIE JESZCZE BĘDĘ MIAŁ SIŁĘ?
QUARDE OOM


WEŹ TE TOCZNIE!
NIE MA HOTELU BEZ KAPELLAŃCÓW.
JESTEM JAAS. PROSZĘ PRZESŁAĆ BAGAŻE DO MOJEGO POKOJU.
NATYCHMIAST, PROSZĘ PANA.
DO NUMERU 284.




TUTAJ GO NIE ZNAJDZIEMY. NA PEWNO!
NAJPIERW PRZYJEMNOŚĆ, A POTEM... JESZCZE JEDNA.


Z. KASPRZAK 84.
GRAPPAS
WIECZORNA NIESPODZIANKA



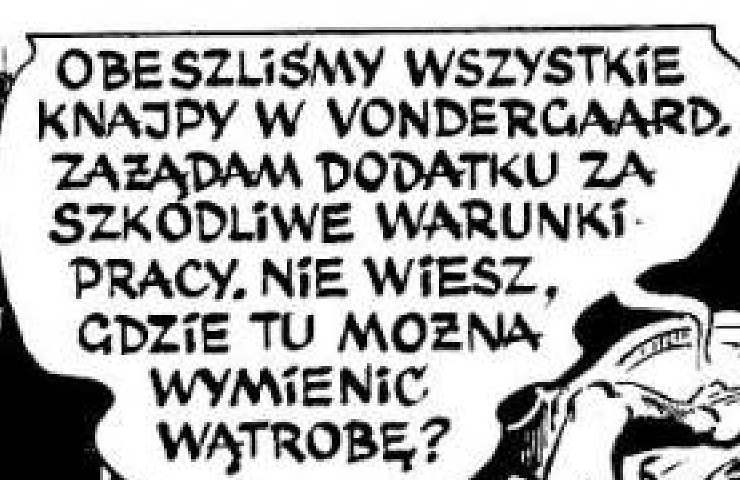














Z. KASPRZAK '84.

Było to wstrętne i przerażające. Obca wiedza, mająca swój początek na owej planecie, z której Lambert Finn powrócił szalony. Badając ową wiedzę, Blaine pojął mechanizm tego, czego musiał dokonać, co miało mu przynieść ocalenie. Pojął to, co napełniło Finna grozą i poczuciem winy, pogrążając tego człowieka w nienasyconej nienawiści.

Gdyż Blaine zrozumiał w tej chwili to samo, co pojął Finn: że gwiazdy stoją otworem przed człowiekiem, stoją otworem przed wszelkim życiem we wszechświecie. Była to koncepcja niezwykle głęboka, wspaniała, lecz Finn – wytrącony z równowagi – pojął z niej tylko jedno: że Ziemia również stoi otworem przed wszelkimi planetami i zamieszkującymi je istotami, które zdobyły ową wiedzę i umiejętność dostania się tutaj. Dojrzał tylko jeden aspekt zagadnienia. Nie zastanowił się, że inne rasy mogą użyć tych informacji w celach dobrych i szlachetnych, że ta wiedza w rękach Człowieka otwiera przed nim największe możliwości i perspektywy, ujrzał to jako potężny most łączący na trwałe jego rodzimą planetę z innymi światami. Lecz owe światy w pojęciu Finna miały uosabiać zło. Całe swe siły skierował więc na to, by zerwać kontakt Ziemi z Gwiazdami, zburzyć ów most. Postanowił pchnąć rodzimą planetę w małość, postanowił ogołocić Ziemię z dewiatów i wytrącić broń z dłoni Fishhooka.

Czytając w myślach Finna jak z otwartej księgi, Blaine zrozumiał motywy jego działania: jeśli Ziemia pozostanie w ukryciu, jeśli nie będzie na siebie zwracać uwagi, wszechświat może po prostu przeoczyć Ziemian. Wtedy ludzie pozostaną bezpieczni od zła idącego z Gwiazd.

Lecz bez względu na to, czy Finn miał słuszność czy też nie, Blaine posiadł wiedzę o tym jak przebyć wszechświat nie narażając na zagładę swego kruchego ciała.

Teraz pozostała mu tylko do wykonania jedna czynność: odnalezienie stosownej planety o odpowiedniej atmosferze i warunkach zewnętrznych, odkrycie miejsca, w których człowiek mógłby żyć.

Ponownie wniknął w głąb swej świadomości i odnalazł natychmiast tysiące różnorodnych planet, na których była już ongiś Różowa Istota. Żadna z nich jednak nie odpowiadała wymaganiom ludzkiego organizmu. Powoli zaczęła w Blainie narastać obawa, potem strach, w końcu przerażenie, że w całym wszechświecie nie znajdzie odpowiedniego miejsca.

Ryk burzy dotarł nagle do niego ze zdwojoną siłą, wyrywając ze skupienia. Człowiek poczuł, że jest straszliwie zziębnięty, o wiele bardziej niż sądził. Chciał poruszyć nogami, co udało mu się dopiero po kilku próbach. Potężne podmuchy wiatru wstrząsały jego ciałem, śnieg osiadający na twarzy już nie topniał – skóra była prawie tak samo chłodna, jak śnieg.

Natężając całą siłę woli odwrócił uwagę od wiatru, śniegu i chłodu, od wstrząsających nim dreszczy i szczękania zębami... i odnalazł planetę, której szukał.

Dwukrotnie sprawdził dane o panujących tam warunkach, a gdy kontrola za każdym razem wypadła zadowalająco, wyrył sobie w świadomości dane kosmograficzne owego świata. Powoli, krok za krokiem, przyswoił sobie wiedzę, jak dokonać owego skoku przez czas i przestrzeń.

I oto rozbłysło ponad nim gorące słońce.

Leżał na brzuchu na cudownie miękkiej i zielonej trawie, upajając się jej zapachem, upajając się wonią owej planety do złudzenia przypominającej Ziemię. Znikł ryk wiatru i skrzyp śniegu.

Odwrócił się i usiadł.

Wciągnął w płuca potężny haust orzeźwiającego powietrza i rozejrzał się.

Był w raju.

XXXII

Minęło już południe i słońce chyliło się ku zachodniej stronie nieba, kiedy Blaine kroczył zamaszystym krokiem po stromym stoku wzgórza piętrzącego się ponad Hamilton. Ziemia była rozmiękła po pierwszej w tym roku burzy śnieżnej i stopy człowieka ślizgały się na stromym, błotnistym podłożu.

Niewiele brakowało bym nie zdążył – myślał Blaine spoglądając w niebo. Kiedy słońce schowa się za górami, zacznie się Halloween.

Zastanawiał się przez moment, do ilu dewiatów zdołają dotrzeć mieszkańcy Hamilton. Miał nadzieję, że do wielu. Ci będą mieli szczęście. Oni zagarną główną pulę w szaleńczej grze, którą Blaine rozpoczął.

I pomyślał jeszcze o jednym, o słowach starego kapłana: Palec Boży dotknął twego serca.

Był pewien, że pewnego dnia świat się zatrzyma i spoglądając wstecz zdziwi się szaleństwem tych dni, zaślepieniem, głupotą i nietolerancją. Będzie to dzień pokuty. Dzień oczyszczenia i odkupienia win. Dzień powrotu do zdrowych zmysłów. Tego dnia Kościół w Rzymie pojmie, że zdolności parapsychiczne

Blaine odszedł pogrążoną w ciemności aleją i tam bezpieczny w mroku, przystanął. Odwrócił się w stronę Punktu Handlowego, którego okna zaczynały już wyraźnie barwić się krwistym kolorem pożogi.

Wzruszył lekko ramionami, odwrócił na pięcie i zaczął oddalać się od miejsca pożaru.

Teraz jest najlepsza pora na spotkanie z Finnem – mruknął do siebie. Teraz, gdy miasto zostanie wytrącone z równowagi pożarem Punktu, a policja będzie miała coś innego do roboty, niż zajmowanie się człowiekiem, który łamie prawo godziny policyjnej.

XXVI

Grupa ludzi tłoczyła się na schodkach wiodących do hotelu i spoglądała w milczeniu na szalejące morze płomieni strzelających wysoko w nocne niebo. Zaabsorbowani dramatycznym widokiem ludzie nie zwrócili uwagi na nadchodzącego Blaine'a. Policja jeszcze się nie pojawiła.

– Jeszcze jedna sprawka normaków – odezwał się półgłosem jeden z mężczyzn.

– To zdumiewające. W dzień normalnie kupują w Punkcie nie bojąc się kary boskiej, a nocą podkradają się tam ponownie, aby podłożyć ogień – odparł inny kiwając w zadumie głową.

– Jak Boga jedynego kocham! Nie mieści mi się zupełnie w głowie, by Fishhook mógł tolerować to, co się wyprawia na świecie.

– Fishhook nie dba o to – odparł drugi mężczyzna. – Spędziłem u Fishhooka pięć lat i mogę zapewnić pana, że jest to niezwykle osobliwe i tajemnicze miejsce.

Dziennikarz – pomyślał Blaine rzucając na mówiącego szybkie spojrzenie. Hotel był zapchany dziennikarzami i reporterami przybyłymi do Belmont na wieść o Finnie i jego jutrzejszym kazaniu. Blaine przyglądał się dłuższą chwilę dziennikarzowi, który przebywał u Fishhooka starając się wygrzebać z pamięci jego twarz. Lecz nie znał jej. Nigdy się nie zetknął z tym człowiekiem.

Szybko wspiął się po stopniach i rozpychając zgromadzonych tam ludzi wszedł do hali recepcyjnej. Ręce trzymał głęboko wepchnięte w kieszenie kurtki, by ukryć przed ciekawskimi spojrzeniami pokrwawione w walce z Grantem dłonie.

Hotel był stary, a meble w holu nie zmieniane od wielu lat. Panował tu półmrok uwypuklający jeszcze bardziej brzydotę miejsca. W powietrzu snuł się ciężki, skwaśniały zapach kurzu, ludzkiego potu i wyziewów z kuchni hotelowej.

Kilka osób siedziało tu i ówdzie w fotelach. Jedni z nich byli pogrążeni w lekturze gazet i czasopism, inni po prostu gapili się nieruchomo w przestrzeń. Na twarzach wszystkich malował się wyraz nudy i oczekiwania.

Blaine spojrzał na zegar wiszący ponad blatem recepcji. Wskazywał 11:30. Minął recepcję kierując się w stronę schodów i wnęki z windą.

– Shep!

Ogarnięty nagłą paniką Blaine odwrócił się gwałtownie.

Jakiś mężczyzna dźwignął się właśnie ciężko z głębokiego obitego skórą fotela i niezdarnie stawiając nogi człapał w stronę Blaine'a.

Ten cierpliwie czekał, mimo że po kręgosłupie płynęła mu zimna strużka potu, a nogi drżały lekko. Mężczyzna podszedł i wyciągnął w jego kierunku dłoń. Blaine wyjął również swoją z kieszeni.

– Upadłem – wyjaśnił widząc, że mężczyzna spogląda na pokaleczoną, pokrytą brudem dłoń. – Potknąłem się w ciemnościach i upadłem.

– Należy ją dobrze przemyć i zdezynfekować.

– Tak, wiem. Właśnie zamierzam to zrobić.

– Przypominasz mnie sobie? – spytał mężczyzna. – Bob Collins. Spotykaliśmy się u Fishhooka... konkretnie w „Red Ghost Bar". Pamiętasz?

– Ach tak, rzeczywiście – wykrzyknął z ulgą Blaine. – Teraz już sobie przypominam. Nie wiem czemu, lecz nie mogłem sobie skojarzyć twej twarzy. Pamiętam, a jakże! Jak ci leci?

– Tak sobie, średnio. Żałuję, że już nie pracuję u Fishhooka. Ale takie już życie w tym parszywym, dziennikarskim fachu. Raz tu, raz tam.

– Przyjechałeś posłuchać Finna?

Collins pokiwał twierdząco głową i spytał:

– A co z tobą? Co tu robisz?

– Chcę się właśnie spotkać z Finnem.

– Jeśli ci się to uda. Mieszka pod 210. Nikogo nie przyjmuje, a jakieś straszne gorylisko pilnuje jego drzwi.

– Sądzę, że mnie jednak przyjmie – uśmiechnął się lekko Blaine.
– Słyszałem, że zwiałeś – indagował niezrażony Collins. – Nie obraź się, ale może kilkanaście dolarów...
Blaine wybuchnął śmiechem.
– No to może choćby drinka?
– Nie, wielkie dzięki. Muszę jak najszybciej zobaczyć Finna.
– Jesteś z nim?
– Niezupełnie...
– Posłuchaj mnie, Shep – Collins nachylił się w jego stronę, a w głosie zabrzmiały mu błagalne nutki. – Byliśmy dobrymi kumplami, prawda? Czy mógłbyś mi powiedzieć wszystko, co wiesz? To niesłychanie dla mnie istotne. Jeżeli wyjdzie mi ten reportaż, ponownie wrócę do Fishhooka. Niczego innego nie pragnę.
Blaine potrząsnął w milczeniu głową.
– Shep – nalegał Collins. – Krąży masa plotek. Mówią o ciężarówce, która stoczyła się do rzeki. Mówią, że na tej ciężarówce było coś niesłychanie istotnego dla Finna; gadają, że to maszyna gwiezdna. Plotki, domysły... Shep, powiedz. Może to być prawda?
– O niczym takim nie słyszałem.
– To wielka sprawa, Shep – Collins zniżył głos do szeptu. – Finn ogłosił w prasie, że ma na dewiatów haka, że ich zniszczy. Zniszczy każdego z nich z osobna, a przy okazji całą kinetykę paranormalną. Zieje nieprawdopodobną nienawiścią do wszystkiego co paranormalne. To demagog pierwszej klasy. Potrzebuje jakiegoś koronnego, ostatecznego argumentu dla swych teorii. Jeśli zdobędzie taką maszynę, cały świat padnie u jego stóp. Gdy dostanie ją do ręki, świat zamknie oczy i pójdzie za nim na ślepo. Świat oszaleje, a ludzie żądać będą krwi dewiatów.
– Zapominasz, że ja również jestem dewiatem.
– Lambert Finn też.
– Zbyt dużo nienawiści – odezwał się cichym, znużonym głosem Blaine. – Inwektywy i epitety. Ludzi o paranormalnych mózgach określa się mianem dewiatów, osoby pozbawione tego daru – normakami. Lecz ty tego nie potępiasz. Mało cię w sumie obchodzi jak potoczą się sprawy. Udziału w linczu chyba byś nie wziął, ale napiszesz o nim. Chluśniesz strugami świeżej, niewinnie przelanej krwi na szpalty swojej gazety. I wcale nie zastanowisz się nad tym głębiej. Bo dla ciebie to tylko krew. Świeża krew. Bombowy temat. Efektowny tytuł.
– Na miłość boską, Shep...
– Dam ci jedną radę. Możesz śmiało napisać, że Finn nie ma nic do zaprezentowania. Ani do powiedzenia. Możesz napisać, że jest przerażony. Że próbował kopnąć, lecz tylko boleśnie uraził się w paluch u nogi...
– Shep, żartujesz sobie ze mnie!
– Finn nie odważy się pokazać tego, co myśli, że posiada.
– A co on takiego posiada?
– Coś, co zrobiłoby z niego głupca. Mówię ci raz jeszcze, że nie odważy się zademonstrować tego. Jutro rano Lambert Finn będzie najbardziej przerażonym i upokorzonym człowiekiem, jakiego znał świat.
– Nie mogę tego napisać – sapnął Collins. – Słowo honoru, że nie.
– Jutro w południe będą o tym pisać wszyscy – rzekł dobitnie Blaine. – Jeśli ty zrobisz to dzisiaj, zdążysz jeszcze zamieścić korespondencję w porannym wydaniu. Zadziwisz świat, obiecuję ci.
– To naprawdę rzetelna informacja? Jesteś...
– Twoja rzecz – obojętnie wzruszył ramionami Blaine. – Możesz ją wykorzystać. Otwiera się przed tobą największa szansa, jaką kiedykolwiek miałeś w życiu. A teraz muszę już zmykać.
– Dziękuję, Shep – Collins zawahał się. – Straszne dzięki.
Blaine ruszył przed siebie, pozostawiając nieruchomego Collinsa na środku hallu. Minął windę i zaczął wspinać się po schodach.
Na drugim piętrze zatrzymał się i rozejrzał w obie strony korytarza. W jego perspektywie, po lewej stronie, dojrzał siedzącego na krześle gorylą, o którym wspominał Collins.
Zdecydowanym krokiem ruszył w jego stronę. Gdy mijał strażnika, ten podniósł się szybko z krzesła i zagrodził dalszą drogę, kładąc pięść wielkości bochna chleba na klatce piersiowej Blaine'a.
– Chwileczkę, proszę pana – rzucił grubym głosem.
– Muszę się pilnie widzieć z Finnem.
– On nikogo nie chce widzieć.
– To może przekazałby mu pan wiadomość ode mnie?

Zdawał sobie sprawę, że źle robi. Człowiek w jego sytuacji musi się ruszać, ruchem zmuszać krew do szybszego krążenia, musi odpędzać sen, zabijać o siebie ręce, rozcierać stopy. Wszelkimi dostępnymi sposobami walczyć o przetrwanie.
Lecz to i tak byłoby bezcelowe – myślał nie ruszając się z miejsca. Jakże często człowiek, stoczywszy straszliwą walkę o swe życie, mimo wszystko, znużony nią, umiera.
Musi istnieć inny, lepszy, sposób.
Rozsądny człowiek musi znaleźć wyjście.
Cały problem sprowadza się do tego, by oderwawszy się od zastanej sytuacji, zyskać możność w miarę obiektywnej oceny sytuacji – mówił sobie. A w jego sytuacji chodzi tylko o to, by zabrać swe ciało z wyspy i przenieść je w bezpieczne, ciepłe i suche miejsce.
Takiego miejsca jednak nie ma.
Chociaż...
Istnieje miejsce, w którym może się skryć, może się tam w każdej chwili dostać. Może przecież powrócić do błękitnego pokoju, gdzie żyje Różowa Istota.
Nie! Tak samo dobrze może pozostać tutaj, na tej przeklętej wyspie. Jeśli nawet ucieknie na ową odległą planetę, to ucieknie wyłącznie jego świadomość, a ciało pozostanie tutaj. Gdyby potem wrócił, będzie ono już dawno martwe.
Gdyby tak mógł zabrać ze sobą i ciało.
Ale tego właśnie nie potrafi dokonać.
A gdyby nawet,to delikatna struktura ciała nie przetrzymałaby trudów podróży kosmicznej.
Spróbował sobie przypomnieć dane o warunkach panujących na planecie Różowej Istoty, lecz nie przychodziło mu to łatwo. Zaczął więc pracowicie przekopywać pokłady swej pamięci. Odnalazł w końcu potrzebne informacje. Zmartwiał z przerażenia.
Nawet gdyby zdołał zabrać ze sobą ciało, nie wyżyłoby tam ono nawet sekundy! Atmosfera owej planety była bowiem zabójcza dla organizmu człowieka.
Lecz muszą przecież istnieć inne jeszcze miejsca, inne planety, inne światy. Istnieją z całą pewnością. Żeby tylko zdołał je odnaleźć. Gdyby tylko udało mu się przenieść tam ciało.
Siedział zgarbiony, pogrążony w kontemplacji, nie czując zupełnie zimna i wilgoci.
Poszukiwał przez chwilę w swej jaźni Różowej Istoty.
Wołał ją, przyzywał wielokrotnie. Bezskutecznie. Pojął, że stała się już jego nieodłączną częścią. Stopili się w jedno. Nie istnieli już niezależnie od siebie: on i Różowa Istota połączyli się w przedziwny, dwoisty twór; stop będący jednym – a zarazem podwójnym – organizmem.
Poszukiwanie Różowej Istoty znaczyło tyle, co tropienie samego siebie!
A więc czegokolwiek chciałby dokonać, musi tego dokonać sam, za pomocą owej potęgi, którą posiadł.
Na jego moc składał się bezlik danych, bezmierna masa pomysłów, wiadomości, wiedzy i umiejętności. I był tam również jakiś ohydny osad, który – Blaine uświadomił to sobie – pochodził z umysłu Lamberta Finna.
Wędrował przez przepastne głębie swego umysłu docierając do najtajniejszych zakamarków, przegródek, krążył pośród neuronów i fałd swej świadomości znajdując wszędzie niezgłębione otchłanie wypełnione chaotyczną, nieuporządkowaną wiedzą wciśniętą w jego mózg.
Spotykał rzeczy przedziwne, jedne wstrząsały nim budząc najwyższą odrazę i wstręt, inne go zatrważały, inne jeszcze wywoływały podziw i zachwyt. Wszystkie jednak miały zasadniczą, wspólną cechę: w obecnej sytuacji były całkowicie nieprzydatne.
W trakcie wędrówki przez własny umysł towarzyszyła mu jak obcy, złośliwy natręt świadomość Lamberta Finna, świadomość nie przyswojona jeszcze przez Blaine'a – prawdopodobnie nie mająca być nigdy przyswojona – lecz pętająca się, doskwierająca i utrudniająca penetrację.
Odpychał ją w prawo, ona pojawiała się z lewa, odrzucał w górę, pojawiła się pod stopami – brud myśli, wspomnień, obcych koncepcji i pomysłów Finna, strzępy obrazów wyniesionych z tamtej planety stanowiącej uosobienie Zła, stale wypływały na powierzchnię absorbując uwagę Blaine'a.
I nagle, gdy po raz tysięczny odrzucił ów brud, w oślepiającym rozbłysku zrozumienia znalazł to, czego szukał – zagarnął łapczywie ową wiedzę. Pomimo całego obrzydzenia jakie do niej czuł, mimo zła emanującego z niej, przyswoił sobie świadomość Lamberta Finna. Albowiem to, czego szukał, zawierało się nie w jasnej i czystej wiedzy, którą obdarzyła go Różowa Istota, a właśnie w owej masie plugastwa, które ukradł Finnowi wraz z jego świadomością.

Potykając się i ślizgając na mulistym dnie, Blaine parł do przodu w stronę lądu. Gdy już stanął na brzegu, uświadomił sobie, że w wodzie było stosunkowo ciepło. Wiatr, który natychmiast po wyjściu z wody, objął go swym mroźnym oddechem, przeniknął bez trudu przez mokre ubranie, sprawiając wrażenie miliona lodowych igieł wbijających się w ciało.

Rozbitek stał dłuższą chwilę łapiąc ciężko oddech i dygotał z zimna. Spoglądał bezmyślnie na plątaninę krzaków i zarośli miotanych dzikimi porywami wiatru. Wiedział, że musi przede wszystkim znaleźć jakieś schronienie, rozniecić ogień. W przeciwnym razie nie przetrzyma nocy. Podniósł dłoń do oczu; zegarek wskazywał czwartą.

Do zmroku pozostawała jeszcze godzina. W tym czasie musi znaleźć zaciszną kryjówkę, gdzie schroni się przed wiatrem, śniegiem i chłodem.

Na chwiejnych nogach ruszył biegiem; wtedy dopiero dotarło do jego świadomości, że nie rozpali przecież ognia. Nie miał zapałek. Zresztą i tak byłyby kompletnie mokre i niezdatne do użytku.

Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że w tej sytuacji musi znaleźć na tyle szczelną osłonę przed wiatrem, aby mimo braku ognia przetrwać noc. Może to być jakiś wykrot czy większa dziupla w drzewie. Jakieś ustronne i zaciszne miejsce, które uchroni go przed atakami wiatru. Tam, skulony doczeka świtu, a ciepłem własnego ciała osuszy nieco przemoczoną odzież.

Lecz mimo iż szedł dłuższy czas brzegiem nie natrafił na żadne odpowiadające mu miejsce. Wszędzie spotykał tylko karłowate wierzby i krzaki, nie dające żadnej ochrony.

Szedł mechanicznie, ślizgając się w błocie, potykając o naniesione wodą kłody drzewa. Kilkakrotnie tracił równowagę i upadł. Kompletnie zesztywniałe ubranie pokrywał gruby osad szlamu. Siłą woli jednak zmuszał się do dalszej drogi, zmuszał się do ruchu. Zdawał sobie sprawę, że bezruch oznacza śmierć, że koniecznie musi znaleźć schronienie, bo inaczej zamarznie.

Znów upadł. Niezdarnie dźwignął się z kolan, spojrzał w kierunku rzeki i ze zdumieniem ujrzał w wodzie na wpół zatopione czółno.

Canoe!

Zabłoconą dłonią przetarł oczy.

To musiało być jego czółno, gdyż skąd miałoby się tutaj wziąć inne? To samo czółno, które porzucił, przedzierając się na oślep przez chaszcze w poszukiwaniu schronu.

I oto przedziwnym zrządzeniem losu rzeka ponownie przyniosła do niego łódź.

Natychmiast jednak zrozumiał swoją pomyłkę. To nie rzeka przyniosła canoe, lecz on do niego powrócił. Zadrżał.

Znaczyło to bowiem, że jest na wyspie, na małym skraweczku lądu, porośniętym tylko karłowatymi wierzbami, oblanym ze wszech stron wodą.

Nie znajdzie tutaj żadnego wykrotu, żadnej dziupli, żadnego schronienia. Poza lichymi krzakami nic innego na tej wyspie nie rośnie.

Spodnie i marynarka Blaine'a były sztywne, jak z drewna, wydawały trzask przy każdym ruchu ciała. Temperatura wciąż opadała, lecz człowiek przemarzł już do szpiku kości i jakiekolwiek wahania temperatury przestały mu sprawiać różnicę.

Powoli wstał z klęczek, podmuch lodowatego wiatru uderzył go w twarz, śnieg sypnął lodowatą strugą w oczy, osiadł na włosach. Blaine'a dobiegł potępieńczy ryk wzburzonej rzeki. Zapadał zmierzch, a on nie miał się gdzie skryć.

Nie przetrwa nocy na tej wyspie. Lecz nie było sposobu, by się z niej wydostać.

Wyspa, o ile się orientował, oddalona była od brzegu zaledwie o sto stóp. Lecz to nie miało znaczenia, skoro przestrzeń tę wypełniała rozszalała kipiel.

Musi jednak istnieć jakiś ratunek. Nie może przecież tak zwyczajnie umrzeć na tym obskurnym, przeklętym skrawku ziemi, na tej maleńkiej, śmierdzącej mułem i zbutwiałymi liśćmi wysepce. Nie dlatego, by jego życie było specjalnie cenne; dlatego, że jest jedynym człowiekiem, który może przynieść dewiatom ocalenie.

Ogarniał go pusty śmiech. Nigdy już nie dotrze do Pierre. Nigdzie już nie dotrze. Nie opuści tej wyspy. Pozostanie tu na zawsze, a jeśli nawet go kiedyś znajdą, nie będzie to już miało najmniejszego znaczenia. Ani dla niego, ani dla innych. Kiedy nadejdą wiosenne powodzie, jego ciało – wraz z innymi odpadkami niesionymi przez wodę – spłynie w dół rwącymi, wzburzonymi falami rzeki.

Odszedł w głąb wysepki, gdzie znalazł miejsce trochę bardziej osłonięte od wiatru przez splątaną gęstwę wierzbiny. Usiadł tam i wyprostował nogi. Podniósł kołnierz kurtki, lecz był to raczej gest symboliczny, nie dający żadnego rezultatu. Zgiął ręce w łokciach, wciskając dłonie pod pachy, by choć trochę ogrzać je ciepłem własnego ciała. Zaczął tępo wpatrywać się w mglisty półmrok zalegający wyspę.

– Teraz nie. Może potem. Za godzinę, dwie.
– Proszę mu powiedzieć, że przychodzę od Stone'a.
– Ależ Stone...
– Proszę mu tylko to powiedzieć – z naciskiem przerwał Blaine.

Strażnik wahał się przez sekundę. W końcu opuścił rękę.

– Proszę tu zaczekać – powiedział. – Wejdę i spytam. Tylko bez żadnych głupich sztuczek, okay?
– Okay, zaczekam – zapewnił go pospiesznie Blaine.

Stał cierpliwie pod drzwiami oczekując na powrót strażnika i zastanawiał się jak długo jeszcze przyjdzie mu tutaj tkwić. W pustym, mrocznym korytarzu ogarnął go nagle strach i wątpliwości; może nie powinien jednak spotykać się z Finnem, może lepiej natychmiast opuścić to miejsce?

Wrócił strażnik i nie było już czasu na rozterki.

– Niech pan stoi spokojnie. Muszę pana sprawdzić.

Wprawnym ruchem przejechał dłońmi wzdłuż ciała Blaine'a, szukając najwidoczniej ukrytego noża lub rewolweru. Pokiwał z zadowoleniem głową.

– Jest pan czysty. Może pan wejść. Będę czekał tu, pod drzwiami – dodał z lekką pogróżką w głosie.
– Rozumiem – odparł Blaine przekraczając próg numeru.

Pokój stanowił skrzyżowanie sypialni i living-roomu.

Pośrodku znajdowało się duże biurko, za którym stał wysoki, szczupły mężczyzna ubrany w czarny garnitur z białą szarfą pod szyją. Na jego pociągłej, kościstej – nieco końskiej twarzy malował się wyraz doskonale maskowanego lęku i napięcia.

Blaine wolnym krokiem zbliżył się do biurka, stając dokładnie vis-á-vis mężczyzny.

– Pan jest Finnem – odezwał się półgłosem.
– Lambert Finn – odparł tamten głębokim, dźwięcznym barytonem zawodowego mówcy, człowieka, który nigdy nie przestaje być mówcą, nawet w chwilach odpoczynku.

Blaine wyjął z kieszeni swe pokrwawione, pokaleczone dłonie i położył je na blacie biurka. Dostrzegł z satysfakcją lękliwe spojrzenie Finna rzucone w ich stronę.

– A pan nazywa się Shepherd Blaine. Wiem o panu wszystko.
– Czy również to, że zamierzam pana zabić któregoś pięknego dnia?
– Tak, to również – skinął potakująco głową Finn. – Domyślam się tego.
– Ale jeszcze nie dzisiaj. Chcę bowiem zobaczyć jutro pańską twarz. Chcę się przekonać, czy wszystko będzie tak, jak pan sobie to planuje.
– I przyszedł pan tu po to, żeby mi o tym powiedzieć?
– Nie tylko. Ale w tym szczególnym momencie nie jestem w stanie myśleć o czymś innym. Nie mogę chwilowo wyjaśnić powodu, dla którego się do pana pofatygowałem.
– Może dobijemy targu.
– Nie to miałem na myśli. Pan nie ma mi zresztą nic do zaoferowania.
– Z pewnością, panie Blaine. Ale pan posiada coś, czego ja potrzebuję. Coś, za co szczodrze zapłacę.

Blaine spoglądał na niego kamiennym, nieruchomym wzrokiem. Milczał.

– Pan potrafi obchodzić się z maszyną gwiezdną – mówił Finn. – Z takim typem maszyny gwiezdnej, jaka jest w moim posiadaniu. Pan potrafi ją nastroić i wprawić w ruch. Pan połączy wszystkie wtyki z wyjściami w funkcjonalną całość. Pan może również dużo opowiedzieć. Będzie pan doskonałym świadectwem.
– Pan już miał mnie raz w swoich rękach – roześmiał się Blaine całkowicie zmieniając temat. – Lecz wymknąłem się z sideł.
– Myśli pan zapewne o tym głupkowatym, biadolącym lekarzu – z nutką okrucieństwa w głosie warknął Finn. – On myślał tylko o tym, by nie zaszkodzić jakąś awanturą reputacji jego szpitala.
– Powinien więc pan sobie lepiej dobierać ludzi.
– A pan nie odpowiedział na moją propozycję – warknął Finn.
– Bym pracował dla pana? – Blaine śmiał się. – To będzie drogo kosztowało. To będzie cholernie kosztowało.
– Jestem na to przygotowany. Panu potrzebne są pieniądze. Jest pan goły jak święty turecki, a Fishhook siedzi już panu na karku.
– Godzinę temu jego agenci pojmali mnie i chcieli zabić – lekkim tonem odparł Blaine.
– A panu udało się uciec – pokiwał z politowaniem głową Finn. – Może się to panu powieść i następnym razem. I jeszcze raz. I jeszcze. Ale Fishhook nigdy nie zrezygnuje z pana. W obecnej sytuacji nie ma pan najmniejszych szans.

– Ja nie mam szans? A ktoś inny? Pan, na przykład?
– Mam konkretnie pana na myśli – odparł celując palcem w Blaine'a. – Zna pan Harriet Quimby?
– Bardzo dobrze.
– Ona jest szpiegiem Fishhooka.
– Pan oszalał! – wykrzyknął, tracąc panowanie nad sobą, Blaine.
– Proszę posłuchać, a sądzę, że zgodzi się pan ze mną – odparł tonem perswazji Finn.
Stali milcząc, przedzieleni blatem biurka i spoglądali sobie bacznie w oczy. Panowała posępna, przytłaczająca cisza.
W głowie Blaine'a zakołatała natrętna myśl: czemu go nie zabić? Teraz, właśnie teraz.
Tak łatwo zamordować Finna. Finn jest typem człowieka, do którego instynktownie czuje się odrazę i pogardę. Wystarczy tylko pomyśleć o nim, pomyśleć o fali nienawiści i szaleństwa, która za sprawą tego człowieka zalała świat. Wystarczyło przypomnieć sobie ciało człowieka wirujące lekko na gałęzi ponad szosą, do połowy zakryte listowiem, przypomnieć sobie obóz wśród górskiego pustkowia, prymitywny daszek chroniący przed deszczem. I ryby walające się w kurzu obok wywróconej przy ognisku patelni. I ruiny przydrożnej farmy ze sterczącym wysoko w niebie kikutem komina, spalonej w odruchu nienawiści i nietolerancji.
Blaine uniósł dłonie, lecz natychmiast opuścił je ponownie na biurko.
W zamian zrobił coś, co było absolutnie niezależne od jego woli. Zrobił to odruchowo, bezmyślnie, bez wahania. A w trakcie tej czynności wiedział już, że to nie on dokonuje tego, lecz ktoś zupełnie inny, skrywający się w jego czaszce.
Bo on tego nie mógł zrobić. Nawet by mu to nie przyszło do głowy. Żadna istota ludzka nie dokonałaby tego, nie wpadłaby na ten iście szatański pomysł.
Blaine powiedział cichym i łagodnym głosem:
– Wymieniam z tobą świadomość.

XXVII

Księżyc stał już wysoko ponad wzgórzami otaczającymi dolinę rzeki. W ostrym i zimnym powietrzu, będącym zapowiedzią nadchodzącej zimy, niósł się daleko krzyk sowy.
Blaine stanął przy gęstej kępie cedrów, rysujących się w mroku niczym zastygła w bezruchu grupa zgarbionych, nasłuchujących starców. Ciszę mąciło tylko pohukiwanie sowy, szelest zeschłych liści oraz delikatny – ledwie, ledwie słyszalny – szum płynącej nisko w dolinie rzeki.
Blaine przykucnął pod baldachimem poskręcanych cedrowych gałęzi. Wiedział, że na razie jest bezpieczny, że nikt na niego nie poluje, żaden agent Fishhooka nie idzie jego tropem. Podpalając Punkt Handlowy z zainstalowanym tam transo, na dłuższy czas skutecznie odciął drogę do Belmont ludziom Fishhooka. Ze strony Lamberta Finna nie spodziewał się również żadnych kłopotów. Finn był ostatnim człowiekiem na świecie, który odważyłby się iść teraz tropem Blaine'a.
Bez wyrzutów sumienia przypomniał sobie wyraz oczu Finna w momencie, gdy wymieniał z nim umysł. Była w nich groza i przerażenie. Odraza do człowieka, który odważył się tak impertynencko potraktować słynnego kaznodzieję i wielkiego proroka, skrywającego nienawiść pod płaszczykiem czegoś, co nazywał religią.
– Coś ty mi zrobił? – wykrzyknął zbielałymi wargami. – Wielki Boże! Coś ty ze mną zrobił?
Gdyż w tym momencie Finn doświadczył strasznego uczucia obcości zalepiającej mózg od środka i zakosztował napływającej z umysłu Blaine'a całej jego nienawiści skierowanej ku niemu.
– Stwór – odparł spokojnie Blaine. – Jesteś już tylko stworem! Już nie jesteś Finnem. Jesteś tylko połowicznie człowiekiem. Jesteś częścią mnie i częścią innej jeszcze istoty, którą spotkałem o pięć tysięcy lat świetlnych stąd. Mam nadzieję, że zadławisz się tym.
Finn otworzył usta przeraźliwie szeroko i po chwili zamknął je z głośnym klapnięciem, do złudzenia przypominającym dźwięk zatrzaskujących się sideł.
– No, a teraz już muszę iść – rzekł Blaine. – A żeby nie było nieporozumień pójdziesz ze mną. Pod rękę, jak dwaj bracia po długoletniej rozłące. Będziemy sobie gawędzić jak najserdeczniejsi przyjaciele. W przeciwnym bowiem razie nie zawaham się rozgłosić kim i czym jesteś.
Finn wahał się, więc Blaine dodał złowieszczym, syczącym szeptem:
– Tym wszystkim tu zebranym dziennikarzom dokładnie wyjaśnię, kim jesteś.
To Finnowi wystarczyło w zupełności.
Imię takiego jak on człowieka, nie może być łączone z praktykami czarnoksięskimi – myślał z satysfakcją Blaine. Finn był człowiekiem surowym i purytańskim, bezlitosnym, płomiennym kaznodzieją i

A on sam, Blaine? Gdzież jest jego miejsce? Wszak jego umysł jest zwichrowany bardziej od najbardziej zwichrowanych mózgów. Przecież nawet on sam ma czasami wątpliwości, czy jeszcze aby jest człowiekiem.

Powrócił myślami do Hamilton i Anity Andrews. Do nich rwało się jego serce, lecz czy istota taka jak on może związać się z jakimkolwiek miejscem na Ziemi, z jakimkolwiek miastem, z kobietą? Czy może w ogóle stać się częścią tego świata?

Pochylił się mocniej nad wiosłem napierając nań z większą siłą, tnąc ze złością wodę, jakby w ten sposób miał nadzieję pozbycia się natrętnych myśli, które opętały go, powstrzymać oszalałą lawinę pytań zalewających jego mózg.

Wiatr, który zaledwie przed pół godziną był delikatną bryzą, zmieniwszy kierunek na północno-zachodni, wiał z coraz większą siłą. Powierzchnia rzeki zmętniała, pojawiły się na niej zmarszczki, rosnące z każdą minutą, aż przerodziły się w końcu w wysoką falę o białych, postrzępionych grzywaczach.

Niebo zniżyło się, jakby przytłaczając swym ciężarem ziemię; zamglone, rozpięte między wierzchołkami okolicznych wzgórz, przykrywało sinym dachem rzekę. Ptaki – nienaturalnie ożywione – wypełniały powietrze przenikliwym świergotem sprawiając wrażenie zdezorientowanych tak wczesnym nadejściem nocy.

Blaine'owi przemknęło przez głowę wspomnienie Ojca Flanagana wietrzącego nosem jak stary ogar, spoglądającego w niebo i mówiącego: „Idzie zmiana pogody. Czuję to".

Jak oszalały ciął wiosłem zmętniałą wodę. Ani na ziemi, ani w niebie nie istniała siła zdolna go powstrzymać.

Gdy poczuł na twarzy pierwsze mokre płatki śniegu, wzniósł na chwilę oczy. Rzeka ginęła w gęstej, szarej kurtynie, która zbliżała się z zatrważającą szybkością. Dobiegł go syk ogromnych płatków śniegu spadających do rzeki oraz dziki ryk wiatru wiejącego ponad spienioną powierzchnią wody.

Brzeg rzeki oddalony był o nie więcej niż sto jardów i Blaine zdał sobie sprawę, że jedyną jego szansą jest pozostawienie tu łodzi i odbycie reszty drogi pieszo. Mimo pośpiechu zachował na tyle zdrowego rozsądku, by uświadomić sobie, że dalsza podróż wodą jest nieprawdopodobieństwem.

Całym ciężarem ciała zawisł na wiośle starając się odwrócić dziób łodzi w stronę brzegu. Lecz w tej właśnie chwili nastąpiło uderzenie wiatru i canoe wpadło w ścianę burzy śnieżnej, która zamknęła je w swym lodowatym uścisku. Świat Blaine'a skurczył się naraz do rozmiarów niewielkiego kręgu o średnicy kilkunastu stóp, a czółno pomknęło przed siebie otoczone ścianą śniegu, wiatru i skłębionych fal rzeki. Brzeg i okoliczne wzgórza zniknęły w sinym tumanie i nie istniało już nic poza wiatrem, wodą i śniegiem.

Canoe gnało do przodu wirując szaleńczo wokół własnej osi i Blaine natychmiast stracił orientację. Zagubił się pośród skłębionych fal i nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie znajduje się brzeg. Zrezygnowany wyciągnął z wody wiosło, ułożył je ostrożnie w poprzek czółna i schwyciwszy mocno dłońmi jego krawędzie starał się tylko utrzymać równowagę.

Wraz z wiatrem nadszedł przenikliwy chłód, który szybko przez cienkie ubranie dotarł do spoconego ciała Blaine'a. Na brwiach i rzęsach człowieka osiadały grube płatki śniegu, które – w zetknięciu z gorącą twarzą – topiły się natychmiast zalewając oczy Blaine'a wodą.

Canoe tańczyło na fali, pędziło po wzburzonej wodzie, a Blaine, bezradny wobec żywiołu, siedział jak skamieniały na rozszalałej łodzi wodząc tylko wokół oczyma.

Z burej ściany burzy wyłoniła się nagle pokryta śniegiem kępa wierzb. Blaine dojrzał ją dopiero w chwili, gdy znajdowała się od canoe nie dalej jak dwadzieścia stóp, a łódź, z całym impetem, parła w stronę nieoczekiwanej przeszkody.
Blaine'owi zaledwie starczyło czasu, by skulić się na ławce, jeszcze mocniej zacisnąć dłonie na krawędziach burty i oczekiwać na uderzenie w przeszkodę.
Canoe całym rozpędem wyrżnęło w kępę drzew. Rozległ się przeraźliwy zgrzyt pękającego dna łodzi. Dziób uniósł się w górę, canoe stanęło niemal pionowo, a Blaine wytoczył się z czółna do wody.
Oślepiony lodowatą wodą wdzierającą się do oczu, parskając i wymachując chaotycznie rękoma, namacał w końcu stopami muliste dno rzeki. Zagarnąwszy łapczywie skostniałymi dłońmi pęk zwisającej nad nim wierzbiny, wyprostował się stając zanurzony po brodę w wodzie.
Canoe było stracone: ukryty pod wodą korzeń rozdarł delikatne dno czółna, które powoli napełniało się wodą i tonęło.

XXXI

Nadchodziła burza. Powietrze było parne i nieruchome, wszystko spowijała nienaturalna cisza, a niebo przybrało ciemną barwę ołowiu. Jeszcze w południe świeciło słońce, potem pojawiło się kilka niewinnie wyglądających chmurek, a już o trzeciej całe niebo, aż po horyzont, było zaciągnięte ciężką kurtyną szaroburych chmur.

Pochylony nad wiosłem Blaine, niepomny na zmęczenie, pracował wytrwale przebywając milę za milą. Minęły cała lata od czasu, gdy miał do czynienia z wiosłem, ostatnio natomiast odwykł od fizycznej pracy. Toteż ramiona szybko mu zesztywniały, dokuczał ostry ból w barkach, serce łomotało gwałtownie, a dłonie zamieniły się w ogromny, nabiegły krwią pęcherz. Rozchylone, o wyschniętych wargach usta z trudem łapały powietrze, jakby piersi zaciskała mu twarda, stalowa obręcz, która tłumiła oddech, powodowała ból w płucach.

Mimo to nie zmniejszał tempa, siekąc wodę równymi, potężnymi uderzeniami wiosła. Zdawał sobie sprawę, że w tym wyścigu z czasem każda minuta jest cenna. Po przybyciu do Pierre i tak straci niewątpliwie sporo czasu na uchwycenie kontaktu z grupą Stone'a, a gdy już nawiąże ten kontakt, to dewiaci nie od razu mu uwierzą i nie od razu będą chcieli pomagać. Najpierw trzeba będzie ich przekonać, że jest rzeczywiście tym, za kogo się podaje, a oni z kolei będą chcieli sprawdzić wiarygodność jego słów, podejrzewając, że jest kolejnym szpiegiem Finna. Gdyby tylko posiadał pewność, że zastanie w Pierre Harriet, która zaręczyłaby za niego. Z drugiej strony nie wiedział, jaką pozycję w świecie dewiatów zajmuje Harriet i jaką wagę będzie miało dla nich jej świadectwo.

Mimo wszelkich wątpliwości, które żywił Blaine, dotarcie do miasta stanowiło jedyną, ostatnią możliwość zapobieżenia tragedii. Musi ją wykorzystać do końca. Musi dotrzeć do Pierre, musi odnaleźć grupę, musi ich przekonać o prawdziwości swych słów. Jeśli nie zdoła tego zrobić, los Hamilton i tysiąca innych miasteczek tego typu, rozsianych po całym świecie, będzie przesądzony. Oznaczać to będzie zagładę wszystkich dewiatów, żyjących nie tylko w miasteczkach-gettach, lecz także pośród normalnych ludzi w zwyczajnych miastach.

Nie wszyscy rzecz jasna od razu muszą umrzeć. Ale wszyscy – lub prawie wszyscy – zostaną przegnani na cztery wiatry i zmuszeni do ukrycia się. Stąd już prosta droga do całkowitej utraty kontaktu ludzi paranormalnych z normalnym światem. A to oznacza kolejną generację nieszczęśliwych, przepełnionych bólem istot. To oznacza następne pięćdziesiąt lat nagonek i obław, nienawiści i strachu, beznadziejnego oczekiwania na następne, może nieco bardziej tolerancyjne pokolenia.

Najbardziej jednak przerażał Blaine'a całkowity brak perspektyw na przyszłość. Fishhook, jedynie Fishhook, mógłby okazać się tu pomocny. Ale ten wcale o to nie dbał. Blaine zbyt dobrze znał sytuację, zbyt długo pracował u Fishhooka, a po ostatnim spotkaniu z Randem łuski spadły mu z oczu ostatecznie.

Wspomnienie Fishhooka pozostawiło mu w świadomości gorzki i jałowy jak popiół smak. Odebrano mu bowiem ostatnią rzecz, która nadawała jego życiu sens, odebrano mu coś, w co przez tyle lat wierzył. Utracił wszystkie dobre wspomnienia, stracił dumę z dni spędzonych u Fishhooka, w którego tak ślepo, tak bezgranicznie wierzył. Teraz już wie, że pozostawał tam zbyt długo, że – być może – nie powinien był nigdy podejmować pracy badacza, gdyż jego miejsce było i jest tutaj, w ponurym, smutnym i okrutnym świecie dewiatów nie związanych z koncernem. Bo to w nich właśnie – nie w Fishhooku – leży cała nadzieja, cała przyszłość i obietnica pełnej, niczym nie krępowanej realizacji zdolności paranormalnych.

Jego miejsce jest pośród tych wyrzutków. Pośród ludzi nie pasujących do świata, ludzi, którzy są wybrykiem natury odbiegającym od ogólnie przyjętych norm i wzorców człowieczeństwa. A przecież to właśnie w paranormalnych mózgach leży cała nadzieja świata. Ludzie normalni, ludzie, którzy do dzisiaj popychali swą rasę do przodu, którzy osiągnęli tak wiele, przestali już wystarczać, ich czas minął, ich możliwości twórcze zostały wyczerpane. Dalszy rozwój wymaga czegoś nowego. Ujawniły się więc nowe zdolności. Zgodnie z prawami natury, od chwili rozbłysku pierwszej iskierki życia we wrzącej kipieli chemicznej wanny, jaką stała się nowa, zwariowana planeta, stworzenia ziemskie ewoluowały i specjalizowały się, by po osiągnięciu swego poziomu ewolucji doskonalić się dalej.

Zwichrowane mózgi, czarownicy, mieszkańcy ciemności – i ileż innych jeszcze epitetów? Każda kolejna generacja ludzka tworzy własne wzorce i normy, których ewolucja nie podlega żadnym stałym i uniwersalnym prawom, lecz jest kształtowana tym, co w pojęciu większości jest słuszne. Ale natura człowieka jest nad wyraz chwiejna, ułomna i zdradliwa, tak więc i ideały tworzone przez ludzi są kalekie, oparte na fałszywych przesłankach oraz chwiejnej logice.

reformatorem uzurpującym sobie tytuł strażnika wartości duchowych i moralnych całego rodzaju ludzkiego. Wokół jego osoby więc nie mogło być najmniejszego skandalu, cienia najlżejszych podejrzeń i wątpliwości.

Zeszli razem po schodach, przeszli przez hol, wyszli na ulicę przed hotelem i – wciąż bacznie obserwowani przez dziennikarzy – powędrowali chodnikiem.

Gdy zniknęli już z zasięgu ich wzroku, Blaine porzucił swego towarzysza. Skręcił w ciemną aleję i zaczął biec na wschód, w kierunku majaczących na tle nocnego nieba, wzgórz.

I znów uciekam – myślał bezradnie Blaine. Znów bez planu, znów bez celu. Uciekał po prostu tam, gdzie go oczy poniosą. Lecz mimo to, mimo ponurych myśli i perspektyw na przyszłość, istniał jaśniejszy moment, do którego Blaine z radością powracał. Mimo że ucieka, udało mu się powstrzymać Finna, pokrzyżować jego zamierzenia, zadać kilka strasznych ciosów, po których nieprędko się podniesie. Pozbawił go czegoś, co chciał przedstawić jako dowód perfidii i wiarołomstwa dewiatów, dowód zagrożenia ludzi z ich strony. Napełnił umysł Finna czymś, co nie pozwoli mu już dłużej być tak ograniczonym, tak przepełnionym egotyzmem jak był dotychczas.

Siedział pod cedrami zasłuchany w ciszę zakłócaną tylko pohukiwaniem nocnego ptaka, szelestem liści i szumem rzeki.

Następnie podniósł się wolno z ziemi i stanął oparty plecami o pień drzewa. Gdy stał tak wsłuchany w ciemność, dobiegł go z oddali stłumiony skowyt psa. Blaine zamarł w bezruchu, jak sparaliżowany. Przez całe wieki bowiem dźwięk taki ścinał mimowolnym strachem krew i umysł Człowieka; od najdawniejszych, jaskiniowych czasów aż do dnia obecnego, kiedy to człowieka ponownie opanował bezrozumny, obezwładniający lęk przed nocą i ciemnością.

To pies, to tylko zwykły pies – kładąc dłoń na bijącym jak oszalałe sercu uspokajał samego siebie Blaine. To tylko zwykłe zwierzę, prawdopodobnie stepowy wilk. Bo wilkołaki nie istnieją. Blaine doskonale wiedział, że wilkołaków nigdy nie było i nie ma.

Lecz pomimo swego racjonalnego umysłu, Blaine z najwyższym trudem zapanował nad atawistycznym lękiem, który nakazywał mu ucieczkę, szukanie bezpiecznego schronienia przed tym pędzącym wilczymi susami niebezpieczeństwem.

Gdybym wierzył, gdybym nawet częściowo tylko wierzył w istnienie wilkołaków – uciekałbym – szeptał do siebie. Gdyż jest to nadzwyczaj prosty mechanizm: uwierzyć, a potem uciekać. To właśnie czyniło ludzi pokroju Finna w dwójnasób niebezpiecznymi. Grali bowiem bez skrupułów na podświadomych, podskórnych instynktach drzemiących w każdym człowieku. Najpierw na instynkcie strachu, a potem na nienawiści.

Z ciężkim westchnieniem opuścił kępę cedrów i zaczął ostrożnie posuwać się stromym zboczem wzgórza. W zwodniczym blasku księżyca, teren stawał się nadzwyczaj niebezpieczny i ryzykowny: ruchome, ukryte w cieniu kamienie, czyhały na niebaczne stąpnięcie, zdradliwe dziury w ziemi groziły złamaniem nogi lub wywichnięciem kostki.

A cały czas, jak doskwierająca drzazga w żywym ciele, dręczyła go pamięć słów, które usłyszał od Finna.

Zdaniem Finna, Harriet Quimby była szpiegiem Fishhooka.

Lecz to nie mogła być prawda. Wszak to Harriet właśnie umożliwiła mu ucieczkę od Fishhooka. Gdyby nie ona, już przyjęcie u Charline byłoby ostatnim przyjęciem w życiu Blaine'a.

A jednak... Była z nim w miasteczku, gdzie chciano go powiesić. Była z nim, gdy zamordowano Stone'a. Była, gdy wpadł w potrzask zastawiony przez Randa w starej wozowni. Czyż to mało?

Oszołomiony próbował nie myśleć o tym, starał się wepchnąć tę całą listę poszlak z powrotem w podświadomość. Nie dawały mu jednak spokoju, nadchodząc natrętnie, obsesyjnie.

To po prostu śmieszne – kiwał głową. Harriet nie jest szpiegiem, nie jest fałszywa. Niewątpliwie była pierwszorzędną dziennikarką i najlepszym kumplem, jakiego miał kiedykolwiek. Była zdolna, obiektywna i twarda. Mogłaby być doskonałym szpiegiem, gdyby tylko zechciała; lecz to akurat było całkowicie obce jej naturze. Nie, nie mogło być mowy o żadnym wybiegu z jej strony. Harriet z całą pewnością nie była zdrajczynią.

Zbocze kończyło się niewielkim uskokiem. Poniżej było już dno parowu, którym toczyła fale potężna rzeka. Blaine zeskoczył w dół, nie opodal miejsca, gdzie rosła obszerna kępa poskręcanych, karłowatych drzew i gęstych zarośli. Zbliżył się do nich i usiadł wprost na ziemi.

Woda lśniła lekkim, migotliwym blaskiem. Powyżej górując nad okolicą, bieliły się widmowo wierzchołki wzgórz przyprószone siwizną szronu. Sowa zamilkła i ciszę nocy mącił tylko szum rzek i bulgot wody w zwisających z podmytego brzegu, poplątanych korzeniach drzew.

Tu przeczekam noc. Lepszego miejsca nie znajdę - pomyślał Blaine. Nie posiadał - co prawda - ani śpiwora, ani koca, lecz za to miejsce było całkowicie bezpieczne.

Wczołgał się w splątaną gęstwę rosnących nie opodal krzaków i umościł sobie prowizoryczne posłanie z kamieni, zeschłych liści i gałęzi. Błysnęła mu myśl, że w takim miejscu musi roić się od grzechotników. Szybko jednak uprzytomnił sobie, że to koniec października, a więc pora była już zbyt późna i zbyt zimna dla węży.

Uspokojony, ułożył się na skleconym przez siebie posłaniu, które okazało się jednak o wiele mniej wygodne, niż sądził. Powinno jednak wystarczyć na te kilka godzin dzielących go od wschodu słońca.

Leżał więc, wiercąc się od czasu do czasu na niewygodnym posłaniu, a na ekranie jego pamięci zdarzenia minionych kilkunastu godzin rozpoczęły swój niekończący się korowód. Próbował początkowo powstrzymać bieg myśli, lecz zupełnie mu to nie wychodziło. Im bardziej starał się, tym natarczywiej atakowały jego umysł.

Ach, gdyby potrafił powstrzymać to kłębowisko myśli, opętańczy taniec wspomnień i zająć umysł czymś innym.

Lecz było tam coś stokroć bardziej okropnego niż tylko wspomnienia i reminiscencje minionego dnia - świadomość Lamberta Finna!

Ostrożnie sięgnął do niej. Aż skulił się i zadrżał przejęty najwyższą grozą. Obca świadomość smagnęła go natychmiast zimnym ciosem nienawiści i strachu, wdrążyła się w myśl Blaine'a śliskimi, obrzydliwymi robakami. A w samym jej centrum znalazło się owo przerażenie przyniesione z innej planety, groza, która tak odmieniła Lamberta, zabierając całą jego ludzką naturę, zamieniając w mesjasza nienawiści, w maniaka, w szaleńca, który opuścił maszynę gwiezdną z pianą na ustach, z wytrzeszczonymi, wychodzącymi z orbit oczyma i palcami zakrzywionymi na kształt szponów.

Było to odrażające i wstrętne. Brutalne i ponure. Niosło totalne zaprzeczenie wszystkiego, co ludzkie. Nie istniało w nim nic, co byłoby czyste i jasne. Było otchłanne, mętne i pozbawione jakichkolwiek detali - sama kwintesencja przepastnego zła.

Blaine zesztywniał cały, oczy zakrył mu jakiś straszny opar, a w mózgu rozległ się przenikliwy, niemy skowyt, który w jednej chwili zatarł narastającą w nim zgrozę. Jak za dotknięciem różdżki, pojawiła się natychmiast inna, czysta i łagodna myśl.

Myśl o Halloween.

Uchwycił się jej kurczowo, a ona pozwoliła mu przerwać ów upiorny pochód obrazów i wspomnień pochodzących ze świadomości Finna, ekstazę umysłu człowieka przepojonego lękiem i nienawiścią.

Halloween - miękka, cudowna październikowa noc przepojona zapachem dymu palonych na ogniskach zeschłych liści, rozświetlana rzęsistym, kolorowym światłem ulic i z wiszącym ponad wierzchołkami drzew ogromnym dyskiem księżyca, który wydawał się być większy i bliższy Ziemi, niż zazwyczaj. Jakby zbliżył się, by oglądać barwne, wesołe widowisko trwające na Ziemi. Dzieciaki śmiały się radośnie wysokimi, piskliwymi głosami. Przebiegały miasto w niekończących się korowodach przy wtórze wielu instrumentów muzycznych tworzących kocią kapelę. Krzyczały, nawoływały się, śpiewały. Światła zapalone nad drzwiami prowadzącymi do mieszkań lśniły zachęcająco i zapraszały dzieciarnię do środka na wesoły poczęstunek. Zakapturzone, owinięte prześcieradłami małe postaci znikały tłumnie w domach i ponownie pojawiały się na ulicach miasta dźwigając, w miarę upływu tego cudownego wieczoru, coraz bardziej pękate, coraz cięższe i większe worki.

Blaine przypomniał sobie to wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Jakby wydarzyło się to zaledwie wczoraj, jakby jeszcze wczoraj był szczęśliwym dzieckiem przebiegającym w radosnym uniesieniu uliczki miasta.

Lecz naprawdę to już tak dawno temu - myślał ze ściśniętym gardłem. Jeszcze zanim świat został pokryty posępnym całunem strachu, w czasach gdy magia była modą i zabawą, a Halloween szczęśliwym i beztroskim dziecięcym świętem, w które z ochotą włączali się dorośli. Lecz wszystko to działo się w czasach, kiedy rodzice nie drżeli o dzieci przebywające o zmroku poza domem.

Dzisiaj takie Halloween jest już nie do pomyślenia. Dzisiaj w wieczór Halloween podwójnie barykaduje się drzwi, zamyka kominy, a w nadprożach przybija dodatkowe znaki magiczne.

I gdzież się podziały te wieczory tak radosne, tak swobodne - myślał z bezmiernym żalem Blaine. Gdzież jest ta noc, gdy on i Charlie Jones straszyli pod oknem Starego Chandlera? Chandler wyskoczył wówczas na zewnątrz z głośnym krzykiem doskonale imitującym gniew, ściskając w dłoni nabity karabin. Ach, jak się wtedy wystraszyli, jak uciekali. W panicznej ucieczce wpadli do dołu wykopanego na tyłach posesji Lewisa.

Były to inne czasy - tak inne, że kiedy Blaine zaczął myśleć o nich, nie był już zdolny myśleć o czymś innym.



– SHEP, CZEMU ONI NAS NIE CHCĄ?

– NIE CHCĄ WAS?

– KILKORO Z NAS NAPISAŁO DO FISHHOOKA. PRZYSŁANO WZORY PODAŃ, KTÓRE PO WYPEŁNIENIU ODESŁALIŚMY. I TO WSZYSTKO. FISHHOOK JUŻ NIGDY WIĘCEJ SIĘ NIE ODEZWAŁ.

– TYSIĄCE OSÓB PRAGNIE SIĘ TAM DOSTAĆ.

– ALE DLACZEGO ONI NAS NIE CHCĄ? CZEMU NIE WEZMĄ NAS WSZYSTKICH? CZY WSZYSCY MALI, WYSTRASZENI LUDZIE NIGDY NIE ZAZNAJĄ SPOKOJU? CZY TO JEST ZAREZERWOWANE WYŁĄCZNIE DLA FISHHOOKA?

Nic nie odpowiedział zamykając przed nią swój umysł.

– SHEP, SHEP, CO SIĘ STAŁO? CZY URAZIŁAM CIĘ CZYMŚ?

– POSŁUCHAJ MNIE UWAŻNIE, ANITO. FISHHOOK WAS NIE POTRZEBUJE. FISHHOOK JEST JUŻ ZUPEŁNIE CZYMŚ INNYM. ZMIENIŁ SIĘ. FISHHOOK TO KORPORACJA, ZIMNY, OBOJĘTNY I NIECZUŁY NA NIC KONCERN.

– A MY ZAWSZE...

– WIEM. W I E M. W I E M. FISHHOOK BYŁ ZAWSZE DLA WAS ZIEMIĄ OBIECANĄ, NAJDOSKONALSZYM I OSTATECZNYM ROZWIĄZANIEM WASZYCH PROBLEMÓW. W RZECZYWISTOŚCI JEST ZUPEŁNIE CZYMŚ INNYM. FISHHOOK TO WIELKA KASA, GDZIE LICZĄ SIĘ WYŁĄCZNIE AKTYWA I PASYWA, ZYSKI I STRATY. OCZYWIŚCIE, W PEWIEN SPOSÓB STANOWI ON RATUNEK DLA ŚWIATA, ZALICZKĘ WIELKOŚCI I PRZYSZŁOŚCI RODZAJU LUDZKIEGO. TEORETYCZNIE JEST TO NAJWZNIOŚLEJSZA RZECZ, JAKIEJ LUDZKOŚĆ DOROBIŁA SIĘ W TRAKCIE SWEGO ISTNIENIA. ALE FISHHOOK NIE JEST WCALE ŁASKAWY DLA PARANORMALNYCH. PRZECIWNIE, SWOJĄ ZIEMIĘ OBIECANĄ MUSIMY WYWALCZYĆ SAMI. NAJPIERW TRZEBA POWSTRZYMAĆ FINNA I JEGO „PLAN HALLOWEEN"...

– DLATEGO TU WŁAŚNIE JESTEM. NIE ZATRZYMAMY JUŻ NASZEJ AKCJI...

– TELEFONY...

– PRÓBOWALIŚMY. I DO DETROIT I DO CHICAGO. POTEM DO NEW YORKU. WSZYSTKO NA NIC. NAWET DO DENVER LINIA JEST NIECZYNNA.

– TO NIEMOŻLIWE!

Blaine stał ogłuszony wiadomością.

Brak połączeń z New Yorkiem! Kontakt z Denver odcięty!

To przecież niemożliwe, by Finn przejął aż taką kontrolę nad sytuacją.

– NIE, NIE W TYM RZECZ, BY FINN ZDOBYŁ TAKĄ KONTROLĘ – wtrąciła się w jego myśli Anita. – ON MA PO PROSTU SWYCH LUDZI W KILKU KLUCZOWYCH PUNKTACH, NA PRZYKŁAD W KOMUNIKACJI. OSADY TAKIE JAK HAMILTON SĄ BARDZO UWAŻNIE OBSERWOWANE. MY NIE UTRZYMUJEMY WŁAŚCIWIE KONTAKTU ZE ŚWIATEM ZEWNĘTRZNYM I ROZMOWY TELEFONICZNE NA DUŻE ODLEGŁOŚCI SĄ U NAS RZADKOŚCIĄ. SKORO WIĘC NAGLE W PRZECIĄGU KWADRANSA ZAMÓWILIŚMY AŻ TRZY TAKIE POŁĄCZENIA, TO NIC DZIWNEGO, ŻE WSZYSCY LUDZIE FINNA PODNIEŚLI ALARM. WĘSZĄ COŚ NIEZWYKŁEGO I CHCĄ NAS IZOLOWAĆ.

Blaine gwałtownym ruchem zrzucił z ramion plecak i położył go na ziemi u swoich stóp.

– Wracam – rzekł krótko.

– To bez sensu. Nic więcej nie zwojujesz.

– Tak, masz rację. To faktycznie bez sensu. Ale jest jeszcze jedna możliwość. Muszę się dostać do Pierre...

– Tam mieszkał Stone?

– Tak, czemu pytasz? Znałaś Stone'a?

– Słyszałam o nim. To wszystko. Rodzaj Robin Hooda dewiatów. Pracował dla nas.

– Gdybym miał możność kontaktu z jego organizacją, może potrafiłbym...

– Ta kobieta też tam mieszka?

– Masz na myśli Harriet? – spytał, obrzucając ją przeciągłym spojrzeniem. – Tak. Tylko ona może mnie skontaktować z grupą Stone'a. Ale mogę jej tam nie zastać. Nie wiem w ogóle, gdzie się może podziewać.

– Gdybyś zaczekał do zmierzchu, moglibyśmy cię tam dostarczyć. Za dnia jest to zbyt ryzykowne. Mieszka tu zbyt wielu ludzi, zbyt wiele osób się kręci. Nawet tu, w tym pozornym odludziu...

– To nie może być dalej niż trzydzieści mil. Pójdę pieszo.

– Rzeką byłoby ci łatwiej. Potrafisz prowadzić canoe?

– Kiedyś pływałem. Myślę, że jakoś bym sobie poradził.

– To również bezpieczniejszy sposób. Na wodzie przynajmniej nie zaczepi cię policja ani ludzie będący na usługach Finna. Mój kuzyn ma canoe. Pożyczy ci. Chodź, zaprowadzę cię do niego.

XXVIII

Obudził się zziębnięty i zdrętwiały. Otumaniony snem nie mógł zrazu pojąć, gdzie się znajduje. W całym ciele czuł znużenie, a w kościach i mięśniach dojmujący ból spowodowany twardym i nierównym posłaniem, które mościł w pośpiechu i po omacku. Leżał dłuższy czas wpatrując się tępym wzrokiem w dziką plątaninę gałęzi nad twarzą i stopniowo wracała mu świadomość. Powoli docierało do niego gdzie jest, kim jest, dlaczego znajduje się w takim miejscu.

Powróciła doń ostatnia myśl przed zaśnięciem.

Myśl o Halloween.

Usiadł gwałtownie uderzając mocno czołem o gruby konar zwieszający się ponad jego głową. Zaczęła ogarniać go furia.

Halloween nie było dłużej tym samym Halloween.

Halloween było spiskiem, zręcznie utkaną intrygą.

Diabelskim w swej prostocie pomysłem – był to plan, który mógł się wykluć wyłącznie w umyśle Lamberta Finna.

Nie wolno dopuścić, by Lambert Finn zrealizował swe zamierzenia. Jeśli mu się one powiodą, reakcja ludzi będzie gwałtowna i krwawa, nastąpi straszliwy pogrom dewiatów, jakiego świat dotąd nie widział.

Najbliższym miejscem, gdzie Blaine może znaleźć pomoc jest Hamilton. Z całą pewnością mieszkańcy osady pospieszą z pomocą, gdyż Hamilton jest miasteczkiem dewiatów. A jeśli plany Finna powiodą się, pierwsze umrze właśnie Hamilton.

Halloween – jeśli tylko nie pomylił się w rachubach – wypada pojutrze. Pozostały więc dwa dni.

Wyczołgał się z krzaków i rozejrzał wokoło. Było jeszcze bardzo wcześnie, a słońce dopiero wychylało się zza okolicznych wzgórz. Blaine, bawiąc się odruchowo cienką gałązką, oddychał głęboko ostrym, prawie mroźnym powietrzem. Wodził zamyślonym wzrokiem po stokach wzgórz porośniętych pożółkłą od słońca i przymrozków trawą i umykających zawrotnie w dół ku płynącej u ich podnóża rzece. Czuł przelatujące po krzyżu ostrymi igłami lodowate dreszcze. Aby się nieco rozgrzać, zaczął energicznie wymachiwać ramionami.

Hamilton powinno leżeć na północy, tam, w dole rzeki. Motel „The Plainsman" stał bowiem przy drodze, która wiodła z Belmont na północ, a stamtąd Hamilton było odległe tylko o milę lub dwie.

Zbiegł po stoku na brzeg rzeki. Rozgrzany biegiem i mocniejszymi już promieniami słońca oddychał głęboko rozglądając się po okolicy.

Przebrnął rozległą ławicę piachu i zatrzymał się nad samą wodą. Przykucnął, złożył dłonie i zanurzył je w wodzie. Podniósł do twarzy i pił. Woda była przeraźliwie zimna o lekko gliniastym smaku i zapachu zbutwiałych liści. Po wypiciu kilku łyków w zębach zgrzytał nieprzyjemnie piasek.

Lecz była to woda. Wilgoć, której tak potrzebowało jego zaschnięte gardło. Zanurzał dłonie kilkakrotnie, gdyż bez względu na to, jak mocno zaciskał ręce, nim doniósł je do ust, większość wody wyciekała przez palce.

Choć dawno już zaspokoił pragnienie, nie ruszał się z miejsca trwając bez ruchu. Napawał się ciszą i spokojem tego zakątka, w którym się zdawało, że świat cały został stworzony zaledwie wczoraj i nie starczyło jeszcze czasu na nagromadzenie się w nim pokładów nienawiści, gniewu, chciwości i wszystkich innych plag, gnębiących od tysiącleci rasę ludzką.

Ciszę zalegającą rzekę przerwało naraz głośne plusnięcie wody, na dźwięk którego Blaine błyskawicznie poderwał się na nogi. Zmrożony strachem zaczął rozglądać się gorączkowo wokół. Jednak ani na rzece, ani na brzegu nie dostrzegł niczego niepokojącego. Miejsce było ciche i odludne jak dotąd. Blaine roześmiał się głośno na myśl o swych obawach. Prawdopodobnie jakieś zwierzę wodne – pomyślał rozbawiony. Norka, piżmowiec, szczur, wydra, a może bóbr. Lub zwykła ryba.

Po chwili jednak plusnięcie powtórzyło się – tym razem głośniejsze. Zza kępy drzew wypłynęła łódź kierując się najwyraźniej w stronę ławicy piasku, na której stał Blaine. Przy sterze siedział mężczyzna otulony luźnym, ciemnym płaszczem i poruszał wiosłem tak niezdarnie, iż Blaine, mimo całego strachu i napięcia, nie potrafił opanować uśmiechu. Dziób łodzi sterczał wysoko nad powierzchnią wody, uniesiony ciężarem silnika i człowieka siedzącego na rufie.

Łódź dobijała ciężko do brzegu i Blaine skupił całą uwagę na postaci mężczyzny sterującego nią. Już kiedyś go spotkał. Był o tym przekonany.

Podszedł do łodzi, chwycił za dziób i wyciągnął na piach.

– Bóg z tobą, synu – odezwał się człowiek w łodzi. – Jak ci się powodzi? Przepiękny poranek, prawda?

– Ojciec Flanagan! – wykrzyknął zdumiony Blaine.

Stary kapłan roześmiał się.

– Ależ Ojciec jest bardzo daleko od domu – rzekł Blaine, gdyż nic innego nie przyszło mu do głowy.

– Idę tam, gdzie mnie Pan posyła – poważnym tonem odparł Ojciec Flanagan.

Pochylił się do przodu i wyciągając rękę, poklepał lekko siedzenie przed sobą.

– Czy nie mógłbyś, mój synu, usiąść na chwilę? – spytał. – Bóg wybaczy mi moje lenistwo, ale jestem tak okropnie zmordowany. Ta łódź...

Blaine bez słowa pochylił się i chwyciwszy dziób łodzi wyciągnął ją głębiej na piasek. Wszedł następnie do niej i zajął wskazane przez kapłana miejsce. Wyciągnął rękę, którą ksiądz natychmiast ujął w swe niezwykle delikatne, choć powykręcane artretyzmem dłonie.

– Cieszę się, że Ojca widzę.

– Ja jestem również niezmiernie rad – odparł Flanagan. – Ale muszę ci ze wstydem wyznać, że cały czas nie spuszczałem z ciebie wzroku, śledziłem cię.

– Zawsze wydawało mi się, że człowiek taki jak Ojciec ma lepsze rzeczy do robienia – odparł Blaine w połowie zdumiony, w połowie przestraszony.

Kapłan pochylił się wypuszczając z rąk dłoń Blaine'a.

– Och, mój synu! Cóż mogę poradzić. Nie ma już dla mnie lepszego zajęcia niż udanie się w twoje ślady.

– Proszę mi wybaczyć, ale zupełnie Ojca nie rozumiem.

Kapłan pochylił się jeszcze bardziej opierając na kolanach zaciśnięte pięści.

– To bardzo ważne, byś mnie zrozumiał – rzekł. – Proszę, posłuchaj mnie cierpliwie. I nie gniewaj się. Zaraz ci wszystko wytłumaczę.

– Oczywiście, słucham Ojcze.

– Słyszałeś prawdopodobnie, że Kościół Matki Przenajświętszej jest sztywny i nieugięty, przywiązany do tradycji i zwyczajów, do starodawnych koncepcji, a zmiany następują w nim niezwykle powoli. Kościół jest surowy i dogmatyczny...

– Słyszałem o tym wszystkim – skinął głową Blaine.

– Lecz to wszystko nie jest prawdą. Kościół jest nowoczesny i zmienia się. Gdyby opierał się wszelkim zmianom – Boże, uchowaj nas od tego – nie zdołałby utrzymać swego znaczenia i swej wielkości. Ale nie może się również chwiać przy lada podmuchu wiatru, musi opierać się wzburzonemu morzu ludzkich namiętności i skłonności do zbyt pochopnych zmian. Kościół adaptuje się do wszelkich przemian jakkolwiek czyni to ostrożnie i z rozwagą. Jeśli już przychyli się do jakiejś nowej koncepcji, jeśli zmieni się, musi przedtem posiadać absolutną pewność o słuszności swej decyzji.

– Ależ Ojcze, nie myślisz chyba...

– Spytałem cię wówczas, o ile pamiętasz, czy jesteś czarownikiem, a tyś mi odpowiedział kpiną...

– Tak, pamiętam.

– Było to wówczas moje podstawowe pytanie – rzekł Ojciec Flanagan. – Ale było to pytanie niewłaściwe, zbyt proste, zbyt banalne i prymitywne z tej przyczyny, że na tego typu pytania odpowiada się zwykle „tak" lub „nie".

– Więc odpowiem Ojcu raz jeszcze: nie jestem czarownikiem.

– Przerywając, utrudniasz mi wyłuszczenie ci całej sprawy – odparł z lekką naganą w głosie ksiądz.

– Dobrze, proszę więc mówić. Postaram się nie przerywać Ojcu i wysłuchać wszystkiego cierpliwie do końca.

– Otóż Kościół musi mieć pewność, że parakinetyka jest właściwością czysto ludzką, a nie rodzajem kuglarskiej sztuczki czy też magią. Któregoś dnia Kościół – z pewnością nieprędko to jeszcze nastąpi – wypowie się autorytatywnie w tej kwestii. Przedstawi w tej materii swe stanowisko, wyznaczając jednocześnie temu zjawisku miejsce pośród innych wartości moralnych i duchowych Człowieka. Nie jest wszak już dzisiaj tajemnicą, iż specjalna komisja teologów prowadzi nad tym wnikliwe studia...

– A Ojciec, jaka jest w tym wszystkim rola Ojca?

– Jestem jednym z wielu, którym powierzono pewne zadania badawcze. My po prostu gromadzimy wszelkie fakty i dowody, które we właściwym czasie zostaną przeanalizowane przez teologów.

– I ja mam być jednym z tych dowodów?

Ojciec Flanagan uroczyście skinął głową.

– Jest jedna rzecz, której nie potrafię zrozumieć – odezwał się po chwili milczenia Blaine. – Mianowicie, czemu wasza wiara żywi jakiekolwiek wątpliwości i zastrzeżenia. Macie przecież swoje, doskonale

zdolnościami paranormalnymi wiodą życie na tyle spokojne, na ile jest to możliwe w panujących na świecie warunkach. Ludzie ci, zaszyci w oddalonych, izolowanych od reszty społeczeństwa zakątkach czekają, aż nadejdzie dzień – jeżeli w ogóle kiedykolwiek nadejdzie – gdy ich dzieci lub dzieci ich dzieci będą wolne, gdy będą mogły swobodnie i bezpiecznie wędrować po świecie, a ich życie ponownie stanie się normalnym życiem w pełni normalnych ludzi.

Ileż w takich miasteczkach zmarnowanych szans, nie wykorzystanych możliwości i zdolności, które odpowiednio pokierowane stałyby się zaliczką na wspaniałą, olśniewającą przyszłość ludzkości, nadałyby nowy, oszałamiający wymiar i perspektywy każdemu, pojedynczemu człowiekowi i całej jego rasie. Tymczasem wszystko to pozostawało bezpłodne, bezużyteczne, wzgardzone, a istoty posiadające ów tak cudowny dar były przedmiotem powszechnej nienawiści, tropioną zwierzyną, uosobieniem całego zła drzemiącego w Człowieku.

A najbardziej żałosne w tym wszystkim było to, że cała nienawiść i okrucieństwo, ciasnota umysłowa i brak tolerancji nie doszłyby nigdy do głosu, gdyby nie ludzie pokroju Finna: bigoci i egomaniacy, którym zdawało się, że tylko siła i brutalność są w stanie wynieść ich z przyrodzonej im małości.

Nauka! Mimo iż okazała się bezsilna wobec podboju kosmosu, to bynajmniej nie odeszła w zapomnienie, nie została odtrącona. Jest rzeczą oczywistą, że tak długo jak istnieje Człowiek, musi również istnieć Nauka. U Fishhooka całe zastępy badaczy pracowały nad odkryciami i problemami ściąganymi na Ziemię z całej galaktyki, a ludzie wciąż spoglądali w ich stronę z nadzieją.

Ale na mnie już czas. To są bezpłodne i bezcelowe rozmyślania – szepnął Blaine potrząsając głową. Musi iść przed siebie, ku wytyczonemu celowi, gdyż innego wyjścia nie ma. Ostrzegł mieszkańców Hamilton, lecz to tylko cząstka tego, co zamierzał. Swoją misję musi wypełnić do końca.

Pójdzie do Pierre. Odszuka Harriet w restauracji z przybitymi nad drzwiami rogami łosia. Być może natknie się tam również na ludzi wchodzących w skład sformowanych przez Stone'a grup. Oni mu pomogą, wynajdą bezpieczną kryjówkę.

Wstał, zarzucił ponownie na ramiona plecak, zawiesił na szyi manierkę. I wówczas posłyszał za sobą szmer. Błyskawicznie odwrócił się.

Stopę nad ziemią unosiła się dziewczyna. Wdzięczna jak ptak. Śliczna jak poranek.

Stał bez ruchu, napawając się jej urodą. Widział ją po raz pierwszy w dziennym świetle. Poprzednim razem spotkali się nocą, na szosie, potem – przez chwilę zaledwie – w półmroku hotelowego pokoju.

Jej stopy dotknęły ziemi i dziewczyna wolnym krokiem podeszła do Blaine'a.

– Wreszcie pana znalazłam – rzekła z ulgą w głosie. – To straszne... po tym, co pan dla nas zrobił...

– O. K. Nie mówmy o tym – odparł szybko Blaine. – Nie będę taić, że czuję się dotknięty, ale i oni mieli swoje racje.

– Jedynym celem ich życia jest chronienie nas – odezwała się cicho dziewczyna patrząc na ziemię. – Pragną uczynić nasze życie jak najbardziej znośnym. Bronią się więc przed najmniejszym...

– Tak, wiem. Ale spotkałem już kogoś, kto mimo wszystko nie pragnął wcale takiego znośnego życia.

– My, młodzież, mamy do nich wiele żalu. Wszystkiego nam nie wolno, wszystkiego nam zabraniają, nie pozwalają szaleć w noc Halloween nic nie dając w zamian. Musimy po prostu siedzieć cicho w domu. No i w rezultacie to głównie robimy.

– Jestem wam wdzięczny za tamtą noc – taktownie zmienił temat Blaine. – Gdyby nie wasza pomoc, Harriet i ja zostalibyśmy przydybani przez policję nad zwłokami Stone'a.

– Dla Mr Stone'a zrobiliśmy wszystko, co było możliwe. Musieliśmy się spieszyć i trudno było dopełnić wszystkich ceremonii. Został pochowany na wzgórzu.

– Wiem, twój ojciec mówił mi o tym.

– Nie mogliśmy tam postawić ani krzyża, ani tablicy. Musieliśmy wręcz pokryć mogiłę darnią, by zatrzeć wszelkie ślady. Chyba pan sam to rozumie. Ale miejsce to jest wyryte w naszych sercach i pamiętamy o nim.

– Stone był przez wiele lat moim najlepszym przyjacielem.

– U Fishhooka?

Blaine w milczeniu skinął głową.

– Mr Blaine, proszę mi opowiedzieć o Fishhooku.

– Mam na imię Shep.

– W takim razie Shep, opowiedz mi o tym.

– Jest to wielkie i niezwykłe miejsce (WIEŻE NA WZGÓRZU, PLACE I ALEJE, DRZEWA I PARKI, GIGANTYCZNE, STRZELISTE BUDOWLE, SKLEPY, MAGAZYNY, KAWIARNIE, TŁUMY LUDZI...)

– To bardzo proste – odparł Andrews, uprzedzając wątpliwości Blaine'a. – Problem przekazu telepatycznego za pomocą drutów telegraficznych rozwiązaliśmy jakieś dwa lata temu.

– Więc użyjcie tego sposobu – skinął głową Blaine. – Dzwońcie wszędzie, gdzie się tylko da. Tam z kolei niech ostrzegą następnych. Tamci znów kolejnych. Stwórzcie cały łańcuch...

– Nie zdołamy dotrzeć do wszystkich – pokiwał smutno, z rezygnacją głową Andrews.

– Musicie próbować! – krzyknął ostro Blaine.

– Spróbujemy, oczywiście, że spróbujemy – zgodził się Andrews. – Zrobimy wszystko co w naszej mocy. Ale... ale ty... – zawahał się nagle, poczerwieniał na twarzy i spuścił oczy. – Nie sądź nas zbyt pochopnie. Nie myśl, że nie wiemy co to wdzięczność. Zaciągamy wobec ciebie dług, którego chyba nigdy nie będziemy w stanie spłacić. Ale... ale...

– Co ale? – zapytał Blaine, a w głosie brzmiały mu nutki zdziwienia.

– Pan nie może tu pozostać – wydusił z siebie cichym głosem Andrews. – Ściga pana Fishhook, poszukuje Finn... Przybędą tu z całą pewnością. Są przekonani, że pan się tu właśnie ukrywa.

– Boże wielki! – wykrzyknął Blaine nie dowierzając własnym uszom. – Wielki Boże! A ja tu przybyłem...

– Przykro nam – odparł sucho Andrews. – Wiemy, jak musi pan się teraz czuć. Lecz pan musi i nas zrozumieć. Rzecz jasna, skoro pan upiera się, by tu pozostać, spróbujemy pana ukryć. Lecz jeśli odnajdą tutaj pana...

– W porządku – mruknął Blaine. – Miałbym w takim razie tylko prośbę o wypożyczenie samochodu...

– Odpada – pokręcił głową Andrews. – To tak samo, jakby pan pozostał w Hamilton. Finn i Fishhook z całą pewnością obserwują drogi. Rejestracja zdradzi pana natychmiast.

– Więc co, wyganiacie mnie po prostu w góry?

Andrews pokiwał tylko głową.

– To może dacie mi trochę żywności?

– Z tym nie będzie najmniejszych kłopotów – ożywił się natychmiast Jackson, zrywając się na nogi.

– A gdy się wszystko uspokoi, niech pan do nas wraca – dodał Andrews.

– Wielkie dzięki – odparł Blaine trudnym do określenia tonem.

XXX

Usiadł pod samotnym, rozłożystym drzewem rosnącym na stoku wzgórza i spojrzał w dół doliny. Dłuższy czas ścigał wzrokiem srebrzyste lśnienia na powierzchni rzeki, by w końcu wznieść oczy w górę, gdzie na tle nieba odcinał się ostrą, ciemną linią klucz dzikich gęsi.

Kiedyś, o tej porze roku, aż roiło się tutaj od ptactwa, które z donośnym krzykiem i łopotem skrzydeł odlatywało na południe, do cieplejszych krain tam szukając schronienia przed nadchodzącą zimą. Teraz jednak ptaków pozostało niewiele; po prostu zostały wytępione przez okoliczną ludność.

Człowiek w swym zwycięskim pochodzie przez czas i dzieje, w barbarzyński sposób starł z powierzchni ziemi wszystkie prawie gatunki zwierząt – dzikie ptactwo, bizony, bobry i wiele, wiele innych.

Blaine zastanawiał się nad zadziwiającą właściwością Człowieka, która kazała mu tępić wszelkie inne żywe stworzenia; nieistotne już, czy to w imię strachu i nienawiści czy też z chciwości i żądzy zysku.

Jeśli Finnowi powiodą się plany, los zwierząt podzielą również dewiaci. Mieszkańcy Hamilton zrobią oczywiście wszystko, co będzie w ich mocy, ale Blaine wątpił, czy zdołają podołać zadaniu, zwłaszcza że pozostało im tak niewiele czasu, zaledwie trzydzieści sześć godzin. Postarają się nie dopuścić do maskarady w noc Halloween, ale czy powstrzymają wszystkich? Czy wszędzie dotrą? To wydawało się prawie niemożliwe.

A tak na dobrą sprawę, nie powinno mnie to już obchodzić – myślał. Nie musi przejmować się wcale losem dewiatów. Ostatecznie to oni właśnie go przegnali, odmówili schronienia, kazali umykać z miasteczka. Zmusili go do opuszczenia miejsca, które pokochał od pierwszej chwili, które mogło się stać jego nowym domem.

Rozpiął pasy plecaka, w którym Jackson dostarczył mu żywność. Z szyi zdjął manierkę. Postawił oba przedmioty na ziemi.

Po południowej stronie biły w niebo ciemne wstęgi dymu z domostw w Hamilton i nawet zagniewany na mieszkańców za sposób w jaki go potraktowano, czuł nić łączącą go nierozerwalnie z tą osadą, przepełniało go uczucie swojskości i bliskości takie samo jak wtedy, gdy po raz pierwszy przemierzał uliczki miasteczka. Wiele jest na świecie podobnych miejsc, współczesnych gett, w których ludzie obdarzeni

udokumentowane cuda. Czemuż więc nie podciągniecie pod nie i parakinetyki? Gdzieś we wszechświecie potęga ludzka i potęga boska muszą się łączyć. To może być ten wasz pomost.

– Naprawdę wierzysz w to, mój synu?

– Nie jestem specjalnie religijny...

– Wiem, mówiłeś mi o tym. Ale pytam: czy naprawdę w to wierzysz?

– Raczej tak.

– Nie jestem przekonany, czy potrafię się z tobą zgodzić. Taka koncepcja trąci nieco herezją. Ale problem leży gdzieś indziej. Problemem jest ta dziwność w tobie, dziwność, jakiej nie znalazłem w nikim innym.

– Bo jestem w połowie obcy – odparł gorzko Blaine. – Nikt z ludzi nie został nigdy w taki sposób odmieniony. Rozmawiasz nie tylko ze mną, lecz z inną jeszcze istotą nie będącą już zupełnie człowiekiem. Istota ta znajduje się o pięć tysięcy lat świetlnych stąd. Ona żyje już miliony lat. I będzie żyła następne miliony. I jeszcze dłużej. Istota owa odwiedza swoją świadomością inne planety, lecz mimo to czuje się szalenie samotna. Czas nie ma przed nią żadnych tajemnic. Nie sądzę zresztą, by znalazły się we wszechświecie sprawy, których nie zgłębiła i nie pojęła, które są dla niej obce. Słowem, istota ta posiadła ostateczną wiedzę o wszechrzeczy. Otóż wymieniła ona ze mną świadomość i wszystko to co ona wie, wiem również ja, co potrafi ona, ja również potrafię. Jej wiedza posiada jeden tylko mankament. Nie jest to wiedza posegregowana. W wolnej chwili – jeśli taka kiedykolwiek nastąpi – wydobędę tę całą wiedzę ze swej świadomości, uporządkuję ją, posegreguję w odpowiednich rejonach mego umysłu. Wtedy będę jeszcze potężniejszy od tamtego stworzenia.

Kapłan słuchając oddychał niezwykle głęboko. Spojrzał naraz przenikliwie w oczy Blaine'a.

– Spodziewałem się czegoś w tym rodzaju – rzekł.

– Na co więc Ojciec czeka? Niech Ojciec wykonuje swoją robotę. Niech pokropi mnie święconą wodą, a ja natychmiast zamienię się w obłok brudnego dymu i ulecę w przestrzeń.

– Nie zrozumiałeś mnie – odparł spokojnie Ojciec Flanagan. – Nie zrozumiałeś moich intencji i mojej postawy. Jeśli w tej sile, którą zostałeś obdarzony przez gwiazdy nie kryje się zło, to nie mogłeś przejąć stamtąd zła istotnego, a tylko przypadkowe, nieistotne, które nie może cię pochłonąć.

Wyciągnął swą zniekształconą dłoń i położył na ramieniu Blaine'a, zaciskając na nim palce z nieoczekiwaną siłą. Spojrzał Blaine'owi głęboko w oczy.

– Posiadasz wielką potęgę – rzekł z powagą w głosie kapłan. – I wielką wiedzę. Masz obowiązek użyć jej ku chwale Boga i dla dobra Człowieka. Ja, swym słabym głosem, nakładam na ciebie ów ciężar i obowiązek. A musisz wiedzieć, że rzadko zdarza się, by taki ciężar spoczywał na barkach jednego człowieka. Nie wolno ci tego daru roztrwonić. Nie wolno ci go użyć źle. Nie wolno ci go również spożytkować dla celów płytkich bądź fałszywych. Został ci on dany zapewne za sprawą jakichś boskich i nadprzyrodzonych sił i nikt z nas nie docieczе rzeczywistej przyczyny. Ale takie rzeczy – wierz mi – nie zdarzają się przypadkowo.

– Palec Boży – odrzekł Blaine, próbując żartować. Lecz nie wyszło to wcale śmiesznie i Blaine pożałował pochopnie rzuconych słów.

– Palec Boży – powtórzył z powagą Ojciec Flanagan – Palec Boży dotknął twego serca.

– Ależ ja wcale nie prosiłem o taką łaskę – żachnął się Blaine. – Gdyby mi to ktoś zaoferował, odmówiłbym.

– Opowiedz mi o tym – poprosił kapłan. – Wszystko, od samego początku. Proszę, wyświadcz mi tę uprzejmość.

– Ale przedtem ja mam prośbę do Ojca. Pytanie..

– Tak, słucham.

– Ojciec wspomniał, że cały czas szedł moim śladem. Jak Ojciec tego dokonał?

– To proste, mój synu. Sądziłem zresztą, żeś już się domyślił wcześniej. Jestem jednym z was. Jestem po prostu niezwykle sprawnym jasnowidzem.

XXIX

Hamilton było uroczym miasteczkiem przycupniętym nad brzegiem rzeki. Wokół osady wznosiły się wysokie, brunatne o tej porze roku wzgórza, których mniej strome zbocza popstrzone były szachownicą pól uprawnych. Domki w miasteczku były małe, przeważnie drewniane. Z kominów unosiły się leniwie smugi ciemnego dymu, a każdy domek otoczony był niskim płotem porośniętym kępami wysmukłych malw. A wszystko spowijała lekka, jesienna mgiełka.

– Sprawia to wrażenie raju – odezwał się cicho Ojciec Flanagan. – Mam nadzieję, że wiesz co robisz, chcąc zburzyć ten spokój.

Blaine w milczeniu pokiwał głową i zwrócił się z pytaniem do księdza:

– A Ojciec? Co Ojciec zamierza?

– W dole rzeki znajduje się opactwo. Oczekują tam mnie.

– Ale spotkamy się jeszcze?

– Chyba tak. Wracam zresztą do tego mojego miasteczka na granicy. Będę tam samotną strażnicą na granicach władztwa Fishhooka.

– Wyglądając innych, którzy będą próbować tamtędy się przemknąć.

Kapłan potwierdził skinieniem głowy i włączając silnik łodzi, skierował ją ku brzegowi. Gdy dziób łodzi zaszurał lekko o przybrzeżny piasek i kamienie, Blaine potężnym susem wyskoczył na brzeg.

Ojciec Flanagan wzniósł oczy w górę i spoglądał dłuższą chwilę w niebo. Pociągnął kilkakrotnie nosem.

– Idzie zmiana pogody – rzekł pewnym głosem. – Czuję to.

Blaine wszedł po kostki w wodę, podszedł do łodzi i wyciągnął rękę w stronę Ojca Flanagana.

– Dziękuję za podwiezienie – rzekł. – To był jednak ładny kawałek drogi. W dodatku niezbyt wygodnej. Oszczędził mi Ojciec wiele czasu i sił.

– Żegnaj mój synu. Niech Bóg czuwa nad tobą.

Blaine bez słowa zepchnął łódź na głębszą wodę. Ojciec Flanagan włączył motor i łódź szybko ruszyła przed siebie. Blaine stał bez ruchu i spoglądał za oddalającym się kapłanem. Ojciec Flanagan uniósł dłoń w ostatnim geście pożegnania. Blaine pomachał mu również.

Gdy łódź zniknęła za zakrętem, Blaine wyszedł na piasek i raźnym krokiem pomaszerował w kierunku osady.

Wkroczył na ulice miasteczka i w tym samym momencie doznał uczucia, jakby po latach tułaczki wrócił wreszcie do domu.

Nie był to – rzecz jasna – jego rodzinny dom, nie znał tego miejsca, był tu pierwszy raz, lecz czuł, że Hamilton jest domem. Domem dla całego świata. Panował tu spokój i pogoda ducha, bezpieczeństwo i atmosfera przyjaźni. Rodzaj miejsca, gdzie każdy mógł osiąść i po prostu żyć. Nie liczyć upływających dni, cieszyć się chwilą bieżącą, żyć pełnią życia bez troski o przyszłość.

Ulice były wyznaczone rzędami czystych i schludnych domków. Choć ulica, którą wędrował Blaine była jeszcze o tej porze dnia pusta, czuł na sobie spojrzenia mieszkańców rzucane zza firanek w oknach mijanych domów. Nie były to spojrzenia wrogie, nieprzyjazne czy podejrzliwe. Po prostu ludzie spoglądali nań z życzliwością, prostą ciekawością.

Z jednego z podwórek wybiegł pies i merdając wesoło ogonem posuwał się wraz z Blaine'em w najlepszej komitywie.

Gdy dotarł już do skrzyżowania ulic przystanął nie wiedząc dobrze, w którą stronę ma się udać. Rozejrzał się. Po jego lewej ręce ciągnęła się handlowa część miasta. Tam też dojrzał grupę mężczyzn siedzących na schodkach sklepu z artykułami spożywczo-przemysłowymi. Blaine, z plączącym się mu pod nogami psiakiem, skierował się więc w tamtą stronę. Ludzie obserwowali go w milczeniu.

– Dzień dobry – odezwał się pierwszy Blaine. – Czy ktoś z was może mi wskazać, gdzie mieszka człowiek o nazwisku Andrews.

– To właśnie ja jestem Andrews.

– W takim razie, czy mógłbym z panem chwilę porozmawiać?

– Oczywiście. Niech pan siada i rozmawia z nami wszystkimi.

– Nazywam się Shepherd Blaine...

– Wiemy, kim pan jest. Wiemy to od chwili, gdy pańska łódź dotknęła brzegu.

– No tak, oczywiście – uśmiechnął się lekko Blaine. – Powinienem się tego od razu domyśleć.

– To jest Thomas Jackson – przedstawił siedzącego obok siebie mężczyznę Andrews. – Ten to Johnson Carter, a tamten Ernie Ellis.

– Miło mi was wszystkich poznać – odparł Blaine, skinąwszy głową w ich stronę.

– Niech pan siada – Thomas Jackson wykonał szeroki ruch ręką. – Chce nam pan coś zapewne powiedzieć.

Posunął się nieco, robiąc miejsca na stopniu i Blaine usiadł pomiędzy nim a Andrewsem.

– Przede wszystkim chciałbym powiedzieć, że jestem uciekinierem od Fishhooka.

– Wiemy co nieco o panu – przerwał mu Andrews. – To właśnie pana moja córka spotkała kilkanaście dni temu nocą na szosie. Był pan z człowiekiem o nazwisku Riley. A dzisiejszej nocy mieliśmy tu zwłoki pańskiego przyjaciela...

– Którego pochowaliśmy na tym wzgórzu – wpadł w słowa Jackson. – Co prawda pogrzeb ten był może zbyt pospieszny, bez zwykłych ceremonii, ale zawsze to pogrzeb... Wie pan, on był dla nas zupełnie obcym człowiekiem.

– Dziękuję bardzo, sir.

– Poza tym ostatniej nocy były jakieś burdy w Belmont – dorzucił Andrews.

– A nam takie rzeczy są bardzo nie na rękę – poparł Carter. – Możemy mieć z tego powodu wielkie nieprzyjemności.

– Bardzo mi przykro, panowie – odezwał się szybko Blaine. – Ale obawiam się, że przynoszę wieści jeszcze gorsze. Znacie zapewne człowieka o nazwisku Finn?

Mężczyźni skinęli głowami.

– Otóż rozmawiałem z Finnem ostatniej nocy i wyciągnąłem z niego co nieco. Wyciągnąłem wbrew jego woli coś, o czym wcale nie miał zamiaru mówić.

Mężczyźni czekali.

– Jutro wieczorem zacznie się Halloween. Nie znam żadnych bliższych szczegółów. Nie wiem dokładnie jak Finn zamierza to wszystko rozegrać. Wiem jedno – stworzył specjalnie rodzaj podziemia pośród dewiatów, którzy oczywiście nie zdają sobie sprawy, kto za tym wszystkim stoi. Właśnie jutrzejszej nocy podziemie to ma przystąpić do akcji... – i widząc, że jego rozmówcy zesztywnieli na dźwięk jego słów, dodał szybko:

– To podziemie, do którego Finn zaangażował paranormalnych nastolatków, ma w tym roku wyprawić huczne Halloween; jak za dobrych starych czasów. Finn daje im pozornie możliwość dobrej zabawy i prezentacji swych uzdolnień, a jednocześnie w ten niewinny sposób załatwienia zadawnionych porachunków z normalnymi ludźmi. Bóg jeden wie, jak wiele tych krzywd jest do wyrównania.

Przerwał i rozglądając się po zmienionych nagle twarzach mężczyzn dodał twardo:

– Wyobrażacie sobie zapewne jaki to odniesie skutek? Tuzin lub dwa tego typu figli...

– Tuzin! – wykrzyknął, tracąc nagle panowanie nad sobą Andrews. – Tuzin, dobre sobie! Nie tuzin, ale setki, tysiące takich demonstracji. I nie tylko tutaj, ale na całym świecie. Na całym świecie! Skoro to wszystko reżyseruje Finn... Dobry Boże, następnego dnia będziemy starci z powierzchni ziemi!

– A w jaki sposób odkrył pan ów plan Finna? – z rozbudzoną nagle podejrzliwością spytał Carter, zaglądając Blaine'owi w twarz. – Przecież Finn nie powierzyłby panu takiego sekretu. Chyba, że pan i Finn...

– Wymieniliśmy się umysłami – odparł dobitnie Blaine, wytrzymując spojrzenie mężczyzny. – Sposobem, który poznałem podczas jednej z mych podróży międzygwiezdnych. Dałem mu wzór mojej świadomości biorąc w zamian duplikat jego umysłu. Coś w rodzaju kopii... Nie potrafię wam tego dokładnie wyjaśnić, ale wiem jak to robić.

– Wyobrażam sobie, że Finn nie jest panu za ten figiel wdzięczny – zarechotał Andrews. – To musi być dla niego nad wyraz przykre posiadać w mózgu pańską świadomość.

– Jest załamany – odparł krótko Blaine.

– Ach, te dzieciaki – westchnął Carter. – Będą udawać wiedźmy, wilkołaki i upiory. Będą łomotać do zamkniętych drzwi i zawartych okiennic, przesuwać samochody i demolować szopy. Będą potępieńczo wyć i zawodzić.

– Tak to ma właśnie wyglądać – skinął ponuro głową Blaine. – Wedle najlepszych wzorców tego wesołego i szalonego wieczoru. Lecz tym razem dla ofiar tej zabawy, dla normalnych ludzi, nie będą to psoty i figle rozbrykanych dzieci. Oni to potraktują serio jako ingerencję i obłędny sabat rozpasanych, przerażających mrocznych sił. Gnomów, upiorów, wilkołaków. A potem, w ich wyobraźni, zostanie to wszystko jeszcze bardziej wyolbrzymione. Rano już będą krążyć mrożące krew w żyłach opowieści o porozciąganych na płotach świeżych, parujących jeszcze krwią wnętrznościach, o mężczyznach z poderżniętymi gardłami, o pomordowanych noworodkach i zgwałconych dziewczynkach. Tak będzie na całym świecie. Ludzie łatwo w to uwierzą. Uwierzą we wszystko co usłyszą.

– Lecz mimo wszystko – odezwał się cicho Jackson. – nie ma pan prawa zbyt ostro potępiać za to dzieciaków. Pan sobie nawet nie wyobraża w jakim piekle przyszło im żyć. W chwili, gdy dopiero wkraczają w świat, ten świat barykaduje się przed nimi, oskarża ich, morduje w sposób bezlitosny. Wszystkie palce wskazują na nich oskarżycielsko...

– Myśli pan, że nie zdaję sobie z tego sprawy – przerwał mu szorstko Blaine. – Wiem, wiem wszystko. Lecz musicie ich za wszelką cenę powstrzymać. Musicie! W taki czy inny sposób, ale to konieczne. Użyjcie telepatii, telefonu... O, właśnie, telepatii przez telefon... Dotąd sądziłem, że...

Tlatocetl

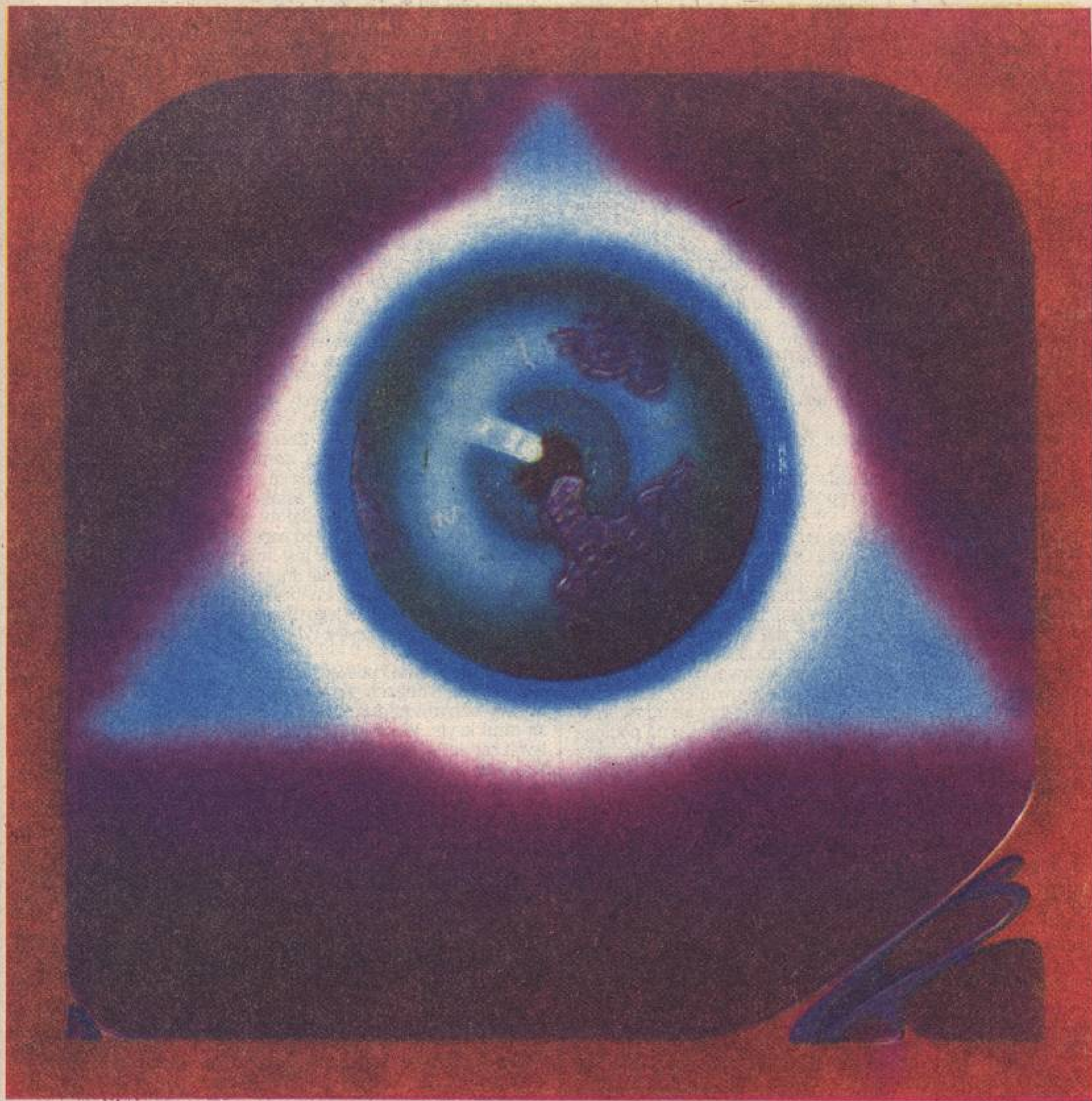
Ciąg dalszy ze strony 20

liły go dwie godziny marszu. Szedł całkiem nową drogą, omijając rejony spenetrowane przez Vahvatila i Śliwę.
Pierwsza kopuła wyskoczyła z ciemności niespodziewanie. Było co oglądać. Światło omywało ostro mleczną muszlę, pod którą spoczywał ciemniejszy, podłużny kształt. Muszla mierzyła ponad trzy metry długości, była asymetryczna i zdawała się wyrastać wprost z kamienia. Yonyer, choć uprzedzony o daremności tego zamiaru, próbował znaleźć ostrzem noża jakąś szczelinę między szkliwem a skałą, ale stal ześlizgiwała się bezsilnie. Rozejrzał się za skrzynką sterowania; na górze wyobrażał sobie małe pudełeczka, przylepione do skały jak małże – tu spotkał go kolejny zawód. Świecenie do wnętrza też nie na wiele się zdało: kiedyś muszlopodobne pokrywy były zapewne przezroczyste, teraz... Bez specjalistycznego wyposażenia, którego „Ritornell" nie wiózł w nadmiarze, trudne do ugryzienia. Śliwa i Vahvatil, ci oczywiście dobrali się do środka materiałem wybuchowym, lecz z dość żałosnym rezultatem: pokrywa wprawdzie została odrzucona, ale z tego, co leżało pod nią nie ocalało nic. Wokół stanowiska minerskiego walily się długie, brunatne drzazgi, w powietrzu kłębiły się jakby paździerze i złoty pył jak po młocce dygotał w strumieniu reflektora. Gaz spod kopuł został wypompowany. Można było się tam dostać, i owszem; garść pakuł stanowiła nagrodę.
Skarbonki pojawiły się w większej ilości, gdy Yonyer zdecydował się głębiej zapuścić między groby. Miały również kształt muszli, tylko o wiele mniejszych i bardziej regularnych. Próby otwarcia ich również okazały się daremne.Przemykając między kryptami doznawał upokarzającego uczucia wsydu. Pocił się obficie, a nakazane przez kompanów czynności wykonywał w gruncie rzeczy bez wiary. Pragnął jak najszybciej coś znaleźć i ulotnić się. Najchętniej zostawiłby gdzieś cały majdan, wyciągnął się i zasnął – i zaledwie o tym pomyślał, wiedział, że właśnie tak postąpi. Vahvatil i Śliwa oczywiście nie uwierzą, kiedy wróci z pustymi rękami, będą podejrzewać, że ukrył przed nimi skarb... pewnie nie obejdzie się bez krzyku i potrząsania promiennikiem, z góry na to przyzwalał, układając plecak obok najbliższej krypty. Potem się będzie z nimi handryczył.
Wydawało mu się, że spał nie dłużej jak pięć minut. Nic mu się nie śniło. Sprawdził czas: upłynęły prawie cztery godziny. Sprzęt zastał tak, jak go porzucił. Wyssał trochę preparatu odżywczego i poszedł się wysikać. Jakoś nie mógł pod kryptą. Opróżniając na zewnątrz zbiorniczek dostrzegł, że najbliższa ze skarbonek ma podniesione wieczko.
Śliwa i Vahvatil dotarli aż tutaj, pomyślał z roztargnieniem. Ale skarbonka była pełna. Zawierała dwa posążki i jakby bębenek: dwa ścięte stożki złączone mniejszymi podstawami. Zabezpieczył skrytkę przed zatrzaśnięciem kamiennym okruchem, wrócił po aparat, sfotografował położenie przedmiotów z różnych stron i dopiero wtedy wrzucił zdobycz do plastykowych worków, które dokładnie zasklepił. Krew łomotała mu w uszach. Dla pewności przejechał rękawicą po gładkiej płycie, ale nie wyczuł nic. Muszla nie chciała z powrotem przywrzeć do płyty. Przynajmniej to było jasne: z chwilą oczyszczenia skrytki stawała się zbędna.
Sukces dodał mu sił; nie myślał ani o wstydzie, ani o sobie w roli rabusia. Błyskawicznie obiegał coraz to inne skarbonki, najpierw tak jak stał, potem uważniej i systematyczniej wodząc reflektorem. Zapał topniał w miarę narastania zmęczenia. Usiadł na stelażu plecaka i zastanowił się. Nic nie wskazywało, aby Vahvatil czy Śliwa osobiście wybierali się do podziemi. Raczej przebąkiwali o sprowadzeniu kolejnych szperaczy z „Ritornella". A przecież pozostało tyle do spenetrowania... Czyżby nie spodziewali się otworzyć ani jednej skarbonki więcej? Może tylko zdawało się im, że znaleźli sposób na opróżnienie podziemnego skarbca, podczas gdy – podobnie jak i on – działali na ślepo?
Poświecił dalej – odbłysnął mu cały las białawych słupów, spomiędzy których wyłaniały się pękate brzuchy pokryw. Znalazł miejsce stosunkowo przezroczyste i zajrzał do środka. Zobaczył jakby odnóże, złożone, wyschłe. Kiedyś, jako dziecko, rozpruł owadzi kokon i wyciągnął sprasowaną, przeobrażającą się poczwarkę. Analogia nasuwała się sama – tyle że teraz miał przed oczami brązowy fragment uda albo ramienia, a może skrzydła, złożony na jakiejś zielonej, pofałdowanej materii czy masie. Tylko tyle. Usiłował rozszerzyć pole widzenia; przeszkadzała obłość wizjera i wypukłość pokrywy. Manewrował światłem – żadnych dodatkowych szczegółów. Pozbierał manatki i rozpoczął odwrót.
Wbrew przewidywaniom wspólnicy z góry nie okazali rozczarowania. Kiedy dobrnął do strefy łączności Beno zapytał tylko, jak mu się poszczęściło. Wiadomość o otwarciu tylko jednej skrytki skwitował krótko: w porządku. Jednak zaraz na powierzchni kazali sobie pokazać plastykowe woreczki z trofeami.
– Dwa kotki i to – powiedział Vahvatil obracając w rękawicach bębenek. – Czegoś takiego jeszcze nie mamy. Jak to nazwiesz? Jako odkrywcy przysługuje ci prawo...
– Tlatocetl – rzekł Yonyer dziwiąc się własnemu zdecydowaniu. Nie miał pojęcia, skąd się wzięła ta nazwa. Po prostu wypłynęła gdzieś z wnętrza mózgu.
– Tlatocetl – powtórzył Śliwa. – Dlaczego tak?
– A bo ja wiem? – zirytował się Yonyer. – Dajcie mi święty spokój!
Chciało mu się jeść i spać. Był zmęczony i ociężały. Zdawało mu się, że wnętrze skafandra wypełnia chlupkie, zimne błoto. Wziął kąpiel i całe zmęczenie spłynęło mu po nogach chłodnymi strumyczkami. Kiedy przechodził do lądownika Śliwy i Vahvatila, mgła nagle rozjarzyła się jak od jaskrawej flary. Startowała kolejna rakieta z ładunkiem dla „Ritornella".
– Cóż cię gnębi, wspólniku? – zagadnął Vahvatil zaraz na wstępie. – Gębę masz skwaszoną jak adwentysta przyłapany na flircie. Napijesz się herbaty?
Pili herbatę z parujących kubków i nie patrzyli na siebie.
– Taki ładny dzień – rozmarzył się Beno – że człowiek rad by z miłości wycałować cały świat. – Odstawił kubek i dodał: – Zadzwoniliśmy po Mezeia.
Yonyer wolno pokiwał głową. – Moja rola skończona?
– Może tak, a może nie. A co – spieszy ci się z powrotem na „Ritornella"?
– Zaczekaj – wtrącił się Śliwa – porozmawiajmy poważnie. Rysują się pewne prawidłowości.
– Jakie?
– Jak dotąd żadnemu z nas nie udało się opróżnić więcej niż jednej skrytki. Ile razy schodziliśmy, Beno? Cztery albo pięć. – Śliwa machnął ręką z rezygnacją.
– To by oznaczało, że w Labiryncie można obłowić się tylko raz? – zapytał Yonyer.
– Na to wygląda.
– A zdajecie sobie sprawę, o czym to świadczy? – powiódł po ich twarzach szybkim spojrzeniem. – Labirynt odróżnia nas od siebie. Rozpoznaje nas. Demaskuje spryciarza, któremu nie wystarcza jeden zaciąg.
– Posądzenie cokolwiek naciągane – ocenił Śliwa. – Nie prościej zwalić całą odpowiedzialność na przypadek?
– Prościej – zgodził się Yonyer. Przez moment własne wymysły wydały mu się śmieszne, ale skoro zaczął, musiał brnąć dalej. – Tylko że prościej nie zawsze znaczy: bliżej prawdy. Przyjmijmy – dla zabawy – że istotnie Labirynt potrafi identyfikować tych, co do niego wleźli. Innymi słowy bierzemy wyłącznie to, co dla nas naszykował. Wszystko inne pozostaje poza naszym zasięgiem.
– Interesujące – przyznał Vahvatil. – Mamy jeszcze parę dni, a Mezei wiezie trochę dobrego sprzętu.
– Wiertła nawet nie zarysowały tej masy – powiedział ze sceptycyzmem Śliwa. – Cholera wie, co to właściwie jest. Twarde jak diabli.
– Mówcie co chcecie – upierał się Yonyer – ale ja odniosłem wrażenie, że w najmniejszej mierze nie przyczyniłem się do rozbrojenia skrytki. Otwarła się sama – pozostawało wygarnąć zawartość.
– Prawdę rzekłszy ze mną było podobnie – oświadczył Śliwa. Obaj spoglądali pytającym wzrokiem na Vahvatila, który tylko uśmiechnął się i rozłożył ręce.
– Według mnie mechanizm „rozpoznawania" mógłby być całkiem prosty. Próżnia nigdy nie jest doskonała, a zatem pod kopułkami wałęsają się charakterystyczne pary czy atomy znaczone – w śladowych ilościach, oczywiście – które w momencie ładowania towaru osiadają na skafandrze... – Yonyer urwał, badając jakie wrażenie wywarły jego słowa. – W momencie podchodzenia do następnych stanowisk odpowiednie czujniki posyłają sygnał do układu blokującego krypty i facet odchodzi z niczym.
– Odpowiednie czujniki! – prychnął Śliwa. – Wyobrażasz sobie ich czułość? W dodatku niewidzialne!
– Może cała pokrywa to jeden wielki czujnik?
– A mnie podoba się ten pomysł – powiedział Vahvatil. – Głównie dlatego, że przenosi problem ze sfery metafizyki w dziedzinę fizyki, a może nawet techniki. Przypomnij sobie – zwrócił się do Śliwy – ilu skafandrów używaliśmy do poszukiwań?
– Dwóch.
– Mnie też się tak wydawało. Jutro przywdziejemy nowe ubranka. No, co wy na to?
Zrobili sobie jeszcze po herbacie, a potem Śliwa nalał każdemu porcję samogonu. Alkohol był słaby, ale smakował.
– Coś mi się tu nie podoba – podjął Yonyer ocierając usta wierzchem dłoni. – Prześladuje mnie myśl, że wpakowaliśmy się w kabałę nie na nasze głowy. Nie chciałbym nikogo urazić... ale wtargnęliśmy do królestwa śmierci. Naruszyliśmy wieczny spokój. Chciałbym wierzyć, że nam to ujdzie płazem.
– Zmarłych czterdzieści wieków temu – podrzucił kąśliwie Vahvatil.
– Nieważne, śmierci czas nie obchodzi. Złamaliśmy zasady obowiązujące nas jako ludzi. Źle zabrzmi to, co powiem, ale uważam, że we wspólnocie rozumnych musi istnieć podobne traktowanie śmierci i podobne zachowanie wobec śmierci. Śmierć budzi respekt, zwłaszcza wśród rozumnych, a że byli rozumni, o tym chyba nie wątpicie?

– Po cholerę nam to mówisz? – zerwał się Vahvatil. Zaczął łazić po kabinie szybkimi krokami – na tyle, na ile pozwalała ciasnota pomieszczenia. Śliwa milczał. – Myślisz, że robisz odkrycia? Że my tego nie wiemy?
– Wiecie? I co?
Vahvatil usiadł na łóżku. Wsparł głowę na rękach i zapatrzył się w jakiś punkt na podłodze.
– Słuchajcie, przecież to czyste barbarzyństwo. Dobierzemy się im do trumien, bo a nuż przed pochówkiem nie wybito im wszystkich złotych zębów i nie pościągano obrączek z palców. Wpadliśmy na cmentarz, gdzie powinno być cicho, gdzie mają szumieć brzozy, gdzie trzeba się zadumać i pomodlić – a my z rykiem, wesoło, worki w rękach, przy okazji nakopać trochę żwiru i zabawić się dynamitem. – Urwał; wydało mu się, że przecina jak wrzód coś, co narosło i domagało się przecięcia, mimo napreżonej atmosfery jednak sprawia ulgę – im i sobie. – Bez pieprzenia: chcę powiedzieć, żeśmy ich zleważyli. Obudziliśmy ich gniew. Naszym potraktowaniem miejsca, które jest – musi być dla nich święte, sprawiliśmy...
– I dlatego złe duchy, które poruszyliśmy, będą się na nas mściły! – Beno Vahvatil podjął na nowo wędrówkę: trzy kroki ku ścianie i trzy z powrotem. – Obraziliśmy Złe Mzimu i teraz tylko patrzeć, jak katastrofa zwali się nam na głowy? Przestań histeryzować, do cholery! – To co – mamy pozanosić nasze kotki i ten twój, jak mu tam...
– Tlatocetl – podpowiedział Yonyer; przeleciał go dreszcz. Zapadł szybki mrok i w kabinie zrobiło się chłodno.
– Mamy pozanosić na stare miejsca, powkładać pod baniaczki, pozalepiać supercementem i wycofać się tyłem z litanią na ustach? Ach, nie gniewajcie się, wytworni, my nie naumyślnie!
Yonyer wstawał powoli, odstawiając dawno wystygły kubek.
– Wpakowaliśmy się po uszy – powiedział. Nie ma już odwrotu. Już się zadecydowało. Nieodwołalnie. – Stanął przed Vahvatilem, wyprostowany, i spojrzał mu prosto w oczy. – Jemu – pokazał kciukiem w górę – też zamierzacie odwalić ten cyrk z promiennikiem?

IV

Bywały takie dni, kiedy Buchse nie potrafił dojść do ładu z otoczeniem. Budził się nagle w środku nocy z ponurym przeświadczeniem, że nic nie pamięta – ani gdzie jest, ani jak się tutaj znalazł. Wpatrywał się w ścianę nad łóżkiem – pewien, że widzi ją po raz pierwszy w życiu. Czyjeś rozedrgane ręce wydrapały głęboko w laminacie, aż do metalu, grube krechy – sześć czy siedem – jakby ktoś próbował tymi nacięciami oznaczać dni. Pościel pokrywały jeszcze płatki lakieru; Buchse przyglądał się kreskom bez zrozumienia, pewien tylko jednego: tym razem jeszcze się wywinął. Udało mu się ujść z życiem. Wisiała nad nim monstrualna łapa o siedmiu pazurach, która już sposobiła się do ciosu – w ostatniej chwili coś stanęło jej na przeszkodzie. Ślad na ścianie był jednocześnie znakiem ocalenia.
Wychodził na korytarz, niczego nie rozpoznając. W powietrzu wisiała mgła, a właściwie poświata, odkładając się złotymi pasmami na ciemniejszym tle. Rzadko spotykał ludzi, a jeśli już – schodzili sobie z drogi. Nie potrafiłby wytłumaczyć, dlaczego. Bał się ich – czy też oni bali się jego. Skąd się wzięli w tym pustym mieście? Wracał do kabiny, przekopywał zakamarki w poszukiwaniu jedzenia, znajdując jedynie garść kartek zapełnionych rozchybotanym pismem. Przekładał je przed oczami; nic dla niego nie znaczyły.
Przed ponownym zagrzebaniem się w pościel miewał przebłyski genialności. Czuł, że za wszelką cenę musi postawić kolejną kreskę obok tamtych, że poza tym przeklętym imperatywem nic się już nie liczy. Jak na zawołanie znajdował błyszczący chromem rylec, upuszczony przezornie obok łóżka, chwytał go pewną dłonią i skoro tylko wyżłobił rysę, doświadczał przedziwnej ulgi. Mętlik w głowie ustępował miejsca spokojowi, ukojeniu, zaspokojeniu. Zasypiał niemal szczęśliwy.
Świadomość wróciła Buchsemu na dobre, gdy wyżłobień na ścianie było dokładnie dziesięć. Według kalendarza od ostatniej zapamiętanej daty upłynęły trzy dni; od opuszczenia Miradora – dziesięć. Co się z nim działo? Dlaczego nikt do niego nie zajrzał, nie zainteresował się jego losem? Przeszłość – tę najbliższą – wspominał jako ciągłą walkę z obezwładniającym umysł szaleństwem. Zmagał się z alkoholem albo narkotykiem, odbierającym pamięć i deformującym świat – ale wygrał. Własne odbicie w lustrze obejrzał jak portret zupełnie obcego człowieka: spoglądała na niego poczerniała twarz o zapadłych policzkach i błyszczących oczach. Kiedy się golił, światło zamigotało i zgasło. Było chyba bardziej żółtawe niż zwykle – zastanawiał się. Nawaliły agregaty? Odłożył aparat i wyjrzał na korytarz. Ciemno. Nie miał pojęcia, co zrobić w takiej sytuacji, ale nim zdążył cokolwiek postanowić, lampy rozjarzyły się na nowo.
W jadalni Dobrowolski kłócił się o coś z Mezeiem. Nie zwrócili uwagi na wejście doktora. Nalał sobie kawy, położył na talerzyku trochę syntetycznego chleba, ser, masło, parę plasterków wędliny. To już z Miradora, pomyślał z roztargnieniem. Usiadł i zaczął rozsmarowywać masło na kromce.
– O, to pan, doktorze – rzekł Dobrowolski całkiem naturalnym tonem, jakby Buchse wychodził tylko na chwilę. – Dobrze, że pana widzę. Buchse jadł i nie odzywał się. Dyskusje na temat nawigacji obchodziły go tyle co śnieg na Marsie; nigdy w nich nie uczestniczył.
– Zgoda, spycha nas z kursu – rzucił z gniewem Dobrowolski zwracając się do Mezeia, a właściwie przed siebie. – Coś nieustannie spycha nas z kursu, tak?
– Nie w tym rzecz – wtrącił napastliwie Mezei. – Do tej pory rejestrator zanotował dziesięć impulsów, które – gdyby nie interwencja układu autonomicznego – dają w efekcie ciekawą krzywą wypadkową.
– Ile impulsów? – spytał Buchse.
– Dziesięć. Coś się nie zgadza?
– Nie, w porządku. Tak tylko pytam.
– Ta krzywa wygląda w ten sposób – Mezei pokazywał Buchsemu arkusze, które wyciągnął nie wiadomo skąd. Dobrowolski demonstracyjnie odwrócił głowę i zagapił się w przeciwległy kąt jadalni. Widocznie obejrzał wykresy wcześniej. Buchse uprzejmie obrzucił wzrokiem kolorowe węże i kompletnie nic nie rozumiejąc z wyjaśnień Mezeia pokiwał znacząco głową. Jedzenie smakowało. To już na pewno z Miradora, osądził.
– Nanosiłem hipotetyczne odchylenia na krzywą kursu – perorował Mezei – przy założeniu, że poszczególne impulsy nie napotkały z naszej strony przeciwdziałania. Tak wyglądałaby sytuacja po pięciu impulsach początkowych – wyciągnął jakiś arkusz. – A tak po dziesięciu – znowu zaszeleścił zwojami, aż rozpostarł z triumfem właściwy. – Niech pan tylko spojrzy, doktorze. Tu wszystko ma pan wyrysowane jak na dłoni. Orbita Miradora przecina się z kursem statku. Zadanie impulsów polegało na zwróceniu „Ritornella" z powrotem na Miradora!
– Ciekawa hipoteza – skwitował Buchse.
– I nic ponadto! Napracował się pan, ale naprawdę niewiele z tego wynika, kolego Mezei. Proszę się nie obrazić, ale coś mi się zdaje, że do z góry przyjętej tezy dopasował pan fakty – grzmiał ze swadą Dobrowolski. – Nasz młody kolega – puścił do Buchsego oko – od pewnego czasu usiłuje wskoczyć na moje miejsce. Taki cel sobie wytknął, proszę ja was. Dążąc do niego ustawicznie, uważa wszystkie dostępne mu sposoby za dopuszczalne. Nie, doktorze, proszę go nie potępiać, to taka nasza wspólna zabawa. Rozgrywka i rozrywka zarazem. Mnie się opłaca spierać z kolegą Mezeiem – dzięki niemu utrzymuję się w jakiej takiej kondycji intelektualnej. Pan rozumie, doktorze, kolega Mezei jak ten żarłoczny szczupak nie pozwala mnie, tłustemu karasiowi, zbytnio obrosnąć sadłem! – śmiał się rechotliwie i walił grubymi łapami o stół. Mezei zwijał powoli swoje arkusze i uśmiechał się zagadkowo.
– Pójdę już – powiedział Buchse – chorzy czekają.
– A kto właściwie jest chory? – zainteresował się Mezei. Buchse zbył jego pytanie milczeniem.
W kabinie Yonyera panował półmrok. Sam Yonyer spoczywał na tapczanie, z wysoko podłożoną poduszką i rękami swobodnie opuszczonymi wzdłuż tułowia. Na tle pościeli jego twarz z zamkniętymi oczami odznaczała się jaśniejszą plamą. Musiał wyczuć obecność doktora, ponieważ poruszył się i z trudem wyszeptał kilka słów.
– Jestem, jestem – zapewniał Buchse pochylając się nad nim. Ujął rękę chorego, gorącą i suchą. – Zaraz się panem zajmę.
Odpowiedział mu krótki spazm – ni to kaszel, ni śmiech.
– Jakie to życie niesprawiedliwe – mówił Yonyer tak cicho, że doktor aż wstrzymał oddech. – Wszyscy wyzdrowieli, tylko ja...
– Nieprawda – zaprzeczył żywo Buchse – ja też miałem ostatnio kłopoty. Dopiero od dzisiaj jestem na nogach.
– A kto przychodził do mnie przez te wszystkie dni? – oburzył się Yonyer. Machnął ręką, która opadła ciężko wzdłuż boku. – Nieważne. Nic się już nie liczy. To już koniec, doktorze. Błagam, niech pan nie zaprzecza. Niech mi pan oszczędzi tych waszych słodziutkich kłamstewek na minutę przed pójściem do Bozi. Czuję się jak facet, który zaraz umrze, ot co.
Znowu rozchichotał się śmiechokaszlem, od którego Buchsemu ciarki chodziły po plecach. Podane przez doktora pastylki przyjął z grymasem ostentacyjnej niechęci; picie wody z podstawionej szklanki sprawiało mu widoczną trudność. Jego szyja wyglądała jak obciągnięta delikatną bibułką japońską.
– Daremny wysiłek – powiedział – niemniej dziękuję panu. Oni, tam – Buchse domyślił się, że mówi o Miradorze – zastawili na nas pułapkę. Uniknęlibyśmy jej – gdybyśmy byli choć trochę lepsi. Oni są mądrzy, o tak. Przyszykowali pułapkę na złe, chciwe zwierzęta – i złapali nas. To nie przypadek. Nie przypadek – powtarzał.
– A tak między nami, doktorze – podjął z niespodziewaną energią – to wciąż zastanawiam się, czy okazaliśmy się wyjątkowymi kreaturami, czy też inna załoga zachowałaby się identycznie? I wie pan, do jakiego wniosku dochodzę? Ludzie są źli jako rasa. Zło jest ich immanentną cechą, zostało w nich zakodowane – jak kolor oczu czy skłonność do tycia. Nasza gotowość do propagowania zła, psucia, szkodzenia i niszczenia stanowi – ujmując rzecz statystycznie – właściwość nie do przezwyciężenia. Pewnie, znajdzie się tu i ówdzie kilku świętych, ale nie zmieni obrazu całości. Teraz niech pan spojrzy na to oczami właściciela pastwiska, na którego teren zakradły się wyjątkowo złośliwe kojoty. Takie, które mordują i niszczą więcej niż potrzebują by przeżyć. Co pan zrobi? Prawdopodobnie zawróci do domu po strzelbę. – Przerwał, by odetchnąć głęboko. – Tak, mój panie. Czy się nam podoba, czy nie, wcześniej czy później zostaniemy wymazani.
– Zbyt czarno patrzy pan na pewne sprawy... – zaoponował nieśmiało doktor Buchse.
– Wymazani! – Yonyer przeciągnął po pościeli otwartą dłonią, jak gdyby coś ścierał. – My jesteśmy muchy, roznoszące kawałki zła



P. Osiński

po całym kosmosie. Gdzie się tylko da. Co za wstrętny gatunek! Ale czy to moja wina, że urodziłem się muchą? – Opadł na wezgłowie, oddychał szybko jak po biegu. – Z mojej perspektywy trudno uznać zastany porządek za sprawiedliwy. Czy uwierzy pan, że tam, wśród tych przeklętych oparów, w tych trochę głębszych piwnicach byłem jedynym, który zgłaszał wątpliwości? I oto nagroda: inni cieszą się zdrowiem, śpiewają piosenki, układają plany, a ja leżę tutaj. Czy tak powinno być?

– Myli się pan – powiedział ostrożnie Buchse. – Na ośmiu ludzi tylko dwóch czuje się jako tako. A i ci nie są pewni ustąpienia dolegliwości na trwałe.

– Ależ mnie pan pociesza, doktorze! Pan chyba sądzi, że polepszy mi się od samej myśli, że z innymi również nietęgo! – prychnął z dezaprobatą. – Taki Mezei. Na pewno zdrów jak ryba.
– Widziałem go dzisiaj – bąknął Buchse. – Wprawdzie nie miałem czasu go zbadać...

– Przecież Mezei tam stoi – Yonyer pokazał ciemny kąt kabiny. – Też czeka... Czy to nie Mezei? Patrz pan, jak mu się ryło śmieje. A ten z tyłu – czy to przypadkiem nie Vahvatil? Już tu krążą, czatują...

Buchse czekał, aż omamy ustąpią. Lekarstwa powinny już zacząć działać. Istotnie, Yonyer zapadł w krótki, szarpany sen. Buchse przystawił fotel do wezgłowia chorego i usiadł.
W godzinę później Yonyer wznowił swoje monologi. Gasł w oczach. Buchse zaaplikował mu trochę środków wzmacniających i podpiął elektrodę. Patrzył, jak w poprzek ekranu biega biała śnieżynka pulsu.

– Najlepiej nie mieć żadnych wątpliwości. Robić co każą, bez zastanowienia. Być może w każdym, kto dorósł do wątpliwości pojawia się zalążek jakościowo innego człowieka? Kto rozumie, a przynajmniej dostrzega swe błędy, widzi ich sieć rozpostartą nad sobą, ten już właściwie dojrzał, by ją przerwać – a zatem należy go osądzać według nowych, surowszych kryteriów. To nowy, lepszy człowiek – cóż z tego, że jeszcze słaby jak niemowlę? On już żyje, a tamci – martwe kamienie... Doktorze, jest pan tu jeszcze? Nigdy nie wierzyłem w Boga... na tyle mocno, na ile by należało. Coś tam przeczuwałem, ale nie pozwalałem przeczuciom, by mną zawładnęły. Tak sobie tłumaczyłem: skoro człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boga, więc stwórca musi być odbiciem wszystkich naszych słabości. Skoro jesteśmy źli – my, jego dzieło, w jakimś stopniu zły, ułomny musi być on sam. A więc to nie Bóg... Jakieś indywiduum, ale nie Bóg. Skąd my się wzięliśmy, doktorze? Czym jesteśmy pomiotem?

– Może należało wierzyć wbrew wszystkiemu? – podsunął Buchse bez przekonania.
– Jak Hiob? – zapytał Yonyer słabym głosem. – Może. Ale zostało mi za mało czasu, żeby spróbować. Za mało czasu – powtórzył i jakby się zdumiał. – W ogóle nie mam już... – dalszego ciągu Buchse raczej się domyślił niż dosłyszał. Yonyer odrzucił mocno głowę na poduszce, jakby dość miał widoku doktora, i zapatrzony w cienie na ścianie znieruchomiał.

Buchse poruszył się gwałtownie w fotelu, ale natychmiast uświadomił sobie zbędność jakichkolwiek gestów. Śnieżynka na ekranie zaprzestała pląsów i świeciła w mroku jak gwiazda.

– Mam jeszcze do pana tylko jedną prośbę – powiedział Yonyer. Stał obok posłania zmarłego, vis-à-vis doktora. – Niech pan nie dotyka tlatocetla. Rozumie pan? Pod żadnym pozorem nie wolno panu dotykać tlatocetla.

Buchse westchnął głęboko i zamknął umarłemu powieki. Czuł coś w rodzaju rozczarowania, zażenowania i – jednak – ulgi. Przez pewien czas trawił w sobie tę skomplikowaną mieszaninę uczuć, potem podniósł głowę i rozejrzał się po kabinie.
– Nie wolno panu dotykać tlatocetla – powtórzył Yonyer.
W jaskrawym świetle zmarły wyglądał jak woskowa lalka. Do-

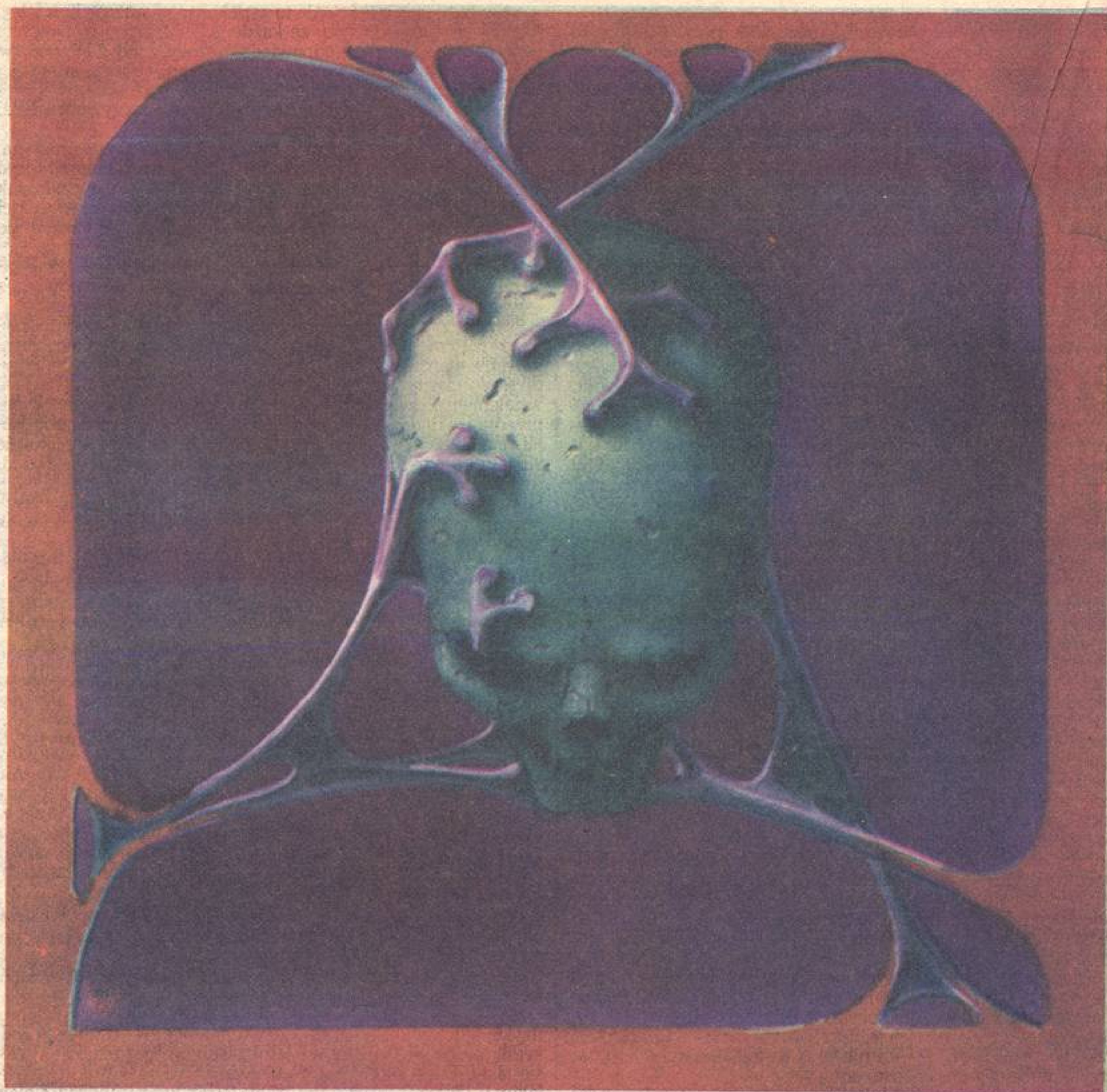
piero teraz Buchse spostrzegł, jak bardzo zmienił się jego pacjent od momentu wkroczenia do gabinetu medycznego „Ritornella". Tlatocetl znalazł właściwie bez wysiłku – leżał u jego stóp. Yonyer musiał upuścić go pod tapczan w momencie szczególnego odpływu sił. Przedmiot był ciężki jak na swą objętość – i martwy jak kamień. Jego powierzchnię żłobiły dziwne znaki. Bez wątpienia była to jednak ta sama zabawka, którą Buchse zobaczył w rękach Yonyera podczas krótkiego seansu wideołączności. Owinął tlatocetl znalezionym kawałkiem folii, podszedł do szafy i wyjął zza szyby dwie niewielkie figurki nie znanych mu zwierzątek. Oryginalne, pomyślał wsuwając je do kieszeni. Z Miradora. Wychodząc zredukował światło do poprzedniego poziomu.
Yonyer przyglądał się w milczeniu poczynaniom doktora, a kiedy Buchse zniknął za drzwiami, spojrzał bez cienia uczucia na stygnące w pościeli zwłoki i z wolna uniósł się w górę. Krążył od kabiny do kabiny, pragnąc pożegnać się ze wszystkimi po kolei. Mezei z Dobrowolskim ciągle siedzieli w jadalni. Arkusze leżały porzucone na podłodze, na stole dymiły talerze z rosołem. Vahvatil spał i Yonyer na chwilę ukazał mu się we śnie. Doktor Buchse zdążył już dobrze ukryć tlatocetl i teraz zastanawiał się, gdzie umieścić obydwa kotki. Powie, że dostał je od Yonyera w prezencie. Wyglądał na zadowolonego.
– Pod żadnym pozorem... – zaczął Yonyer, ale przypomniał sobie, że już to mówił.
Śliwa leżał w łóżku i czuł się bardzo podle.
– Nie bój się śmierci – pocieszył go Yonyer, ale Śliwa w ogóle nie zwrócił na niego uwagi.
Wreszcie Yonyer zakończył pożegnalną serię odwiedzin. Teraz Ziemia, pomyślał bez żadnej emocji. Opuszczając statek dostrzegł jeszcze doktora, który siedział w swojej kabinie.
Myśli Buchsego krążyły uparcie wokół ostatnich wydarzeń. Robić sekcje? Powtarzać analizy? Nie wiedział, na co się zdecydować. W ciągu tych kilkunastu minut Yonyer stał się dla niego nieskończenie odległy i obcy. Był człowiek - nie ma człowieka. Trudno. Z niechęcią myślał o swoim związku z tą sprawą.
Podniósł się ciężko i wydobył z dolnej szafki owinięty w folię tlatocetl. Obnażał go bez pośpiechu, szeleszcząc kawałami tworzywa, które - gdy stało się zbędne – zepchnął po prostu na podłogę po drugiej stronie stołu. Arkusz osiadł na dywanie, prostując się z cichym potrzaskiwaniem, jakby przeskakiwały po nim ładunki elektryczne.
Doktor odwrócił jeszcze aparat wideo, tak by w przypadku włączenia się jakiegoś natręta kamera pokazywała tylko pusty kąt pokoju. Drzwi blokowały się samoczynnie. Potrzebował kilku prostych czynności dla zajęcia rąk i uspokojenia umysłu, ale nic nie zdołał wymyślić.
Usiadł i zaczął wpatrywać się w przedmiot. Według ziemskich kanonów nie imponował pięknem, jednak jego kształt, wzajemne ułożenie poszczególnych płaszczyzn i krawędzi sprawiały, że na swój sposób fascynował. Wydawał się wycięty z litego materiału albo wytopiony z idealnej formy – ale ewentualne zabiegi z tym związane nie pozostawiły żadnych śladów po narzędziach. Miało się wprost ochotę dotknąć jego żłobionej w dziwne wzory powierzchni, wziąć do rąk – po uświadomieniu sobie tych pragnień Buchse ze zdziwieniem dostrzegł w tlatocetlu jakby estetykę wyższego rzędu, umykającą na pierwszy rzut oka, lecz później nieznośną i drażniącą.
Poczuł chłód, zaledwie ujął tlatocetl w ręce. Z bliższej perspektywy jego geometria traciła sporo ze swej doskonałości i harmonii. Naraz rozmieszczenie krawędzi i płaszczyzn wydało się Buchsemu do poprawienia, jednocześnie zaś sposób, w jaki tlatocetl układał się w dłoniach wręcz prowokował do reakcji. Był jak żywe stworzenie, które niepostrzeżenie dokonuje serii drobnych ruchów, udając w przerwach doskonałą martwotę. Buchse nie mógł się oprzeć złudzeniu, że tlatocetl lada chwila wysunie mu się z palców, jeśli go nie przytrzyma.
Powierzchnia tlatocetla utraciła metaliczny chłód, w dotyku także bardziej przypominała zamsz lub irchę. Czy to możliwe, żeby własności fizyczne mogły się zmienić w tak krótkim czasie? Wzrok kłamał dotykowi, wzory o nieregularnych formach przywodziły na myśl stare księgi oprawne w tłoczoną skórę. Na pozór chaotyczne, po dokładniejszych oględzinach traciły charakter zawiłej plątaniny, ale ukryta w ich rozmieszczeniu prawidłowość nie dawała się sformułować prosto. Tak jak w przypadku linii papilarnych, pomyślał Buchse. Poczucie niepewności ustąpiło miejsca narastającej euforii, doktor nagle wydał się sobie znacznie lotniejszym i odważniejszym człowiekiem. Cóż mam do stracenia, tłumaczył sobie, podczas gdy jego palce błądziły wokół tlatocetla. Był niemal pewien, że powinien poprawić układ geometrycznych cech przedmiotu, że zrobi to w końcu i że zrobi właściwie.
I zaledwie uwierzył w tę możliwość, jego palce bogatsze o uzyskaną wiedzę manualną wykonały zdecydowany ruch. Zaskoczony – powinien przecież im rozkazać - dziwił się opanowującej go dziecinnej radości. Stan zadowolenia trwał krótko, ustępując doskwierającej niewygodzie – i już stało się jasne, że finał gry nastąpi dopiero po całej sekwencji ruchów. Palce obiegały teraz przedmiot z zadowoleniem niemal erotycznym i od czasu do czasu, jak gdyby pragnąc zaskoczyć Buchsego, wykonywały kolejny manewr. Z tępych końców przedmiotu wydobywał się potężny prąd, wnikał do jego dłoni, ramion i barków, docierał do głowy obejmując organizm doktora jak gdyby pierścieniem. Doktor był pewien, że niczego podobnego jeszcze nie doświadczył i przez chwilę mignęła mu myśl, czy dane to było przed nim jakiejkolwiek istocie żywej. Strumień gęstniał, przybierał na mocy, obejmując go przyjaźnie. Sięgał już czubka głowy i w mózgu Buchsego rozlewało się miłe ciepło. Czekał z głupawym uśmiechem na dalszy ciąg, kompletnie zarzuciwszy kontrolę rąk, zapatrzony we własne wnętrze, gdzie rozwijało się coś, co już od samych narodzin zagrażało dominacją, gdy wyrośnie, lecz Buchse zezwalał na bieg rzeczy, więcej – pragnął go w oczekiwaniu na zamykający sekwencję orgazm. Powieki opadły mu na oczy; wyglądał jak zatopiony w medytacjach. Tylko ruch rąk i bijące spomiędzy nich blade światło zaprzeczały temu wrażeniu.
Ale rozwijający się tak pomyślnie proces znienacka uległ spowolnieniu, a potem zahamowaniu. Budząca się wewnątrz Buchsego inność zwęszyła niebezpieczeństwo. Próbował uspokoić jej zwierzęcą nieufność, lecz pierścień ciepła osuwał się szybko po jego ramionach. Przeszył go nagły mróz. Poprzednie wrażenia wydały mu się ohydne w swej prostackości, poczuł do siebie pogardę, że im uległ. Przedmiot w jego palcach stał się zimny i ciężki, jak wykonany z litego żelaza. A przecież jeszcze przed chwilą nie zauważał jego wagi.
Kiedy strumień ciepła do reszty wsiąkł w tlatocetl, by tam zniknąć bez śladu, Buchse poczuł się totalnie nieszczęśliwy. Tlatocetl go odtrącił. Zdyskwalifikował. Zrezygnował z niego. Uznał, że się nie nadaje. Co teraz, co teraz, szeptał kiwając się nostalgicznie w fotelu. Wstrząsały nim dreszcze, z zimna albo z wewnętrznej depresji. Rozpacz bez reszty zalała jego umysł. Zaczął się prawie modlić: nie porzucaj mnie, daj mi jeszcze jedną szansę.
Resztki odporności prysły pod coraz bardziej zaciekłymi atakami stresu. Człowieku, marność jest imię twoje... Jako lekarz wiedział to już dawniej, ale zrozumiał dopiero w tej chwili. Prochem jesteś i w proch... Aż się uniósł i nabrał do płuc powietrza z zachwytu. Rozejrzał się po kabinie. Jego umysł pracował jasno i precyzyjnie. Raz na zawsze skończyć z tym bezsensem. Zasnąć i nie obudzić się więcej.
Odłożył przedmiot i poszedł do szafki z medykamentami. Stał jak nie na swoich nogach. Przesuwał palcem po etykietkach z grubymi, wyraźnymi napisami, z trudem przypominając sobie, co się za nimi kryje. W końcu wybrał. Nakrętka – jedno z tych sprytnych zamknięć dla ochrony przed dziećmi – stawiała niespodziewany opór, dając Buchsemu sekundę, może dwie zwłoki. W tym samym momencie, kiedy ją zerwał, odezwał się wideofon.
– Jestem – powiedział Buchse, nie wiedząc jeszcze kto dzwoni. Z buteleczką w ręce wszedł w pole widzenia kamery. Z ekranu spoglądał na niego Vahvatil.
– Coś się stało, doktorze? – rzekł z przesadnym ubolewaniem. – Nie wygląda pan kwitnąco. Może...
– Krótko, o co chodzi – warknął Buchse. Chciał być opryskliwy, ale z jego ust wydobył się tylko słaby skowyt.
– Nie ma pana w gabinecie w godzinach przyjęć – oznajmił Vahvatil. – Incydent godny ubolewania. Zwłaszcza że dookoła pacjent na pacjencie.
– Tak? – Buchse odłożył buteleczkę i próbował zebrać myśli. – Przypuśćmy. – Nie bardzo wiedział, jaki to ma związek z jego osobą. – A kto jest chory?
– Niejaki Yonyer. Mówi coś panu to nazwisko? Taki chory, że właściwie trup. Zastanawiam się, co na to powie Dobrowolski.
– Yonyer nie żyje i proszę wyrażać się o nim z szacunkiem – rzekł sztywno Buchse. Nie zdając sobie sprawy z tego gestu przestawił aparat w poprzednie położenie. – Nie pomoże mu nawet sztuczne oddychanie. Kto jeszcze?
– My jesteśmy chorzy, ja i Mezei. Z niepokoju – wyszczerzył zęby Vahvatil. – Ściśle mówiąc chodzi nam o wazonik na pańskim stole.
Doktor spojrzał w tamtą stronę i przygnębienie złapało go jak w imadło. Poszukał wzrokiem buteleczki.
– Przyjmie pan dwóch pacjentów, którzy zapłacą za poradę pokorą i wdzięcznym sercem?
Skinął tylko głową. Potrzebuje parę sekund, najwyżej pół minuty. Potem mogą mu skoczyć.
– To niech pan odblokuje wejście.
Poszedł mechanicznie ku drzwiom, zdając sobie doskonale sprawę ze zbędności tego gestu. Walczył z czasem, nie z nimi. I o czas.
– Już – powiedział. Drzwi odskoczyły, odwalone stanowczym kopniakiem. Wtargnął przez nie Mezei, przypadł jak pijawka do doktora Buchse i wwiercił mu w szyję lufę porecznego miotacza.
– Myślałeś, że będziesz nas kiwał, cwaniaku! No, dalej – nie wiedział, co jeszcze powiedzieć, zaskoczony brakiem oporu i widokiem tlatocetla, więc tylko dokończył: – Rączki do góry!
Buchse roześmiał się ponuro. Wolnym ruchem odsunął lufę i usiadł. W trakcie tych czynności zauważył, że ekran wideofonu zgasł.
Przez kilka szybkich oddechów czekali na przybycie Vahvatila. Doktor uśmiechnął się na jego widok i powoli, z precyzją zaczął wystukiwać z buteleczki żółtawy proszek na dłoń.
– Zabijcie mnie – mamrotał – bardzo proszę. I szybko, jeśli łaska. Bez nabożeństwa.
Vahvatil jednym ruchem wytrącił mu flakonik. Proszek opadł złotą smugą pyłku na dywan. Odstąpił o krok.
– Któż tu mówi o zabijaniu, doktorze? – starał się nadać głosowi jowialny ton. – Dosyć tych trupów, na jeden dzień wystarczy. Przyszliśmy tylko do pana z malutką propozycją.

Mezei domknął drzwi i zupełnie opuścił lufę.
– Tlatocetl, który pan tu... hm, przyniósł, jedynie w połowie stanowił własność naszego zmarłego kolegi. Proponujemy panu uczciwie przyjęcie jego udziału. Do czasu sprzedaży towar pozostaje pod pańską opieką. Wie pan, mamy trochę tego... – zafalował z gracją ręką – w nadmiarze. Zgoda?
Buchse kiwał się mechanicznie.
– Jeśli pan nie odmawia, proszę podpisać ten dokument. Kopia oczywiście dla pana.
Bez słowa spełnił żądanie. Zaskoczeni takim obrotem sprawy napastnicy ulotnili się bez dalszych ceregieli. Buchse wpatrywał się w podłogę, żałując zniszczonej buteleczki i proszku, lecz nie wstawał po nową. Chcieli mnie zabić, rozmyślał leniwie. A ja, gdybym się zebrał, potrafiłbym przecież załatwić ich bez pudła. Pod pozorem zabiegu na przykład. Lancet, fiolka, igła...
Otrząsnął się. Co za myśli przychodzą mu do głowy. Podniósł z podłogi arkusz cienkiej folii i zarzucił na przedmiot.

V Gabinet urządzony był skromnie: tylko heban i kość słoniowa. Dwaj mężczyźni w średnim wieku zasiedli naprzeciw siebie w fotelach. Oprócz nich w pomieszczeniu nie było nikogo. Ransome Moneyard, multimilioner amerykański, do którego należał gabinet, a także cały wieżowiec, trzymał w ręku pustą fajkę i postukiwał nią o otwartą dłoń.
– Ta cholerna mgła – westchnął gość Moneyarda. – Jak żyję nie widziałem czegoś podobnego. Ledwo zdążyłem.
Spotkanie było powtórką innego, wcześniejszego o dwa tygodnie. Ta sama sceneria i te same fotele. Tylko na niskim stoliku między nimi leżał podłużny pakunek owinięty sznurkiem.
– Panie profesorze – zwrócił się do gościa Moneyard – mniej więcej miesiąc temu zdecydowałem się na dość nierozważny krok: za sporą sumę zakupiłem ten oto artykuł – machnął ręką w stronę zawiniątka – nie wiedząc prawie nic o jego pochodzeniu ani właściwościach. Postanowiłem ubiegać się o pańską poradę a nawet współpracę w obliczu tej nierozwiązywalnej dla mnie zagadki, a także – nie przeczę – pod wpływem sugestii części prasy... Pan czytuje gazety?
– Rzadko – odburknął gość. Wyglądał na człowieka obracającego się w innym wymiarze i powracającego na ziemski padół z niechęcią.
– Niemniej orientuje się pan zapewne, co mam na myśli...
– Coś niecoś mi opowiadano – uciął profesor.
– Świetnie. W gruncie rzeczy mam do pana tylko jedną prośbę: chciałbym się dowiedzieć, co to jest.
Profesor łypnął na niego spod krzaczastych brwi i łysa skóra na jego czaszce sfałdowała się. Wyciągnął rękę, jakby chciał pochwycić przedmiot, ale rozmyślił się i opadł z powrotem na fotel.
– Nie promieniuje – stwierdził. – Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym go obejrzeć u siebie. Czy to ma nazwę?
– Tlatocetl... czy coś w tym sensie – powiedział niepewnie Moneyard. – Z czym się to panu kojarzy?
– Z Popocatepetlem – rzekł profesor z powagą.
– Co to jest?
– Wulkan w południowym Meksyku. Czynny. Co pan wie na temat tego przedmiotu?
– Właściwie nic. Oprócz tego, że prawdopodobnie dotarł do mnie przez pośredników, którzy wyżyłowali cenę.
– Czy ktoś tego dotykał?
– No... wszyscy mieliśmy to w rękach. Ale – rozumie pan – przed sfinalizowaniem transakcji moi ludzie wykonali testy bakteriologiczne, badali promieniotwórczość i skład powierzchni. Zapewniono mnie, że posiadaczowi tlatocetla nic nie zagraża... Artykuł określono jako w wysokim stopniu bezpieczny.
Profesor wydał dziwny odgłos – jakby zakaszlał mors.
– Granat – powiedział – komuś mało zorientowanemu także wydaje się bezpieczny. Metalowa kula z uchwytem, solidna skorupa. Nie promieniuje i jest sterylnie czysty. A jednak potrafi z łatwością rozerwać ufnego kolekcjonera na strzępy.
– Sugeruje pan... – zaczął Moneyard.
– Nikt nie wie, gdzie znajduje się jego zawleczka. Ani co nią jest.
– Odwinął papier. – Nie służy przecież ozdobie, prawda? – Dotknął przelotnie powierzchni tlatocetla w kilku różnych miejscach. – Przyjmuje temperaturę otoczenia. To komplet?
– Dodatkowo wsadzono mi dwa kotki... właściwie od nich wszystko się zaczęło. – Sięgnął do kieszeni i postawił figurki na blacie.
– Zaobserwowano, że w fazie aktywności tlatocetla zwierzątkom świecą się oczy.
Profesor zdecydowanym ruchem przesunął posążki na swoją stronę. Ujął jeden z nich i przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.
– W domu wszyscy zdrowi? – zagadnął.
– Tak, dziękuję – rozpromienił się Moneyard i natychmiast przygasł.
– Chętnie to zbadam – powiedział fizyk oddychając głęboko. – Za dwa dni proszę mi przesłać te egzemplarze do laboratorium. Razem z obstawą... trzech ludzi wystarczy. Niech wezmą ze sobą broń. Przez ten czas zastanowię się, czym to ugryźć i prześlę panu umowę.
– Umowę? – zdziwił się Moneyard. – Po co?
– Płacąc ciężkie pieniądze nabył pan nie tylko bryłę geometryczną czy kilogram materii, ale ich właściwości. Otóż metody, którymi posługuje się fizyka mogą tlatocetlowi odebrać jego zdolności, mogą je wzmocnić bądź osłabić. Zawsze istnieje tego typu ryzyko. W umowie będą zakreślone granice, do jakich mogę się posunąć, by próby nie miały charakteru niszczącego. Tam również zostaną określone rzeczy tak przyziemne jak honorarium. Czy ten przedmiot jest ubezpieczony?
– Z tych firm, do których się zwracałem, żadna nie chciała się tego podjąć. Za mało danych, żeby realnie oszacować możliwość zagrożenia. Z drugiej strony nie rozgłaszałem przez heroldów, że właśnie ja go kupiłem.
– Rozumiem – powiedział profesor wstając. – Zatem do widzenia. Gdyby pan sobie przypomniał coś ważnego, proszę o kontakt.
– A ja o dyskrecję. Nie chciałbym, żeby...
– To się rozumie samo przez się. Obiecuję. Nikt nic nie będzie wiedział poza mną i panem.
I oto znowu siedzieli naprzeciwko siebie. Nieznośne milczenie przeciągało się.
– Gdzie znajduje się teraz ta rzecz? – to profesor.
– W bezpiecznym miejscu. W sejfie. Szyfr znam tylko ja.
– Właściwie przychodzę z niczym – zaczął odważnie fizyk. – Muszę też od razu wyznać, że nie całkiem dotrzymałem warunków umowy... poniekąd ze względu na własne bezpieczeństwo. Ale po kolei: badałem wpływ tlatocetla na rozmaite pola i układy fizyczne. Jest dokładnie zerowy – do momentu przebywania w fazie martwej. Z kolei wyprowadzenie go z tej fazy wiąże się z ryzykiem osobistym. Musiałem na nie pójść, chcąc się czegoś dowiedzieć, a ponieważ zarazem nie chciałem ponieść uszczerbku, zaangażowałem wspólnika.
– Mógł pan przynajmniej zapytać mnie o zgodę – powiedział Moneyard z lekkim wyrzutem w głosie.
Profesor pokręcił głową.
– Nie. Miałem za mało czasu na konsultacje. Słyszał pan o Theo Rovaniemi?
– To ten...
– Tak. On sam. Znamy się jeszcze ze studiów. Wyobraża pan sobie – Rovaniemi i fizyka? Dwa bieguny, dwa światy. Potem nasze drogi się rozeszły... on zrezygnował w połowie trzeciego roku. W tym okresie odkrył u siebie te zdolności, próbował godzić nowe pasje z fizyką, żył w niemożliwym rozkroku. W końcu podjął męską decyzję – zamilkł, jakby się zastanawiał, do czego zmierza. Traf chciał, że właśnie teraz przebywał w tych stronach i postanowił mnie odwiedzić. Wyjątkowy zbieg okoliczności, nie? Wahałem się krótko i w końcu postanowiłem wprowadzić go w zagadnienie. Ale najpierw co sam zdziałałem. W fazie martwej jest to kawałek materii uformowanej tak, a nie inaczej, raczej jednorodny, nie przewodzący prądu ani powierzchniowo, ani objętościowo. Gaz szlachetny, mówiąc przenośnie. Za to w fazie aktywnej... – po raz pierwszy uśmiechnął się. – Czemu ukrył pan przede mną, że kręcenie tlatocetlem grozi, łagodnie mówiąc, rozstrojem nerwowym?
– Właściwie sam nie wiedziałem – usprawiedliwiał się Moneyard.
– Powiedzmy, że dowiedziałem się z gazet. Żurnaliści wychodzą ze skóry, żeby dociec nazwisko nabywcy. Zresztą – nie ma co robić tajemnic: ostrzegł mnie Rovaniemi. Początkowo nie chciał słyszeć o maczaniu palców w tej aferze, dziwił się mojemu entuzjazmowi... wreszcie przyznał, że jego wizyta u mnie nie jest tylko dziełem przypadku. Po prostu czuł wewnętrzny przymus – i przyjechał. Zgodził się zajrzeć w problem i od tego momentu musiałem go wręcz powstrzymywać. Rwał się jak pies na smyczy. Zanim zobaczył tlatocetl na oczy, niemało wiedział na jego temat. Postanowiliśmy, że wejdzie do akcji gdy tylko ja zakończę swoją babraninę.
Łyknął ostro ze stojącego przed nim kielicha.
– W tym celu musiałem zostać z tlatocetlem sam na sam... wie pan chyba, że w obecności świadków nigdy nie dochodzi do fazy ożywienia? Dobre rzeczy pan pije – pociągnął ponownie z kielicha, a Moneyard błyskawicznie uzupełnił poziom cieczy. – Dlatego nie ma wiarygodnych relacji z poszczególnych seansów, a co najwyżej spekulacje. Rovaniemi siedział za drzwiami, a ja próbowałem kręcić. Ale on chyba wyczuł, że próbujemy go podejść – i spał. Zaczynaliśmy kilkanaście razy, wreszcie Rovaniemi oświadczył, że wraca do hotelu. Ja postanowiłem nie dawać za wygraną. Udało się, panie Moneyard – powiedział głosem, w którym nie było cienia satysfakcji. – Włączyłem aparaturę i rejestratory i zabrałem się do roboty. Pal sześć, myślałem. Wóz albo prze-

Marek ORAMUS

(ur. 1952 w Myślenicach) – mocna postać nowej polskiej SF, dziennikarz, krytyk i pisarz, aktywny równolegle jako teoretyk gatunku. Absolwent Politechniki Śląskiej w Gliwicach, ukończył również Podyplomowe Studium Dziennikarstwa UW. W latach 70-tych związany głównie z prasą studencką opublikował w tygodnikach – „Politechnik”, a potem „itd” – kilkaset felietonów, artykułów, reportaży, wywiadów. Od ponad roku jest stałym recenzentem nowości SF w „Przeglądzie Technicznym” – zbiór tych recenzji wzbogacony szkicami i wywiadami ma się ukazać w wydaniu książkowym. Oprócz opowiadań publikowanych w prasie i w drugim tomie antologii młodych '79 „Spotkanie w przestworzach”, napisał Oramus dwie powieści **„Senni zwycięzcy”** (Czytelnik–82) i **„Arsenał”** (przygotowywany do druku w wydawnictwie Iskry).
Opowiadanie **„Tlatocetl”** drukujemy ze względów technicznych z nieznacznymi skrótami. (mp)



P. Osiński

wóz. Nie od razu zaskoczył. Ale gdy już poszły po nim światła i mruganie, wiedziałem że ruszył. Stopniowo moja wola słabła, zmiękczał mnie jak plastelinę, wreszcie zawładnął mną całkowicie. Ręce poruszały mi się same, patrzyłem z przerażeniem, co wyczyniają, kompletnie ode mnie odłączone. Straciłem nad nimi władzę. Przestałem im rozkazywać. Jednocześnie ulegałem dziwnym stanom umysłu, nie znam odczuć po narkotykach, ale alkohol się nie umywa. Uratował mnie – nie zgadnie pan! – Rovaniemi. Po dziesięciu minutach jazdy doszedł do wniosku, że opuścił mnie pochopnie i postanowił zawrócić. Przeczuł niebezpieczeństwo. Nie muszę chyba dodawać, że przybył w samą porę. Po przerwanym seansie wpadłem w taką depresję, że chciałem wyskoczyć oknem.

Rzucił na stolik plastykowy skoroszyt z wpiętymi kartkami, który plasnął miękko o blat.

– Oto ekspertyza. Tu ma pan to samo nagrane na kryształ – położył na skoroszycie małe pudełko. – Tlatocetl jest w stanie zakłócać wszystkie znane pola: magnetyczne, elektryczne, grawitacyjne, jądrowe. Ostatnie oddziaływanie opieram na mocnych przesłankach; ostatecznie potwierdzenie wymagałoby dosyć delikatnych eksperymentów. Z tego samego powodu nie badałem jego wpływu na cząstki elementarne. Niewątpliwie tlatocetl wywiera także wpływ na układy fizjologiczne człowieka. Słyszał pan kiedy o hipnoglifach?

Moneyard zaprzeczył.

– Są to przedmioty posiadające zdolność hipnotyzowania przez dotyk. Tlatocetl należy do tej klasy. Niemniej w trakcie eksperymentu zaszła rzecz dziwna. Na półce obok stołu leżała talia kart. Wie pan, czasem lubię dla odprężenia postawić pasjansa. Niech pan spojrzy – wyciągnął z kieszeni karty i zaczął je rozkładać przed Moneyardem. – Proszę.

Czerwone serduszka kierów i romby kar były czarne jak węgiel. Trefle i piki wydawały się nie zmienione.

– Tu mam talię z tej samej wytwórni, ta sama seria nawet – mówił fizyk kładąc pod rzędem kart następny. – Proszę porównać. Moneyard posłusznie pochylił się nad zestawem.

– A niech to – wybełkotał. – Profesorze, jeśli to dowcip... – zmitygował się i nie dokończył. – Najmocniej przepraszam. – Z powrotem pochylił się nad kartami.

– Tu na przykład – fizyk postukał paznokciem w czarną dziewiątkę kier – była szóstka.

– Skąd pan wie?

– Bo teraz mam dwie dziewiątki i żadnej szóstki. Ale na tej jest tylko sześć serc, a na prawdziwej – dziewięć. A rysy figur... proszę spojrzeć uważnie. Jest w nich coś ptasiego, prawda?

– Ten walet ma jakby skrzydła! – zdumiał się Moneyard.

– Pokaż pan. Faktycznie. Że też wcześniej nie zauważyłem. Wydawało mi się, że to płaszcz tak się udrapował.

– Czym pan to wytłumaczy? – spytał cicho Moneyard. – Musi być przecież jakieś logiczne uzasadnienie!

– Niczym – odparł spokojnie fizyk. – Moja rola skończona. Nie jestem jasnowidzem. – Spojrzał na zegarek. – Rovaniemi właśnie tutaj zmierza. Pozwoliłem sobie zaprosić go do pana.

Moneyard pokiwał z aprobatą głową. – Ale przecież – mówił myśląc najwyraźniej o zmianach w talii kart – musi być jakieś logiczne wytłumaczenie! On – to potworne... on deformuje rzeczywistość!

– To pan powiedział, nie ja – rzekł z godnością fizyk. W jego zachowaniu pojawił się nienaturalny chłód. – Chciałem to ukryć przed panem, póki nie uzyskam całkowitej pewności, ale po namyśle uznałem, że nie uczyniłbym panu przysługi. Panu... – zawiesił głos – pańskiej rodzinie, może nawet ludzkości?

– Co pan ma na myśli?

– Załóżmy, że ma pan rację. Tak, deformuje rzeczywistość. Przekształca pewne jej elementy według określonego klucza. Pojawia się pytanie o zasięg tych operacji, a także o ich cel. Rozumie pan teraz, dlaczego przybycie i udział Rovaniemi był mi tak bardzo na rękę, że wręcz niezbędny. Mieliśmy szczęście, że największy jasnowidz ziemski zawitał w te strony.

– Czy on to już panu wyjawił?

– Nie. Wiem tyle, co i pan. Zamknął się z tlatocetlem w ciemnym, całkowicie izolowanym akustycznie pokoju. Wyszedł po kilku godzinach – całkowicie roztrzęsiony. Jeszcze go nie widziałem w takim stanie. Poprosił o dwadzieścia cztery godziny do namysłu.

Termin ten upłynął mniej więcej godzinę temu.
Ransome Moneyard w zamyśleniu przekładał karty.
– Spróbujmy uporządkować naszą wiedzę – zaproponował fizyk, przybierając wojowniczy wygląd. – Uruchomiony przeze mnie mechanizm zegarowy tlatocetla został zablokowany przez wtargniecie Rovaniemi. W porządku. W dodatku zamknął go pan w sejfie. Wskutek tych posunięć określona sekwencja jego zamierzeń pozostała nie dokończona. Wiemy, że nie potrafi sobie poradzić bez współdziałania z człowiekiem. A ze szczurem – zastanowił się. – Należałoby sprawdzić, czy dla odbezpieczenia go wystarczy istota żywa, czy wymagana jest jeszcze inteligencja.
– Mówi pan o nim jak o zjawisku obdarzonym osobowością – zauważył Moneyard.
– Co? A, tak. Jeśli rozgrywa pan partyjkę szachów z komputerem, widzi pan gdzieś za ścianą, ukrytą wśród połączeń, monitorów, elementów elektronicznych – inteligencję właśnie. Człowiek nie potrafi pozbyć się skłonności do antropomorfizacji – zamontowany gdziekolwiek rozum kojarzy zaraz z osobą. Takie nasze obciążenie dziedziczne – westchnął.
– Ale w szachach przynajmniej wiadomo, do czego przeciwnik dąży.
– Właśnie. Nasza sytuacja jest dużo gorsza: znajdujemy się na dnie głębokiej studni. Patrzmy wzwyż – na niebotycznej wysokości jarzy się jak gwiazda wylot studni. Jak tam dotrzeć? Ludzkość już tyle razy dostała po buzi za brak skromności, tylekroć została skarcona – bez efektu... Nie tylko nie znamy jego celu, ale i dziejów jego dążenia. Kto wie, od ilu sekwencji przygotowuje nam matka. Czy cel ten od razu ukształtował się w obecnej postaci, czy ewoluował po drodze? Raczej to drugie – odpowiedział sobie natychmiast. – Musi być pewny swego, skoro zdecydował się lądować w samym środku wrogiego obozu.
– Dlaczego zakłada pan od razu jego wrogość? – zapytał Moneyard. – Może właśnie usiłuje nam pomóc? – Wziął ze stołu ekspertyzę i kartkował ją powoli. – Nieprzenikliwy dla promieniowania rentgenowskiego i gamma? – zdziwił się. – Odbija całe widmo? Pochłania?
– Widział pan kiedy coś takiego? – skoczył z miejsca profesor. – Sto procent pochłaniania! Pomóc, mówi pan. Wbrew nam? Nie zapominajmy, że tlatocetl jest tylko narzędziem. Niewyobrażalnie sprawnym, może wręcz doskonałym, ale – narzędziem. Co oznacza między innymi, że nie sposób z nim dyskutować. Ono także nie może żywić wątpliwości natury... hm, etycznej. Zostało powołane, by wykonywać rozkazy. Realizować program. Być skuteczne. Wszystko co osłabia jego skuteczność musi zostać wyeliminowane bądź ominięte. Teraz najgorsze: odkąd zrozumiałem, czym jest – albo wydaje mi się, że zrozumiałem – nie daje mi spać jedno pytanie. Co z energią?
Okrągłe oczy Moneyarda wpatrywały się w profesora z uprzejmym zdumieniem.
– Skąd czerpie energię do tych gigantycznych przemian otoczenia? Przecież nie z promieniowania, które zdoła wyłapać! Być może wykorzystuje w jakiś sprytny sposób rozmaite formy energii wewnętrznej. Wykrywa je, doprowadza do ich wyzwolenia... Tak czy owak narusza jeśli nie prawo zachowania energii, to przynajmniej zasadę wzrostu entropii...
– Ransome – odezwał się interkom głosem sekretarki – przyszedł pan Rovaniemi. Nie był umówiony. Chwileczkę... twierdzi, że sprawa najwyższej wagi światowej – w mechanicznie zmienionym głosie zadźwięczała nuta ironii.
– Sally, zapomniałem wydać dyspozycje. Oczywiście, że proś natychmiast. Aha, odwołaj wszystkie spotkania na dziś. Nie ma mnie dla nikogo – patrzył na profesora, jakby szukał jego akceptacji. Wstał i kilkoma zdecydowanymi krokami poszedł w stronę drzwi.
Theo Rovaniemi okazał się krzepkim, lekko łysiejącym blondynem, a w jego twarzy nie było nic natchnionego. W każdym razie nic, czego Moneyard spodziewał się po człowieku parającym się prekognicją. Witał przybysza z przesadną atencją, pragnąc zatuszować gafę, której nie zdążył popełnić.
Rovaniemi położył na stoliku niewielką teczuszkę i zagłębił się w fotel. Zanim Moneyard zdążył ustalić z nim rodzaj drinka, tamten wskazał na stojącą butelkę i rzekł krótko:
– Może być. – I obserwując zabiegi Moneyarda wokół kieliszków dodał: – Gdzie on teraz jest?
– W bezpiecznym miejscu – Moneyard nie zdołał powstrzymać uśmiechu i spojrzał porozumiewawczo na profesora. Fizyk siedział nastroszony.
– Żadne miejsce nie jest dostatecznie bezpieczne, panie Moneyard – powiedział Rovaniemi z przekonaniem.
– Rozumiem wasze obawy, panowie, ale ich nie podzielam. Tym razem przyskrzyniłem go na dobre. No, za pomyślne zakończenie afery tlatocetla – milioner podniósł kieliszek.
Wypili. Rovaniemi pokiwał głową. – Oby Bogu spodobało się zapobiec nieszczęściu.
– Pan wierzy w Boga?
– Dziwi to pana?
Moneyard zastanowił się. – Czy ja wiem... właściwie nie.
– Niestety, nie mam do przekazania bardzo pomyślnych wiadomości – rzekł z westchnieniem świeżo przybyły. – Od czego by tu zacząć... Pamiętacie może sześcian Rubika? Sprytna zabawka, złożona z ruchomych kostek, pozwalająca ułożyć kilka miliardów kolorowych wzorów. Proszę sobie teraz wyobrazić coś lepszego: superszęścian, w którym liczba kombinacji sięga praktycznie nieskończoności. Ale to aspekt mniej ważny, ilościowy. Rewelacja polega na tym, że każdej kombinacji – w pewnym skończonym obszarze – odpowiada określony układ elementów tworzących tak zwaną rzeczywistość. Mówiąc obrazowo każdej kolorowej mozaice przyporządkowany jest jakiś świat.
– Niesamowite! – zachłysnął się profesor. – Rzeczywistość jako funkcja permutacji tlatocetla!
– Tak. Oczywiście kształt przyrządu jest kwestią czysto umowną, tak samo jak sposób „pokazywania" przezeń wygenerowanego akurat ciągu. Można go przekazywać wizualnie, akustycznie i tak dalej – albo nie pokazywać w ogóle. W każdym razie właściciel ulepszonej wersji sześcianu Rubika dysponuje przyrządem do wywoływania dowolnych zmian w otaczającym go świecie.
– Pod warunkiem, że zna funkcję – wtrącił profesor. – Czyli zależność między zbiorem permutacji a zmianami, które powodują – wyjaśnił w odpowiedzi na pytające spojrzenie Moneyarda.
– Przypuśćmy – kontynuował gość – że konstruktorzy wyposażyli przyrząd nie tylko w zdolność wprowadzania dowolnie zakrojonych zmian, ale oceniania ich – i projektowania nowych. Innymi słowy ciąg tych zmian przestaje być przypadkowy, a staje się wcieleniem logicznego planu. Kolejne zmiany wzmacniają poprzednie, układają się w tendencję... i oto mamy przed sobą osobliwe połączenie komputera – genialnego planisty – z równie genialnym wykonawcą. Sześcian Rubika siedemdziesiątej siódmej generacji, czyli tlatocetl.
Moneyard odetchnął głęboko. – W porządku – powiedział. – Przypuśćmy, że właśnie tak jest. Skąd jednak się wzięły jego cudowne zdolności?
– Znikąd – odparł lekko zirytowanym głosem jasnowidz. – Zostały mu dane. Tchnięte przez jego twórców, kimkolwiek byli. Można panu tylko gratulować. Został pan właścicielem najbardziej niebezpiecznej rzeczy w tym rejonie Wszechświata. Do czego jej pan użyje?
– Właściwie nie zastanawiałem się... – zaczął milioner.
– Zapomniałem wspomnieć, że tlatocetl jako taki jest słabszy od mrówki i równie bezmyślny jak kilogram lanego żelaza. Aby ożył i rozkwitł, potrzebuje wsparcia podporządkowanej mu inteligencji. Proszę zwrócić uwagę na ten szczegół: podporządkowanej. O żadnym partnerstwie z góry nie ma mowy.
Moneyard w milczeniu ważył jego słowa.
– Przepraszam za dociekliwość, ale chciałbym zapytać... jaka jest możliwość błędu w pańskiej diagnozie?
– Cóż, człowiek jest omylny – rozłożył ręce jasnowidz. – Tak, niekiedy się mylę. Ale częściej miewam rację.
– Nie musi pan być szczęśliwym człowiekiem.
– Tak. Nie muszę... I nie jestem.
– Dobrze – zreflektował się Moneyard – sam fakt, że rozszyfrował pan jego przeznaczenie i naturę wystarczy, aby uznać pana pomoc za nieocenioną. Ale tytanom stawia się zadania na miarę ich tytanicznych sił. Pozwoli pan zatem, że spytam, skąd to się wzięło.
– Mówiłeś o badaniu w ciemnym pokoju? – spytał Rovaniemi fizyka, który tylko skinął głową i wtulił się w fotel, jakby dla podkreślenia własnej zbędności. – Zmusiłem go do uległości – w głosie jasnowidza zabrzmiał maskowany tryumf – i nie pytajcie, jakim kosztem. Zobaczyłem planetę, gdzie króluje wilgoć, a biały gęsty opar psuje przezroczystość powietrza – musnął szybkim spojrzeniem szybę wielkiego okna. – Widziałem zejście do podziemi i kamienne lochy wypełnione grobami władców tej planety... zarazem twórców tlatocetla. W świetle tego, co wiemy nietrudno skojarzyć tę wizję z Miradorem.
– Tak, domyślałem się – przyznał Moneyard. – Pytanie ostatnie i najtrudniejsze: co zamierza?
Zamiast odpowiedzi Rovaniemi sięgnął do teczuszki, z którą przyszedł. Potrącił przy tym kieliszek i kilka kropel alkoholu pochlapało gładź stolika. Lśniący, kolorowy magazyn okazał się jedyną zawartością wyłożonych czerwonym atłasem przegródek.
– Zna pan to?
Moneyard pokręcił głową. Jeden ruch ręki jasnowidza spowodował, że magazyn otworzył się w zaplanowanym miejscu. Zagapili się w zreprodukowany tam schemat.
– Statkiem, który powrócił siedem miesięcy temu z okolic Miradora był patrolowiec o nazwie „Ritornell". Oto plan części mieszkalnej. Od tej grubej kreski w lewo ciągną się magazyny. Na prawo mamy kabiny; nazwiska wewnątrz prostokątów oznaczają ich lokatorów. A więc kolejno: Śliwa, Yonyer, Moiceanu, i od tego miejsca w dwóch rzędach pozostali. Odpowiada to w przybliżeniu kolejności, w jakiej umierali. Z tekstu dowiadujemy się – odwrócił kilka kart jakby chciał sprawdzić nazwisko autora – że znalazcą i pierwszym właścicielem tlatocetla był Yonyer. I zarazem pierwszą ofiarą.
– Wygląda, że z kabiny Yonyera czynnik X powodujący śmiertelność rozprzestrzeniał się coraz dalej – wysapał fizyk.
– Tak. Czy mówi coś panu – zwrócił się jasnowidz do Moneyarda – nazwisko Vahvatil? Pańscy kontrahenci posłużyli się nim całkowicie bezpodstawnie. Zmarł wprawdzie jako ostatni z załogi „Ritornella", niemniej w momencie dokonywania transakcji było dawno po pogrzebie.
– Ten facet sprzedaje takie rewelacje? – zdumiał się Moneyard.
– Zmyślił naprawdę niewiele. Rzecz jasna policja prowadzi energiczne śledztwo – tak się to formułuje w komunikatach? – ale póki nabywcy miradorskich antyków solidarnie milczą, nikt nie ugryzie tej sprawy. Podczas seansu w ciemni udało mi się wniknąć w

losy tlatocetla. Po śmierci Yonyera przechodzi kolejno przez Buchsego i Mezeia - do Vahvatila. Niejaki Buchse pełnił na „Ritornellu" funkcję lekarza. Kiedy zrozumiał nieodwracalność własnej śmierci, zrobił rzecz najlepszą z możliwych: spisał wszystko co wiedział. W tym numerze rozpoczyna się druk jego wyznań. Buchse wspomina na przykład, że podczas lotu powrotnego „Ritornell" był dziesięciokrotnie spychany z kursu przez nieznany czynnik. Nikt z załogi nie potwierdził tego faktu; zanim ktoś wpadł na pomysł, by ich o to spytać, na grobie Vahvatila dawno uklepano ziemię. Sam Buchse podaje tę informację w trybie podwójnie warunkowym: po pierwsze nie jest pewien, czy nie zawdzięcza jej halucynacjom na statku, po drugie spisywał swe sądy na chybcika, w ostatniej chwili, walcząc z ogarniającą umysł ciemnością. Ale w tym akurat miejscu Buchse nie fantazjował.

Pochylił się nad stolikiem tak głęboko, że jeszcze trochę, a dotknąłby nosem kart magazynu. Przewrócił stronę; dalej były jakieś zdjęcia. Fizyk zauważył krople potu na jego skroniach. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z ogromnego zmęczenia jasnowidza.

- Zakładając jako przyczynę wymuszającą zmiany kursu... - przerwał i zaczął z innej beczki. - Tlatocetl usiłował zawrócić „Ritornella" z drogi. Na Miradora. Kiedy przekonał się, że nie podoła temu zadaniu, zmienił taktykę. Pozwolił przewieźć się tutaj.

- Pozostaje kwestia, dlaczego ci, którzy mieli z nim kontakt, przypłacili to życiem. Nowe przekleństwo faraonów? Jak pan to wyjaśni?

- Skoro tlatocetl zabrał się za przemeblowywanie rzeczywistości, musiał przy okazji coś poprzestawiać w ludziach. Celowo lub nie. Ludzie też byli częścią otoczenia - podsunął profesor.

Rovaniemi podziękował skinieniem głowy.

- Łagodnie mówiąc te zmiany nie wyszły im na zdrowie.

- Zmienił plan - kontynuował fizyk. - Skoro nie potrafił zawrócić ludzi na Miradora, postanowił...

Rovaniemi powstał gwałtownie i podszedł do okna. Ręce wbił w kieszenie.

- Panie Moneyard - powiedział - od jak dawna jest pan mieszkańcem tego miasta?

- Od dobrych dziesięciu lat.

- Zawsze tu taka pogoda?

Moneyard pokręcił głową. - Owszem, trafiają się od czasu do czasu i mgły, nawet o tej porze roku. Ale nie przypominam sobie, kiedy ostatnio wystąpiły w takim nasileniu. Trzeci dzień z kolei mam trudności z osobistym pilotowaniem koleoptera.

Rovaniemi kołysał się przed oknem, przenosząc ciężar ciała z palców na pięty i z powrotem. Raptem zwrócił się ku stolikowi i fotelom.

- Panie Moneyard - spytał - czy stać pana na gest na rzecz ludzkości... za marne dziesięć milionów? Tyle pan za niego zapłacił, prawda? Proszę się szybko decydować.

- Spokojnie, panowie - bąknął Moneyard, spoglądając to na fizyka, to na jasnowidza. - Bez paniki. Nie ma innego rozwiązania? - Szukał u nich śladu poparcia własnych wątpliwości, ale nie znalazł. - Gdyby go zbadać, ostrożnie, krok po kroku... kto wie, do jakich tajemnic ludzkość uzyskałaby dostęp.

- Najpierw musiałaby przetrwać - powiedział twardo Rovaniemi. - Panie Moneyard, trzeba go zniszczyć. Im prędzej, tym lepiej. Nic na to nie poradzę. To najlepsze, co możemy w tej chwili zrobić.

Ale Moneyard jakby go nie słyszał. Nie poruszał się z miejsca.

- Na miłość boską, panie Moneyard! Trzeba go zniszczyć! Bezwarunkowo! - powtarzał Rovaniemi. Odwrócił się znowu w stronę okna. - On działa, działa przez cały czas! Sam został wyłączony, ale zmiany, które zainicjował przybierają coraz szerszy zasięg. Tak samo jak to miasto wygląda Honolulu, Singapur i Konakry. Mgła ma charakter ogólnoplanetarny!

- Co? Coś pan powiedział? - wykrzyknął Moneyard. Jednym susem znalazł się przed szybą. Wczepiony palcami w metalową ramę chłonął przemieszczające się na tle ciemnych brył budynków opary z jakąś drapieżną satysfakcją. Para jego oddechu pokryła szkło matową przesłoną, starł ją szybkim machnięciem i chłonął widok dalej. Fizyk także przyglądał się mgle. Zmierzwione włosy sterczały mu na boki, nadając jego twarzy sowi wygląd. Rovaniemi położył rękę na ramieniu milionera.

- Panie Moneyard - powiedział cicho - on nie żartuje. Gdzie go pan trzyma?

- W domu... ukryłem w sejfie. Szyfr znam tylko ja.

- Trzeba tam jechać. Zaraz.

Moneyard potakiwał bezmyślnie.

- Musimy się spieszyć - mówił powoli jasnowidz. - Mamy mało czasu. Czuję, że to nie jest jego ostatnie słowo.

Moneyard odchodził powoli w kierunku interkomu. Fizyk zbliżył się do przyjaciela i ujął go pod ramię.

- Źle pan wygląda.

- Źle? - zdumiał się Rovaniemi. - Tragicz

nie działał. Moneyard w bezsilnej pasji naciskał klawisze.

- Co się dzie... no, wreszcie. Sally, przygotuj do drogi koleopter na tarasie dziewiątego poziomu. Start za pięć minut.

- Zauważyłeś? - spytał fizyk. - Jakby światło przygasło. - Nie doczekał się potwierdzenia. - Pojedziesz z nami?

Znowu żadnej reakcji.

- Ty coś wiesz - monologował profesor. - Musisz wiedzieć. Musisz przecież znać finał tej historii, inaczej...

Rovaniemi wolno pokręcił głową.

- Przeceniasz po prostu moje możliwości. Weź pod uwagę, że jestem cholernie zmęczony, nie spałem od trzydziestu godzin... Sam rozumiesz, mogłem coś pokręcić...

Podszedł Moneyard.

- Chcecie usłyszeć coś zabawnego? Cenzura konfiskuje mapy pogody i komunikaty o zamgleniach! - Nikt się nie uśmiechnął, wobec tego twarz milionera także przybrała surowy wygląd. - Panowie - rzekł uroczyście - byłbym zaszczycony, gdybyście zechcieli mi to

ważniejsze. Na pewno dacie sobie radę beze mnie. Tylko bym zawadzał.

Moneyard i profesor wlepili w niego cielęcy wzrok, a potem jak na komendę zaczęli się cofać ku drzwiom.

- Zaczekam tutaj - powtórzył Rovaniemi.

VI

Ransome Moneyard junior, spadkobierca nazwiska i fortuny Moneyardów, pięcioletni brzdąc, którym zaczynały się interesować miesięczniki dla gospodyń domowych, zbliżał się kocim krokiem do obrazu z podobizną wąsatego jegomościa. Z oczu jegomościa tryskała duma i dostojeństwo. Malec podsunął sobie fotel i teraz z łatwością sięgał ramy obrazu. Trochę trudu kosztowało go odsunięcie malowidła w bok, ale dla prawdziwego skauta nie ma rzeczy niemożliwych.

Jeden rzut oka wystarczył do stwierdzenia, że mechanizm zabezpieczający sejf jest starego typu, cyfrowy. Prawdopodobnie pochodził jeszcze z zeszłego wieku. Ransome Moneyard junior widział już identyczny w jednej ze swych kosztownych zabawek; wielokrotnie także przyglądał się ojcu, gdy ten obracał w palcach okrągłe tarczki. Fascynował go ten wielki moment, kiedy drzwiczki sejfu odskakiwały, dając swobodny dostęp do rozmaitych interesujących rzeczy. Ojciec nigdy nie wykazywał zrozumienia dla pasji poznawczych latorośli; wszelkie prośby, nawet najbardziej natarczywe, kwitował krótkim „To nie dla ciebie" - albo po prostu ordynarnie wypychał badacza tajemnic za drzwi. Sherlock Holmes, zamieszkujący serce młodego Moneyarda, wił się z upokorzenia i pałał żądzą odwetu. Do tej pory chłopiec wielokrotnie forsował barierę portretu, ale zawsze zatrzymywał się na lśniących tarczkach z wyrytymi cyferkami. Kręcił nimi na różne sposoby, usiłując dokładnie naśladować ruchy ojca. Co pewien czas sprawdzał, czy zamek przypadkiem nie puścił, ale drzwiczki pozostawały nieubłagane.

Próby zaangażowania starego robota Gamaliela spełzły na niczym. Gamaliel nie chciał zostać jego wspólnikiem. Z najwyższym trudem udało się go zmusić do dochowania tajemnicy. Młody Moneyard trawił długie godziny na analizowaniu ojcowskich poczynań przy mechanizmie cyfrowym.

Ransome Moneyard senior rozpoczynał manipulacje przy sejfie od głębokiego namysłu. Niestety, pamięć nie była jego mocną stroną, a może nie chciał jej zaśmiecać bzdurami. Wzywał więc Gamaliela i wydawał mu krótką dyspozycję typu:

- Podaj mi wymiar Matyldy Hissan w biuście.

- Dziewięćdziesiąt osiem - odpowiadał usłużnie Gamaliel.

Moneyard senior uśmiechał się z zadowoleniem, jakby ta informacja poruszała tajemniczą klapkę w jego mózgu, po czym bez trudu wykręcał kod. Matylda Hissen, o czym Moneyard junior miał prawo nie wiedzieć, była wyłonioną ostatnio Miss Universum.

Niekiedy Moneyard-ojciec żądał od Gamaliela wyświetlenia informacji na ekranie. Mały Ransome nie potrafił rozgryźć tych obrzędów. Podejrzewał ojca o mistyfikację, tym bardziej że ten pozwalał mu asystować przy każdym otwieraniu.

Ostatnim razem ojciec manipulował przy sejfie przed trzema dniami. Było to tego samego wieczoru, kiedy rodzice strasznie się pokłócili. Mały Ransome usłyszał podniesiony głos ojca i popędził co tchu, by stanąć w obronie damy. Wbiegł z impetem do pokoju, ale to co zobaczył sprawiło, że stanął jak wryty. Mama klęczała na podłodze w niezdecydowanej pozie, wbijając szklany wzrok w przeciwległą ścianę. Na jej twarzy malowało się dziwne uniesienie. Nie płakała, co chyba najbardziej zaskoczyło chłopca. W ręku ojca widział ten dziwaczny przedmiot, który nie tak dawno oboje oglądali. Przebiegały po nim coraz wolniej świetlne plamy, najpierw całe kaskady, potem pojedyncze, wreszcie zgasła ostatnia i w pokoju zrobiło się szaro.

Pani Moneyard doszła do siebie, wstała ciężko, przeszła kilka kroków i z głębokim westchnieniem opadła na szezlong. Nadal nie miała zamiaru płakać. Ojciec podniósł z podłogi irchowy woreczek i zarzucił go na przedmiot. Krzyczeć zaczął dopiero później. Ransome mało co rozumiał z jego słów, wiedział tylko, że tatuś bardzo się gniewa. Chciał podbiec do mamy, ale nie odważył się. Zamiast tego wycofał się za drzwi, do ciemnego kąta.

Zapamiętał, że rodzice starannie unikali swego wzroku. Matka nie próbowała się bronić, z jej ust nie padło ani jedno słowo.

Ojciec minął go, podążając naprzód wielkimi krokami. Przez rozległe, wypełnione antykami pokoje Moneyard junior ruszył za nim. Sam nie wiedząc czemu, nie odważył się tym razem przyglądać czarodziejskim pokrętłom. Widoczny z ukrycia fragment podłogi zalało światło i rozległo się wypowiedziane półgłosem wezwanie do Gamaliela, który niebawem nadszedł z przeciwka swoim sztywnym krokiem.

– Podaj datę narodzin mego syna – dobiegł do kryjówki krótki rozkaz.
– Dwudziestego kwietnia 2085 roku.
Olśnienie przyszło dziś nad ranem, kiedy leżał jeszcze w pościeli, czekając na wejście matki, która wprawdzie zawsze ciągnie za sobą smugę dusznych perfum, ale nikt nie potrafi tak jak ona głaskać miękką, ciepłą dłonią. Przestraszył się i zdziwił – jakże banalne było rozwiązanie trapiących go problemów. Teraz wystarczyło tylko czekać na sposobność. Od trzech dni za oknami kłębiła się mgła i łowcy przygód nie pozwalano wyjść nawet do ogrodu. Wczorajszy dopust dziś okazał się niespodziewanym ułatwieniem.
Wcześniej jednak Ransome Moneyard junior popisał się sprytem godnym samego Winnetou. Wezwawszy Gamaliela kazał mu wyświetlić datę swych narodzin w postaci cyfrowej i porównał ją z wynikiem wystukanym na monitorku podręcznego komputerka. I proszę, jak słusznie i przewidująco postąpił – byłby pominął jedno zero!
Oprócz woreczka z irchy wypełnionego pękatą zawartością, w schowku znajdowały się dwie figurki kotków w pozycji siedzącej. Zabranie ich byłoby mało roztropne: w worku spoczywała chyba kula armatnia! Wprawdzie kotki nie ważyły tak wiele, ale musiał brać pod uwagę ryzyko wpadki i związaną z tym konieczność szybkiego przemieszczania się. Z tego względu nie mógł sobie pozwolić na znaczniejsze ograniczenie swobody ruchów, a co trzy przedmioty do pilnowania to nie jeden. No, dobrze. Zabierze je innym razem. Teraz, kiedy potrafi otwierać sejf...
Wymknął się na dwór tylnym wyjściem, pewien, że nikt go nie widział. Powietrze było ciepłe, muskało wyczuwalnie jego twarz i smakowało tak jakoś... jak po długiej chorobie. Nie widział nic na dwa kroki, ale to akurat było w jego rachubach okolicznością sprzyjającą. Oparł się dla nabrania pewności o mur i sunął powoli wzdłuż szorstkiej fasady w kierunku najbliższego załomu. Tam przykucnął i zaczął oswobadzać przedmiot z niewoli irchowego worka.

VII

– Niech pan spojrzy – westchnął z udanym ubolewaniem Moneyard senior. – Myli topografię. Już rano spisywał się nie bardzo... Tyle razy czytałem, że przytrafiło się to innym, a teraz przyszła moja kolej.
Wskazywał na ekran, gdzie schematycznie nakreślona świetlnym piórem rozbłyskiwała trasa z wieżowca firmy Moneyard Co. do posesji milionera. Profesor siedział obok niego, poświęcając błędom komputera zaledwie drobną część uwagi. Wpatrywał się w rozłożony na kolanach magazyn i kartkował go powoli.
– Interesuje pana, co ten Buchse tu wypisuje? – i nie czekając na odzew czytał: – „Yonyer wyznał mi tuż przed śmiercią, że uważa tlatocetl za odpowiednik ognia i siarki, zesłanych na Sodomę i Gomorę. Natura ludzi jest z gruntu zła, wywodził, i nie rokuje nadziei na poprawę. Ale przecież tlatocetl jest tylko narzędziem. Co najemnego robotnika czy jego łopatę obchodzi moralność psa, zakopywanego w sadzie? Hycle polują na psy dla zysku, a nie dlatego, że stanowią miecz w ręku psiego Boga. Nie interesuje ich, ile razy odłowiony egzemplarz przekroczył normy – gdyby takie istniały wśród psów. A już co najmniej śmieszne byłoby posądzenie ich, że uśmiercają psy za przewiny całej populacji, za psią skłonność do zwady, kradzieży czy cudzołóstwa. Śmieszne jest to poszukiwanie w zwyczajnych sprawach głębokiej filozofii – a jednak nie potrafimy umierać bez tego".
– Chory facet – odezwał się Moneyard z przekonaniem. – Dla niego człowiek niczym nie różni się od psa – poza może wyglądem.
– No cóż, śmierć zaglądająca w oczy trochę wykrzywia perspektywę – rzekł pojednawczo profesor. – Z drugiej strony – nikt nie wie, kiedy przyjdzie apokalipsa i jaki kształt przybierze. – Zastanowił się.
– To co, mam uwierzyć, że Bóg ludzi, nasz Bóg, obrał sobie rezydencję na Miradorze?
– Niekoniecznie. Ale możliwa jest taka wersja: tlatocetl jako narzędzie Miradorczyków wypełnia ich plan, a jednocześnie realizuje dokładnie tajny zamysł Boga. Jedno drugiego nie wyklucza. Wprawdzie Bóg istnieje i działa poza czasem, ale od przypadku do przypadku zdumiewająco ingeruje w sprawy tego świat
ło za szybą. Rozbłysło i błyskawicznie odpłynęło do tyłu. Magazyn zsunął się z kolan profesora.
– Daleko jeszcze? – wychrypiał.
– Dobijamy.
Moneyard osadził pojazd w ogrodzie czy na jakimś klombie, nie było czasu się rozglądać. Usłyszeli przesuwające się po karoserii sztywne paluchy gałęzi – w następnej chwili wytoczyli się z kabiny w sam środek mgły. – Profesor stał oślepiony, nie mając pojęcia, co należy zrobić, ani w którą stronę się udać. Poczuł na rękawie uchwyt Moneyarda – milioner ciągnął go za sobą. Biegli potykając się, grunt pod podeszwami to twardniał, to stawał się zupełnie grząski. Wreszcie wydostali się na chodnik i płytki twardo zadźwięczały pod obcasami. Jeszcze kilka czy kilkanaście kroków i wśród mgły zamigotało światło, a zaraz potem wychynęły przekreślone czarnymi krzyżykami, półkoliście zwieńczone okna – i gmach nakrył ich szarym cielskiem jak kwoka. Z rozpędu wbiegli po schodach do holu głównego korytarza. Żywej duszy. Czerwone dywany i płonące rzęsistym blaskiem kandelabry. Była to zmiana na tyle gwałtowna, że zatrzymali się. Oddychali ciężko, spoglądając to na siebie, to wokół siebie.
– Chodźmy tam od razu – wykrztusił profesor. Moneyard skinął głową. Weszli po schodach na piętro. W poprzek przejścia leżał zwalisty kształt robota. Nim upadł, został wyłączony albo uległ awarii.
– Gamaliel – odezwał się Moneyard i zrobił niezdecydowany ruch w stronę szczątków, ale profesor chwycił go za rękę. Dalej w pokojach także nikogo nie zastali. Dom wyglądał tak, jakby orkan wywiał wszystkich mieszkańców, nie czyniąc najmniejszej krzywdy meblom, zasłonom i kotarom.
– Tędy – pokazał Moneyard uchylone drzwi. Tu lampy wyłączono i w pokoju panowała szarość, ale zaledwie weszli, oświetlenie zareagowało automatycznie. Profesor nie wiedział, gdzie znajduje się sejf, ale patrząc na Moneyarda zrozumiał, że stało się coś niedobrego.
Obraz był odchylony, a drzwiczki sejfu tylko lekko przymknięte. Moneyard odciągnął je; wnętrze sejfu wypełniała krwawa poświata bijąca z wyłupiastych oczu obu kocich figurek. Moneyard widział kiedyś, jak ich ślepia jarzyły się niczym druciki żarówek zasilanych słabym prądem – ale teraz gorzały jak cztery karbunkuły.
Poza nimi w skrytce nie było niczego.
Moneyard zostawił profesora i wybiegł z poko
lejny dreszcz. Coś działo się wokół, z nim samym i w nim, ale nie miał nawet tyle czasu, żeby podnieść głowę.
Przerażenie opuściło go, wydając się niesłychanie odległym wspomnieniem; teraz widział tylko swoje ręce migające na tle rozświetlonego kryształu, w który cudownym sposobem zamienił się chropowaty przedmiot. W jego wnętrzu rodziły się okruchy jasności, eksplodowały i światło wylewało się kaskadami na zewnątrz. Po drodze ulegało załamaniu na niewidocznych szlifach i rozszczepianiu na zwoje kolorowych tęcz. Tęcze te gasły, ustępując miejsca innym, rozsypywały się na kolorowe iskry i znów przed oczami chłopca migotał barwny pas. Ile mogło upłynąć czasu? Nie wiedział i nie obchodziło go to. Wyszedł z domu przed wiekami i nigdy tam nie wróci, to pewne. Opuścił stary świat, lecz znajdzie sobie nowy na jego miejsce, nieskończenie piękniejszy i lepszy, o którym śpiewał ten przedmiot. Chłopiec wierzył mu bez zastrzeżeń. Teraz rozumiał, dlaczego rodzice nie pozwalali mu się nim bawić.
Całym ciałem odbierał konwulsje otoczenia. Mur ożył i usiłował zrzucić starą formę, która więziła go przez tyle lat. Ziemia pod kolanami poruszała się ekstatycznie, powietrze wibrowało jak pędzone przez wirnik ogromnej sprężarki zawieszonej na niebie – a tlatocetl gorzał oślepiającym blaskiem i ręce chłopca coraz sprawniej poruszały się w jednym rytmie z jego rytmem i w jednej woli z jego wolą. Tak, to było szczęście. Właśnie go doświadczał. Zmrużył oczy, nie mogąc znieść promieni bijących w źrenice ze słonecznej klepsydry, lecz i z nim samym stało się coś dziwnego. Blask przestał mu przeszkadzać. Nie był już tym co przedtem, inaczej poczuł swoje ciało, a przez nie świat, który go otaczał. Potem zrozumiał, że misterium, w którym uczestniczył, powoli zaczyna dogasać. Uważnie przyjrzał się własnym rękom, które nie były rękami i w których tlatocetl wirował nieskończenie wolniej, a stamtąd jego spojrzenie powędrowało na dziwacznie sklepioną pierś i nogi, uformowane odmiennie niż przedtem. Właściwie w tej pozycji było mu niewygodnie. Zastanawiał się, skąd te zmiany, czy ma być z nich zadowolony, czy raczej odwrotnie – pożałować starej, utraconej formy. Ale właściwie jakiej? Nic nie mógł sobie przypomnieć. Słowa zacierały się w jego mózgu, poczuł się bezradny i opuszczony. Ciągle trzymał tlatocetl, po którym przesuwały się spokojnie ostatnie serie kolorowych plam.
A wtem z budynku wydarł się wielki jak wieża osobnik i rwał przed siebie bez celu, wyrzucając śmiesznie podobne do szczudeł nogi i wywijając szczudlimi ramionami jak wiatrak. Z trudem łapał równowagę. Jego szpiczasta, zakończona jak u konika polnego twarz z osadzonymi po bokach wielkimi oczami owada otwierała się i zamykała, łapiąc powietrze. Zniknął we mgle i zaraz się z niej wyłonił, powietrze rozbrzmiało wysokim, ptasim skrzekiem. Ransome Moneyard junior, błyskawicznie zamieniony w miradorskiego psa, przypadł do muru, nie chcąc by tamten go zauważył, ale stwór odgadł jego obecność jakimś szóstym zmysłem. Zbliżył się i niedbałym ruchem długiej kończyny zahaczył psa razem z tlatocetlem i wgarnął ich raczej niż kopnął do budy, która wzięła się tu nie wiadomo skąd. Ransome Moneyard junior zaskowyczał z bólu i upokorzenia, w głębi duszy zadowolony jednak z takiego obrotu sprawy. Ułożywszy pysk na obłym przedmiocie, po którym wolno przelatywały ostatnie światełka usiłował zasnąć.
Dziwaczny stwór wydał skrzek tryumfu, który poleciał w mgłę, między monstrualne rośliny porastające ogród. Powtórzył ten odgłos z wyraźnym upodobaniem i skierował się ku wejściu do budowli. Zielone skrzydła szumiały nad nim uroczyście.

styczeń 1984

Kongres futurologiczny Maska

Dwa teksty Stanisława Lema z lat 1970 i 1976 weszły w skład nowej edycji Wydawnictwa Literackiego. Wspomnienia Iona Tichego z 8 światowego Kongresu Futurologicznego w Costaricanie nie straciły nic ze swej aktualności, przeciwnie – wizja świata nękanego katastrofami ekologicznymi, demograficznymi, żywnościowymi, surowcowymi... nie wydaje się aż tak bardzo odległa, a pesymistyczne proroctwa Lema skryte pod maską żartu, kpiny, błazenady nabierają cech realności. Ziemia w niewoli halucynogenów, środków chemicznych maskujących złowrogą rzeczywistość, totalny fałsz i zakłamanie, ucieczka w podświadomość jako forma koniecznej samoobrony – warto pamiętać, że te wszystkie prognozy pojawiły się na kilka lat przed triumfalnym odkryciem „inner space" w polskiej literaturze przyszłościowej, inwazją nurtów „socjologicznych" i „psychologicznych", badających odporność człowieka na przeobrażenia społeczne i ekologiczne.

Interesującym dopełnieniem tomu staje się „Maska" oceniająca szansę imitacji ludzkiego mózgu, a co za tym idzie narastania w martwej skorupie automatu poczucia osobowości, zalążków życia psychicznego. Jest „Maska" przede wszystkim gorzką refleksją z nieograniczonych sposobów nadużywania techniki, traktuje o zasadzie determinizmu, rozważa możliwości ominięcia bądź zlekceważenia wyjściowych nakazów sterowniczych.

(an)

St. Lem: *Kongres futurologiczny. Ze wspomnień Iona Tichego. Maska.* Wydawnictwo Literackie, Kraków 1983. Cena 90 zł.

Tysiąc i jeden światów

Nowa książka Bohdana Peteckiego – katowickiego orientalisty, dziennikarza, autora kilkunastu powieści science fiction (m.in. „Strefy zerowe", 1972; „Tylko cisza", 1974; „Operacja wieczność", 1975) powstała z myślą o czytelniku młodzieżowym. Bohater tej historii – czternastoletni Bolek Milej staje się posiadaczem „cudownej piłeczki" – automatu należącego do obcej cywilizacji, który posiada dar zmieniania rzeczywistości programując dowolne warianty czasoprzestrzeni. Niezwykłe przygody Bolka przeżywającego wspaniałe wakacje są właściwym tematem książki. Mimo tradycyjnych wątków formalnych powieść Peteckiego zaciekawia, bawi i uczy – przenosząc czytelnika w różne epoki historyczne, wykazując, że losy tego jedynego autentycznego świata od nas samych zależą i w ich kształtowaniu nie wyręczy nas żadna, nawet najbardziej zaawansowana technika Przybyszów.

A zresztą, czy naprawdę mamy się czego wstydzić? Bolek, widząc swych towarzyszy w niebezpieczeństwie, bez zastanowienia śpieszy z pomocą, chociaż mógłby posłużyć się umiejętnościami kosmicznego automatu. Chwyt to stary, ale jakże wymowny: dowodzi zwykłej ludzkiej solidarności, z której możemy być dumni.

(an)

B. Petecki: *Tysiąc i jeden światów.* Czytelnik, Warszawa 1983. Cena 70 zł.

Książki niemożliwe

Wieść o ukazaniu się nowej książki Stanisława Lema jeszcze niedawno elektryzowała wszystkich miłośników science fiction. Dziś, gdy pisarz coraz dalej odchodzi od formuły konwencjonalnej beletrystyki przyszłościowej, gdy ostentacyjnie pragnie się odciąć od literatury, która przyniosła mu sławę światową, odwracają się od niego najbardziej nieprzejednani zwolennicy tej prozy. Wydany niedawno, skromny objętościowo, tom nowych tekstów Lema nie spotkał się z euforycznym przyjęciem i zainteresował smakoszy bardziej wyrafinowanej literatury. Nie jest zresztą „Prowokacja" fantastyką naukową, a w każdym razie nie jest wyłącznie fantastyką. Okazuje się kontynuacją, głośnego w swoim czasie, tomu „Doskonała próżnia" (1971) złożonego z recenzji nie istniejących utworów: zawiera dwa takie omówienia napisane w ostatnich latach.

Pomysł wydania recenzji z książek nie istniejących błąka się w literaturze od bardzo dawna. To, że na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych sięgnął do niego Lem, wydaje się z dzisiejszej perspektywy wydarzeniem nieuchronnym. Po wspaniałym pokazie beletrystycznych możliwości można było dostrzec, że pisarz nie potrafi już zawrzeć w prozie tego wszystkiego, co chciałby powiedzieć. Lata sześćdziesiąte przyniosły najwybitniejsze tomy eseistyki Lema: „Summa technologiae" (1964), „Filozofię przypadku" (1968) oraz „Fantastykę i futurologię" (1970), a w roku 1968 ukazał się również stojący na pograniczu powieści i eseju „Głos pana".

Widać było, że Lem nie mógł ostatecznie rozstać się z fabułą, ale też skłaniał się już w inną stronę. Cóż więc mogło pogodzić obie tendencje? Recenzja z nie napisanej książki. Ten pomysł rozwinął Lem w zbiór wstępów do nie istniejących książek – „Wielkość urojona" (1973), a jego kontynuację stanowił tom wykładów superkomputera „Golem XIV" (1981). Są to wszystko realizacje z pogranicza zabawy i literatury na serio, próba zdystansowania się od własnej twórczości, wzięcie jej w nawias i wskazanie, że wprawdzie autor pisze jeszcze science fiction, ale nie traktuje tego poważnie, że to wszystko znajduje się poniżej jego aktualnych możliwości i zainteresowań.

Taki – w skrócie – jest kontekst, w jakim zaistniała „Prowokacja". Jej główną część stanowi omówienie książki Horsta Aspernicusa: „Ludobójstwo", która dotyczy *„lokaty śmierci w kulturze"*. Nie istniejące dzieło niemieckiego antropologa, sądząc po opisie, jest pozycją nader obszerną, ale recenzent skupia się wyłącznie na tej formie ludobójstwa, którą realizowała hitlerowska III Rzesza. Ludobójstwo nie jest wymysłem XX wieku, nie zrodziło się w tym czasie, ale wtedy powstała jego specyficzna forma – *„mord o totalnie sfałszowanym uzasadnieniu, maskowany w przebiegu i skutkach tak dobrze, jak to jest możliwe"*.

Dawniej zabijano dla zysku, dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa, a być może z jakichś innych, równie „racjonalnych" przyczyn. Tymczasem dla III Rzeszy ludobójstwo było wyzbyte takich motywów, nie dawało istotnych profitów materialnych – wręcz przeciwnie: w ogólnym rozrachunku zagłada Żydów przyniosła państwu niemieckiemu wiele wyraźnych szkód. W imię jakich przyczyn dokonano zatem ludobójstwa na skalę z niczym nieporównywalną? Jedną z nich było obwinianie Żydów za – krótko mówiąc – całe zło świata. Wykreowany przez Lema Aspernicus twierdzi, iż *„esencją żydostwa nie była, wbrew kanonicznym tezom hitleryzmu, rasa, było nią zło – a jego partykularnym wcieleniem w szczególnie wysokiej koncentracji okazali się Żydzi"*. Rozwijając dalej ten motyw sugeruje, że prześladowania Żydów nie były przestępstwem, tylko *„wymierzaniem sprawiedliwości"*. Niemiecki uczony odkrywa zatem psychoanalityczne przyczyny ludobójstwa: *„Jakby nie mogąc zabić Boga, Niemcy zabili jego wybrany naród, ażeby zająć jego miejsce i po krwawej detronizacji in effigie zostać samozwańczym wybrańcem dziejów"*.

Szczególnie interesująco brzmią sądy na temat uwikłania hitleryzmu w dzieje kultury chrześcijańskiej. W jej kręgu *„gdy już wszystko można zrobić, nie wszystko można jeszcze powiedzieć"*, stąd też cała – używając niedawnych określeń – nowomowa, która pozwala uniknąć nazywania po imieniu tego, czego nazwać nie można wprost. Lem odsłania zakłamanie hitleryzmu, jego potworne, wielostronne uwikłanie w zło i wskazuje na rzecz niezwykle istotną: jeśli dobro chce walczyć ze złem, jego siły i możliwości są nikłe, i by działać skutecznie – dobro musi w jakimś stopniu przejąć metody oddziaływania zła, musi niejako stracić swą czystość, zbrukać się, po to jednak, by mieć złudzenie skuteczności.

Recenzowanej w „Prowokacji" książce przyświeca jeden cel nadrzędny: trzeba rozpoznać zbrodnię, *„ponieważ człowiek powinien wiedzieć o sobie, o swojej historii i naturze więcej niż mu to wygodne i przydatne do rzeczy praktycznych"*.

Ale są też sprawy, których umysł ludzki, mimo całej wiedzy, jaką może zgromadzić, nie pojmuje, z którymi nie może się pogodzić, wobec których tradycyjna skala wartości nie zdaje egzaminu. Czymś takim jest właśnie zbrodnia dokonywana na skalę przemysłową. I czymś takim jawi się również współczesny terroryzm, jeden z przewodnich motywów twórczości Lema (np. „Katar"). W recenzji z fikcyjnej książki o ludobójstwie odkrywa on analogie pomiędzy wspomnianym ekstremizmem a hitleryzmem, co prowadzi go do kolejnych rozważań na temat przyswajania elementów hitleryzmu przez kulturę śródziemnomorską. Tekstu nie kończą jednak jakieś wnioski natury ogólnej – problem nie pozwala na podsumowania, obezwładnia piszącego.

Drugą część „Prowokacji" stanowi recenzja z książki „One Human Minute", której autorzy podjęli trud przedstawienia wszystkiego, co robi ludzkość w ciągu jednej minuty. Pomysł wydaje się absurdalny, choć pozornie uzasadniony logicznie – czytając, mamy zawsze wrażenie, że dowiadujemy się tylko części prawdy, że gdzie indziej dzieją się rzeczy znacznie ważniejsze. Książka usuwa to przeświadczenie. Czytelnik wie o wszystkim naraz, zarówno o głupstwach, jak i o rzeczach istotnych.

Po lekturze tekstów Lema widać wyraźnie, dlaczego pisarz zdecydował się na wspólne ich wydanie. Oba opowiadają o książkach „niemożliwych", takich, które powstać nie mogą, ponieważ doprowadzają ludzkie myślenie o człowieku i świecie do pewnych granic, poza jakie nie da się wyjść środkami czysto literackimi. Lem te książki wymyślił, ale nie potrafił ich napisać, tak, jak nie potrafiłby dokonać tego ktokolwiek inny. Niemożliwa jest wyczerpująca analiza kulturowa wszystkich zbrodni hitleryzmu, niewykonalne jest też przedstawienie – nawet za pomocą tablic – wszystkich wydarzeń zachodzących w ciągu minuty. To jest kres literatury – Lem o nim myśli, fantazjuje na jego temat, ale nie zamierza się do niego zbliżyć.

Leszek Bugajski

Stanisław Lem: *Prowokacja.* Wydawnictwo Literackie, Kraków – Wrocław 1984. Cena 60 zł.

Cywilizacje Pozaziemskie a SF

Ukazała się dość niezwykła książka pióra Olgierda Wołczka, znanego popularyzatora wiedzy astronomicznej i astronautycznej, redaktora naczelnego „Postępów Astronautyki", autora takich pozycji, jak „Loty międzyplanetarne", „Kosmiczne szlaki życia", „Narodziny i rozwój Układu Słonecznego".

Książka „Człowiek i Tamci – z Kosmosu" jest wydaniem pośmiertnym. Niespodziewany zgon pisarza uniemożliwił wykonanie korekt i naniesienie poprawek. Szanując wolę zmarłego wydawnictwo Ossolineum nie dokonało żadnych zmian w tekście. Stąd prośba do Czytelników, żeby odnieśli się ze zrozumieniem do napotkanych nieścisłości czy nieaktualnych danych.

Nie na tym przecież polega niezwykłość książki, która w zamyśle Autora miała być próbą wielkiej syntezy (z uwzględnieniem ostatnich wyników badań naukowych) zagadnień ewolucji Kosmosu i życia na Ziemi oraz na innych ciałach niebieskich, a przede wszystkim – problematyki CETI-SETI, czyli kwestii istnienia cywilizacji pozaziemskich, sposobów ich poszukiwania i nawiązania kontaktu. Bardziej właściwe będzie określenie tej książki jako wielkiej impresji na temat cywilizacji człowieka oraz cywilizacji kosmicznych. Omawiana pozycja zachowując popularnonaukowy charakter podaje informacje w postaci zbeletryzowanej. Jest to więc opowieść o Kosmosie, o człowieku i jego miejscu we Wszechświecie, o astronautyce, możliwości ekspansji rodzaju ludzkiego i powstania *Homo galacticus*. Tematyka i sposób narracji pozwalają umiejscowić omawianą książkę na pograniczu rzetelnej science fiction i popularyzacji naukowej – a zwłaszcza tej dziedziny, która sama jest jeszcze na poły fantastyczna: egzobiologii i problematyki CETI-SETI.

Nic dziwnego, że Olgierd Wołczek raz po raz odwołuje się do literatury fantastyczno-naukowej, a zwłaszcza do tych znakomitych utworów SF, które zostały poświęcone zagadnieniu życia we Wszechświecie, istnieniu cywilizacji pozaziemskich i próbom nawiązania z nimi kontaktu.

Napotykamy w książce wzmianki o takich utworach i nazwiskach jak „2001 – Odyseja kosmiczna" Arthura Clarke'a, „City" Clifforda Simaka, „Dziedzictwo Uranidów" Walanda Gorma, „Czarny Obłok" Freda Hoyle'a, „Trujące pasmo" Arthura Conane Doyle'a, „Planeta małp" Pierre'a Boulle'a czy „The First and Last Man" Olafa Stapledona. Najwięcej uwagi autor poświęca jednak twórczości Roberta Heinleina, Stanisława Lema, braci Strugackich, Herberta George'a Wellsa, często przytaczając fragmenty ich opowiadań lub powieści fantastyczno-naukowych.

W celu uatrakcyjnienia książki, a także porównania wizji literackich z panoramami pozaziemskich światów, przekazywanymi przez sondy międzyplanetarne i obserwatoria orbitalne autor zamieszcza fragmenty takich pozycji SF jak „Więzień na "Marsie" Gustawa Le Rouge'a, „Kroniki Marsjańskie" Raya Bradbury'ego i „Aelita" Aleksego Tołstoja (w rozdziale „Marsjanie"); „Perelandra" S. Lewisa, „Deszcz bez końca" R. Bradbury'ego i „Lilie wodne" Malcolma Jamessona (w „Obliczu Wenus"); „Trzydzieści dni pod oceanem" Tancrède'a Vallerey'ego („Inne »Ziemie«"); „Misja międzyplanetarna" Van Vogta („Na nieznanych planetach dalekich słońc"); „The Kraken Wakes" Johna Wyndhama, „Samotna planeta" M. Leinstera i „Pomocna dłoń" Poula Andersona („Kosmiczni bracia"); „Fundacja" Isaaka Asimova, „Dzwony Piekieł" Kazimierza Truchanowskiego czy „Mgławica Andromedy" Iwana Jefremowa („Imperium Galaktyczne").

Negatywnie natomiast odnosi się Olgierd Wołczek do „radosnej twórczości" Ericha von Dänikena, a zwłaszcza do działalności jego rozlicznych naśladowców, przedkładając dobrą science fiction nad niedowarzone utwory zwolenników paleoastronautyki, będące wyznaniami nowej wiary (rozdziały „Zrodzeni z ognia" oraz „Czy Kosmici zstępowali z nieba?"). Fantastyka n a u k o w a przestrzega bowiem pewnych reguł gry, podczas gdy paleoastronautykę cechuje dowolność w interpretowaniu faktów. Zresztą czym innym są impresje literackie SF utrzymane w określonej konwencji, a czym innym wadliwe metodologicznie pseudonaukowe publikacje paleoastronautyczne.

Łącznie prawie jedną piątą tekstu książki „Człowiek i Tamci – z Kosmosu" stanowią fragmenty bądź streszczenia różnych utworów fantastyczno-naukowych, które poruszają niezmiernie intrygującą tematykę – istnienia życia we Wszechświecie i cywilizacji pozaziemskich. Takiej książki – porównującej wizje literackie z wynikami badań i obserwacji – jak dotąd nie było. Sądzę, że okazała się potrzebna.

T. Zbigniew Dworak

Olgierd Wołczek: *Człowiek i Tamci – z Kosmosu.* Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Wyd. PAN, Wrocław 1983. Cena 110 zł.

Gra o nic

Fantaści mają swojego człowieka w głównym nurcie. Czesław Białczyński (ur. 1952), autor opowiadań i powieści SF, wydał współczesną nowofalową powieść, czyniąc krok w kierunku tzw. normalnej literatury. Wychylmy głowy nad mury getta i zobaczmy jak mu poszło. Jeśli dobrze, zawołamy, że nasza w nim krew. Jeśli powinie mu się noga, wrzaśniemy gromko – oto kara za rejteradę i odstępstwo.

Białczyńskiemu nie brak jednego, a mianowicie tupetu. Szczegółowych informacji na swój temat udziela na drugiej stronie okładki, równie dokładnej i szumnej deklaracji artystycznej dokonuje na trzeciej. Ponadto poprzedza rzecz wstępem-instrukcją czytania oraz mottem tyleż nijakim, co pretensjonalnym. Oglądane ze szczytów getta gesty te robią nawet wrażenie, czy przyjmie je jednak otrzaskany z ekstrawagancjami zewnętrzny świat literacki?

Sam autor ma się za fantastę z przypadku, a za współczesnego awangardzistę z powołania. Ramy SF są dla mnie zbyt wąskie – reklamuje się nowej publiczności. Podejrzewam z kolei, że ramy normalnej literatury okazały się dla Białczyńskiego za szerokie. Nie ukryty tym razem za podwójną gardą przygodowej konwencji SF i za wpisanym w tę konwencję schematem socjologiczno-humanistycznej molestacji, wydaje się autor chwilami niepokojąco bezradny. W książce, której tytuł odsyła do momentu schyłku pewnej bujnej epoki, nie daje Białczyński właściwie ani jednego inteligentnego sądu na temat świata, który czytelnik miał, a bohater książki ma przed oczami. Refleksyjność powieści wyczerpuje się w myślach płaskich, horyzont aspiracji i pretensji bohatera sprowadza się głównie do skowytu odrzuconego kochanka, do ambicji automobilowych, do wściekłości na miejskim przystanku. Dociekliwość językową i myślową autora ukazują zdania: *„społecznie i politycznie bardziej zaangażowana niż ja"* oraz *„normalność i zdrowie tryskające z takiego choćby Penthausa".*

Książka wpisuje się w nurt powieści trzydziestolatków – o rozsypanej strukturze, przepełnionych dywagacjami, z czasem biegnącym w różne strony i młodym bohaterem przemierzającym ulice. Tytuły tych książek dobrze mówią o co chodzi – „głuchy telefon", „gra na zwłokę", „śpiący w mieście", „kilka chwil", „stan płynny", „ruchomy kraj". Jest jeszcze parę brzmiących nie tak adekwatnie, są w nurcie książki bardziej i mniej znaczące, ale rzecz Białczyńskiego dołącza do tych drugich. Niestety, nie okazał się autor pisarzem na miarę Andermana, Müldner-Nieckowskiego, Kornhausera, Musiała czy nawet Piskora. Zabrakło mu daru konstruowania scen wyrazistych obyczajowo i nośnych mitologicznie, jaki mają dwaj pierwsi; nie niesie jego książka pokoleniowej mitologii, jaką znajdujemy u Kornhausera i Piskora; nie ma wreszcie Białczyński luzu, inteligencji i erudycji Musiała. Językowo jest gorszy od każdego z nich, rzeczywistości wbrew tytułowi u niego mało, a jako medium wybiera bohatera, który ma nam dziwnie mało do powiedzenia (i jako indywidualność, i jako przykład losu modelowego). Musi się więc Białczyński wyręczać automatyzmami literackimi spod znaku nouveau roman, polegającymi na natchnionej rejestracji jak leci szczegółów pejzażu, ludzkiego ciała itp.

Nie mając ważnych treści w zanadrzu, próbuje autor sprawić – patrz wstęp – byśmy go pokochali za strukturę. Fakt, opowieść o trójkącie spętanym więzami miłości, zazdrości, nienawiści, o bohaterach, z których jedno podejmuje próbę samobójstwa, a drugie dopuszcza się zbrodni (a może tylko ją sobie wymyśla?) podana jest formalnie dość interesująco. Czas biegnie w książce „pod prąd", autor dzieli rzecz na części, osobno opowiadające o wydarzeniach i osobno je komentujące. Ale są to płynne granice, cała nawiedzona teoria i jej realizacja raczej irytuje niż porywa. Literacka gra wygląda na pustą. Tylko chwilami, gdy na przykład czytamy rozmowę o usuniętym dziecku, lub w części końcowej, kiedy oczami bohatera podglądamy przez lornetkę osiedle – ów stop formy i treści zaczyna błyszczeć.

Sądzę, że porażkę Białczyńskiego należy zapisać tyleż po stronie autora, co całej kultury. Przez kulturę rozumiem zbiór królujących nam mód i ciężar obezwładniających nas niemożności. Jest symptomatyczne, że młody pisarz, nieźle radzący sobie z rzeczywistościami, których nie ma, przegrał (nie on pierwszy) przy próbie opisu świata, który istnieje. Typowe jest i to, że podobnie jak rówieśnicy sięgnął po formę rozchybotaną i migotliwą, z góry rezygnując z pisania wprost, do którego na terenie SF nieźle przecież zaprawił sobie rękę. Podejrzewam, że Białczyński wróci do nas wcześniej czy później – czy chce tego, czy też nie. Będzie to powrót gorzki, jak do wzgardzonej kochanki, nie ucieszy więc zbytnio ani nas, ani, zwłaszcza, jego.

Maciej Parowski

Czesław Białczyński: *Czwarty na piąty maj, osiemdziesiąt.* Czytelnik, Warszawa 1983, Cena 90 zł.

Groza Aleksander

(1807 – 1875)

Literat, wydawca

Urodził się 30 czerwca 1807 r. we wsi Zahranicze w powiecie taraszczańskim w guberni kijowskiej. Pochodził z zamożnej rodziny szlacheckiej – jego matką była Teofila z Kopczyńskich. W latach 1817–1820 pobierał nauki w bazyliańskiej szkole humańskiej, a następnie w gimnazjum wiśnickim, które ukończył w 1826 r. Studiował na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Wileńskiego. Był wolnym słuchaczem Uniwersytetu Dorpackiego (1829 – 1830). W 1831 r. osiadł w dziedzicznej wsi Sołohubowka na Ukrainie i poświęcił się działalności literackiej. Pierwsze utwory poetyckie opublikował na łamach wileńskiego „Noworocznika Litewskiego" w 1831 r. W kilka lat później ogłosił swą najciekawszą powieść „Starosta Kaniowski" – historię zbrodni i gwałtów Mikołaja Potockiego („Poezje", 1836). W latach 1838–1842 wydawał w Wilnie almanach „Rusałka" (5 tomów), w którym zamieszczał utwory pisarzy wileńskich i ukraińskich. W 1843 r. ukazała się jego dwutomowa edycja „Poezji", a po dość długiej przerwie proza realistyczno-obyczajowa: „Władysław – wyciąg z pamiętników nie bardzo starych" (1848), „Mozaika kontraktowa – pamiętnik z roku 1851" (1857). U schyłku lat pięćdziesiątych Aleksander Groza zamieszkał w Berdyczowie, pracując jako nauczyciel, później przeniósł się do Żytomierza, był współorganizatorem Stowarzyszenia Księgarsko-Wydawniczego, spółki nakładowej tanich książek (wydające; m.in. opracowane przez niego elementarze). W tym czasie powstają kolejne utwory Grozy: dramat ukraiński „Hryć" (1858) i poetycka opowieść „Śmiecińskі" (1860) oraz dramat w dwóch częściach „Twardowski" (1873). Autor „Starosty Kaniowskiego" umiera 3 listopada 1875 r. w Chałaimgródku pod Berdyczowem.

Twórczość Aleksandra Grozy, zaliczana do tzw. „szkoły ukraińskiej" polskiego romantyzmu, zawiera wiele obserwacji o charakterze obyczajowym, ludowych tradycji, wierzeń i podań. W jego dramatach poetyckich fantazja i zmyślenie przeplatają się z rzeczywistością, legendy z faktami autentycznymi podanymi w formie odautorskiego, lirycznego komentarza. Jednym z bardziej znanych utworów Grozy jest **„Biała róża Pinettiego"** (zamieszczona w I tomie „Polskiej noweli fantastycznej" J. Tuwima), opowiadająca o życiu wędrownego magika neapolitańskiego Pinettiego, który zadziwiał swoich współczesnych niepospolitą sprawnością kunsztu „czarnoksięskiego". Mimo wielu cudownych metamorfoz i nieprawdopodobnych „sztuczek", sylwetka wielkiego szarlatana w interpretacji Grozy zyskuje pozory realności, traci wiele ze swego tajemniczego statusu, a sam autor noweli przyznaje w zakończeniu, że *„jedynie nadzwyczajna zręczność, przytomność umysłu, dowcip i siła (magika) były jego czarodziejskimi potęgami"*.

Bibliografia wybrana:
- H. Galle: *Aleksander Groza* (w) Sto lat myśli polskiej, t. IX, s. 442 – 448.
- M. Czabowski: *Literatura i krytyka*. Wilno 1840.
- B. D. Rzuchowski: *Kilka słów o Aleksandrze Grozie i jego pismach*. Lwów 1877.

Grzybowska Krystyna

(1909 – 1963)

Prozaik, dramaturg

Urodziła się 12 kwietnia 1909 r. w Krakowie. Studiowała na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Debiutowała w 1932 r. na łamach „Czasu" jako krytyk teatralny. Była długoletnią redaktorką „Przeglądu Teatralnego". Po zakończeniu II wojny światowej weszła w skład redakcji miesięcznika „Teatr", a od 1946 r. redagowała czasopismo „Listy z teatru". Opublikowała kilka sztuk scenicznych, książek dla młodzieży oraz słuchowisk radiowych. M. in. wydała: „Penelopa i mandarynki" (reportaż z podróży do Grecji, Nasza Księgarnia 1959), „Zuzia" (powieść dla młodzieży, Nasza Księgarnia 1960, wyd. 2 – 1962, wyd. 3 – 1968), **„Julian czyli o końcu świata"** (żart z pewnym sensem; Wyd. Literackie 1961), „Ija, i Franuś" (powieść dla młodzieży, Nasza Księgarnia 1962), „Kronika rodzinna. Wspomnienia o rodzinie Estreicherów" (Ossolineum 1969). Zmarła w Krakowie 23 czerwca 1963 r.

Tematem jedynej, zapomnianej już dziś powieści Krystyny Grzybowskiej, zbliżonej od nurtu science fiction („Julian czyli o końcu świata") są losy Ziemi zniszczonej serią niezwykłych katastrof przyrodniczych u progu XXI stulecia. Cywilizacja naukowo-techniczna nie jest w stanie opanować wrogich żywiołów i w przeciągu krótkiego czasu rozpada się jak domek z kart, ukazując iluzoryczność dawnego porządku społecznego. Z pogromu Starego Świata wychodzi cało jedynie para młodych ludzi: Ewa i Piotr (genialny inżynier – wynalazca maszyny czasu), którzy nie czekając na dalszy rozwój wypadków podejmują heroiczną ucieczkę w przyszłość. Szaleńcza wyprawa kończy się powodzeniem. W bliżej nieokreślonym stuleciu odważni podróżnicy obserwują ponowne narodziny życia na Ziemi: zostają przyjęci w obręb plemiennej grupy Rudowłosych zorganizowanej na zasadach utopii arkadyjskiej, zamieszkującej dzisiejsze tereny południowej Polski. Losy bohaterów, obejmujące okres bez mała dwudziestoletni, stanowią właściwą akcję powieści. Opisy zmagań z dziką, nieustępliwą Przyrodą są tylko pretekstem do ukazania wewnętrznych przeżyć człowieka przedstawionego w nowej sytuacji społecznej i środowiskowej, narastania świadomości kolejnych członków grupy, którzy (nie bez pomocy Przybyszów) poznają smak goryczy i upokorzenia, żądzę zemsty i sławy. Piotr stając na czele enklawy uczy współbraci walki z nieprzyjacielem, jest inicjatorem budowy prymitywnych ośrodków przemysłowych, odkrywcą nowych terenów łowieckich – ale jednocześnie burzy stare prawa i obyczaje wprowadzając w ich miejsce kodeksy dawnej cywilizacji, przyjmując winę za rozkład moralny enklawy (mityczne powtórzenie grzechu bratobójczego w scenie zabójstwa Abla).

Powieść Krystyny Grzybowskiej, nawiązująca do tematu katastrofy kosmicznej, okazuje się zatem rodzajem biblijnej przypowieści na wzór „Księgi Rodzaju" i wypowiada kilka ogólnych prawd na temat szans dalszego rozwoju społecznego. Dzieje człowieka są tu spiralną linią cyklicznych nawiązań, zależą nie tyle od postępu technologicznego, ile od pewnych, bardzo ogólnych prawidłowości historyczno-przyrodniczych. Ludzie powtarzają, co prawda, swoje dawne błędy, gdyż od praw biologii nie ma ucieczki, ale wola przetrwania jest silniejsza od śmierci i pomaga w zachowaniu ciągłości cywilizacyjnej.

Uniwersalne przesłanie książki podkreślają rozważania anonimowego przedmowcy, który w obszernym wstępie zwraca uwagę na introspektywny charakter utworu: *„Opowiadanie poniższe w żadnym wypadku nie jest relacją o przyszłości świata. Jest to wyłącznie dramat rozgrywający się wewnątrz jednostki, w której walczy ze sobą dobro i zło, nowe i stare, egoizm i społeczny, czyli moralny instynkt, a jak kto chce – sumienie*

Pewnej niezapomnianej nocy niezwykła jasność, daleko jaskrawsza niż światło dzienne, w jednej chwili zamieniła wieczór na ranek. Ludzie spostrzegli się nie od razu. Było już dobrze po północy, a zjawisko przebiegało w zupełnej ciszy. Dopiero dokuczliwe gorąco powyciągało spod kołder i pierzyn nawet śpiochów pogrążonych w kamiennym śnie. Niebo, po którym płynęły skłębione chmury, zmieniło kolor. W miejsce brudnosinych strzępów napływały żółte, czerwone i fioletowe, wzniecając grozę i zamęt. Przestało działać radio i telewizja, zamarły w maszynach lampy elektronowe i tranzystory lub przeciwnie: migotały jak oszalałe sygnalizując tajemniczy alarm.

Nie udawało się sprawdzić, co zaszło – ani jaki był zasięg zjawiska. Nad ranem drogi zapełniły się uciekinierami, którym ich dotychczasowe miejsca pobytu wydały się niebezpieczne. Fale ludzkie uderzały o siebie, dążąc w przeciwnych kierunkach. Szybko zrozumiano, że nie ma dokąd uciekać, wszędzie działały te same siły. W kościołach księża zaintonowali „Dies irae"...

Wtedy właśnie potworny huragan dał znać o katastrofie, wobec której niczym były często powtarzające się od pewnego czasu trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów. Przerażała powszechność zjawiska. Na obu półkulach, tej, gdzie noc została unicestwiona i tej, na której powinien był panować normalny dzień – rozpętany żywioł walił ściany i zrywał dachy. Większość lasów legła pokotem, pociągi frunęły z nasypów jak świstki papieru. W ciągu paru kwadransów cywilizacja, z której ludzkość tak była dumna, została nikczemnie znokautowana. Runęły kominy fabryczne, piece hutnicze, wieże kościołów. Linie telefoniczne i przewody wysokiego napięcia zamieniły się w kłęby splątanych drutów, wiatr je, jak róże jerychońskie, pędził po polach. Powstały przy tym liczne pożary, które prąd powietrza przenosił. Huragan nie oszczędził żadnej części świata, owijając się wokół Ziemi jak boa dusiciel. Oprócz zniszczenia przynosił stokroć szkodliwszą, paraliżującą wszelkie życie, truciznę lęku. A gdy się uspokoił, ustając równie nagle, jak przyszedł, ludzkość poznała, że odebrano jej łaskę nocy – ciemność. Trwał ciągły dzień, o ile dniem można było nazywać to jaskrawe światło. Niebo stale pokrywała zasłona chmur; daremnie próbowano badać, co się za nią kryje. Przestrzeń nie wydawała tajemnicy, odrzutowce i balony strącała w nicość, motory odmawiały posłuszeństwa, powłoki balonów topiły się lub pękały, lotników ogarniał w powietrzu rodzaj szału.

Uczeni, do których pomocy się odwoływano – zawiedli bezradni. Z wolna przesiąkały wiadomości potęgujące grozę. Stwierdzono, że słońce wprawdzie wschodzi i zachodzi, ale nie ma wpływu na jasność. Widocznie jakieś inne ciało niebieskie świeciło bez przerwy. Ale jakie? Ogon komety? Stratosfera? Pytania były jałowe, bo chmury nie dopuszczały obserwacji gołym okiem, a instrumenty nie działały. W miarę jednak jak ów niesamowity stan rzeczy utrwalał się, zaczęły powoli wracać pewne formy współżycia ludzi ze sobą. Działało przyzwyczajenie: jak skoszona trawa, tak w sercach niektórych ludzi odrastała naiwna nadzieja. Tu i ówdzie kursowały staroświeckie, węglem opalane pociągi, gdzie indziej wprowadzono konne dyliżanse. W zrujnowanych i pozbawionych komfortu domach ludzie urządzali się jak mogli. Pocieszali się przy tym, że bez wody i centralnego ogrzewania ich pradziadowie umieli być niekiedy nawet szczęśliwi. Niestety zapanowała idea daleko posuniętego egoizmu, a hasłem dnia stało się wypowiadane głośno i



JULIAN CZYLI O KOŃCU ŚWIATA

Krystyna Grzybowska

M. Stryjecki

cynicznie Homo homini lupus est – człowiek człowiekowi jest wilkiem. Byli i tak zrozpaczeni, że już tylko modlili się po kościołach, nie ratunku jednak wzywając, ale śmierci. Inni, praktyczniejsi, wybrali zawód rabusia. Z tych niektórzy jak gdyby oszaleli, owładnięci żądzą posiadania rzeczy bezużytecznych. Gromadzili oni skarby w postaci lamp, których się nie dało zapalić, aparatów telewizyjnych, magnetofonów, skuterów i innych zabawek, w poprzedniej epoce pożytecznych i rozpowszechnionych, ale obecnie tylko zawadzających. Inni – przeciwnie – pozbywali się balastu rzeczy niepotrzebych, wyrzucając je po prostu za okno. W rezultacie stosy śmiecia zalegały i tak już gruzem zasypane ulice.

Jeszcze inni, zakochani – która to choroba wciąż jeszcze pieniła się między ludźmi – szukali przedmiotu swej miłości, ażeby wspólnie umierać. Tych było jednak niewielu i czekały ich gorzkie rozczarowania. Pewien znany archeolog włamał się do galerii w Luwrze, ażeby schronić się u stóp bogini. Był on tak zapalonym czcicielem antycznego piękna, że śmierć traciła dla niego ostrość w obliczu marmurowych kształtów, będących – jak wierzył – wcieleniem wiecznej idei. Został on natychmiast aresztowany, ponieważ policja nie poddała się jeszcze wtedy ogólnej panice i próbowała nawet opanować ją, pozbawiając wolności, niestety, niekiedy także ludzi niewinnych, jak ów profesor. Policjant, który odprowadzał archeologa na komisariat, sądził zapewne, że działa w interesie ludzkości i że, usuwając zamęt na Ziemi, aparat bezpieczeństwa wpłynie na zamęt w eterze. Może i byłoby w końcu coś z tego, gdyby nie ubolewania godny fakt, że w szale, który opanował tłumy, podpalono nie tylko komisariaty, ale w ogóle siedziby władz. To niewątpliwe zaćmienie umysłu, niewdzięczność i nieliczenie się z własnym interesem należy przypisać psychozie tłumu, tłum bronił się gwałtem podsycającym poczucie siły. Żadna salwa, żadne gazy łzawiące nie powstrzymywały szaleńców, wierzących, że lada dzień śmierć siądzie im na karku.

Pieniądz tracił wartość, zapanował więc handel zamienny oparty na towarze. Stanowiły go głównie lekarstwa, żywność i odzież. Próbowano uruchamiać sklepy, a nawet kilka bardziej przedsiębiorczych teatrów otwarło podwoje, chcąc przywrócić wartość nieco sponiewieranemu pojęciu Sztuki. Publiczność żądała przede wszystkim fars i operetek, te więc dawano. Księża za wstęp do kościołów zaczęli pobierać opłatę w formie dobrowolnej daniny. Ponieważ nie przyjmowali byle czego, zapały wiernych znacznie ochłódły.

Trzaski w aparatach radiowych uniemożliwiały normalny odbiór. Z tych trzasków ten i ów wnosił o wtargnięciu w atmosferę nieznanych promieni i coraz częściej słyszało się twierdzenie, że katastrofa nastąpiła wskutek wejścia Ziemi w ogon komety. Po okresie apatii nagle i niespodziewanie nawiedził Ziemię okres euforii. Wbrew głosom rozważnych, vox populi główną winę przypisał nie komecie, ale uczonym zwłaszcza fizykom i biologom. Rozfanatyzowane tłumy błąkały się od miasta do miasta i niszczyły bezlitośnie wszelkie ośrodki badawcze. Zabijano – zgroza pomyśleć do czego doprowadziła wyzwolona ciemnota – uczonych, tak jak w poprzednim okresie przedstawicieli instytucji usiłujących utrzymać ład.

Tymczasem przyroda znowu zaczęła szaleć. Powstał okres burz i śnieżnych zamieci, choć wedle kalendarza panowało lato. Powodzie pozrywały do reszty mosty i drogi, przecięły łączność. Ludzkość pozamykała się w domach i jedyną jej troską stało się poszukiwanie żywności oraz opału. Każdy zdobywał je na własną rękę, wbrew sąsiadom (...). Z każdym dniem resztki więzi społecznej zanikały, a jednostka zamykała się jakby w skorupie orzecha, nawet rodzina traciła znaczenie. Bezużytecznym cackiem stały się klejnoty, złoto; pieniądze – śmieciem. Stopniowo i handel zamienny tracił znaczenie. Jego miejsce, w tej drugiej fazie, zajął brutalny rabunek.

Były jednak jednostki, które wytrwały w wierności do tego, co tak niedawno nazywano z szacunkiem ideałami. Te jednostki starały się organizować szpitale, apteki, punkty pomocy dla niedołężnych. Korzystano z nich, ale jednocześnie stawały się one celem napadów. Te z nich, które zapewniły sobie trwałe istnienie, musiały używać w tym celu równie brutalnej, jak agresja, obrony.

*Wydawnictwo Literackie, **Kraków** 1961, wybór ze stron 27–30.*

CORTAZAR

12 lutego 1984 r. zmarł w Paryżu po długiej i ciężkiej chorobie siedemdziesięcioletni Julio Cortázar jeden z najsłynniejszych pisarzy argentyńskich, autor wielu bestsellerów, m.in.: „Tajemnej broni" (wyd. polskie 1967), „Gry w klasy" (1968), „62. Modelu do składania" (1974), „W osiemdziesiąt światów dookoła dnia" (1976), „Tanga raz jeszcze" (1984). Był Cortázar wielką indywidualnością i to nie tylko w krajach latynoskich, a po krwawym dramacie narodu chilijskiego całkiem otwarcie zaangażowanym w obronę praw człowieka. To właśnie on przygotował słynne oskarżenie junty chilijskiej, księgą „Chili: le dossier noir" (1974). Był członkiem Trybunału Helsińskiego – międzynarodowej komisji zajmującej się badaniem zbrodni junty. *„Od czasu pamiętnego puczu"* – przyznawał w swym pamiętniku – *piszę bardzo mało. Moim obowiązkiem jest teraz walka o Chile".*

Szczyt popularności Cortazara przypada jednak na okres znacznie wcześniejszy, kiedy – nie bez wpływu Borgesa – manifestował swoją niezależność, postawę „romantycznego buntu wobec rzeczywistości, a jego twórczość – wyzwolona od obowiązków dydaktycznych – poszukiwała wartości samoistnych, zdolnych rozszerzyć tradycyjną formułę powieści. Nie było to zadanie łatwe, a jednak w jakiś sposób możliwe. Właśnie Cortázar, autor „Babiego lata", które posłużyło za kanwę „Powiększenia" Antonioniego, wyszedł poza dotychczasowe konwencje opisu, ukazał wielogłosowość prozy, jej uległość wobec różnych języków pozaliterackich. Tym samym nawiązał rzeczywistą współpracę z czytelnikiem: każda książka – „Gra w klasy", „62. Model do składania"... zmuszała do wysiłku intelektualnego, inwencji, aktywności, była ogromną łamigłówką fabularną, którą należało poskładać i zinterpretować. *„Postawa współuczestnictwa, jakiej oczekuję od mojego odbiorcy* – mówił Cortázar w jednym z wywiadów prasowych – *to nic innego jak właśnie deklaracja wewnętrznej niezależności w miejsce stanu zahipnotyzowania, w jaki chciała zawsze wprawiać człowieka literatura klasyczna. Wiem, że są ludzie, którzy pochłaniają każdą książkę oczyma, lecz nie biorą udziału w lekturze jako osoby i aktorzy. Ja chciałbym od swoich czytelników czegoś więcej".*

Jest takie opowiadanie Cortazara – **„Ciągłość parków"**, chyba najbardziej reprezentatywne dla jego sądów o literaturze i sztuce. Literatura to coś pomiędzy wyrocznią a czarami, inicjatorka mitów splatająca w całość rzeczywistość i marzenie. *„Pomiędzy życiem a pisaniem właściwie nie ma wyraźnej różnicy, wszystko jest ideą ciągłości, ciągłości parków: parku przedstawionego w dziele literackim i parku rzeczywistego otaczającego dom czytelnika".*

„Opowieści o kronopiach i famach" (1974) zapoznały polskich miłośników Cortazara z jego ulubionym wzorem bohatera – kronopiem, postacią na wpół fantastyczną, żyjącą na przekór całemu światu, zachłystującą się każdym drgnieniem natury, nie wierzącą ani nazwom, ani zachowaniom, badającą wszystko od początku, od nowa, na własny rachunek. Cortazarowski kronopio to symbol nieufności, nieprzystosowania, odrzucania prawd doświadczeniem mierzonych. „Zawsze podawałem w wątpliwość to, co ludzie przyjmowali za pewnik – stwierdzał autor „Rzeki" – *i często odkrywałem, że wiele idei, wiele zasad dotyczących zachowań społecznych było mi zupełnie obcych".*

Twórczość Cortazara zawiera w sobie coś z romantycznych ideologii XX wieku wykazujących absurdalność wiary w koncepcję doskonalenia technologicznego, które wiedzie w ślepą uliczkę perfekcji, rozpadu osobowości, osłabienia więzi międzyludzkich. W całej swojej istocie: w płynności granicy pomiędzy tym co rzeczywiste i nadnaturalne, w wyobrażeniu, że nasz świat jest tylko jednym z możliwych, że żyjemy pod ciągłą presją przypadkowości, w stałej niepewności praw – pisarstwo Cortazara jest manifestem spontaniczności, żywiołości, receptą na leki i niepokoje dnia codziennego. Nic dziwnego, że popularność tej

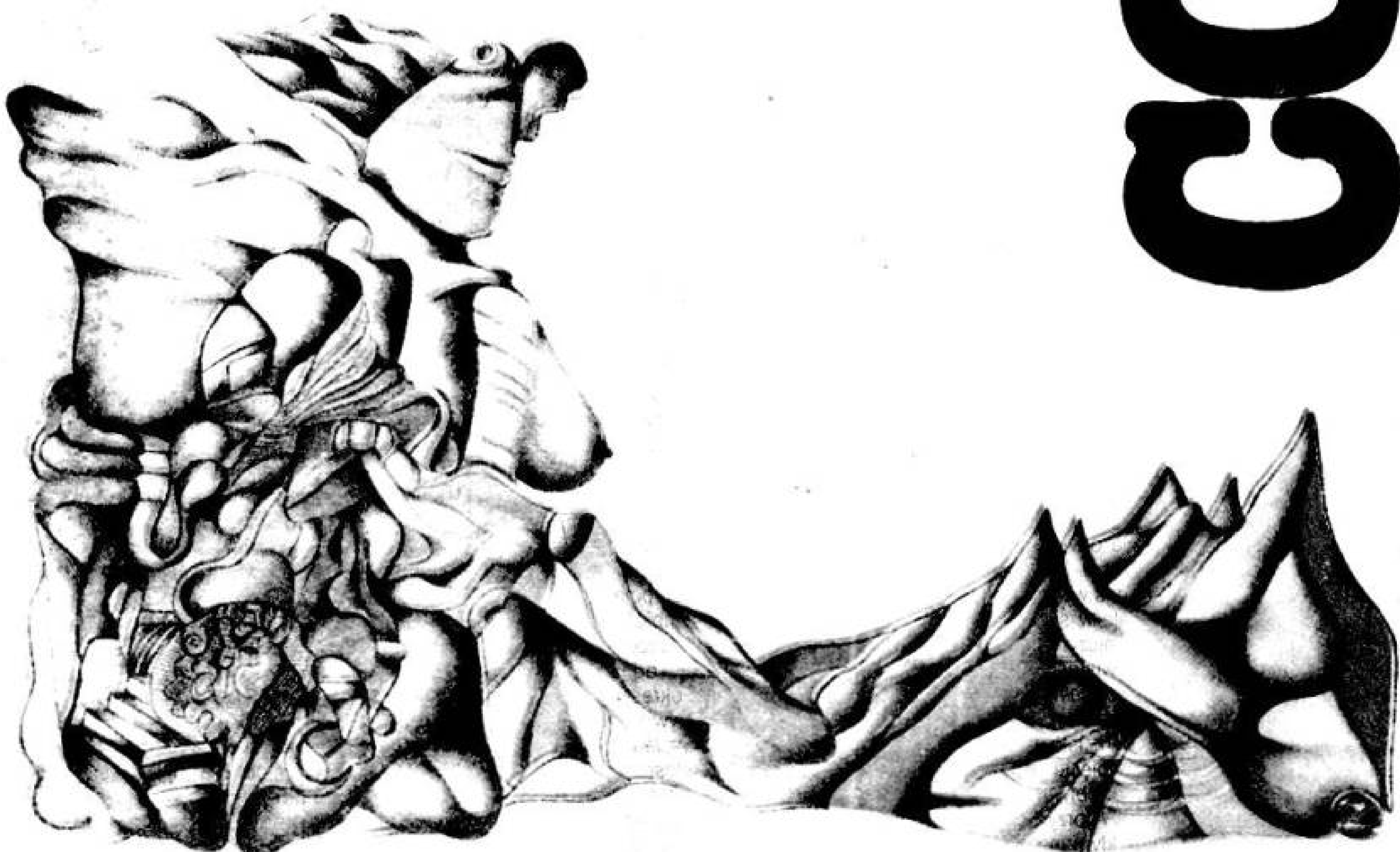
Dokończenie na stronie 59

CORTAZAR

Zaczął czytać tę książkę parę dni przedtem. Przerwał z powodu pilnych spraw i otworzył znowu, wracając pociągiem na wieś; powoli wciągał się w wątek, w rysunek postaci. Tegoż popołudnia, po napisaniu listu do pełnomocnika i przedyskutowaniu z rządcą kwestii dzierżaw, wrócił do niej w ciszy swojego gabinetu, wychodzącego na dębowy park. Zagłębiony w ulubionym fotelu, plecami do drzwi, żeby mu nie przeszkodziło ewentualne pojawienie się jakiegoś intruza, lewą ręką raz i drugi pogładził zielony aksamit i zabrał się do ostatnich rozdziałów. Jego pamięć bez wysiłku zatrzymywała imiona i obrazy bohaterów, atmosfera powieści ogarnęła go prawie od razu. Niemal perwersyjnie rozkoszował się świadomością, iż każda linia odrywa go od tego, co go otacza, że głowa jego spoczywa wygodnie na aksamicie oparcia, że papierosy leżą w zasięgu ręki, że za oknami tańczy powietrze popołudnia pod dębami. Pochłonięty ponurym dylematem bohaterów, śledząc słowo po słowie konkretyzujące się, nabierające kolorów obrazy, był świadkiem ostatniego spotkania w góralskiej chacie. Pierwsza, nieufnie się rozglądając, weszła kobieta, teraz nadchodził kochanek, twarz miał zranioną od uderzenia gałęzi. Czule tamowała mu krew pocałunkami, ale oganiał się od jej pieszczot; nie po to tu przyszli, aby powtarzać ceremoniał namiętności, skrywanych pod osłoną zeschłych liści i odludnych ścieżek. Sztylet grzał się na jego piersiach, w których pulsując czaiła się wolność. Zdyszany dialog biegł przez stronice niby strumień węży i czuło się, że wszystko zdecydowane jest od dawna. Nawet te pieszczoty, które związywały ciało kochanka, jakby chciały odwieść go, powstrzymać, rysowały ohydnie kształt tamtego ciała, które należało zniszczyć. Nic nie zostało zapomniane: przejścia na skróty, przypadki, ewentualne pomyłki. Począwszy od tej chwili każda sekunda miała swoje zadanie, swój dokładnie wyznaczony plan. Wspólne bezlitosne powtarzanie go przerywało się na sekundę, by ręką pogłaskać policzek. Zapadał zmrok. Nie oglądając się już na siebie, ściśle związani zadaniem, które ich oczekiwało, rozstali się znowu na progu chaty. Ona miała iść ścieżką wiodącą na północ. Z przeciwległej ścieżki on na chwilę zawrócił, by spojrzeć na nią, biegnącą z włosami w nieładzie. Po czym i on pobiegł, kryjąc się za drzewa, za krzaki, aż do chwili, gdy w fiołkowym świetle zmroku dojrzał topolową aleję wiodącą ku domowi. Psy nie miały szczekać i nie szczekały. Rządcy nie miało być i nie było. Wbiegł po trzech stopniach, które prowadziły do sieni i wszedł do domu. Poprzez uderzenia krwi tętniące mu w uszach słyszał słowa kobiety: napierw pokój błękitny, potem galeria, potem wyłożone dywanem schody. Na górze dwoje drzwi, w pierwszym pokoju nikogo, w drugim nikogo, potem drzwi do salonu – a wtedy sztylet w rękę, światło wielkich okien, wysokie oparcie fotela wybitego zielonym aksamitem, głowa człowieka czytającego w fotelu książkę.

Przełożyła **Zofia Chądzyńska**

Julio Cortázar: Ciągłość parków. (w) Opowiadania zebrane. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1975.



S. Cygnarowski

Dokończenie ze strony 57

prozy w Polsce – zwłaszcza w latach siedemdziesiątych – była wprost oszałamiająca. W roku 1968 ukazała się u nas „Gra w klasy", powieść – biblia dzisiejszych 40-latków, przedstawicieli „Nowej Fali". Bohater Cortazara – fantastyczny kronopio był dla nich tym samym, czym dla następnej generacji legendarna postać Stachury. Pamiętam rok 1975, kiedy Cortazar przyjechał do Polski: owe tłumy w Warszawie, szalone podniecenie przed spotkaniem w studenckim klubie „Riviera", sesje naukowe organizowane w Instytucie Filologii Polskiej i Iberystyki. Cortazar, jego sposób patrzenia na świat, stał się jakimś uniwersalnym antidotum dla wszystkich, którzy nie mogli znaleźć swojego miejsca w społeczeństwie, czuli się obco wobec chaosu pozornie uporządkowanych spraw i manifestowali swoją niezależność żyjąc jak owi kronopie – obok, nie całkiem, na swój prywatny rachunek.

Pisarstwo Cortazara wywarło ogromny wpływ na współczesną prozę polską. Chyba nie będzie przesady w stwierdzeniu, że to, co bywa dziś nazywane „rewolucją artystyczną" w najmłodszej literaturze wywodzi się w dużym stopniu z fascynacji techniką Cortazara, jego „Grą w klasy", która wskazywała na bogactwo języka, jakie może przyswoić bez utraty swej tożsamości.

Warto przypomnieć, że tłumaczką niemal całej twórczości Cortazara była Zofia Chądzyńska – zasłużona propagatorka prozy latynoskiej. Wybór Chądzyńskiej nie okazał się przypadkowy: to właśnie autor „Gry w klasy" zainicjował u nas triumfalny pochód literatury iberoamerykańskiej, który można porównać z boomem fantastyki naukowej u schyłku lat siedemdziesiątych. Pisarstwo Borgesa, Marqueza, Llosy, Fuentesa zostało zapowiedziane niepowtarzalną, jedyną w swoim rodzaju prozą wielkiego Argentyńczyka.

Artykuł, który zamieszczamy na łamach „Fantastyki" porusza temat ciekawy, pozostający poza domeną zainteresowań krytyków polskich, a przecież stanowiący klucz do zrozumienia twórczości Cortazara. Autorem tekstu jest Adam Elbanowski, starszy asystent Iberystyki Uniwersytetu Warszawskiego, który swoje szkice o prozie latynoskiej publikował m.in. w „Literaturze na Świecie".

Andrzej Niewiadowski

Adam Elbanowski

POCZUCIE FANTASTYCZNOŚCI

Julio Cortázar, jak każdy niemal pisarz uprawiający fantastykę, miał swoją własną koncepcję tego gatunku, która niejako uzupełniała i komentowała jego opowiadania fantastyczne, a przy tym stanowiła – patrząc z szerszej perspektywy – oryginalne wprowadzenie do całej współczesnej literatury tego nurtu. Z góry trzeba zastrzec, że Cortázar nie miał żadnych aspiracji teoretyka literatury fantastycznej, na wzór Rogera Caillois, Tzvetana Todorova czy Stanisława Lema. Cortázar był pod tym względem konsekwentnym „kronopiem", któremu obce były naukowe definicje i sądy. W jednym z wywiadów stwierdził nawet: *„Gdybym potrafił wytłumaczyć czym jest fantastyka, nigdy nie napisałbym żadnego opowiadania"*. W efekcie argentyński pisarz zamiast o teorii fantastyki wolał mówić o własnym „poczuciu fantastyczności" *(el sentimiento de lo fantástico)*, a ściśle definicje gatunku zastępować luźnymi refleksjami, sugestiami i uwagami, które często w metaforycznej, bardzo obrazowej formie wyrażały stosunek pisarza do fantastyki. Celem tego szkicu jest zestawienie tych właśnie refleksji i wypowiedzi autora, które pojawiły się w jego esejach, artykułach i wywiadach.

Zanim odtworzymy tezę Cortazara o tym, czym jest (i jaka powinna być) literatura fantastyczna, zacznijmy od antytezy, to znaczy od opinii autora o – jak to nazywa – „złej literaturze fantastycznej". W ten sposób, metodą negacji, uzyskamy pierwszy element cortazarowskiego modelu gatunku. W eseju „O krótkich opowiadaniach i sprawach ich dotyczących" z tomu „Ostatnia runda" Cortázar podaje dwa przykłady owej „złej literatury fantastycznej". Pierwszy dotyczy tych utworów, w których zjawiska nadnaturalne *„instalują się niby kliny chwilowe i efemeryczne w trwałej masie zjawisk naturalnych"*. W drugiej grupie mieszczą się te utwory, w których występuje jednolity ciąg wydarzeń nadnaturalnych, a więc taka fantastyka, gdzie całkowicie odrzuca się elementy rzeczywistości codziennej i *„zastępuje zwykły bieg czasu przez coś w rodzaju fantastycznego full time'u"*. Podsumowując, *„w obu tych wypadkach (niedostateczne umieszczenie się w powszedniości lub niemal całkowite jej odrzucenie) grzechem jest nieprzenikanie jednego w drugie, czasowe łączenie materii heterogenicznych, między którymi nie ma osmozy, nie ma przekonywającego przejścia"*. Tak oto poprzez podważenie „czystej fantastyki", „fantastyki sztucznej i wytworzonej", którą według pisarza uosabia twórczość Lovecrafta i angielska powieść gotycka, dochodzimy do pierwszej i najważniejszej tezy w cortazarowskiej koncepcji fantastyki: *„Tylko krótkotrwałe zakłócenie wewnątrz pełnej normalności zdradza fantastyczność, lecz wyjątek musi stać się regułą, nie przemieszczającą zwykłych struktur, w które została włączona"*.

Spróbujmy rozszerzyć to pojęcie odwołując się także do innych wypowiedzi pisarza. Fantastyka jest – jak twierdzi Cortázar – czymś wyjątkowym, zaskakującym w swojej treści, ale w swojej formie, przejawach jest zjawiskiem niczym nie różniącym się od otaczającej rzeczywistości. Fantastyka *„zdarza się w zwykłych, normalnych okolicznościach"*, *„wdziera się w codzienność i jest codziennością"*. Według Cortazara istota fantastyki polega na zderzeniu, napięciu między czymś niezwykłym i nieprawdopodobnym a zwykłą, powszednią rzeczywistością. A przy tym, co należy podkreślić, faktem niezwykłym może stać się każde, nawet najbardziej banalne zdarzenie, które może pojawić się nagle, w każdym miejscu i w każdym momencie. Cortázar, jak widać, całkowicie zanurza fantastykę (a ściślej, jej manifestacje) w codzienności, a równocześnie łącząc, niemal identyfikując obie te sfery uzyskuje silniejszy efekt, niż fantastyka tradycyjna przez zastosowanie wspomnianego „nadnaturalnego klina": *„Mówi się, że w moich opowiadaniach fantazja odrywa się od rzeczywistości albo wtapia się w nią i że to właśnie gwałtowne i prawie zawsze nieoczekiwane niedopasowanie pomiędzy zadowalająco rozsądnym horyzontem a wtargnięciem motywu nieprawdopodobieństwa jest wykładnikiem ich literackiej sprawności"*.

W cortazarowskiej wizji fantastyki, jak możemy już przekonać się na podstawie przytoczonych przykładów, tkwi pewien paradoks, który wypływa nie tyle z braku precyzji, jednoznaczności w wypowiedziach pisarza, ile raczej ze swoistego pojmowania fantastyki przez Cortazara. Otóż pisarz z jednej strony naturalizuje fantastykę, sprowadza niezwykłość do zwykłości, pozbawia fantastykę właściwości *insolite*, a z drugiej, nadaje jej cechy nieprawdopodobieństwa, czegoś wyjątkowego. W jednym miejscu, rozpatrując relację między fantastyką a rzeczywistością, mówi o procesie stapiania się, łączenia, przenikania obu płaszczyzn, w innym, o wtargnięciu fantastyki w rzeczywistość, gwałtownym zakłóceniu codzienności, o niedopasowaniu. Sprzeczność jaka tu zachodzi jest jednak pozorna. Cortázar – w przeciwieństwie do „klasycznych" definicji gatunku (R. Caillois, T. Todorov, L. Vax, M. Schneider, W. Ostrowski) – nie wyznacza ostrej granicy między fantastyką a rzeczywistością, aby w ten sposób określić jedno pojęcie w relacji do drugiego. Według Cortazara granica ta jest bardzo płynna, ulega nieustannym przesunięciem, jest niedookreślona. W swojej koncepcji idzie jeszcze dalej; odrzucając jednoznaczną definicję fantastyki autor „Gry w klasy" kwestionuje możliwość zdefiniowania samej rzeczywistości. A więc nie tylko granica między tym co fantastyczne, a tym co realne zostaje zatarta, ale także same te pojęcia stają się czymś niejasnym, nieuchwytnym: *„nie wiem gdzie zaczyna się i kończy to co realne i to co fantastyczne"*, *„nigdy nie potrafiłem określić dokładnej granicy między fantastycznością i realnością"*. W rezultacie obie sfery nachodzą na siebie tworząc jedną całość złożoną z dwóch, niemalże wymienialnych elementów: *„rozpatruję rzeczywistość i fantastykę na tej samej płaszczyźnie"*. To właśnie zespolenie jest podstawowym założeniem w koncepcji Cortazara, stąd często w jego wypowiedziach pojawiają się takie sformułowania, jak – „symbioza", „wzajemne przenikanie się", „osmoza", „przejścia". Nie należy zatem – twierdzi Cortázar – oddzielać obu tych sfer. Fantastyka może być określona tylko przez rzeczywistość i wobec rzeczywistości, a nie w całkowitym od niej oderwaniu: *„fantastyka nie tylko zawiera w sobie rzeczywistość, ale nie może się bez niej obejść"*. Tak oto fantastyka ulega naturalizacji, nabiera cech realności, przekształca się w realność. Równocześnie proces ten zachodzi także w drugą stronę. To co normalne, codzienne, stabilne stopniowo staje się fantastyczne, niepokojące i dziwne. Status normalności został zachwiany i dochodzimy do punktu, *„gdzie zwyczajność nie jest już kojąca, bo nie istnieje, jeżeli tylko poddać ją wytrwałemu, milczącemu badaniu"*. Ten drugi etap w cortazarowskiej wizji fantastyki jest szczególnie istotny. Cortázar przez fantastykę pragnie dojść do ukrytego wymiaru rzeczywistości, kwestionując po drodze jej warstwę zewnętrzną, pozorną i fałszywą, którą jest codzienność i zwykłość. Pisarz penetrując rzeczywistość chce odsłonić jej prawdziwe, właśnie „fantastyczne" oblicze, daleko odbiegające od przyjętych zasad logiki i przyczynowości.

W tak nakreślonej wizji rzeczywistości funkcjonują dwa porządki, które odpowiadają dwóm różnym sposobom myślenia czy raczej formom oglądu rzeczywistości. *„Fantastyka jest dla mnie bezpośrednią sugestią, że poza prawami arystotelesowskimi i poza naszym racjonalnym umysłem istnieją pewne mechanizmy, równie ważne i prawomocne, chociaż nieuchwytne dla naszego rozumu, które w pewnych momentach nagle zaczynają działać, stają się widoczne. Zjawisko fantastyczne jest jednorazowe, nigdy się nie powtarza; za każdym razem będzie zupełnie inne. Natomiast w ramach powszechnie przyjętych praw określona przyczyna wywołuje określony efekt, to znaczy, w podobnych okolicznościach można uzyskać identyczny skutek, wychodząc od tej samej przyczyny. Zjawisko fantastyczne zdarza się tylko raz, gdyż w sposób oczywisty odpowiada pewnemu cyklowi, serii akcji i interakcji, które pozostają całkowicie poza zasięgiem naszych umysłów i praw. Zjawisko to jawi się nam z całą wyrazistością, lecz tylko drogą intuicyjną, a nie racjonalną"*.

Cortázar w swoich refleksjach nad fantastyką przeciwstawia się tradycyjnemu porządkowi racjonalnemu, który wprowadził ostry podział pomiędzy tym co rzeczywiste (naturalne, prawdopodobne) a tym co fantastyczne (nadnaturalne, nieprawdopodobne). Pisarz nie tylko neguje tę opozycję, ale podważa wręcz prawomocność tradycyjnych pojęć rzeczywistości i fantastyki. Opowiada się za myśleniem intuicyjnym (czy też, jak mówi, surrealistycznym), a więc takim ujęciem rzeczywistości, w którym dzięki wyobraźni i intuicji dostrzega się wszelkie zjawiska i fakty, nawet najbardziej krańcowe, „niemożliwe". Jest to maksymalne otwarcie się na świat, poszerzenie horyzontów widzenia rzeczywistości, tak aby uchwycić całą skalę możliwości obecnych w naszym otoczeniu: *„jest to poczucie otwartości, wrażenie uchwycenia szpar w rzeczywistości, innych jej modulacji"*. Idąc śladem surrealistów Corázar postuluje takie badanie rzeczywistości, w którym istotne są nie reguły i prawa, ale wyjątki od tych reguł. W rezultacie takiej właśnie elastycznej i chłonnej postawy wobec świata, zjawiska określone jako fantastyczne okażą się całkowicie naturalne i oczywiste i fantastyka ostatecznie stopi się z rzeczywistością: *„gdy osiągniemy ten etap, pojęcie fantastyki ulegnie zatarciu"*.

Dokończenie na stronie 60



Dokończenie ze strony 59

„Podejrzenie innego porządku", o którym często mówi Cortázar określa zarazem jego specyficzny, bardzo osobisty stosunek do fantastyczności: *„od dzieciństwa byłem zżyty z fantastyką; tworzyła ona element czegoś, co można by nazwać hiperwrażliwością (...). Dla mnie lektura powieści fantastycznej i lektura powieści historycznej zakładała ten sam proces myślowy; oba gatunki przyjmowałem z tą samą łatwowiernością".* W wielu wypowiedziach Cortázara przewija się ten właśnie motyw, motyw *„naturalnej akceptacji fantastyki", „skłonności do przyjmowania tego, co niemożliwe do przyjęcia".* Percepcja literatury fantastycznej w młodości ugruntowała w pisarzu wizję fantastyki „realnej", „oswojonej", to znaczy takiej, której przejawy i manifestacje traktuje się jako fakt oczywisty, jako kolejny dowód na to, że rzeczywistość jest bardziej złożona, bardziej pojemna, by wchłonąć to, co pozornie jest nieprawdopodobne i „nierzeczywiste": *„Po prostu dokonywałem operacji odwrotnej i dość śmiałej: włączenia fantastyki w rzeczywistość, zrealizowania jej".*

Cortazarowskie *el sentimiento de lo fantástico* zakłada swoistą akceptację i tolerancję wobec czegoś, co jest sprzeczne z logiką i zdrowym rozsądkiem, ale zarazem możliwe i prawdopodobne z perspektywy intuicyjnej (nieco naiwnej) wrażliwości: *„Zawsze wiedziałem, że to co wielkie i niespodziewane, czeka nas tam właśnie, gdzie w końcu przestaliśmy się czemukolwiek dziwić, gorszyć obalaniem normalnego porządku".* Cortázar nie próbuje nawet przełożyć swojej intuicyjnej teorii fantastyki na język racjonalny. Wyrażenia jakimi się posługuje, są bardziej poetyckimi metaforami niż pojęciami czy kategoriami – „wrażenie otwarcia", „stopnie wiodące ku jakiemuś wymiejscowieniu", „wyloty na wyobcowanie". Pisarz kwestionuje możliwość zwerbalizowania owego „poczucia fantastyczności"; język nie potrafi oddać tego, co jawi się jako sugestia, bowiem *„jak zazwyczaj* – stwierdza w jednym z esejów – *słowa usiłują łatać dziury".*

Teoria „pełnej akceptacji fantastyki" sprowadza się więc do uznania takiego układu, takiego porządku, który zawsze pozostaje niedomknięty i niedookreślony; fantastyka nie może być włączona w wąskie ramy teorii, bo jej przejawy zawsze są nieograniczone, nieuchwytne: *„Absolutne zżycie się z fantastycznością prowadzi jeszcze dalej: w jakiś sposób przyjęliśmy to, co jeszcze nie nastąpiło: przez drzwi wchodzi ktoś, kto przyjdzie pojutrze lub kto przyszedł wczoraj. Układ będzie zawsze otwarty, nie będzie się skłaniał ku żadnemu zakończeniu, bo nic się nie kończy i nic nie zaczyna w systemie, w którym znamy tylko bezpośrednie dane. (...) Nie ma zamkniętej fantastyki, bowiem tym, co z niej znamy, jest zawsze tylko jej część, i dlatego wydaje nam się ona fantastyczna".*

Cortázar dąży do przewartościowania, a ściślej, do odwrócenia pewnych pojęć. W efekcie fantastyka wymaga aktu wiary, właśnie owej tolerancji i odrobiny łatwowierności, tak aby zjawisko *insolite* przyjmowane było bez zdziwienia i zaskoczenia. Innymi słowy, postawę wobec fantastyki kształtuje klasyczne *suspension of disbelief*, tyle że nie jako odruchowe poddawanie się iluzji, ale jako świadome i kontrolowane „przyzwolenie" na *insolite*. Z kolei odwrotny proces zachodzi w przypadku rzeczywistości codziennej. Tu według Cortazara konieczna jest postawa oparta na negacji, nieustannym wątpieniu i kwestionowaniu tego, co wydaje się realne i prawdziwe. Trawestując wcześniej wymienioną formułę – to wobec t e j rzeczywistości niezbędne jest *suspension of belief*. Ta idea przewija się we wszystkich opowiadaniach Cortazara i stanowi klucz do jego koncepcji fantastyki.

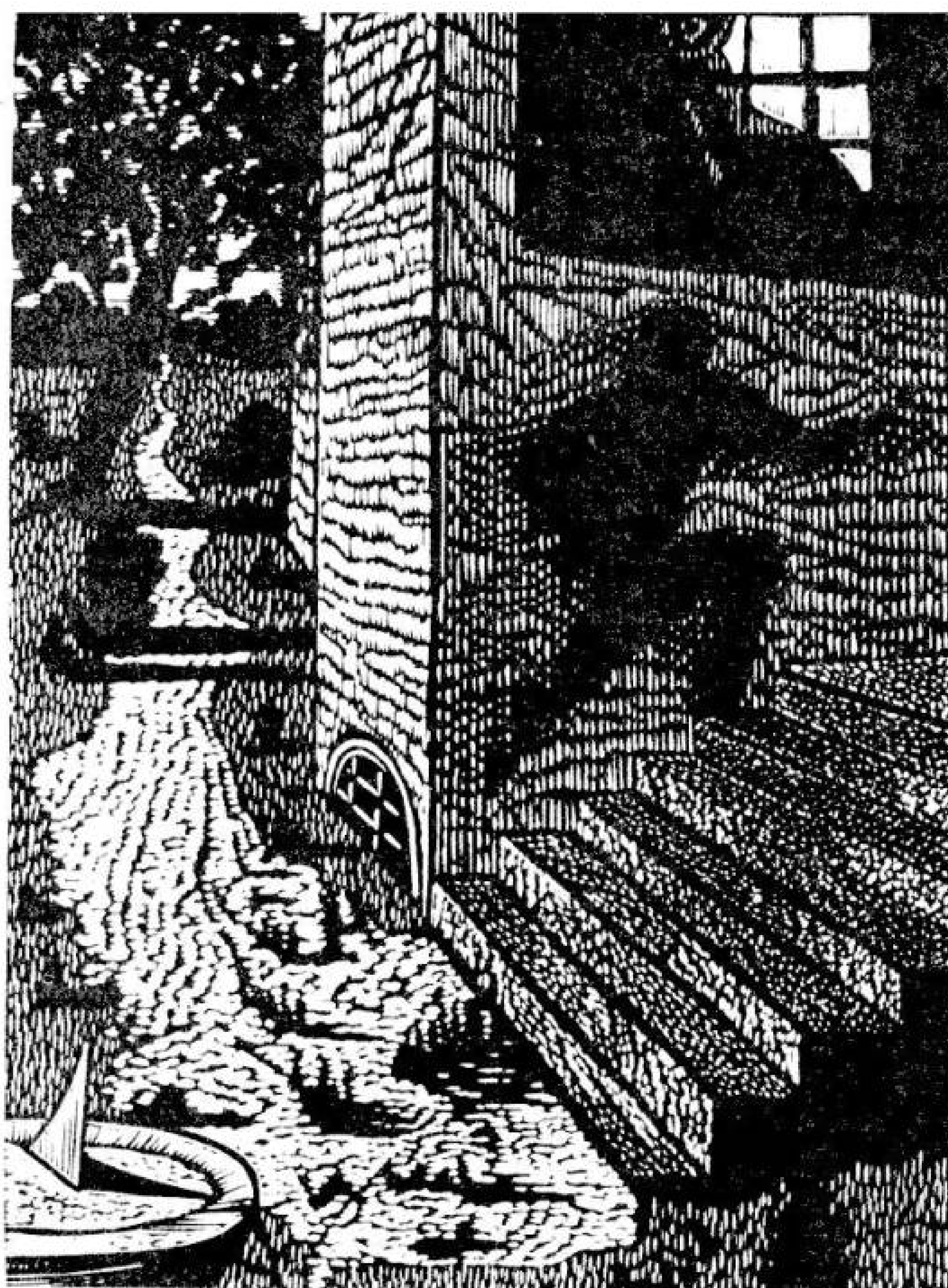
Adam Elbanowski

Cytaty pochodzą z następujących tekstów:

J. Cortázar – „Ostatnia runda " i „W osiemdziesiąt światów dookoła dnia" (tłum. Z. Chądzyńska); J. Cortázar – „Algunos aspectos del cuento", Cuadernos Hispanoamericanos, Madrid, nr 255, 1971; J. Cortázar – „Notas sobre lo gótico en el Rio de la Plata", Caravelle, nr 25, 1975, Université de Toulouse; E.G. Bermejo – „Conversaciones con Cortázar", Barcelona, 1978, „Cinco miradas sobre Cortázar", Buenos Aires, 1968; E.P. Garfield – „Cortázar por Cortázar", Universidad Veracruzana, 1978; El Pais, Madrid, 5 XI 1977 i 25 III 1979.

poezja i fantastyka

W literaturze latynoamerykańskiej fantastyka jest nieustannie obecna, choć trudno byłoby (poza prozą kubańską) doszukać się tego, co nazywamy prozą fantastyczno--naukową. Jest to raczej nieustająca otwartość tej literatury na tajemnicę, niechęć do całkowitej racjonalizacji tak przeżyć jednostki, jak i otaczającego ją świata. Jest to szczególnie widoczne we współczesnej poezji latynoamerykańskiej. Ten niewielki wybór przybliży być może polskiemu czytelnikowi nieco inne podejście do rzeczywistości i znaczenie tego, co Latynosi zwykli nazywać elementem magicznym, a my fantastyką.(AK)



J. GUTKOWSKI - linoryt

Juan Liscano
(Wenezuela)

Czub

kiedy zamierają
na chwilę
słowa
które zawsze tyle śmierci zadają
życiu
kiedy odkrywamy w sobie akto-
ra
i ukazujemy
obdartego z szat zmierzchu
kiedy budzi nas sen że śnimy
lub wyrwani ze snu
budzimy się oszołomieni
jak przybysz z kosmosu, który
spadł na ziemię
kiedy rozpryskują się lustra
od powiewu nieznanego musu
kiedy już opróżnione bukłaki
i niecierpliwi się gorączka prag-
nienia
kiedy akceptujemy wygnanie w
ogrodzie
wytryska
nagły czub
z którego Lewant zaprawia
ostrze czyste i proste
które opada
i podcina nam gardło.

João Cabral de Melo Neto
(Brazylia)

Obłoki

Obłoki są włosami
wzbierając jak rzeki;
są białymi gestami
niemej śpiewaczki;

są posągami w locie
nad brzegiem morza;
lekką fauną i florą
ulotnych krain;

są okiem malowanym
płynąc nieruchomo;
pochyloną kobietą
nad snu tarasami;

są śmiercią (wyczekiwaniem)
za przymkniętymi oczami;
lek biały!
nasze dni białe.

Enrique Ivaldi
(Argentyna)

Na tej pustyni

Na tej pustyni
lat utraconych i wrogich
widziałem upadek słońca na serdecznym miejs-
cu.
A cień zachował ten niemy krok
życiu podobny i śmierci, starej odpowiedzi,
dawnego bólu płonącego słowa
w zapomnieniu dotykającego spełnienia.
To wszystko do czego jest świat zdolny od kiedy się
rodzi,
i we wszystkim co jest człowiekiem, pragnieniem
lub wytworem
jest rzeczywistość
która stwarza gwiazdy i umieszcza w niebie
lecz pytam
czy czasem jest czy wiecznością głos roztopiony w
grzmocie.
Ponieważ jest magia wewnętrzna,
znak szybszy od własnej idei,
samotny wysiłek lub pożar
kiedy w zachwycie składam na pół światło i ukła-
dam do snu.
I to zdruzgotane życie bez miejsca dla śmierci,
stało się błyskawicą aby dotknąć ziemi,
zaświadczyć głosem,
w gorzkiej ulewie po kawałku pękającej ziemi,
jakby każde ciało było żywą księgą,
kwitnącym grobem
pustych rąk, tych samych które przyniosły ogień
i zadały cios.

Przełożył: **Adam Komorowski**

1953 (dokończenie)

128. SWIFT Jonathan: *Podróże Guliwera*. [Tłum. z ang. Anonim z r. 1784. Oprac. i] Przedm. J[an] Kott. Wyd. IV. Warszawa. Iskry. 16.° ss. 492, nlb. 3. 30 000 egz.
129. (?) TOMAN [Nikołaj]: *Promiennym śladem*. Opowiadanie. [właść.: fragm. pow.]. Tłum. [z ros.] Alicja Tesarz. Warszawa. Wyd. MON. 8° ss. 57, nlb. 2. 15 000 egz. Książka realistyczna z elementami fantast. – Na k. tyt. imię aut.: Mikołaj.
130. [VOLTAIRE François Marie Arouet de]: *Tak toczy się światek*. Tłum. z franc. Tadeusz Żeleński Boy. Wyd. III [właść. IV] powoj. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 218, nlb. 2. 10 000 egz. Na k. tyt. aut.: Wolter.

Fantazja dla dorosłych/Horror (AF/W):

131. [APULEIUS Lucius]: *Metamorfozy albo złoty osioł*. Tłum. z łac. Edwin Jędrkiewicz. Wstęp i koment.: Tadeusz Sinko. Wrocław. Ossolineum. 16° ss. 286, nlb. 1. 5 000 egz. Biblioteka Narodowa, seria II, Nr. 79. – Na k. tyt. aut.: Apulejusz z Madaury.
132. BALZAC [Honoré de]: *Nieznane arcydzieło*. Wyd. II. Tłum. z franc. Julian Rogoziński. Wstęp: Maciej Żurowski. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 285, nlb. 3. 10 000 egz. Cztery opowiadania, w tym dwa fantast.: *Eliksir życia* oraz *Melmoth pojednany*, oba AF/Weird. – Na k. tyt. aut.: Honoriusz Balzac.
133. *POLSKA nowela fantastyczna*. Aut.: Józef Maksymilian Ossoliński. [i in.]. Red.: Julian Tuwim. Wyd. III. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° T. I ss. 241, nlb. 3; T. II ss. 283, nlb. 3. 20 000 egz. AF/Weird.

„Zagadki nauki" (MS):

***134.** (?) KOZŁOWSKI Wł[adysław]: *Czy życie istnieje tylko na Ziemi?* Warszawa. Wiedza Powszechna. 32° ss. 55, nlb. 1. 10 000 egz. Mała Biblioteczka TWP. Seria I – Przyrodnicza.

1954

SF dla dorosłych (ASF):

135. BORUN Krzysztof, TREPKA Andrzej: *Zagubiona przyszłość* Warszawa. Iskry 8° ss 234 nlb. 2.10 000 egz.
136. [DASKIEV Nikołaj]: *Zwycięstwo życia*. Tłum. z ros. Jadwiga Milnikiel. Warszawa. Wyd. MON. 8° ss. 436, nlb. 4. 7000 egz. Na k. tyt. aut.: M. Daszkijew.
137. [GUREVIČ Geórgij]: *Szron na palmach*. Powieść fantastyczno-naukowa. Tłum. z ros. Wanda Dąbrowska. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 123. nlb. 1. 10 000 egz. Na k. tyt. aut.: J. Gurewicz.
138. LEM Stanisław: *Astronauci*. Powieść fantastyczno-naukowa. Wyd. IV. Warszawa 1955 [postdat.] Czytelnik. 16° ss. 383, nlb. 1. 30 000 egz.
139. LEM Stanisław: *Sezam i inne opowiadania*. Warszawa. Iskry. 8° ss. 226, nlb. 2. 20 000 egz.
OBRUČĚV V.: *Ziemia...* – zob. CJSF.

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

***140.** (?) [BOGDANOV N.]: *Pojedynek z widmem i inne opowiadania*. Tłum. z ros. Janina Dziarnowska. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 85, nlb. 2. 10 000 egz. Na k. tyt. aut.: N. Bogdanow.
141. [OBRUČĚV Vladimir]: *Ziemia Samnikowa*. Tłum. z ros. Józef Brodzki. Warszawa. Iskry. 8° ss. 315, nlb. 4. 8 000 egz. CJSF/ASF. – Na k. tyt. aut. W. A. Obruczew.
142. UMIŃSKI Władysław: *Balonem do bieguna*. Wyd. II powoj. popr. i uzup. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 186 nlb. 2 tabl. 1. 15 000 egz.
143. VERNE [Jules]: *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi*, T. I–II. Tłum. z frac. Bolesław Kielski. Oprac. i koment. Zdzisław Ryłko. Wyd. IV powoj. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° T. I, ss. 280, nlb. 3; T. II, ss. 287, nlb. 1. 50 000 egz. Na k. tyt. imię aut.: Juliusz.
144. VERNE [Jules]: *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi*. T. I–II. Tłum. z frac. Bolesław Kielski. Oprac. i koment. Zdzisław Ryłko. Wyd. V powoj. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° T. I, ss. 250, nlb. 2, err.; T. II, ss. 254, nlb. 2, err. 20 000 egz. Na k. tyt. imię aut.: Juliusz.

Utopia (U):

145. BACON [Francis]: *Nowa Atlantyda*. Tłum. [z łac.] wstęp, oprac. i koment. Wiktor Kornatowski. Warszawa. Pax. 8° ss. 131, nlb. 1. 2 000 egz. Na k. tyt. imię aut.: Franciszek.
146. BIELICKI Marian L[ech]: *Bakteria 078*. Wyd. III. Warszawa. Nasza Księgarnia 8° ss, nlb. 2.10 000 egz.
147. CAMPANELLA [Tomasso]: *Państwo słońca*. Tłum. [z łac.] wstęp oprac. i koment. Wiktor Kornatowski. Warszawa. Pax. 8° ss. 129, nlb. 1. 2 000 egz. Na k. tyt. imię aut.: Tomasz
148. FRANCE Anatol[e]: *Bunt Aniołów*. Tłum. z franc. Stefan Flukowski. Wyd. III. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. nlb. 4. 223. nlb. 1. 15 000 egz.
149. KRASICKI Ignacy: *Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki*.Oprac. Irena Maciejewska i Roman Wołoszyński. Wyd. II w tym oprac. [nieco uzup.]. Wrocław, Ossolineum. 8° ss. 188, nlb. 3. 10 000 egz. Nasza Biblioteka.
150. [LAGIN Lazar']: *Wyspy rozczarowania*. Tłum. z ros. Maria Zagórska. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 449, nlb. 2. 10 000 egz. Na k. tyt. aut.: Łazar Łagin.
151. [LUKIN Nikołaj]: *Dzieje pewnego wynalazku*. T. I–II. Tłum. z ros. Alicja Maliniak. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° T. I, ss. 338, nlb. 2; T. II, ss. 216, nlb. 3. Utopia/CJSF. – Wyd. na zlecenie RSW „Prasa" – Biblioteka Prasy. – Na k. tyt. aut.: Nikołaj Łukin.
152. MORE (MORUS) Tomas: *Utopia*. Tłum. [z łac.] Kazimierz Abgarowicz. Wstęp Witold Ostrowski. Wyd. I [właść. II uzup.]. Warszawa. PAX 8° ss. 198. nlb. 1. 3 850 egz.
153. [NĚMCOV Vladimir]: *Złote dno*. Tłum. [z ros.] Jadwiga Dmochowska. Warszawa. Iskry. 16° ss. 312, nlb. 3. 20 000 egz. Fragm. pow. ukazał się w 1949 r. – Na k. tyt. aut.: Wł. Niemcow.

Fantazja dla dorosłych (AF):

154. (?) [LAGIN Lazar']: *Staruszek Hassan*. Tłum. z ros. Marta Witwińska. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 304, nlb. 3. 10 000 egz. AF/CJF. – Na k. tyt. aut.: Ł. Łagin.

Krytyka, biografia, film (R):

155.BRAHMER Mieczysław: *Franciszek Rabelais na tle epoki*. Warszawa. Wiedza Powszechna. 32° ss. 62, nlb. 2. 10 000 egz.

cdn.
Przygotował Jacek Izworski

Bardzo dawno temu, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, dostałem prezent – podkowiasto zgiętą sztabkę metalu, która miała niezwykłą właściwość. Przyciągała żelazne opiłki, gwoździki, różne drobne przedmioty z żelaza i było coś fascynującego w owym ruchu martwych przedmiotów, popychanych jakąś tajemniczą siłą. Zapewne każdy kiedyś tam zdziwił się, zobaczywszy po raz pierwszy magnes – i miał się czemu dziwić. Magnetyzm jest jednym z najbardziej niezwykłych i tajemniczych zjawisk w przyrodzie i zawsze budził w ludziach zdumienie.

O tym, że niektóre „kamienie" przyciągają żelazo, najwcześniej bodaj wiedzieli Chińczycy, którzy spostrzegli to zjawisko już parę tysięcy lat temu. Grecy też wiedzieli o tym od dawna i nazywali dziwne kamienie właśnie magnesami – nazwa ta, być może, wywodzi się od Magnezji w Azji Mniejszej, gdzie znajdowano je w dużych ilościach. Dziś wiemy, że były to minerały, magnetyty (Fe_3O_4), będące i teraz poszukiwaną rudą żelaza.

Znakomity uczony grecki, Tales z Miletu (640–546 r. p.n.e.) wierzył podobno, iż kamienie przyciągające żelazo mają jakiś rodzaj duszy, że są żywe, czujące. Starożytni Grecy byli zafascynowani magnesem i często o nim wspomina greckie piśmiennictwo. Jak się zdaje nie spostrzegli jednak, że zawieszony swobodnie pręt magnesu ustawia się samorzutnie równolegle do linii północ-południe, nie wiedzieli też – co trudno wyjaśnić, bo łatwo to było spostrzec – że dwa magnesy mogą się przyciągać bądź odpychać.

Pierwsze, niejasne wzmianki o tym, że magnes może wskazać stronę świata, znaleziono w literaturze chińskiej z pierwszego wieku n.e. Dużo później filozof chiński Shen Kua w swych „Opowiadaniach śpiącego stawu" (ok. 1080 r. n.e.) pisze już wyraźnie: *„Czarodziej pociera koniec igły magnesem i wtedy może ona wskazywać południe".* W Europie spostrzeżono to (czy raczej wieści o tym przeniknęły z Chin) później, w każdym razie pierwsza wzmianka o kompasie pochodzi z 1190 r. Pozostaje dziwnym zbiegiem okoliczności (może nie tylko zbiegiem okoliczności, może ma to jakieś wyjaśnienie?), iż Chińczycy zawsze mówili, że magnes wskazuje południe, a Europejczycy – że północ, choć przecież igła kompasu wskazuje oba te kierunki.

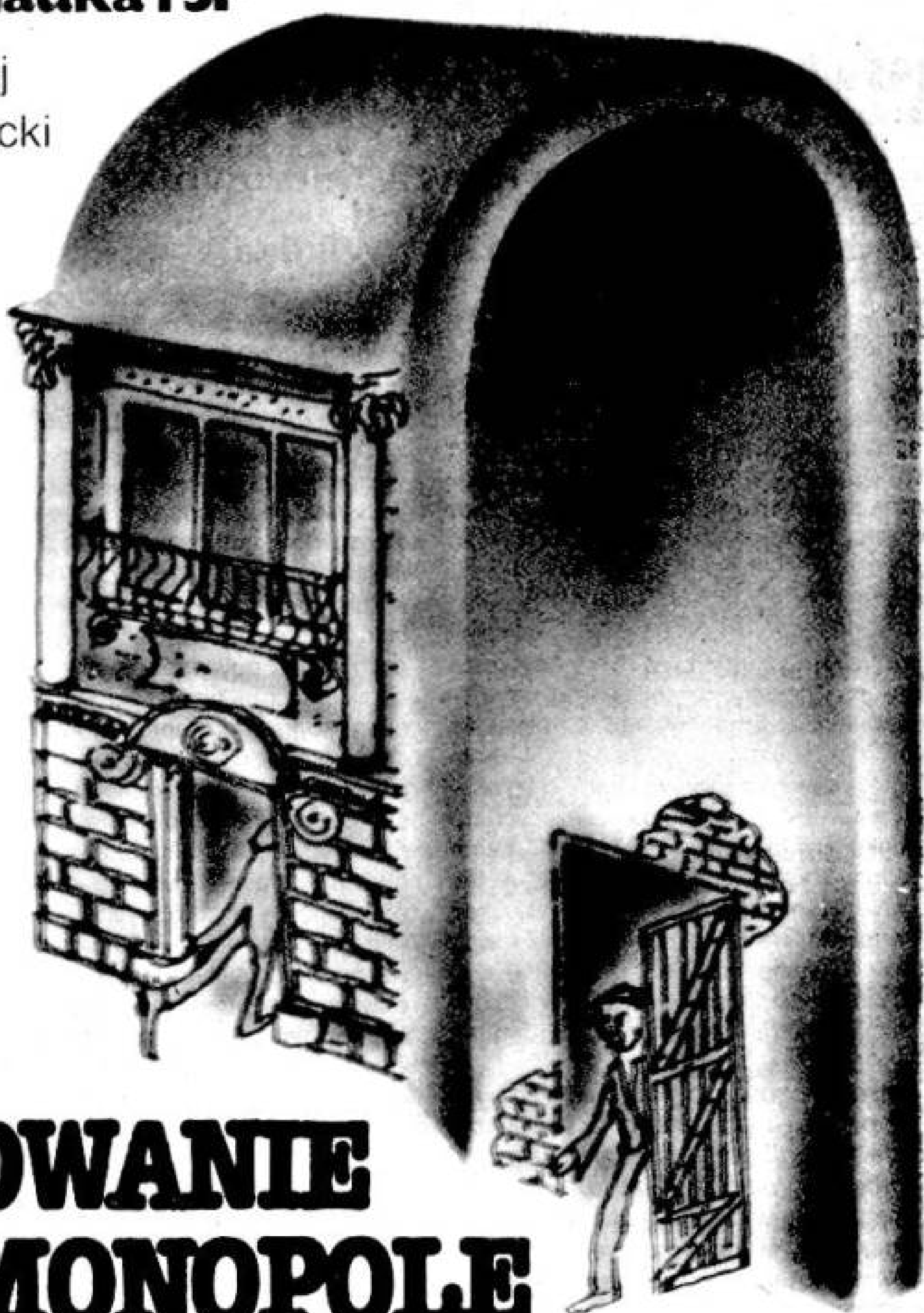
Kompas, jak wiadomo, miał ogromny wpływ na rozwój europejskiej cywilizacji. Do dziś trwają spory, jak właściwie potoczyłoby się europejskie „odkrywanie świata" i związany z tym rozwój europejskich imperiów, gdyby nie odkrycie, że namagnesowana igła wskazuje zawsze określony kierunek.

Przez tysiąclecia wierzono, że magnes ma szczególne własności. Na przykład przynosi pocieszenie w smutkach, powodzenie w sporach, zgodę w kłótniach. Miał leczyć puchlinę wodną, tamować krwotoki, łagodzić ból zębów. Właściwości magnesu miały niweczyć czosnek i cebula – dlatego marynarzom zakazywano jedzenia tych warzyw, żeby nie zakłócać pracy kompasu. Skazywano ich tym samym na szkorbut, bo przecież cebula w dalekich podróżach mogła być dobrym źródłem witaminy C. Swoją drogą byłoby nadzwyczaj ciekawe prześledzenie, jak rodzi się tego rodzaju pogląd, że na przykład czosnek czy cebula „zabijają magnes". Pogląd absurdalny tym bardziej, iż łatwo było przecież po prostu zobaczyć, że ani cebula ani czosnek w żaden sposób nie mają wpływu na magnes. Zostawmy jednak na boku poszukiwania źródeł tego rodzaju przesądów (bo jednak jakieś źródła musiały istnieć).

Maciej Iłowiecki

Z tamtej strony lustra

POLOWANIE NA MONOPOLE



M. Zalejski

W każdym razie we wpływ magnesu na istoty żywe wierzono zawsze, w czasach nowożytnych pojawił się „magnetyzm zwierzęcy", jeszcze w XIX wieku stosowano tzw. magnetyczne sposoby leczenia.

W końcu XIX wieku wszystkich, którzy wierzyli w jakieś wpływy pól magnetycznych (wiedziano już wtedy o ich istnieniu) na żywe organizmy, okrzyczano szarlatanami. Słynny wynalazca Thomas Alva Edison w 1892 r. poddał siebie i swego psa działaniu silnego magnesu i... nie stwierdził zmian w samopoczuciu i zdrowiu. To wystarczyło, by na długie lata zahamować badania tego rodzaju. Dopiero w ostatnim czasie zauważono jednak wiele subtelnych związków, łączących życie z magnetyzmem, i niewątpliwy, istotny wpływ pól magnetycznych na żywe ustroje. Powstała nowa dyscyplina – biomagnetyzm. Historia tych badań i związki magnetyzmu z życiem warte są osobnych rozważań – bo jest to niezwykle ciekawe, a nadto pouczające dla tych wszystkich, którzy dzisiaj tak zaciekle zwalczają wszelkie „dziwności", nie pasujące im do aktualnej wiedzy...

My na razie wrócimy do spraw czysto fizycznych. Otóż niejasna idea pola magnetycznego pojawiła się w Europie w XVII stuleciu. W 1600 r. nadworny lekarz brytyjski królowej Elżbiety I – William Gilbert – stwierdził, iż Ziemia zachowuje się jak wielki kulisty magnes. Wyjaśniało to działania kompasu i było ogromnym krokiem naprzód. W początkach XIX wieku Oersted odkrył związek magnetyzmu z elektrycznością, wkrótce potem systematyczne badania Faradaya wyjaśniły wiele kolejnych zagadek. James Clerk Maxwell połączył ostatecznie magnetyzm z elektrycznością w swej wielkiej teorii elektromagnetycznej. Matematyczny wyraz tej teorii, równania Maxwella uważane są za jedno z największych (może największe) osiągnięć nauki XIX wieku, a elegancję i piękno tych równań do dziś podziwiają przyrodnicy.

Równania Maxwella opisują świat fal elektromagnetycznych w sposób doskonały. Jednakże tym fizykom, którzy lubią się dziwić, zawsze dziwny wydawał się fakt pewnej istotnej asymetrii: oto ładunki elektryczne w równaniach Maxwella nie mają swego ekwiwalentu magnetycznego (jeśli w ogóle używa się pojęcia magnetycznego ładunku elementarnego, to jako pojęcie umowne). Dlaczego istnieją cząstki obdarzone ładunkiem elektrycznym ujemnym i cząstki z ładunkiem dodatnim, a nie ma ich analogów magnetycznych? Dlaczego magnesy są zawsze dwubiegunowe (są dipolami) i biegunów tych nie można w żaden sposób rozdzielić? Naturalnie, istnienie zjawiska zwanego magnetyzmem i właściwości magnesu wystarczająco dobrze tłumaczy – mówiąc najogólniej – sam ruch elektronów, ruch cząstek z ładunkami elektrycznymi. Stąd magnetyzm można rozumieć jako swoisty „produkt uboczny" elektryczności i to zupełnie wystarcza – dlatego równania Maxwella nie wymagają uzupełnień. Albo, formułując inaczej – opis świata elektromagnetycznego nie wymaga koniecznie wprowadzenia elementarnego ładunku magnetyzmu. Rzeczywistość – jaką dziś znamy – nie wymaga istnienia MONOPOLA magnetycznego (elementarny ładunek magnetyczny byłby ładunkiem jednobiegunowym, „południowym" lub „północnym" – czyli monopolem). Tylko ta asymetria! Istnienie monopola magnetycznego wniosłoby upragnioną symetrię: obok elektrycznych byłyby elementarne cząstki magnetyczne, będące źródłem pola magnetycznego, w czasie ich ruchu powstałoby pole elektryczne – tak samo jak ruch cząstek elektrycznych wytwarza pole magnetyczne.

W 1931 r. wielki teoretyk brytyjski Paul A.M. Dirac wysunął i uzasadnił hipotezę, że monopole magnetyczne mogą istnieć w przyrodzie i opisał nawet ich możliwe właściwości. Przez wiele lat szukano tej hipotetycznej cząstki i nie znaleziono – ale też wciąż nie udaje się wyjaśnić, dlaczego takie cząstki miałyby nie istnieć.

W 1975 r. czterech fizyków amerykańskich ogłosiło w Berkeley oświadczenie, iż odkryli ślady cząstek, które po wstępnych badaniach wydają się właśnie śladem monopoli magnetycznych. Takie cząstki powinny być bardzo ciężkie (ciężkie w świecie cząstek elementarnych!), ich oddziaływanie z materią powinno wyzwalać olbrzymie ilości energii – i na to właśnie wskazywały ślady cząstek „złapanych" w Berkeley z promieniowania kosmicznego. Jednakże pewne właściwości „śladu z Berkeley" sugerowały, iż nie jest to ślad monopola – i wkrótce inni fizycy zaczęli podważać to odkrycie. Sensacja wokół monopola z 1975 r. miała jednak tę dobrą stronę, że zaczęto jeszcze intensywniej poszukiwać tajemniczej cząstki. Ze względu na wielką energię i gigantyczną masę monopole – jeśli istnieją – można by znaleźć jedynie w przestrzeni kosmicznej, w gruncie księżycowym, w meteorytach, a na Ziemi gdzieś w jej głębi, bo monopole „wbijałyby się" głęboko. Należałoby ich szukać na przykład w dnie oceanów. Poszukiwano ich zresztą wszędzie – wciąż bez skutku. Z różnych względów, które trudno tu wyjaśniać, monopole są w przyrodzie bardzo rzadkie – jeśli jednak istnieją (a fizycy są właściwie pewni, że tak!), dlaczego nie zostały znalezione?

W lutym 1982 r. nadzieje znowu odżyły. Cabrera – fizyk amerykański ze Stanfordu – stwierdził, iż znalazł wreszcie monopol. Jego doniesienie poddano jednak surowej krytyce i dotąd (marzec 1984 r.) nie potwierdzono tego faktu gdzie indziej. Wedle najnowszych poglądów monopole są we Wszechświecie jeszcze rzadsze niż przypuszczano, ale wciąż nie rezygnuje się z ich znalezienia. Dlaczego tak uporczywie poluje się na monopol magnetyczny w wielu laboratoriach świata? Dlaczego znalezienie tej tajemniczej cząstki wydaje się tak ważne?

Już sam Dirac powiedział pół wieku temu: *„Jeśli gdzieś we Wszechświecie istnieje jeden choćby monopol, to znaczy, że można wyjaśnić największe tajemnice przyrody".* Dziś nie ulega wątpliwości, że znalezienie tej cząstki zmusiłoby do *„przemyślenia w fizyce paru rzeczy na nowo"*, jak wyraził się polski fizyk Iwo Birula-Białynicki. Byłby to prawdziwy wstrząs naukowy, kto wie, czy nie jeden z największych w naszym stuleciu. Odkrycie monopola magnetycznego zmieniłoby bowiem elektrodynamikę – a przecież poznawanie świata (nasz kontakt ze światem) – odbywa się za pomocą oddziaływań elektrodynamicznych! Wedle słów wspomnianego fizyka *„świat jest taki, jakim go znamy, ponieważ taki jest jego elektrodynamiczny obraz".* Skoro więc zmieni się elektrodynamika, zmieni się i obraz świata... To już zupełnie wystarczy!

Fizyk z Berkeley, Buford Price (współautor pierwszego doniesienia o odkryciu monopola) twierdzi, iż monopole zmieniłyby także całą naszą technologię i za nią – cywilizację ziemską. Bowiem możliwość „produkowania" w akceleratorach monopoli pozwoliłaby – powtarzam na odpowiedzialność Price'a – zyskać nowe, niezwykłe źródła energii, nowe możliwości wykorzystywania pola magnetycznego Ziemi. Monopole mogłyby zrewolucjonizować elektronikę, a najpewniej i biologię, i medycynę.

Jak się zdaje, po epoce elektryczności nastąpi epoka magnetyzmu. Mieli chyba rację Grecy, iż w magnesach, tajemniczych kamieniach przyciągających żelazo, tkwi coś naprawdę niezwykłego. Być może tkwi w nich klucz, niezbędny do zrozumienia kolejnej wielkiej tajemnicy przyrody. Polowanie na monopole trwa.

NA ROZDROŻU

mówi Helena KLIMKOWA, kierownik Redakcji Literatury Pięknej Wydawnictwa „Książka i Wiedza"

***Maciej Parowski:** – W drugiej połowie lat 70-tych wydaliście państwo kilka dobrych książek SF, bądź spokrewnionych z SF, jak np. głośny reportaż literacki Normana Mailera „Na podbój księżyca". Już, już wydawało się, że KiW dołączy do oficyn promujących gatunek, a tu przyszło załamanie. Dlaczego?*

Helena Klimkowa: – Wydając „Pianolę" Vinneguta, czy „Księżycową nostalgię" Poznera nie zastanawialiśmy się, szczerze mówiąc, do jakiego gatunku należą. Wybieraliśmy ten, a nie inny tytuł, bo wydawał się nam interesujący i realizował założenia profilu wydawniczego. W ciągu 2–3 lat ukazało się w KiW parę tytułów należących do gatunku. Był to zbieg okoliczności, potem podobny zbieg okoliczności sprawił, że się od gatunku odwróciliśmy. Choć, jeśli uznać reportaż Mailera za pokrewny fantastyce, to należy to samo powiedzieć o wydanej u nas niedawno książce radzieckiego kosmonauty, Piotra Klimuka, pt. „Szturm na nieważkość".

– Bardzo proszę o parę słów na temat profilu i preferencji KiW. Może znając je dokładnie, będziemy mogli pomóc przypadkowi na korzyść SF.

– Interesuje nas tematyka społeczna, polityczna, a więc ciekawa artystycznie i pogłębiona intelektualnie krytyczna analiza społeczeństw: naszego i innych. Interesują nas także książki niosące próbę odpowiedzi na pytania dotyczące kształtu przyszłości. Interesuje nas literatura rozwijająca wyobraźnię czytelnika. Słyszymy ze SF, nowoczesna SF, spełnia wiele z tych wymogów. Przyznam się panu, że szukając inspiracji zaprenumerowaliśmy wasze pismo; także analizując to, co robią inni, zamierzamy zwrócić uwagę na fantastykę. Pewną rolę odegrały tu też względy komercyjne, ale na przykład kryminałów, mimo że też są dochodowe, wydawać nie będziemy. Nie uwzględnialiśmy długo i fantastyki, jako gatunku wyodrębnionego, bowiem z rzeczy rodzimych docierały do nas jedynie próby początkujących autorów – kiepskie warsztatowo, nie przemyślane, o wyraźnych załamaniach konstrukcyjnych.

– W dziedzinie fantastyki królowały w KiW przekłady. Trwa to do dziś. Zarówno wydana niedawno wspaniała satyra na telewizję, „Sieć" Chayefsky'ego i Hedrina (oryginalny tytuł „Network" brzmiałby lepiej), jak i przygotowywany przez państwa „Chiński syndrom" Burtona Wohla – to przykłady modnej na Zachodzie „fantastyki bliskiego zasięgu", polegającej na przewidywaniu jutra w dzisiejszych realiach.

– Właśnie takich rzeczy m.in. tam szukamy. Są oczywiście kłopoty z wygospodarowaniem dewiz na honoraria za te książki, ale zależy nam przecież na ukazaniu polskiemu czytelnikowi społeczeństw zachodnich różnych od naszego. Chcemy przedstawić realia i komplikacje, jakie tam występują, wydobyć wątki krytyki społecznej.

– Czemu tak mało, właściwie wcale, nie czytamy analogicznie pomyślanych książek polskich autorów, których akcja rozgrywałaby się w Polsce? Wydawcy boją się podobnej prozy?

– Przeciwnie, wydawcy wręcz jej poszukują. Sądzę, że to jednak pisarze nie są odważni, że tzw. autocenzura jest znacznie silniejsza, niż nam się na ogół wydaje. Powstało trochę obrachunkowych rzeczy o latach 70-tych i już 80-tych – myślę o wydanych u nas powieściach Bilińskiego, Sokorskiego, czy pisarstwie Bratnego – ale nie są to książki drapieżne, są raczej zapisem zdarzeń, nie próbą dotarcia do źródeł, nie przedstawiają systemowego wizerunku społeczeństwa i jego dylematów. A czytelnik i wydawca oczekują czegoś więcej niż obrazu prominentów i ich wewnętrznych problemów – uczuciowych czy nawet moralnych. Czytelnik pragnie przeczytać rasową powieść polityczną. I jeśli taka dobra, odważna, ambitna, nawet kłopotliwa książka się pojawi, wydawca spróbuje o nią powalczyć. A tu szuflady są puste – niestety. Liczymy, że pewne efekty przyniesie ogłoszony właśnie przez KiW z okazji 40-lecia PRL zamknięty konkurs literacki o bardzo szerokiej formule. Ale zdaje się odbiegłam mocno od interesującego pana problemu literatury fantastycznej.

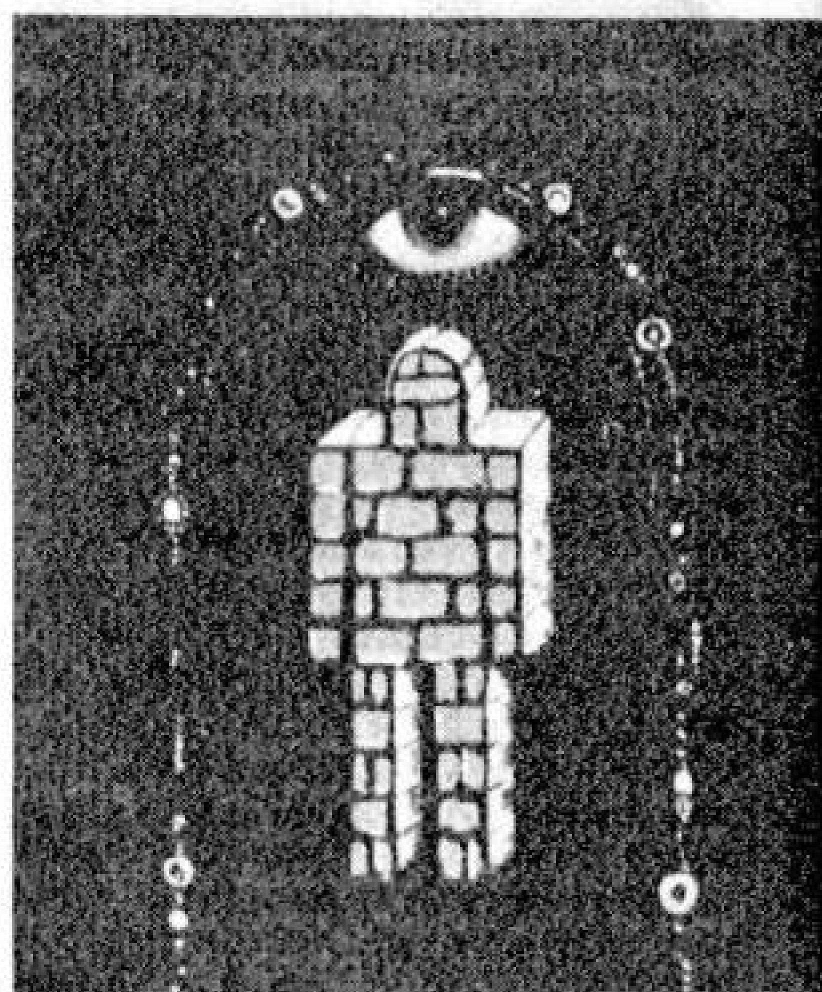
– Niezupełnie. Właśnie polska fantastyka od lat zajmuje się badaniem problemów społecznych na modelach literackich. Lata 80-te, a także już schyłek lat 70-tych, przyniosły obfitą falę fantastyki tzw. socjologicznej, politycznej – zainteresowania takie widać wyraźnie w debiutach. Młodzi fantaści interesowali się problemami obolałego, kiksującego społeczeństwa także wtedy, kiedy nazywanie jego problemów było utrudnione – właśnie stąd wzięła się fala fantastyki nie tyle może pokazującej realia, co opukującej, osłuchującej z pomocą fantastycznej konwencji problemy naszej rzeczywistości. Naszej tzn. i polskiej, i częściowo światowej. Taka literatura mieści się chyba w szeroko rozumianym profilu KiW?





Marcel Aymé

PRZECHODZIMUR



– Na pewno – a mówię to nie tylko w swoim imieniu. Otóż pana wizyta wypadła w momencie, gdy znajdujemy się na organizacyjnym rozdrożu. W najbliższym czasie redakcję polskiej literatury pięknej obejmie kolega Jan Gajewski, a ja zajmować się będę przekładami. Zastanawiając się wspólnie z kol. Gajewskim nad miejscem fantastyki w KiW doszliśmy do wniosku, że należałoby się skupić na literaturze polskiej. Wiemy, że początki będą trudne, dlatego przewidzieliśmy m.in. możliwość zwrócenia się o poradę do waszej redakcji. Przygotowujemy teraz na przykład plany serii „Kolibra" na najbliższe lata. Może nam coś zaproponujecie, coś z klasyki SF, mogą być wznowienia – polskie, może radzieckie. A potem poza „Koliberkiem" wydalibyśmy coś z młodszej polskiej prozy. Może za jakiś czas podpowiedzielibyście nam, coś bardzo dobrego z nowej prozy zagranicznej – ot tak, żebyśmy sobie wzbogacili plan.

– Taka deklaracja może spowodować u państwa lawinę maszynopisów, zapewne w pierwszej chwili nie wyłącznie najlepszych – „Fantastyka" rozchodzi się w szerokich kręgach. A od poradnictwa i nawet konkretnej pomocy nie wykręcamy się.

– Boimy się trochę tej lawiny, ale od czegoś trzeba zacząć. W naszym wydawnictwie nie ma i nigdy nie było specjalnego „człowieka od fantastyki". Pewnie dlatego umknął nam trochę ten moment, kiedy SF przestawała być pozbawioną społecznych odniesień pseudonaukową opowieścią o ludzikach-guzikach, przeładowaną niezrozumiałymi opisami technologicznymi. To długi czas odstraszało nas i wielu innych

ludzi, ale teraz kiedy gatunek uległ ewolucji, myślmy w KiW, że najwyższy czas się przełamać. Mogę pana w imieniu swoim i kolegi Gajewskiego zapewnić – drzwi dla SF, dla ambitnej, humanistycznej, społecznej, poszukującej fantastyki są w KiW szeroko otwarte.

– To może zafundujecie sobie państwo serię książek fantastycznych?

– Oj, nie. Tutaj też jesteśmy z kolegą Gajewskim zgodni: nie, przynajmniej w pierwszym okresie. Wydajmy najpierw parę książek przez 2–3 lata, a potem się zobaczy. Wyróżnik graficzny nie jest najważniejszy. Ważne, żeby wydawać dobrą, poszukującą prozę, za którą stoi ciekawa, oryginalna wyobraźnia. Taka literatura trafi do wszystkich, a nie tylko do zagorzałych, często bezkrytycznych zbieraczy serii.

– W takim razie na zakończenie zwyczajowe pytanie o najbliższe plany wydawnicze KiW w dziedzinie fantastyki. Słyszałem, że zamierzacie państwo wydać kolejną powieść Vonneguta?

– To prawda, próbujemy załatwić, częściowo przynajmniej za złotówki, jego antyutopię, rodzaj fantastyki społecznej „Dead-Eye Dick" (co w wolnym tłumaczeniu znaczy „Dick Sokole Oko"). Ale sprawa nie jest do końca wygrana. Podobnie w stadium pertraktacji jest książka Spielberga „ET" – jeśli uda się książkę kupić, wydamy ją w dużym nakładzie. Na pewno natomiast ukaże się wspominany przez pana „Chiński syndrom" Wohla i bardzo ciekawa, zawierająca elementy fantastyki społecznej, wybitna powieść Ajtmatowa „Dzień dłuższy niż wiek"...

– Życzę powodzenia z Vonnegutem i Spielbergiem. Nie jest fantastyce w KiW tak źle, a będzie jeszcze lepiej – może rzeczywiście z pomocą naszej redakcji. Dziękuję pani za rozmowę.

Notował Maciej Parowski

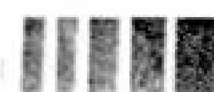


opowiadania fantastyczne

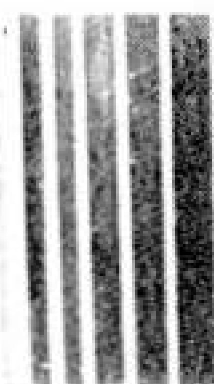
BARDZO DZIWNY ŚWIAT



LITERATURA RADZIECKA NR 2/84







Współczesna
FANTASTYKA NAUKOWA

LR

Już po raz drugi cały numer „Literatury Radzieckiej" (2/1984) został poświęcony sprawom współczesnej fantastyki naukowej. Redaktorzy czasopisma uwzględnili w ten sposób prośby czytelników, którzy domagali się powtórzenia inicjatywy sprzed dwóch lat (pierwszy numer miesięcznika z roku 1982 prezentował dorobek najnowszej fantastyki radzieckiej). Warto przypomnieć, że począwszy od roku 1983 na łamach tego pisma ukazało się wiele opowiadań, szkiców i omówień krytycznych SF, ale nawet i one nie zdołały zaspokoić rozbudzonych zainteresowań czytelników. Radziecką beletrystykę naukową reprezentują tym razem pisarze kilku pokoleń, przedstawiciele różnych nurtów i kierunków literackich, autorzy o wszechstronnych zainteresowaniach i niemałym dorobku twórczym. Są wśród nich nestorzy gatunku, znani z wielu przekładów zagranicznych, bracia **Arkadij i Borys Strugaccy** otwierający cały numer opowiadaniem „Maszyna życzeń" (jest to scenariusz filmu „Stalker" wg powieści „Piknik na skraju drogi"), **Dymitr Bilenkin** – geochemik z Moskwy, autor kilkunastu prac popularnonaukowych „Stworzony, by móc latać"), czy nieporównany **Kir Bułyczow**, który zaskakuje swych czytelników liryczną opowieścią „Śnieżka". Do starszego pokolenia radzieckich fantastów należą również: współpracujący z wydawnictwem „MIR" – **Włodzimierz Frisow** („Kongres"), **Sewer Gansowski** – dramaturg i pisarz, z wykształcenia filolog („Człowiek i koń"), **Włodzimierz Michanowski** – fizyk, poeta i prozaik debiutujący w roku 1949 („Projekt Ural") oraz **Włodzimierz Szczerbakow** (ur. 1938), tłumaczony w Polsce, Bułgarii, NRD i na Węgrzech („Wakacje nad morzem").

Dorobek generacji 40-latków ukazują teksty **Abduhalma Faizifowa** („Fatamorgana") i **Michaila Puchowa**, redaktora „Tiechniki Mołodziozy" („Kwiaty Ziemi"), który gościł przed kilkoma laty na „żółtych kartkach" „Problemów". Nie zawodzą również i najmłodsi: **Borys Rudenko** (ur. 1950), debiutujący w roku 1978 („Schron") oraz **Wiaczesław Rybakow** – orientalista z Leningradu, autor kilku opowiadań zamieszczonych w czasopismach radzieckich („Malarz").

Szerokiemu przeglądowi literatury science fiction odpowiada druga, eseistyczna część numeru poświęcona sprawom krytyki i teorii gatunku. Redaktorzy periodyku publikują tu wyniki ankiety, którą rozesłali do czołowych pisarzy SF pytając o rolę i zadania fantastyki we współczesnym świecie. Efekty tej ankiety przeszły najśmielsze oczekiwania: odpowiedziało na nią kilkunastu autorów tej miary co **Isaak Asimov, Frederic Pohl, Harry Harrison, Arthur Clarke, James Gunn, Joe Haldeman, Herbert Franke, Wolfgang Jeschke, Franz Rottensteiner, Peter Kuczka, Josef Nesvadba, Gunther Krüpkat, Angela i Karlheinz Steinmüllerowie, Eric Simon, Aleksander Kröger, Wolfgang Weitbrecht, Heiner Rank** i **Klaus Fruhauf.** Rozmowa fantastów przy okrągłym stole" „Literatury Radzieckiej" sprawia rzeczywiście duże wrażenie i jest niewyczerpanym źródłem sądów, poglądów, niebanalnych ujęć tematu, ciekawych definicji science fiction. W jednym panuje całkowita zgodność: najważniejszym problemem w skali całego globu jest dziś przetrwanie, zachowanie ciągłości cywilizacji, niedopuszczenie do tragicznych wydarzeń sprzed półwiecza. Misja społeczna fantastyki naukowej, jak podkreśla wielu autorów, sprowadza się do *„stwarzania systemu wczesnego ostrzegania o możliwych katastrofach"* **(A. Clarke).**

Franz Rottensteiner dodaje, że istotną rolą literatury SF jest również funkcja społeczno-krytyczna *„fantastyka uprzedza o niesłusznej drodze rozwoju społeczeństwa, o deformacjach, fałszywych kierunkach jego ewolucji (...), przyczynia się do budzenia sumień czytelników, aktywizacji uczuć"*,a małżonkowie Steinmüller stwierdzają: *„fantastyka naukowa jest w swej istocie realistyczna: realizm narracji, orientacji, nastawienia pisarza nie wyklucza śmiałych przypuszczeń i swobodnej gry z nauką, zjadliwej satyry, atrakcyjnej farsy"* (warto dodać, że w pojęciu **A. i B. Strugackich** „science fiction" to literatura realistyczna, tyle że typizowana nie w konkretach, lecz w tendencjach). Z satysfakcją odnotowujemy również wypowiedź naczelnego redaktora „Fantastyki" – **Adama Hollanka.** Autor „Olśnienia" zwraca uwagę na ponowny wzrost nastrojów dekadenckich w kulturze XX wieku, który wynika *„z rozczarowań do nauki i jej tworów, z niepokojów o losy przyszłe, z niepewności jutra..."*, podkreśla stale rosnące znaczenie literatury SF, ujawnia zamierzenia krytyków pracujących nad stworzeniem pierwszego, międzynarodowego leksykonu SF.

O pisarzach fantastach w marszu pokoju pisze **Włodzimierz Gakow** w swoich „notatkach publicystycznych", a **Wasyl Zacharczenko** omawia najnowsze osiągnięcia rodzimej plastyki („Malarstwo science fiction? Tak, to sztuka"). Warte odnotowania są także wiadomości zamieszczone w dziale „Kronika", na które składają się biogramy nieżyjących pisarzy: **I. Warszawskiego, A. Gromowej, G. Gora, W. Saparina,** notatki o ruchu klubowym, artykułach krytycznych etc.

Cały numer „Literatury..." jest bogato ilustrowany (prace **W. Głuchowa, W. Dżanibekowa, A. Sokołowa, W. Burmistrowa, A. Łopatkinowa** i in.), a pod względem edytorskim – naprawdę bez zarzutu. Pozostaje tylko życzyć równie udanych inicjatyw w przyszłości.

A.N.

Clifford Simak **Czas jest najprostszą rzeczą**



A.Brzezicki

fantastyka